

KATARZYNA  
**BONDA**

**HUBERT MEYER**  
PSYCHOLOG ŚLEDCZY



**Balwierz**

**SERIA KRYMINALNA  
Z HUBERTEM MEYEREM**

*Sprawa Niny Frank*

*Tylko martwi nie kłamią*

*Florystka*

*Nikt nie musi wiedzieć*

*Klatka dla niewinnych*

KATARZYNA  
**BONDA**

Balwierz



MUZA

WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*

Redaktor prowadzący: *Mariola Hajnus*

Redakcja: *Irma Iwaszko*

Redakcja techniczna i skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Barbara Przybylska, Lena Marciniak-Czkała/Słowne Babki, Lingventa*

Fotografia na okładce:

© 2021 iStockphoto LP/miflippo

© by Katarzyna Bonda

All rights reserved

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2021

ISBN 978-83-287-1954-5

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2021

Mojemu Łukaszowi  
*(Let it grow)*

*Mądrość wyklucza złudzenia,  
spolegliwość wyklucza troski,  
odwaga wyklucza strach.*

KONFUCJUSZ, *Dialogi*, Warszawa 2008, rozdz. IX, wiersz 28

*Chyba nie można zaangażować się w śledztwo bez poświęcenia życia  
osobistego.*

PAUL BRITTON, *Profil mordercy*, przeł. Przemysław Kiliński, Kraków 2018

## Spis treści

Część 1 Ostatni odstrzał

Dzień pierwszy 15 lutego 2021 (poniedziałek)

Dzień drugi 16 lutego 2021 (wtorek)

Część 2 Trop

Dzień trzeci 17 lutego 2021 (środa)

Część 3 Łowczy

Dzień czwarty 18 lutego 2021 (czwartek)

Część 4 Drapieżnik

Dzień piąty 19 lutego 2021 (piątek)

Dzień szósty 20 lutego 2021 (sobota)

Część 5 Pokot

Dzień siódmy 21 lutego 2021 (niedziela)

Epilog

Miesiąc później

Posłowie

# **Część 1**

## **Ostatni odstrzał**



Kiedy zaparkował przy łowisku, las zdawał mu się plamą czerni na białej tafli poszycia. Wypakował sztucer i dubeltówkę, załadował amunicję, a na lunetę założył nowiutką nakładkę noktowizyjną, której nie miał okazji jeszcze wypróbować. Podszedł do tablicy. Wpisał swoje nazwisko. Spojrzał na zegarek, by zanotować godzinę rozpoczęcia polowania. Brakowało dwudziestu minut do piątej. Wkroczył w głuszę, starając się zachowywać jak najciszej.

Polanę pokrywał świeży śnieg. Żadnych tropów. Księżyc wciąż wisiał na nieboskłonie. Widoczność była genialna. Wahał się, czy wspiąć się na ambonę, ale rwa kulszowa ostro dawała mu się ostatnio we znaki, więc postanowił polować zza siatki. Ustawił się za krzakiem i pod wiatr. Dokładnie w miejscu, gdzie kościelny kilka dni temu widział zachwycającego dwudziestaka. Odstrzał jeleni skończył się trzy dni temu, ale on wciąż nie wykorzystał swojego pozwolenia. Był honorowym prezesem koła, więc gdyby poszczęściło mu się z tym bykiem, załatwi to z kolegami.

Las szumiał. Słysząc było trzask gałęzi i nawoływanie żerujących ptaków. Siedząc tak bez ruchu, czuł, że zaczyna marznąć. W bagażniku miał Kuchenkę i mógł zagotować herbatę, ale zamiast tego wysupłał z kieszeni piersiówkę i upił łyk rumu. Wolał go od dzinu czy wódki, bo nie nastrojał melancholijnie.

Naraz zerwały się ptaki, a na polanę wbiegło stado jeleni prowadzone przez dorodną łanię. Nie mógł uwierzyć we własny fart. Było ich sto pięćdziesiąt, może dwieście sztuk. Wśród nich wspaniały samiec, o którym mówił kościelny. Policzył wyrostki na tykach i widział już, jak wraca do domu z tym właśnie trofeum. Ustawił się, przymierzył. Poczul skok adrenaliny. Ciało się naprężyło. Nie istniało nic poza tą chwilą. Przez lunetę widział oczy byka tak wyraźnie, jakby stał na wyciągnięcie dłoni. Czujny, hardy. Godny przeciwnik. Ale to on będzie dziś tym lepszym, powiedział sobie. Położył palec na spuście, wstrzymał oddech, zacisnął pośladki. W tym momencie w kieszeni poczul wibrowanie. Telefon obijał się o kluczyki od samochodu. Odgłos był ledwie słyszalny i nie ustawał. Było to trudne do zniesienia. Walczył z ochotą naciśnięcia spustu mimo wszystko, choć miał świadomość, że strzeli w próżnię. Patrzył, jak stado rozpierzcha się i kryje w gąszczu drzew. Ledwie sekunda, dwie i polana znów była pusta. Siedział z rozdziawioną gębą, oniemiały i niezdolny, by wyjąć komórkę i sprawdzić, kto spłoszył mu tak pięknego jelenia, gdy nagle z lasu wynurzył się samotny wilk.

Zwierzę zatrzymało się, powęszyło i zamarło na chwilę. Myśliwy tak dokładnie widział jego głowę w swojej lunecie, że mógłby policzyć każdy włoszek i robaki na jego futrze.

Nie wahał się ani chwili. Strzelił go dokładnie za ucho. Drapieżnik padł jak rażony piorunem. Łapy zadrgały konwulsyjnie. Na śniegu rosła ciemna plama.

Myśliwy odetchnął z ulgą, uśmiechnął się usatysfakcjonowany niespodzianką. Nie śpieszył się. Wyjął piersiówkę, gołnął z niej jeszcze kilka łyków i dopiero tak

pokrzepiony ruszył po upolowanego basiora.

Był to znakomity okaz. Wielki, o niemal białym umaszczeniu. Żółte ślepia długo nie mętniały, błagalnie wpatrując się w niebo. Jeszcze tliło się w nim życie. Myśliwy ściągnął rękawice, pogłodził go czule po pysku i sprawnie skrzył mu kark, by się nie męczył. Znów włożył rękawice, broń zarzucił na ramię. Wilka pociągnął za tylne łapy do auta. Idąc, zastanawiał się, co z nim zrobi. Obetnie ten imponujący łeb, wypcha, zawiesi w gabinecie. Skórę położy przed kominkiem i będzie na niej brał swoją kobietę, rozmarzył się. Aż nagle wrócił rozum. Przecież wilk może mieć czip! Położył zwierzę na ziemi i czekał, aż oświetli je pierwszy brzask. Wyjął swój nieszczęsny telefon. Rzut oka starczył, by stwierdzić, że to Dobrawa. Dzwoniła z nieujawnionego numeru, ale wiedział, że to ona. Na ekranie świeciło się powiadomienie o jedenastu połączeniach. Nie wysłała jednak żadnej wiadomości. Zdziwił się, bo Dobra nie wstawiała przed dziewiątą, a dziś była w delegacji. Upiła się, jest w hotelu i chce się pojednać? Czy znów zapragnęła mu wyznać, że nie miała sił odeprzeć amatorów tego dupka, jego byłego przyjaciela, u którego załatwił jej pracę? Nie miał teraz głowy do babskich spraw. Czuł się silny, niezwyciężony i chciał, by to poczucie trwało jak najdłużej. Wykonał szereg fotografii wilka w różnych pozach. Podniósł truchło do twarzy i zrobił sobie selfie, dbając, by paszcza basiora zdawała się bardziej przerażająca, niż była w rzeczywistości. Zwłoki wilka wrzucił na pakę jak worek śmieci. Poświecił latarką. Wydłubał nożem kulę. Schował ją do wewnętrznej kieszonki w kurtce.

To był dobry strzał, myślał, kiedy kręcił się jeepem po leśnych drózkach, starając się nie zbliżyć do głównych traktów. Przejeżdżał małe rzeczki i bagniska, tak jak mógł bieć lupus, aż dotarł do torów. Znów sprawdził godzinę. Zgodnie z rozkładem miał jeszcze kilka minut, nim nadjedzie towarowy. Wysiadł z wozu, nie trudząc się zamykaniem drzwi, i z zalem, lecz i całkowitą pewnością ułożył basiora głową na torach. Ostatni raz go sfotografował i szybkim krokiem ruszył do auta, skąd planował obserwować przejazd pociągu – nie chciał, by maszynista dostrzegł człowieka i zaczął hamować. Wiedział jednak, że zaraz potem musi wrócić do szałasów w lesie.

Odruchowo spojrzął do góry, na korony drzew. Czteryście metrów dalej stała ambona. Przemknęło mu przez głowę, czy aby żaden z kolegów z koła nie postanowił dziś zapolować i czy go nie rozpozna, ale był poniedziałek. Przeciągali się w domu przed kawą, szykując się do pracy.

Nagle poczuł ukłucie, jakby za uchem wbił mu się haczelek, taki jak te, którymi jako dzieciak strzelał w kolegów na lekcjach. Głowa mu eksplodowała i padł w konwulsjach na ziemię. Mózg wypływał na zaśnieżoną ścieżkę, na której skrzyło się isticie wiosenne słońce, więc nie mógł usłyszeć, że jego komórka znów wibruje oraz że nadjeżdża pociąg. Po głowie wilka lokomotywa przejechała jak po maśle, a kiedy za nią podążyły dwa ciężkie wagony z węglem, z głowy drapieznika pozostała miazga.

Można powiedzieć, że zarówno myśliwy, jak i jego ofiara nieoczekiwanie znaleźli się w tej samej sytuacji. Było jeden–jeden.

## **Dzień pierwszy** **15 lutego 2021 (poniedziałek)**

– Tu będziesz bezpieczny – mruknął Doman i zaciągnął hamulec ręczny, kiedy zatrzymali się przed bramą dawnej leśniczówki. Podał Meyerowi zardzewiałe klucze.  
– Zadekujesz się na tydzień, dwa, a potem się wyprostuje. Jeśli nie, znajdziemy inne rozwiązanie.

– Nie będę się krył jak tchórz – burknął Hubert.

Oczy miał podkrążone, twarz ziemistą. Na kanciastym podbródku pojawił się zarost, co nie przydawało mu uroku jak kiedyś, gdy był młodszy. Kozuch Domana i jego czapka uszanka nie pomagały. Niepokojąco upodabniały go do leśnego dziada. Ale Meyerowi było wszystko jedno.

– Musisz! – Przyjaciel poklepał profilera po ramieniu. – To nie tylko twoja decyzja.

– A czyja? Wasza? – Meyer przekrzywił głowę. – Pójdziecie za mnie siedzieć?

– Nawet tak nie żartuj!

Doman chciał odpysknąć, że trzeba było myśleć wcześniej i zamiast przyjeżdżać do Białegostoku, budzić w nocy jego dzieciaki – zgłosić się na policję, do odsiadki. Ale nic podobnego nie wyszło z jego ust. Nie wiedział, co sam by zrobił w podobnej sytuacji. Pewnie upiłby się do nieprzytomności i tak by go znaleźli. Hubert miał tyle zimnej krwi, by wsiąść do auta i przejechać kilkaset kilometrów, zanim zaczną go szukać. To cud, że nikt go nie zatrzymał. Kiedy psycholog stanął w drzwiach mieszkania Domańskich, wciąż zionął dżinem.

– Poszedłbym, gdyby to coś dało – zapewnił Doman całkiem serio. – I nie defetyzuj. Poczekajmy, co się wydarzy. Wera i Waldek wrócą z danymi, zrobimy naradę. Na razie będziesz koczował tutaj.

Wskazał swój żeglarski worek z rzeczami, które przygotowali, żeby Meyer mógł przetrwać w chacie bez prądu i wody. Była tam też butelka wódki, lecz Hubert oddał ją koledze z ciężkim westchnieniem.

– Chcę być trzeźwy.

Ściągnął czapkę, a potem ponownie ją włożył i wysiadł z wozu. Zarzucił mandżur Domana na plecy. Zapalił i oparł się o maskę łady nivy. Wtedy z oddali dosłyszał syreny radiowozów.

– Tak cicho, jak mówiłeś, to w tej głuszy nie jest. – Przyłożył dłoń do czoła i wyteżył wzrok. Wskazał czerwono-niebieskie koguty prześwitujące między drzewami. – Chyba że za tym zagajnikiem macie dziś zlot dyskotek.

– Ki chuj?

Doman wdrapał się z powrotem do łazika. Włączył radiostację. Znalazł właściwy kanał, wywołał. Podał swoje współrzędne.

– Synek, jestem w dziadkowej szopie. Co tu tak gorąco?

– Postrzał z odległości – padło w odpowiedzi. – Spodziewamy się wierchuszki z Białegostoku. Lepiej się stamtąd nie ruszaj.

– Dzięki, bez odbioru – odparł Doman.

A potem stanął obok Meyera i przyjrzał mu się kpiąco.

– Kłopoty cię lubią, co?

– Spierdalaj.

– Wiozę cię do kryjówki, a psiarnia jak nic depcze nam po piętach. – Doman się skrzywił. – Cały trud na darmo. Mają ciało.

Hubert dopalił i spojrzał krytycznie na domek. Włożył klucz do bramki, ale okazało się to zbędne. Nie była zamknięta.

– No, będę niewidoczny jak świeczka na torcie – prychnął. – Skoro są zwłoki, zaczną się rozpytania. Z pewnością ich zaciekawi, co przybysz ze Śląska robi o tej porze roku w dzikiej chatce. Ryby sobie łowią?

– To się przygotujmy. – Doman poklepał się po udach. – Właż.

Obejście było zagrazone żelastwem. Dalej stały nieczynna łódka i zardzewiały kolos wyglądający na przedpotopowy odpowiednik kombajnu.

– Dziadek Lilki miał spłachetek ziemi, ale żył z rybołówstwa. I kłusował w lesie. W lodówce masz kilka sztuk broni. Nasza prowizoryczna szafa pancerna jest warta więcej niż cały ten teren – wyjaśnił. – Amunicji w razie oblężenia też ci nie zbraknie. Ale lepiej tego nie używaj.

– Poważnie? – Meyer podniósł brew w niedowierzaniu. – Masz to na legalu?

– Należę do tutejszego koła łowieckiego – odparł całkiem serio były policjant. – Mój syn jest skarbnikiem. Dzięki nam nazywa się Pelikan. Kondor brzmiało zbyt szpiegowsko.

Wręczył Meyerowi starego samsunga.

– Dziś kupię ci kartę i przywiozę żarcie.

– Nie jestem głodny.

– Ale będziesz. Musisz jeść. Na samych fajkach długo nie pociągniesz. Masło, domowy serek, pasztetowa... Chyba że wolisz wątrobiankę?

Hubert skrzywił się z obrzydzeniem.

– No to kilka pęt kiełbasy i gulasz z bobra. Dałem we wiosce zlecenie i szykują już dla ciebie wałówkę. Po kaszankę Marcysi Cyganek przyjeżdżają z samej Warszawy. Zamówiłem ci dwa kilo. Wstawisz do spiżarni. Nic ci się nie popsuje.

– Przecież nie będę tu siedział do wiosny! – zaprotestował Hubert, ale Doman nie słuchał.

– To jedyna zaleta przednówka w tej chacie – gadał niestrudzenie, a Hubert wiedział, że to z nerwów. Przyjaciel lepiej się czuł, kiedy trajkotał.

Psycholog słuchał go więc jednym uchem i kiwał głową, by nie robić Domanowi przykrości.

Obejrzał przedpotopową komórkę. Wsadził do kieszeni.

– Moje auto dobrze schowałeś?

– Stoi w garażu na miejscu mojego. Lepszego nie znajdę. Nawet żona nie ma klucza. Telefon wyłączyłeś?

– Jest w bocznych drzwiach. Ale i tak mogą ustalić lokalizację.

– Z tego, co wiem, nikt cię na razie nie szuka – zaproponował Doman. – Poczekajmy na następny ruch Kołomyjskiego.

– Wpierdoli mnie w to. Jestem pewien. Na szklankach są moje ślady, odciski na butelce. A na skrzynce Englotowej list do mnie z zaproszeniem i adresem.

– Przecież jej nie odpowiedziałeś.

– No nie.

– I nie zadzwoniłeś. Nie uprzedziłeś, że będziesz.

– Racja. Ale dojdą do tego i wtedy dobrze by było, żebyś wiedział, co robić...

– Więc uspokój się, opracuj strategię. My w tym czasie dowiemy się, na czym stoisz. I nie trzęś tak portkami, bo nie ty jeden siedzisz w tym gnoju. Nie damy cię zamknąć. Pociągnąłbyś za sobą wszystkich. Nawet Czajkowski nas nie uratuje.

– Ktoś z sąsiadów mógł mnie widzieć – kwękał dalej Hubert. – Kołomyjski o tym wie. Nie będzie lepszej okazji, żeby mnie w to wjechać. I problem największy, jaki widzę: że nigdy, przenigdy nie zapłaci za swoje czyny. Nie na taki scenariusz się pisałem, kiedy jechałem do Warszawy.

– Musiałeś rozwalić mu twarz?

– Gdybym miał broń, strzeliłbym – zapewnił Hubert. – Niestety, miałem tylko gołe pięści. I dobre obuwie. – Pokazał poranione kostki na dłoniach i zniszczone buty trekkingowe.

– Przeżyje? – upewnił się Doman.

– Z pewnością. Ale nigdy tego pierwszego ciosu nie zapomni. Żałuję, że nie wypchnąłem go za barierkę. Może mniej bym się bał.

– A może bardziej. Wygląda na to, że zyskałeś śmiertelnego wroga.

– I wzajemnie – mruknął Hubert. – Nie mogę się doczekać dnia odpłaty.

– Wciąż chcesz go dopaść?

– Chcę mu to wszystko udowodnić. I zrobię to. Wcześniej czy później pójdzie siedzieć. Doprowadzę do tego, choćbym miał zająć celę obok.

Odwrócił się do okna, ale nie rozchyłał zasłon. W pomieszczeniu panował mrok. Złapał się na refleksji, że to miejsce dobrze oddaje stan jego umysłu.

– Jedź już do rodziny. Chcę zostać sam. Zastanowić się, co dalej...

Doman przyglądał się przyjacielowi z niepokojem. Czuł jego napięcie, choć Hubert starannie pozorował opanowanie. Nie szalał, nie awanturował się. Z jego twarzy nie dało się nic wyczytać. Dyskretnie wyglądał przez szparę między storami niczym żołnierz w każdej chwili spodziewający się ataku.

– Jakbyś chciał się zdrzemnąć, masz tam koce i śpiwory. – Doman wskazał starą, zabytkową szafę. – Nie ma pościeli. To nie tego rodzaju hotel.

– Nie będę spał.

Doman postawił na lodówce wódkę, którą wcześniej Hubert wzgardził, a potem dołożył z kieszeni jeszcze dwie mniejsze butelki bimbru.

– Zostawiam medykamenty. Na czarną godzinę.

Hubert apatycznie skinął głową, jakby ta sprawa go nie dotyczyła.

– Lodówka nie działa – kontynuował Doman. – Odłączyli linię. Trzymam w niej broń – powtórzył.

Meyer otworzył ją i zajrzał do środka. Poza strzelbami i pudełkami z amunicją na półkach leżały sprzęt wędkarski oraz zestaw zardzewiałych wnyków.

– Nie będę ci tu grzebał. Mam wszystko, czego mi trzeba. Jedź już.

Doman stał jeszcze chwilę, przestępując z nogi na nogę. Wreszcie skinął głową i wyszedł.

Profiler został sam.

\* \* \*

Nabrał powietrza nosem, zatrzymał w płucach. Policzył do dziesięciu, wypuścił. Przymknął oczy, powtórzył czynność kilka razy. Wsłuchiwał się w ciszę panującą w pomieszczeniu, przyjrzał się zacernionym od sadzy ścianom i dopiero do niego dotarło, że nie słyszczyć silnika łady. Doman wciąż nie odjeżdżał.

Przyczał się za drzwiami, uchylił je nieznacznie i w szczelinie dostrzegł przyjaciela rozmawiającego z młodym mundurowym, który pojawił się cicho jak kot. Najwyraźniej przyjechał na biegówkach, bo stał na nartach i opierał się o kijki, ledwie łapiąc dech. W innych okolicznościach psycholog uśmiechnąłby się, bo przypomniał sobie komisarza Kulę oraz jego ludzi z rejonu Mielnika nad Bugiem i jedną z pierwszych spraw, przy których pomagał na tym terenie. Kula nawet w największe mrozy jeździł na interwencje na motorynce. Meyer nie znał nikogo, kto z taką gracją wpadałby w kontrolowane poślizgi i omijał hałdy śniegu leżące na poboczu.

– Nic z tego! Zrywaj się stąd, synek – przeganiał funkcjonariusza Doman. – I to zostaje między nami. Żonie nic nie gadaj. Zaraz poleci do matki, a tego nie chcemy.

Hubert zmarszczył brwi. Wyglądało na to, że ci dwaj dobrze się znają, a co gorsza, Doman darzy młodego szczególną atencją. Chłopak miał podobny do Domana charakter choleryka, bo kiedy mówił, machał nieproporcjonalnie długimi ramionami,

jakby był drzewem, którym ciska burza. Hubert widział po minie przyjaciela, że jeszcze słowo, a stary policjant wybuchnie. Wahał się, czy nie wyjść z chałupy, i powstrzymywał się tylko resztką rozsądku. Nie czuł się na siłach dyskutować z lokalnym posterunkiem i miał cichą nadzieję, że Doman załatwi to szybko. Awantura wisiała jednak w powietrzu.

Odsunął się od drzwi, bo nagle poczuł się bardzo słaby. Najchętniej by się położył, choć wiedział, że nie zaśnie. Potrzebował zanurzyć się w kompletnej ciszy, ochłonać. Klapnął na fotel przed piecem, przymknął powieki i rozłożył ramiona jak do lotu, wsłuchując się w swój oddech. Zza drzwi dobiegały go słowa kłócących się mężczyzn i wwiercały się w mózg, nie pozwalając na relaks: „ciało, postrzał, wojewódzka, profiler, synu...”. Nie zdzierzył. Wstał, otworzył drzwi.

Doman na jego widok jęknął rozzwierając.

– Matka nie kłamała! – triumfował młody funkcjonariusz. Sprawnie odpiął biegówki i ruszył w kierunku Meyera. – Byłem pewny, że go tutaj przywieziesz, tato. Nie wiem, wujku, czy mnie pamiętasz – zwrócił się do Huberta. Wyciągnął dłoń. – Podkomisarz Tomasz Domański junior, ale wszyscy mówią na mnie Doman, jak na starego.

Hubert dopiero teraz zauważył podobieństwo. Z postury chłopak był klonem ojca o ujmującej twarzy Liliany i jej złotym spojrzeniu. Psycholog nie mógł się nie uśmiechnąć.

– Ostatni raz widziałem cię w szortach – rzekł zmuszony do podniesienia głowy, bo młody funkcjonariusz przerastał go wzrostem. – To tutejsza żywność czy powietrze?

– Genetyka – zaśmiał się syn Domana. – Potrzebujemy cię, szefie. Kiedy dowiedziałem się od matki, że wpadłeś z wizytą, zaraz przybiegłem.

Hubert wskazał narty.

– Szybko i bezszelestnie.

– Mój komisariat jest w Narewce. Codziennie robię sobie kilkunastokilometrową przebieżkę, więc ledwie się rozgrzałem. Tutaj, w Narwi, przyjmuję interesantów w domu kultury, we wtorki między dziesiątą a dwunastą. Roboty jest w chuj – wałęsające się psy, rozmowy z mieszkańcami dotyczące przedmiotu zagrożenia, wzmożone kontrole własne, represjonowanie sprawców wykroczeń. Większość zagrożeń zdiagnozowaliśmy na podstawie sygnałów mieszkańców okolicznych miejscowości oraz własnego rozpoznania.

– Nieodrodny syn swojego ojca.

– Nie powiedziałbym – zaprotestował młody policjant. – Jedna żona, zero dzieci i jestem abstynentem. Matka wciąż mędzi, kiedy wnuki. Ale my czasu nie mamy, bo Ela też pracuje w firmie. Na etacie cywilnym. W finansach.

– Dobrze mieć kogoś z dostępem do kluczowych danych.

– Pełna zgoda. – Młody Doman się uśmiechnął, a potem nagle spowaźniał. –

Szkoda czasu na pogaduszki, wujku. Mamy ciało po postrzale. Patolog właśnie je obrabia.

– To oficjalne wezwanie czy żart? – Hubert nie był przekonany.

Syn Domana wskazał kozuch leżący na podłodze.

– Włóż to lepiej, wujku, i zabierz sprzęt, jeśli go potrzebujesz. Może się trochę zejść na oględzinach, a zimno jak skurwysyn. Już na ciebie czekają...

Hubert spojrział na Domana ojca, ten jednak odwrócił wzrok.

– To któryś z maluchów musiał wypałać – zaczął się tłumaczyć i urwał.

– Matka – sprostował Tomek. – Już wszyscy w okolicy wiedzą, że jest u nas profiler, choć żadne radio tego nie podało. A nim się całkiem rozwidni, będzie pełno telewizorów. Wolałbym, żebyś zaczął działać, zanim reporterzy się zorientują. Mój szef liczy, że dołączysz do zespołu. Co ci zależy, powiedz, skoro i tak odwiedziłeś przyjaciela emeryta? – Zaśmiał się nerwowo.

Hubert spojrział na starego Domana potępiająco, ale zwrócił się do jego syna:

– Kto zginął od postrzału, skoro to taka sensacja?

– Tutejszy kapelan – odparł Tomek. – Honorowy prezes Koła Łowczych Pelikan i była figura Lasów Państwowych. Najsłynniejszy duszpasterz myśliwych w tym kraju.

– Donat Giza nie żyje? – Do rozmowy włączył się ojciec. – Co ty mówisz, synu?

Doman junior potwierdził.

– Sam się postrzelił?

– Bynajmniej. Obstawiamy, że snajper zaczął się na niego przy torach.

Zapadła cisza.

– Znasz tego faceta? – Hubert odwrócił się do Domana.

– Jak zły szeląg. Czarny przez lata rozdawał karty w Pelikanie. Jeśli pytasz mnie o jego kompetencje myśliwskie, to jeden z lepszych strzelców, jakich znam. Choć mięsiarz.

Młody Doman odchrząknął.

– Ale nie tylko o księdza Donata idzie, wujku. I zachowajcie to dla siebie, bo ustaliłem z szefostwem, że mediom na razie na ten temat milczymy.

Twarze Meyera i ojca zwróciły w jego stronę.

– Jak tata wie, od roku był konflikt z łowczym koła o kapliczkę świętego Huberta, którą ksiądz Giza postawił w głuszy. W tym roku miał ją wyświęcić.

– To już chyba nie zdąży – mruknął Doman i przyjrzał się baczniej synowi, który nabrał powietrza, jakby wahał się, jak wyrazić słowami to, co naprawdę chciał rzec.

– Na ołtarzu ktoś złożył dziecko w ofierze. Sprawca spuścił z ciała krew do ostatniej kropli i przykrył je myśliwskim ornatem księdza Giza. Uważamy, że te sprawy mogą być powiązane.



\* \* \*

– Zanim pójdziemy, jedna uwaga – zastrzegł Hubert, kiedy podjechali na miejsce oględzin.

Odwrócił się do młodego policjanta, który przyglądał mu się w takim skupieniu, jakby czekał na rozkaz rozpoczęcia manewrów wojennych. Minę miał nietęgą. Hubert wiedział, o co mu chodzi: młody obawiał się, że psycholog się wycofa, a zapowiedział już wstępnie szefostwu, że ekspert włączy się do działań. Liczył na pochwałę i na to, że przydzielą go do tego samego zespołu, w którym będzie pracował Meyer.

– Tak, wujku?

Hubert skrzywił się, jakby dostał w brzuch.

– Wiesz, że cię kocham jak swojego – kontynuował łagodnie, choć brzmiało to jak wstęp do ostrego opierdolu.

Doman ojciec wpatrywał się w lusterko wsteczne i nie mógł się nadziwić, że jego niesubordynowany syn potrafi tak karnie milczeć. W aucie słyhać było tylko jednostajną pracę silnika i trzask radiostacji.

– Zwłaszcza że mój jeden zajmował się jazzem, a drugi łączy i sprzedaje jakieś spółki – ciągnął Hubert. – Jesteś mi bliski, bo twój stary i ja przyjaźnimy się od wieków. Zawsze możesz na mnie liczyć. Cokolwiek by się działo, Tomku.

– Wiem, wujku.

– Właśnie o to mi chodzi – westchnął Hubert. – Nie nazywaj mnie tak przy ludziach! A najlepiej wcale.

Wyciągnął dłoń przy akompaniamencie gromkiego rechotu Domana ojca, któremu najwyraźniej ulżyło.

– Hubert.

– Doman – odparł syn Domana i Hubert poczuł żelazny uścisk, znacznie silniejszy niż ojca. Uśmiechnął się.

– To do boju, Doman.

– Mów mi Tomek – poprawił się młody.

A potem wyprężył się i wskazał łysego, niskiego mężczyznę z fajką w kąciku ust, wokół którego tokowała parada mundurowych.

– Nie pamiętam, żeby inspektor kiedykolwiek ruszył swój tyłek zza biurka. A już tym bardziej w poniedziałek nad ranem, przed odprawą i po cywilu. Takiego święta jeszcze nie było. To sam szef z wojewódzkiej – podkreślił.

Hubert przyjrzał się drobnemu policjantowi, który najwyraźniej miał w domu nadmiar kraciastych koców, a żona uszyła mu z nich wszystkie elementy garderoby. Mimo to wcale nie przypominał Sherlocka Holmesa.

– Kto by pomyślał, że kolega Czupryna tak wysoko zajdzie... – mruknął profiler.

– Znacnie się? – zdziwił się Tomek.

– Niestety.

Hubert otworzył drzwi i wysiadł z auta. To wystarczyło, by ich zauważono.

Już po chwili obległa ich grupka funkcjonariuszy ze świty komendanta, którzy przeszukali ich, a potem poprowadzili przed oblicze inspektora Czupryny.

– Gdzie wykałaczką? – zakpił Hubert zamiast powitania.

– Tam, gdzie twój mundur – odrzekł bez uśmiechu komendant i wyciągnął dłoń. Zwrócił się do zebranych: – Wpiszcie do protokołu, że na miejscu zdarzenia stawiał się psycholog śledczy. Dacie mu ochraniacze, rękawiczki i umożliwicie zebranie danych. Bo rozumiem, że pomożesz złapać tego zboka? – spytał Huberta, jakby rzucał mu wyzwanie.

– Ty go złapiesz – odparł z przekonaniem Meyer. – Ale postaram ci się to ułatwić. Gdyby sprawca okazał się dewiantem, byłoby znacznie łatwiej. Jeśli to zlecenie, grupa może być jednorodna – dodał. – Wtedy na wiele się nie przydam.

Tak jak się spodziewał, zebrani przemilczeli uwagę, ponieważ komendant powstrzymał się od komentarza.

Podbiegła policjantka z dokumentami na podkładce. Podsunęła Hubertowi plik papierów do podpisu.

– Informacja covidowa – wyliczała, przekładając kolejno kartki i wskazując miejsca, które Hubert mechanicznie parafował. – Zlecenie, oświadczenie prawdziwości danych, zgoda komendanta na powołanie do sprawy cywila w okolicznościach nadzwyczajnych, wyciąg z listy biegłych. I stawka godzinowa. – Spojrzała na zegarek. – Siódma czterdzieści trzy. Czas start wpisujemy na ósmą. No i rachunek. Tutaj proszę podać numer konta. Może mi pan go wysłać mejlem. Uzupełnimy.

Hubert się zawahał.

– Wystawiam fakturę – sprostował. – Po robocie.

Kobieta skinęła głową i oddaliła się bez słowa. Meyer zwrócił się do Czupryny z szacunkiem:

– W życiu nie widziałem lepszej organizacji, inspektorze.

– Trochę się pozmieniało. Przerobiliśmy kilku psychologów przez te lata i wiem już, że myliłem się co do ciebie. Wszyscy, którzy tu nastali po tobie, szkoleni byli na katowickich kursach. Od peanów na twój temat rzygać mi się chciało.

– Nie mogłeś się doczekać, kiedy przybędę?

– Dobrze się złożyło – zakończył temat Czupryna. – Od czego chcesz zacząć?

– Opcje?

– Wilk, dziecko albo ksiądz bez głowy.

– Taka była kolejność działania sprawcy?

– Ty mi powiedz.

– Pójdźmy najpierw do kapliczki – zdecydował Hubert. – O ile technicy już skończyli.

– Czekają na ciebie – odparł Czupryna. – Ale jeśli dalej będziesz uprawiał konwersacje, przeklną cię. Nie zapowiada się, by skończyli do wieczora. Ponieważ teren jest rozległy, obstawiłem go ciasno ludźmi ze wsi. Ale jak to rolnicy, przygarną każdy złocisz... W tej fortecy do południa bankowo pojawią się dziury. A przez nie przełazą nie tylko reporterzy – westchnął. – Staraliśmy się utajnić, ile się da, ale pismaki zwęszyły już trop. Rób, co do ciebie należy, póki ich nie ma.

W tym momencie pod taśmy policyjne podjechał wóz transmisyjny ogólnopolskiej stacji.

– O wilku mowa. – Czupryna zagryzł cybuch i dał znak młodemu Domanowi. – Podkomisarzu, nie odstępuj Meyera na krok. Linia bezpośrednia ze mną. Melduj, czego by inspektor potrzebował, i podejmuj rozumne decyzje. Daję ci moje błogosławieństwo do zarządzania tym ekspertem. Z nieba mi go ściągnąłeś, chłopcze.

Poklepał Tomka Domańskiego po plecach. Hubert zrozumiał, że młody Doman to jego pupil. Jeśli wziąć po uwagę, że z ojcem się nienawidzili, wydało mu się to osobliwe. Ale nie skomentował. Był w szoku, że w dawnym wrogu nieoczekiwanie zyskał sojusznika. To mogło znaczyć tylko jedno: komendant potrzebował dupokrytki. Jak i on sam.

– Czuję się jak w areszcie – rzucił, ale Czupryna nawet nie poruszył powieką.

– Zobacz małego, a ja zajmę się ogarnianiem miejscowych – odrzekł nie bez satysfakcji.

Poprawił kaszkiet i ruszył naprzeciw dziennikarce uzbrojonej w mikrofon, która uśmiechała się przymilnie, lecz z jej oczu wyzierał spryt drapieżnika. Operator idący w ślad za nią rejestrował wszystko, co się dało, i dopiero kiedy funkcjonariusze zaczęli go szarpać, wyłączył kamerę.

\* \* \*

Figurka imiennika Huberta wyglądała niepozornie i sięgała psychologowi ledwie do brody. Postument, na którym ją postawiono, przypominał przypadkowy zbiór sztchet z rozpadającej się chatki przodków Domana. Powiedziano Meyerowi, że to dzieło tutejszego artysty, a koło łowieckie zapłaciło za ten ołtarzyk tak słoną cenę, że nie starczyło na coroczną wystawę trofeów i żarcie dla saren.

Dziecko wciśnięto w pozycji embrionalnej między ledwie ostrugane żerdzie. Nie przypominało wcale człowieka. Białe, pozbawione krwi ciało nasuwało na myśl woskową lalkę. Jasne włosy rozwiewał wiatr, a pomiędzy nimi Hubert dostrzegł nacięcia, które rozchyłały się jak szlufki od paska. Rozejrzał się, lecz nigdzie nie dostrzegł ubrania ofiary. Tylko nieco dalej, przy kupie chrustu, zapakowany w torbę na dowody leżał ornat księdza Donata Gیزی. Był oznaczony numerem 5.

– Sześć lat. Płeć męska.

Podeszła do niego kobieta w identycznym kozuchu, jaki miał na sobie. Zamiast uszanki nosiła dwie ręcznie robione i mocno zmechacone czapki włożone jedna na drugą. Obie we wściekłych kolorach. Chyba tylko po to, by dziennikarze widzieli ją z daleka, pomyślał Hubert.

– Przywiózł go martwego? – zastanowił się na głos.

– Już pan wie, że to on?

– Mówię o sprawcy. Ogólnie – uciął i przyjrzał się kobiecie.

Spłoszyła się, pochyliła głowę. Dostrzegł, że oczy ma zaczerwienione, a usta drżą jej ze zdenerwowania.

– Zmarł najdalej trzy godziny temu. – Wyciągnęła dłoń. – Sandra Sowula. Tutejszy anatomopatolog. Ale wszyscy mówią na mnie Swieta, więc się nie krępuj.

– Hubert Meyer. Po prostu Meyer.

Uścisnęli sobie dłonie bez zdejmowania rękawiczek.

– Skąd wiesz, że chłopiec ma sześć lat? – zapytał. – I że to chłopiec. Jest zwinięty jak szczenię w brzuchu matki.

– Od razu go poznałam. – Swieta zamrugła nerwowo, jakby za wszelką cenę starała się nie rozpłakać. – To Tymek Wąty, synek mojej koleżanki. Chodził do zerówki. Dobrawa wyjechała na kilka dni w delegację do Suwałk. Zostawiła dziecko pod opieką znajomego. Paweł twierdzi, że spał. Nie zauważył, kiedy mały wymknął się z domu.

– A wymknął się?

Lekarka wzruszyła ramionami.

– Puchacz ocknął się o trzeciej i dopiero zauważył, że chłopaka nie ma. Ten facet to najlepszy kumpel zabitego księdza. Robili razem interesy. I polowali. Dobrawa też należy do Pelikana. W ubiegłym roku była królową strzelców. Pierwsza kobieta w historii koła – dodała i umilkła, jakby dopiero kiedy to wypowiedziała na głos, zrozumiała, że uwagi są nie na miejscu. Odchrząknęła. – Nie wiem, kto ją zawiadomi. Na pewno nie ja. – Znów urwała. – Przerasta mnie, że muszę tutaj być i badać ciało Tymka. Znałam chłopca bardzo dobrze. Czasami, kiedy Dobra wyjeżdżała, zostawał ze mną. Wczoraj miałam randkę i tylko dlatego odmówiłam jej pomocy. W biurze jest nas tylko dwoje, a mój zmiennik ma koronę. Musiałam dziś przyjechać – dukała.

Hubert zamyślił się. Zarejestrował ciasny krąg znajomych.

– Skąd wiadomo, że Tymek w nocy wyszedł samowolnie z domu? Może ktoś go wprowadził?

– Czupryna posłał ludzi do Pawła Puchacza. Nie ma śladów włamania. Dom był otwarty. Zresztą... – Zawahała się. – Puchacz szukał dziecka po znajomych. Do mnie też zadzwonił. Nie odebrałam. Oddzwoniłam dopiero, jak dostałam wezwanie, by przyjechać tutaj. Chwilę pogadaliśmy. Jest zrozpaczony... Musisz wiedzieć, że to nie pierwszy raz, kiedy chłopiec od niego uciekł. Dlatego Dobra wołała, żeby zostawał ze mną. Wczoraj naprawdę nie mogłam... – powtórzyła, jakby czuła się współwinna

śmierci dziecka.

– Uciekał? Znajomy? – Hubert zmarszczył czoło. – I mimo wszystko matka go z nim zostawiała?

– Tutejsi mówią, że Paweł mógł być ojcem Tymka.

– A był?

Kobieta nie odpowiedziała.

– Nie nosił jego nazwiska – zauważył Meyer.

Lekarka pokręciła głową. Zamrugwała, przetarła twarz rękawem. Ale się nie rozpłakała.

– Nie – zapewniła stanowczo. – I nie sędzę, by był ojcem.

– Nie sądzisz czy nie wiesz? – dopytał.

Czekał chwilę, ale lekarka uparcie milczała. Kiedy wznowiła wywód, dotyczył poprzedniego wątku:

– Wieczorem Puchacz miał gości. Przyszli ze swoimi dziećmi. Chłopcy bawili się do późna.

– Był alkohol?

Kobieta pokiwała głową. A potem nagle wzruszyła ramionami.

– Możliwe. Nie było mnie tam. Nie mam dzieci.

Zabrzmiało to jak wyrzut. Hubert uznał, że później pomówi z lekarką o lokalnych plotkach i relacjach.

– Powiesz mi więcej o obrażeniach?

– Sprawca spuścił z niego krew. – Wskazała nacięcia na przegubach, szyi i głowie.

– To nie musiało trwać długo.

– Ile?

– Dwie godziny wystarczą, żeby pozbawić krwi dwudziestokilowego dzieciaka.

– Nie zrobił tego tutaj. – Hubert rozejrzał się. – Ale gdzieś w pobliżu. Inaczej ciało by zastygło i nie byłby w stanie wpasować go w te sztachety.

– To kapliczka – sprostowała. – Robił ją mój znajomy, znany twórca neoikon.

– Nie skępował dziecka. Nie ma śladów pobicia, dręczenia?

– Jest trochę starych obrażeń – odparła kobieta. – Szczegółowy spis będziesz miał w opinii. – Zawahała się, jakby chciała coś dodać, ale zmieniła zdanie. – Umył go. Nie znalazłam nawet jednego włókna. Jest czyściutki jak za przeproszeniem lalka. Jakby wiózł go w jakiejś folii albo sterylnym pudełku.

– Może tak zrobił? Masz dla mnie jeszcze coś, zanim go rozwinięsz?

Spojrzała na niego, jakby był monstrum nie mniej wstrętnym od sprawcy. Nie spodobało jej się, że nie okazuje ofierze współczucia, ale Hubert w ten sposób bronił się przed rozsypaniem.

– Tak – rzekła. – W ustach miał to.

Pomachała torebką na dowody.

– Co to takiego? – Hubert zbliżył się i przyjrzał znalezisku.

Wyglądało jak smoczek z przymocowanym fragmentem cętkowanego futra.

– Nie mam zielonego pojęcia. Pierwszy raz pracuję nad tak dziwną sprawą. Wiesz, u nas wcale nie zdarzają się takie zabójstwa.

– Chodźmy obejrzyć postrzał – zdecydował Meyer, by Swieta trochę ochłonęła.

\* \* \*

– Strzał z dużej odległości. Oddany celnie. Najprawdopodobniej karabinek snajperski. Więcej powie balistik – oświadczyła, gdy zakończyła oględziny ciała księdza Donata Gizy. Tym razem była profesjonalnie spokojna, a głos jej drżał, tylko kiedy zwracała głowę w kierunku kapliczki Hubertusa. – Możecie go zabierać.

Meyer dał znak, by jeszcze zaczekali.

– Mogę? – zwrócił się do Swiety, a potem do syna Domana. – Chciałbym zostać z nim sam na sam.

Spojrzeni po sobie, ale wycofali się na odległość kilku kroków. Wiedział, że będą mu się przyglądać. Czuł ich spojrzenia na plecach, kiedy stanął w miejscu, w którym strzelec trafił ofiarę, a potem ruszył do torów.

Wilk wciąż tam leżał. Głowę miał zmiażdżoną, górna część tułowia zbryzgana była krwią, dolna wyglądała na nienaruszoną. Hubert dotknął ciała zwierzęcia, pogładził jego białe futro, a potem podniósł głowę i poszukał wzrokiem miejsca, w którym mógł się ukrywać napastnik. Śledczy obstawiali ambonę, która znajdowała się kilkaset metrów stąd, ale jeśli była ulokowana w lesie, to skierowana raczej na polanę, i Hubert wątpił, by ktokolwiek mógł z niej dostrzec działania ofiary w okolicy dzikiego przejazdu kolejowego.

Gdzie siedziałeś? Skąd go obserwowałeś? Czy to, co zrobił z wilkiem, tak cię wkurzyło?

Podniósł się. Zawołał Tomka.

– Zabezpieczyliście to? – spytał.

Młody Doman się zastanawiał. W końcu włączył krótkofalówkę i upewnił się, że nikomu nie przyszło do głowy łączyć wilka ze sprawą. Powiedział o tym profilerowi.

– Nikt go nie ruszał? – dopytał Meyer.

Tym razem Tomek stanowczo zaprzeczył.

– Bardzo dobrze. Niech technik zrobi zdjęcia. I film. Będę zobowiązany.

Następnie zaczął liczyć kroki, chodzić tam i z powrotem: od wilka do księdza, a potem do kapliczki, w której znaleziono ciało dziecka.

– Gdzie jest wóz księdza Gizy? – krzyknął, kiedy nikt już nie zwracał na niego

uwagi.

– Przetawiliśmy go – pośpieszył z wyjaśnieniem młody Doman. – Była tam nabita broń. Jeśli szczerze, cały arsenał. Trzeba to było zabezpieczyć.

– Jest dokumentacja? Gdzie dokładnie zaparkowała ofiara? Jak ulokowano ambony? Masz mapę? – Hubert zarzucił Tomka pytaniami.

Młody policjant nie znał większości odpowiedzi.

Wreszcie Meyer sam dopadł jeepa księdza.

– Ślady, mówisz, zebraliście? – upewnił się.

Poderwał plandekę i spomiędzy kanistrów, pleców i pudeł z kuchenką turystyczną oraz sprzętem do polowań wydobył torbę termiczną do transportu krwi.

Tomek patrzył na Meyera jak na wariata. Profilerowi spadła czapka, z wysiłku na policzki wystąpiły mu czerwone plamy. Kozuch Domana był na niego za duży, więc Hubert go rozpiął. Poły podrygiwały w rytm jego myszkowania na półciężarówce.

– Zebraliście czy nie? – warknął Hubert.

– Podobno oględziny wozu zostały zakończone.

– Wnikliwe czy pobieżne?

– Chyba jednak pobieżne – jąkał się młody policjant.

Obejrzał się po posiłki. Powoli wokół nich gromadzili się tłumnie funkcjonariusze. Hubert widział, że Czupryna pośpiesznie kończy udzielanie wywiadu i marszowym krokiem zmierza w ich stronę. Meyer zeskoczył z paki, otrzepał ręce o spodnie i postawił na ziemi znaną torbę na krew.

– Weźcie to do badania. I przenicować każdy włoszek na tym wozie – zarządził komendant.

A potem wywołał Swiętę z tylnego rzędu.

– Masz testy paskowe?

Pobiegła truchtem do swojej walizki.

– Sprawdź od razu – polecił jej, nie kryjąc ekscytacji. A potem przeżegnał się i dodał, nie patrząc na zebranych: – Słodki Jezu, spraw, żeby Meyer się mylił.

Kobieta pochyliła się, delikatnie odkręciła zakrętkę. Z wewnątrz buchnęła para. Ciecz wciąż była ciepła. Pobrała na pipetę kroplę i kapnęła na plastikowy test do złudzenia przypominający test ciążowy. Na chwilę zapanowała cisza. W oddali słychać było tylko krzyki dziennikarzy awanturujących się z mundurowymi pilnującymi taśm.

– Nie pomylił się – wyszeptła Swieta. – Cztery litry ludzkiej krwi. Więcej będę mogła powiedzieć po badaniach w laboratorium.

Hubert patrzył, jak co poniektórzy robią znak krzyża. Część żegnała się trzema palcami, reszta po katolicku, całą dłonią.

– Tymek nie miał w sobie więcej niż półtora litra krwi. Do dwóch maksymalnie –

orzekł. – To znaczy, że wkrótce znajdziemy kolejne dziecko. Jest tutaj więcej takich kapliczek?

\* \* \*

Mężczyzna siedział z twarzą ukrytą w dłoniach. Był w rozchełstanej koszuli, spodniach od piżamy i brudnych góralskich kapciach.

– Paweł, musisz jechać z nami – powtórzył łagodnie młody Doman.

Na wzorzystą wersalkę, na której wciąż leżała rozgrzebana pościel, rzucił odzież, którą na chybił trafił wydobył z szafy gospodarza.

– Wiesz, że tak trzeba.

– Ale Dobrawa? Muszę na nią czekać. Bardzo się przestraszy, że dom jest pusty...

– Puchacz podniósł głowę i Hubert zobaczył, że oczy ma przekrwione jak królik. – Obudziłem się, a jego nie było – powtarzał płacząco. – Drzwi były otwarte. Psa znalazłem przywiązanego do płotu. Szczekał jak opętany.

– Ubieraj się – powtórzył ostrzej zniecierpliwiony Doman i spojrzał na profilera, a potem na komendanta, który właśnie wszedł do pomieszczenia. – Bo cię wyprowadzimy.

Komendant skinął głową i mundurowi chwycili Puchacza pod ramiona. Szarpał się jeszcze chwilę, aż wreszcie się poddał, zwiesił rozczochrany łeb. Kiedy zakładali mu na przeguby kajdanki, już nie protestował.

– Od trzech tygodni kibluję w domu bez sił. Może mam powikłania po koronawirusie? Nie możecie mnie zabrać bez badań. Pozarażam was wszystkich!

– Możemy i zabieramy. – Czupryna wystukał popiół z fajki do doniczki z aloesem. – A chory jesteś z przepicia. Nie cwaniakuj!

Mundurowi pomagali mężczyźnie się ubierać. Trzęśli się nad nim jak nad jajkiem. Hubert zastanawiał się, dlaczego nie traktują go jak zwykłego świadka. Jaką tutaj jest figurą?

– Ktoś w nocy wszedł i go wywabił – rzucił w próżnię Puchacz. Właśnie rozkuli go, by się ubrać. Bez skrupowania ściągał piżamę i przy wszystkich wkładał spodnie na goły tyłek bez bielizny. Świeta stojąca w tylnym rzędzie taktownie się odwróciła. – Nie mam z tym nic wspólnego.

– Kto wszedł? – Hubert przysunął krzesło bliżej i usiadł naprzeciwko podejrzanego. – Zna pan tego kogoś?

Mężczyzna milczał przez chwilę. Wciągnął bluzę, nasunął na głowę kaptur.

– Ja... – zaczął. – Mnie się zdawało, że to sen.

– Sen?

– Wczoraj przed południem wpadł do mnie sąsiad z bratem. Wypiliśmy ledwie dwa litry. Dopiero tydzień temu pokonałem koronę. Powinienem zachować kwarantannę, a Dobra podrzuciła mi dzieciaka... Moja rekonwalescencja jeszcze się



nie skończyła. Dlatego jak popiliśmy, padłem jak betka. Tymek cały czas był u siebie. Myślałem, że śpi. A potem przebudził mnie w nocy, pochylił się, coś gadał. Kiedy się ocknąłem, w dłoni miałem jego medalik.

Rozwinął dłoń.

– To nosił od chrztu.

Hubert przyjrzał się wizerunkowi Matki Boskiej. Łańcuszek był porwany.

– Musiał mi to włożyć do ręki, zanim wyszedł. – Mężczyzna się rozplakał. – Tymek znał porywacza! To ktoś z tutejszych. Obłaskawił mojego psa... A przecież ostry rottweiler nie dałby się przywiązać byle komu!

– To był dorosły czy dziecko? – przerwał mu Hubert.

– Nie wiem, nie wiem... Jak się Dobra dowie, zabije mnie. To moja wina, że Tymek zginął.

– Tak – potwierdził profiler zniecierpliwiony. – Niewykluczone, że chłopiec zginął przez ciebie.

W pomieszczeniu rozległ się potępiający szmer.

– Ale może też sprawca wiedział, że się nawalisz i łatwo mu będzie chłopca stąd zabrać. Z tym brzemieniem będziesz musiał żyć. Módl się, żeby twoi kumple od kieliszka potwierdzili swoją obecność u ciebie wieczorem i żebyś nie miał sprawy o zabójstwo.

– Co ty pierdolisz? – Puchacz się wściekł. – Nie mam nic wspólnego z uprowadzeniem chłopca!

– To nie uprowadzenie! Tymek nie żyje – odparł wrogo profiler. – A twoi sąsiedzi są nieuchwytni. Ich matka twierdzi, że nie było ich wczoraj u ciebie. Bawili się w białostockim burdelu.

– To kłamstwo! – krzyknął Puchacz. – Co ty możesz wiedzieć, przybłędo?! Kim ty w ogóle jesteś?! Nie znam cię!

Zerwał się i rzucił z pięściami na Huberta. Mundurowi złapali go na czas, nim Meyer zdołał wyprowadzić cios.

– To nasz człowiek, Puchu. – Do sprzeczki nieoczekiwanie wmieszał się sam Czupryna. – Daj na wstrzymanie... – Poklepał Puchacza wspierająco po plecach. A potem zwrócił się do profiler, zniżając głos do szeptu: – Zostaw go nam. Weźmiemy go, bo tak trzeba. Nie musisz mu grozić. Kilka lat temu Paweł był naszym najlepszym operacyjnym. Ta taktyka nic nie da.

Hubert otrzepał swój kożuch, jakby pozbywał się brudu pozostawionego przez dłonie byłego funkcjonariusza. Zerknął podejrzliwie na zgromadzonych, a potem na komendanta. Zauważył, że syn Domana wycofał się aż pod ścianę i ewidentnie unikał jego spojrzenia.

– Masz pozwolenie na tę broń? – Hubert wskazał strzelbę opartą o witrynę z kryształami. – Jako były policjant powinieneś wiedzieć, jak należy zabezpieczyć

sprzęt. Gdzie masz szafę pancerną?

– Strzelba jest popsuta. Dzieciak się nią bawił. A resztę giwer trzymam w swojej strzelnicy.

Hubert westchnął ciężko.

– Weźcie go, bo za siebie nie ręczę.

Kiedy mundurowi wyprowadzali Puchacza, Czupryna rzekł do profilera:

– Kiedyś był z niego najlepszy strzelec w regionie. Nawet naprany nie chybiał.

– Trafiliby księdza z odległości?

– Bez problemu – potwierdził komendant. – Gdyby chciał go zabić... Ale z tego, co wiem, to byli najlepsi kumple.

– Byli? – upewnił się psycholog.

– Dobrawa, matka zamordowanego chłopca, pracowała kiedyś jako gosposia księdza Donata. Kiedy kapelan poszedł do Lasów Państwowych, załatwił jej robotę w firmie Pawła. Ludzie gadali, że Dobra ostro zawróciła Puchowi w głowie. Od tamtej pory mogło się pozmieniać.

Hubert wpatrywał się w komendanta w oczekiwaniu. Nie odzywał się.

– Co może poróżnić przyjaciół? – Czupryna wzruszył ramionami i kontynuował: – Kobieta, pieniądze i władza. Donat Giza zdeklasował Pawła w każdej z tych dziedzin.

– Matka zamordowanego chłopca była tylko gosposią księdza Gizy? – dopytał Hubert. – Czy łączyło ich coś więcej?

Odpowiedzi nie otrzymał i to mu wystarczyło za zapewnienie.

– Niech wasz człowiek wytrzeźwieje i zbierze myśli na dołku – zaproponował. – Na warsztat weźmiemy go po południu. W tym czasie dowiedzmy się jak najwięcej o innych przyjaciółach księdza Gizy i matki chłopca.

Czupryna skinął głową, pyknął z fajki i pociągnął profilera na stronę.

– Uważasz, że obu zbrodni dokonał ten sam człowiek?

Hubert nie odpowiedział od razu. Nie chciał przedstawiać jeszcze żadnych hipotez. Wiedział, że jedna z nich nie spodoba się mocno żytej społeczności. Jeśli szczerze, żadna im się nie spodoba.

– Na razie, przynajmniej oficjalnie, rozdzieliłbym te sprawy – zaczął ostrożnie. – Na twoim miejscu wybrałbym czujnie ekipę, która będzie przy nich pracowała. Choć nie jestem przekonany, czy to jeden klient, pochodzi z waszego terenu – zaznaczył. – To nie jest nikt przyjezdny. Bywa tutaj, ma bliskie powiązania rodzinne i towarzyskie. Najprawdopodobniej znasz go, a twoi ludzie już go rozpytywali.

Czupryna wyjął fajkę z ust, zapatrzył się w okno.

– Tego się obawiałem – przyznał. – Obcy nie wślizgnąłby się w łaski kapelana, a dzieciak nie poszedłby z nim po nocy.

– Jeśli chodzi o dziecko, to może być ona – zauważył Hubert i pochylił głowę. –

O której dostarczycie matkę na posterunek?

Czupryna przyjrzał się Hubertowi i profiler dostrzegł w jego oczach grozę.

– Naprawdę uważasz, że Dobra mogłaby...? – zaczął i urwał.

– Na razie nic nie uważam, bo niewiele wiem – uspokoił go psycholog, choć zastanawiało go, dlaczego komendant nazwał matkę ofiary tak familiarnie. Czyżby znali się bliżej? – Ty wiesz o swoich ludziach najlepiej.

– To teren młodego Domana – zaproponował komendant. – Jestem w Narwi pierwszy raz w życiu.

– Nikogo nie możesz wykluczyć – stwierdził profiler. – Zwłaszcza z grona bliskich zabitego chłopca... Były już takie wypadki w niewielkich społecznościach. Róbmy sumiennie każdy swoją robotę.

– Sprawdzimy alibi Puchacza na tę noc minuta po minucie – zapewnił Czupryna.

– W tej sprawie każde przesłuchanie może być kluczowe – dodał Hubert i się zawahał. – Jeśli chciałbyś znać moją opinię, na tym etapie nie potrzebujesz profilu, lecz proaktywnych taktyk działania. Powinniśmy wypłoszyć go z kryjówki.

– Masz ode mnie zielone światło – powiedział stanowczo komendant, lecz zastrzegł: – Informuj mnie o każdym pomysle na bieżąco.

Hubert podziękował skinieniem głowy, a potem odwrócił się i zawołał młodego Domana.

– Zróbcie dokumentację zbliżeń gapiów – polecił. – Chcę mieć na zdjęciu każdego, kto się tutaj kręcił. Czy to wasz sąsiad, kuzynka, dziennikarz, czy stary przyjaciel z komendy... – A potem pochylił się i szepnął Tomkowi do ucha: – Funkcyjnych i oficjeli też. Sam się tym zajmij. Byle dyskretnie.

\* \* \*

„Kup Atlas do siłki (we ślubnym prezencie) – JEST TAKIE DUŻE POMIESZCZENIE, A TRZEBA SIEDZIEĆ tak czy owak. Bez zmian: zdrowa”.

Dobrawa Wątpa przeczytała wiadomość kilka razy. A choć ze wszystkich sił starała się wyrzucić ją z głowy, nie była w stanie. Wspomnienie powracało jak upiorny koszmar. Jakby jej siostra miała nad nią niewidzialną władzę. Razem ze zmarłą matką, której obiecała, że po jej śmierci zajmie się Romką. I słowa dotrzymała. Ksiądz Donat pomógł jej tanio przejąć mieszkanie w stolicy, za które co miesiąc Dobra regulowała czynsz. Płaciła też wszystkie świadczenia: za światło, telefon i wodę. Utrzymanie siostry w Warszawie kosztowało ją drożej niż siebie z dzieckiem w Narwi. Ale sądziła, że w ten sposób uchroni Romkę przed totalnym stoczeniem się i wypełni przysięgę daną zmarłej. Jakaż była głupia... Romka nigdy nie zmądrzeje, nie da się jej uratować. Szła po równi pochyłej i choćby nie wiem jak Dobra ją zawracała, wciąż zmierzała do dna. Rok temu zawarły niepisany układ. Dobra przestała spełniać zachcianki siostry i wysłuchiwać jej narzekań. Dalej opłacała czynsz i media, ale nie odpowiadała na wiadomości. Nie odbierała od niej połączeń.

Czuła, że grzeszy, że Bóg ją za to pokarze, ale miała dość. Romka była samolubna, okrutna i nie miała sumienia. Wykorzystywała Dobrą. I odzywała się, tylko kiedy wpadła w kłopoty. Narkotyki, pijaństwo, burdy z koleżkami od kieliszka... Dobra spjrzała na migającą wiadomość. Miała siostrę wpisaną w telefon pod kodem liczbowym. Było to stare hasło do banku ich matki. Odetchnęła głęboko i zdecydowała się zmierzyć z nowym niebezpieczeństwem. Odczytała:

„Marcysia Cyganek dzwoniła z Wywiadem. Spółdzielnia Hamowo Znów Zkrewiła – tym razem idę na 3,5 r. Będę APELOWAŁA MOŻLIWE, ŻE ZDEJMĄ ZE PÓŁ ROKU”.

Dobra rzuciła komórkę i schowała się pod kołdrę. Nie wolno jej odpisać, choć serce krwawiło. Chciałaby dodać Romce otuchy, zapewnić, że kocha, że nie jest sama, ale wiedziała, że to tylko pogorszy sprawę. Romka od razu się tego chwyci i Dobra będzie musiała zadłużyć się na adwokatów. A siostra była winna. Zaatakowała sąsiada i chciała go zabić. Gdyby jego żona na czas nie wezwała pogotowia, Romka od dawna by siedziała... Co najbardziej wstrząsające, kochanek nie tylko przeżył cztery ciosy w serce, lecz także Romce wybaczył. Kiedy tylko się ocknął, zeznał, że wciąż ją kocha i nie ma żalu, bo to jego żona sprowokowała kłótnię. Romka liczyła, że po takiej deklaracji się wywinie, ale jednak wyglądało na to, że pójdzie wyrok odsiedzieć. Trafiła na upartego oskarżyciela – kobietę, która podczas pierwszego przesłuchania przyrzekła, że Romkę pograży. Wtedy to siostrę bawiło, ale dziś, jak widać, wcale nie jest jej do śmiechu. Dobra czuła się tak, jakby słoń usiadł jej na piersi. Ledwie mogła oddychać.

Leżała jeszcze jakiś czas, zbierając siły. Wreszcie zerwała się i ruszyła pod prysznic. Dziś nareszcie wraca do domu. Na przekór wszystkiemu postanowiła wypindryć się i ufryzować. Puściła wodę, wyregulowała temperaturę. Przygotowała błękitną sukienkę, namydliła włosy i już miała zamknąć drzwi do łazienki, kiedy wybrzmiał dzwonek specjalny: *Shallow* z filmu *Narodziny gwiazdy*. To dzwoniła Swieta, jej najlepsza przyjaciółka. Dobra przywdziała uśmiech na twarz i postanowiła: nie dam się zagonić w pułapkę. Niech siostra sama sobie radzi i pije piwo, jakiego nawarzyła.

– No i jak tam wczoraj z Francuzem? Sprawił się? – zaświergotała do Swiety, dumna z siebie, że nawet w najtrudniejszej sytuacji potrafi zachować zimną krew.

Po drugiej stronie panowała cisza. Dobra odsunęła telefon od ucha, przyjrzała się ekranowi. Połączenie wciąż trwało. Na wyświetlaczu migotało wspólne zdjęcie z przyjaciółką z Egiptu. Kiedy usłyszała chrząknięcie, pojęła skonfundowana, że po drugiej stronie jest mężczyzna.

– Pani Dobrawa Wątpa?

Zimny dreszcz poszedł jej wzdłuż kręgosłupa. Myślała szybko. Tymek jest u Pawła, a z aparatu Swiety dzwoni jakiś urzędnik. Głos brzmiał oficjalnie, choć jakby znajomo. Czuła podskórną, że wieści nie będą krzepiące. Czyżby mały znów uciekł? Z Romką miała dość stresów. Nie potrzebowała kontroli opieki społecznej.

– Kto mówi?

– Czy pani Wątpa? – powtórzył mężczyzna i odchrząknął.

– To ja – potwierdziła. Kojarzyła jego głos, ale byłoby to zbyt nieprawdopodobne... – Z kim mam przyjemność?

– Podkomisarz Tomasz Domański z policji w Narwi – przedstawił się wreszcie.

– Tomek? – zdziwiła się. – Dlaczego mówisz tak oficjalnie? To jakiś żart? – Urwała, bo rozmówca w dalszym ciągu zwracał się do niej jak do obcej osoby:

– Paweł Puchacz zeznał, że zakwaterowano panią w hostelu Bocian Apartamenty w Suwałkach. Za chwilę pojedzie po panią radiowóz.

– O co chodzi, Tomeczku?

– Wiemy, że miała pani jechać autobusem o piętnastej, ale nie możemy tyle czekać – odparł tym samym tonem. – Doszło do zdarzenia kryminalnego. Czekamy na panią.

– Co się stało?! – podniosła głos. – Musisz mi powiedzieć! Czy Tymek coś zbroił? On jest niewinny. To z pewnością pomyłka!

Po drugiej stronie znów zapadła cisza.

– Dobra, Dobreńka... – Teraz kobieta usłyszała głos przyjaciółki. Święta mówiła cicho, głos jej się łamał. – Tak mi przykro. Naprawdę. Do końca życia sobie nie daruję, że wczoraj nie mogłam ci pomóc.

A potem się rozplakała.

– Swietko, powiedz, co zaszło. Powiedz mi... – powtarzała nieprzytomna ze zdenerwowania Dobra. – Jest tam Donat albo Paweł? Nie możesz mnie tak zostawić, nie wytrzymam tej drogi...

Ale nikt jej nie słuchał. Z drugiej strony docierały do niej strzępy ściszonej sprzeczki. Ktoś obsztorcował Świętę basem, że nie pomaga śledczym. Wreszcie słuchawkę przekazano kolejnej osobie.

– Dzień dobry, pani Dobrawo.

Ten głos również należał do mężczyzny. Niski, chropawy, lecz ciepły w barwie. Dobra czuła, że ten człowiek przekaże jej wiadomość, która poprzednikom nie przeszła przez gardło. Zatrzymała powietrze w płucach. Spróbowała uzbroić się we wszystkie moce. W myślach powtarzała fragmenty znanych modlitw.

– Nazywam się Hubert Meyer. Jestem psychologiem śledczym. Pomagam tutejszym detektywom w sprawie podwójnego zabójstwa. Proszę przyjechać jak najszybciej. Pani synek nie żyje.

Dobra ku swojemu zdziwieniu nie ryknęła płaczem. Zupełnie nic nie poczuła. Jakby to, co mówił ten facet, jej nie dotyczyło. Nie przyjmowała tych danych. Nie chciała nic więcej wiedzieć.

– Kto jest drugą ofiarą? – Dopiero kiedy usłyszała swój głos, dotarło do niej, że zadała to pytanie.

– Ksiądz Donat Giza. Został zastrzelony podczas polowania.

– Wiedziałam, że to się tak skończy – westchnęła i wcisnęła czerwoną słuchawkę.

\* \* \*

– Co to miało znaczyć?

Młody Doman spojrzał na Meyera, ale ten tylko wzruszył ramionami i opuścił pokój.

– Hej, wujku! – zawołał za nim młody policjant i zaraz się poprawił: – Hubercie! Profiler odwrócił się i kiwnął na zapłakaną Swietę.

– Masz ochotę na spacer po lesie?

– Przed sekcją? – zdziwiła się i wytarła twarz rękawem. Sięgnęła po swój kozuch oraz obie włóczkowe czapki. – Pełno tam dziennikarzy. I gapiów.

Hubert coś sobie przypomniał.

– Zrobiłeś? – zwrócił się do Domana.

Tomek sięgnął do kieszeni i podał mu małego olympusa. Hubert przestraszył się, że aparat wymaga błon fotograficznych.

– To było nowoczesne, kiedy rodził się mój syn – skrzywił się. – Nie masz telefonu?

– Sprzęt służbowy – przyznał niechętnie Tomek. – Inaczej nie moglibyśmy włączyć tych zdjęć do akt.

Psycholog uruchomił aparat i przejrzał materiały. Na małym ekraniku trudno było powiększyć obraz. Hubertowi zdawało się, że ładowanie plików trwa całe wieki.

– Masz do tego kabel?

Tomek pogrzebał w szufladzie.

– Może w labie mają. – Ruszył do drzwi.

– Znasz tutaj wszystkich? – Meyer zwrócił się do lekarki i pomachał aparacikiem.

– Mieszkasz w Białymstoku, ale pochodzisz z Narwi, prawda?

Speszyła się.

– Jak odgadłeś?

– Dobrawa Wątpa to twoja przyjaciółka z dzieciństwa.

– Można tak określić, choć dla mnie jest raczej jak młodsza siostra – przyznała bardzo powoli. – Chrzcili ją, kiedy szłam do liceum. Nasze domy sąsiadowały ze sobą. Chowała się u nas, kiedy ojciec szalał.

– Patologia?

– Ojciec pił. Matka trzymała się w pionie dzięki głębokiej wierze. Zadbała, by Dobra nie zasmakowała przemocy. Oddała młodszą córkę do szkoły u zakonnicy. Miała jeszcze jedną córkę. Romanę...

– To u zakonnicy Dobra poznała księdza myśliwych?

– Zauważył ją na końcowej akademii. W trzeciej klasie praktycznie u niego mieszkała. – Swieta przerwała i dorzuciła pośpiesznie: – Prała mu, gotowała. Trzymała w domu porządek.

Hubert podniósł brew. Takich historii słyszał już bardzo wiele. Wciąż jednak nie mieściło mu się w głowie, że złożona nieletniej propozycja, by zamieszkała na plebanii, nie wzbudziła lokalnego skandalu. Pewnie uznali to za gest miłosierdzia.

– Jej siostrą też się zaopiekował?

– Romka wtedy szlajała się już po kraju. Jest starsza o pięć lat. Kiedy ksiądz przygarnął Dobrą, Romana była pełnoletnia.

Hubert wpatrywał się w lekarkę. Była zaczerwieniona z gorąca. Pot spływał strugami po jej puciołowatych policzkach. Mimo lekkiej nadwagi było w niej coś sensualnego. Zastanawiał się, czy ma męża. Bo że była bezdzietna, już wiedział. Wyciągnął ramię, objął ją. A potem poprowadził do wyjścia.

– Opowiedz mi o tej rodzinie – rzekł, kiedy opuszczali posterunek.

Swieta ruszyła miarowym krokiem, pewna, że zmierzają na parking, by pojechać ponownie na miejsce zdarzenia, lecz przed zakrętem Hubert zatrzymał się i przeszedł przez dziurę w siatce. Spojrzała na niego zaskoczona.

– No chodź – zachęcił ją. – Nad rzeką lepiej się myśli. A za godzinę lub dwie, kiedy przywiozą matkę Tymka, oboje będziemy musieli być skoncentrowani.

\* \* \*

Teren był piękny. Gdyby nie okoliczności, w jakich Meyer się tutaj znalazł, mógłby się poczuć jak na wakacjach. Rozlewiska pokrywała gruba warstwa śniegu, a na brzegach rzeki stały kry. Środkiem jednak woda płynęła wartko. W oddali Hubert dostrzegł człowieka na tratwie. Miał na sobie kamizelkę odblaskową, rybackie wodery i właśnie przystawiał lornetkę do oczu, udając, że obserwuje ptactwo, choć tak naprawdę przyglądał się spacerującym Hubertowi i Swiecie.

– Rozumiem, że to jakiś tutejszy miłośnik ornitologii – mruknął profiler.

– Nawet więcej... Guru naszych zielonych – zameldowała Swieta, uprzedzając kolejne pytanie. – Maniek Kolecki organizuje pikniki ekologiczne, ratuje bociany, działa w otwartych klatkach i oblewa farbą ludzi noszących futra. Jest w komisji krajowej fundacji Bez Krwi – Narew. Nie wiem, czy słyszałeś, że to oni doprowadzili do zakazu udziału dzieci w polowaniach. Jeszcze trzy lata temu chłopiec taki jak Tymek mógł iść z innymi w nagance. I zresztą to robił. – Swieta zawahała się, umilkła. A potem wskazała podbródkiem ekologa na tratwie. – Kolecki to weganin, promotor zdrowej żywności. Jego religia to matka natura.

– Nie lubi myśliwych – dodał dla formalności Hubert.

– Nie lubi? Prowadzi z nimi świętą wojnę! – zachnęła się lekarka. – Odkąd pamiętam, blokuje polowania i organizuje protesty. Ma swoją małą bojówkę. Wzięłaś mnie nad rzeczkę, żebym ci naplotkowała o tutejszych?

– A mają coś do ukrycia?

– Każdy ma swoje sekrety – odparła. – Choć nie sędzę, by moje cię zainteresowały.

Meyer nie odpowiedział. Zatrzymał się. Przyglądał się ekologowi. Nawet z tej odległości widać było, że kawał z niego przystojniaczy. Czerstwy, dobrze zbudowany, ogorzały od słońca. Spod rastafariańskiej czapy wystawały długie dredy. Był też silny i zmyślny. Jakimś cudem zatrzymał tratwę i udało mu się ją zawrócić. Hubert musiał przyznać, że poszło mu to wyjątkowo sprawnie.

– Bardzo się męczy, żeby ominąć te kry – zauważył. – Albo to nas nie chce spotkać...

– Przybiegnie na posterunek, jak tylko się przeredzi. – Swieta uśmiechnęła się kpiąco. – Śmierć myśliwego na polowaniu to dla niego gratka. Grzeje to już w mediach społecznościowych swoich organizacji. Założę się, że poumawiał się z zaprzyjaźnionymi dziennikarzami.

– Nie lubisz go?

– Na ostatnim roku studiów zaliczyłam z nim trzymiesięczny romans. To prehistoria, ale kurowałam się po nim kilka lat – wyjaśniła bez ogródek. – Przyjechałam do domu na wakacje i upiłam się charyzmą Mańka. Brałam udział we wszystkich jego bitwach o naturę. Wiem, do czego jest zdolny.

– Do czego? – zainteresował się.

– Do wszystkiego. – Przyjrzała się ekologowi, jakby przyszedł właśnie dzień odpłaty. – Zapewniam cię, że nie mówię tego, bo mnie rzucił, a potem zwodził kolejne lata. Sądziłam wtenczas, że jest miłością mojego życia. – Skrzywiła się, jakby zjadła coś nieświeżego. – W tym czasie bzykał licealistki i doktorantki, które przyjeżdżały tutaj robić badania.

– Co to znaczy do wszystkiego? – drążył profiler.

Spojrzała w niebo. A potem syknęła:

– Sprawdź, z jakiego karabinka zastrzelono Donata, a potem zdobądź nakaz przeszukania fundacji Bez Krwi – Narew. Zanim Maniek został zapalonym ekologiem, strzelał sportowo i zdobywał medale. Z tego, co wiem, miał kiedyś kilka sztuk broni. Puchacz chciał je odkupić, kiedy zakładał strzelnicę, ale Maniek się nie zgodził. Oświadczył, że pogardza dawną pasją, ale jak go znam, pewnie zostawił kilka karabinków na pamiątkę... Nie zdziwiłabym się, gdyby naboje któregoś z nich pasowały do kuli, którą wyjęłam z księdza myśliwych.

Hubert ważył jej słowa. Był pewien, że podała te dane nieprzypadkowo.

– Bez krwi? – powtórzył, a Swieta wzdrygnęła się i przyłożyła dłoń do ust.

– Słodki Jezu! – szepnęła, jakby dopiero teraz pojęła znaczenie tych słów. – Nie pomyślałam... Ta fundacja działa od dziesięciu lat. Tak wrosłam w to miejsce, że nie dostrzegłam koincydencji!

Hubert nie dał się zagadać.



– Sugerujesz, że ekolog i przeciwnik przemocy wobec zwierząt mógłby osobiście odstrzelić honorowego prezesa tutejszego koła łowieckiego?

– Szczerze? Jeśli chodzi o Donata Gizę, połowa tutejszej ludności będzie dziś świętować. Myślę, że ci, którzy lizali mu dupę i chodzili wokół niego na palcach, też odetchnęli z ulgą. Większość robiła to ze strachu. Był z niego kawał łajdaka. Bardzo zresztą skutecznego... I nie mówię tak, ponieważ pochodzę z rodziny prawosławnej, ani dlatego, że był myśliwym. To był okrutny krętacz. I bardzo źle traktował Dobrą...  
– Urwała.

– Byli kochankami?

Swieta pokręciła bezradnie głową.

– Musisz sam ją o to zapytać. Mnie nigdy się nie przyznała, a zagadywałam ją o to wiele razy. Nigdy nie usłyszałam od niej ani „tak”, ani „nie”.

– Nie byliście najlepszymi przyjaciółkami?

– Nadal jesteśmy – oburzyła się. – Nic się nie zmieniło.

– I nie powiedziała ci, co łączyło ją z księdzem? Skoro nie zaprzeczyła, przyznała się.

– Też tak kiedyś uważałam – mruknęła lekarka. – Dziś sama nie wiem... Może rzeczywiście tylko jej ojcował. Z pewnością miał do niej słabość. Korzystała z jego pieniędzy i bez ograniczeń mogła mieszkać w Kamiennym Forcie.

– Co to takiego?

– Siedlisko, które Donat zbudował nad rzeką. Dobra ma w nim swoje skrzydło i bywali tam z Tymkiem od wielkiego dzwonu. Ostatnio rzadziej, bo Donat miał żal, że tak blisko dopuściła do siebie Puchacza.

– Był zazdrosny?

– Co do tego nikt nie miał złudzeń – podkreśliła Swieta. – Możesz spytać, kogo chcesz. Każdy to potwierdzi! Uważał się za jej właściciela. A ona się z tego śmiała... Wiesz, co ja myślę?

Hubert podniósł głowę, czekał.

– Dobra była jedyną osobą na świecie, której Donat się bał.

– Bał się? – powtórzył zaskoczony. – Niby dlaczego?

– Kto to może wiedzieć?

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

Tratwa Koleckiego zdawała się już tylko punktem w oddali. Co jakiś czas na polanę podchodził lis albo sarna. Zwierzęta zupełnie nie bały się ludzi. Kiedy podbiegł mały dzik, Swieta przykucnęła, wyciągnęła coś z kieszeni i zaczęła chrumkać. Warchlak podszedł do niej niczym domowy kot. Hubert przyglądał się tym zabiegom oniemiały. Dzikiek jadł kobiecie z ręki i uciekł, dopiero kiedy zachichotała głośno na widok miny psychologa.

– Przepraszam. – Pochyliła głowę i natychmiast zaczęła się tłumaczyć: – Nie

powinnam się śmiać, kiedy moją przyjaciółkę spotkała tragedia.

– Nie zrobiłaś nic złego.

Hubert przyjrzał się jej dobrotliwej, ogorzałej twarzy. Wyglądała na kobietę, której można powierzyć dom lub dziecko, i wiedzą to nawet warchlaki. Czy taka była naprawdę? Czy odegrała tę rolę dla niego?

– Dobra nie powiedziała mi wielu rzeczy. – Lekarka wróciła do przerwane go wątku. – Nie wiem, kto jest ojcem Tymka. Nikt tego nie wie. Dlaczego spotykała się z Puchaczem, choć bił i poniżał jej synka? Tego nawet Donat nie rozumiał. Często się o to kłócili. Podrywała mojego narzeczonego, choć wiedziała, że go bardzo kocham. Ludzie mówią, że jest fałszywa, ale ja myślę, że po prostu zamknęła serce. Nie miała dobrych wzorców. Boi się zaufać, bo tyle razy została skrzywdzona...

– Odbijała ci faceta, a ty nazywasz ją przyjaciółką?

– Tak – potwierdziła stanowczo. – Bo to nie ma znaczenia. Kiedy dwa lata temu ktoś do mnie strzelił, znalazła mnie w lesie i opatrzyła. Uratowała mi życie.

– Ktoś chciał cię zabić?

Swieta powoli skinęła głową.

– Strzelano do mnie z odległości. Tak samo jak do Donata – dorzuciła, jakby mówiła o pogodzie. – A musisz wiedzieć, że ja nie poluję. I nie popieram łowiectwa... Kocham zwierzęta, ludzi. Kocham życie. I bardzo je doceniam, bo wiem, co znaczy je przedwcześnie stracić.

– Było śledztwo?

Swieta gwałtownie zaprzeczyła.

– Dobra prosiła, żebyśmy nikomu o tym nie wspominała. Tego dnia, jak dziś rano, odbywał się nielegalny odstrzał. Tyle że zbiorowy. Brało w nim udział wielu zagranicznych myśliwych. Dobra twierdzi, że ktoś musiał się pomylić.

– Pomylić? – Hubert podniósł brew. – Oni mają lunety. Strzelec wie, jaki cel obiera. Masz mnie za durnia?

– Tego dnia Donat polował z Francuzami. Za jego odstrzały wpadało mu do kieszeni sporo euro. Nawiązywał też kontakty towarzyskie, prowadził interesy. Tu nie chodzi tylko o łowiectwo. To mafia. Tutaj muszę zgodzić się z Mańkiem i jego bojownikami o naturę. W sejmie sześcioro na siedmiu członków komisji, która pracowała nad ustawą o łowiectwie, to czynni myśliwi. Wolałam się nie narażać.

– Zataiłaś zamach na siebie?

– Zapłacili mi i pomogli w objęciu stanowiska w Białymstoku. Czy wiesz, jak długo musiałabym czekać w normalnym trybie? Miejsce zwolniłoby się dopiero wtedy, aż ktoś by umarł. Gdyby nie pandemia, nie spotkalibyśmy się tutaj dziś, bo mój szef ma chyba tysiąc lat i piastuje to stanowisko, odkąd pamiętam. Podobnie jest w innych placówkach. Nikt się nie wychyla, że łowi z radnymi i biznesmenami. Tylko kompletni debile publikują na Facebooku zdjęcia pokotu.

– Mówiłaś, że masz nudne sekrety – przypomniał Hubert. – Trudno mi się z tym zgodzić.

– Nie sądziłam, że tak cię to zainteresuje. – Wzruszyła ramionami. – Wzięłam wolne, wyleżałam się. Kulę wyjęłam sobie sama. Donat i Dobra pomogli mi w rekonwalescencji. Opiekowali się mną nadzwyczaj troskliwie. Tak bardzo się do tego przykładali, aż miałam podejrzenia, że to ksiądz do mnie strzelił. Mówił, że poprzedniego dnia ostro popili z Francuzami.

– Donat ci zapłacił?

– Nie wiem, kto wyłożył pieniądze. Dobra wręczyła mi trzydzieści tysięcy i spłaciłam samochód. To była wtedy dla mnie spora suma. Nadal jest... Zresztą właśnie na tym polowaniu poznałam Jeana Baptiste'a, mojego obecnego partnera. Należał do grupy łowczych, których zwerbował Donat i Grzybek.

– Dlaczego mi o tym opowiadasz? – Hubert przyjrzał się jej uważnie. Coś mu nie grało. Nie musiał się wcale starać, żeby to z niej wydobyć. – Nikt bez przyczyny nie oddaje takich tajemnic za darmo.

– Bo jakiś skurwysyn zamordował Tymka – zaciętrzewiła się nagle Swieta. – Donata trudno mi żałować, ale okrutna śmierć sześciolatniego dziecka to co innego... – Pochyliła głowę. – Lubiłam tego chłopca. Był zbuntowany, ale fajny. Miał swój honor. Spędzałam z nim więcej czasu niż Dobra. Zwłaszcza od kiedy zaczęła pracować dla Puchacza.

– Co dokładnie dla niego robiła?

– Nie mam zielonego pojęcia – odparła lekarka, a Hubert nie ukrywał zdziwienia. – Ale powiem ci to, co wiem o niej na pewno. Ponieważ Donat robił biznesy, lubił złoto, luksus i brylował na salonach politycznych, forsy mu nie brakowało. A jak się domyślasz, był ambitnym typem. Oba jego samochody są na nią. Jego dom w Narwi, wspomniany Kamienny Fort, jest na nią. Podobnie jak trzy mieszkania pod wynajem w Białymstoku. Ma też kawalerkę komunalną w Warszawie, w której Dobra ulokowała siostrę... Nie wiem, ile miał udziałów w spółce z Puchaczem, bo jak się domyślasz... – Przerwała i spojrzała na profilera znacząco.

– Biznes ksiądz Giza też prowadził przez Dobrawę jako słupa – odgadł.

– Ona korzysta na jego śmierci najwięcej – podkreśliła.

– Sugerujesz, że to tutejsza femme fatale?

– Gdyby nie śmierć syna, potwierdziłabym to bez wahania, ale ona kochała Tymka bardziej niż siebie.

– Przed chwilą mówiłaś, że go zaniedbywała.

– Nie zajmowała się nim najlepiej, bo może nie umiała. Nudziło ją to... Ale nie zrobiłaby mu krzywdy. Za to mogę ręczyć.

Hubert odwrócił się, zapatrzył w dal.

– Mówiłaś, że pomogła ci, kiedy do ciebie strzelano – zaczął po dłuższym namyśle. – Skąd wiedziała, jak znaleźć cię w lesie?

– Zadzwoiłam do niej. Podałam lokalizację.  
– Dobra była na tym polowaniu z Francuzami jako łowczyni czy organizatorka?  
– W obu rolach. Tego dnia strzeliła największe trofeum.  
– Skąd pomysł, że to Donat cię trafił? Dobra ci to zasugerowała?  
– Tego nie wiem do dziś. Tak wspólnie wydedukowałyśmy. Dobra twierdzi, że to był wypadek. Takie rzeczy się zdarzają. Rzadko, ale bywa. W końcu to zabawa ostrą amunicją.

– Nie myślałaś, że to mogła być ona?

Lekarka pochyliła głowę.

– Wiele razy.

– I?

– Niemożliwe.

– Dlaczego?

– Bo to nie miaoby sensu – wykpiła się od odpowiedzi, lecz jednocześnie zarumieniła z zawstydzenia.

Hubert przyjrzał się Swiecie baczniej.

– Ty nie strzelałaś?

– Nie.

– Polowania są rano? Wychodzi się w nocy... – Naprowadzał ją powoli. – Co ty robiłaś tej nocy w lesie?

Podniosła głowę wielce oburzona, bo nagle pojęła, że i ją podejrzewa.

– Szukałam Tymka – rzuciła hardo. – Uciekł i nie chciał wrócić. Tylko ja wiedziałam, gdzie może się ukrywać. Postawiliśmy tam kiedyś wspólnie szałas. Potem myśliwi zaadaptowali go na miejsce do oprawiania zwierzyny, ale chłopcu to nie przeszkadzało. Często tam przesiadywał.

– Sześciolatnie dziecko samo w lesie? – nie dowierzał Hubert. – To musiał być osobliwy dzieciak.

– I był – potwierdziła Swieta. – Niektórzy się go bali.

– Zaprowadzisz mnie tam? – Hubert zmrużył oczy. – Do szałas. Teraz... Zanim wrócimy każde do swoich zadań.

Skinęła głową. Oczy jej się zaszkliły, zdawało się, że znów się rozplacze.

– To bardzo niedaleko miejsca, w którym zginął ksiądz Donat. Zaraz za torami, na których znaleźliście wilka.

\* \* \*

Miejsce otoczono taśmami policyjnymi i Czupryna znów musiał ustawić czujki w okolicy, by miejscowi nie zdeptali śladów. Technicy psioczyli na czym świat stoi,

bo ledwie wrócili do komendy, a znów musieli ruszać w okolice Narwi.

Szałas okazał się potężnym bunkrem z gałęzi i zakonserwowanych w rzece bali. Część budulca pochodziła z tamy zbudowanej przez bobry, bo widać było ślady ich zębów i pozostałości zaschniętych truchełek. Ktoś ewidentnie rozebrał tamę koparką, niszcząc bobrze gniazda i zabijając młode. Na klepisku zabezpieczono liczne ślady krwi, a choć większość wsiąkała już głęboko w piach, technicy nie mieli złudzeń, że odbywały się tutaj krwawe ceremonie. Czy mordowano ludzi, tego nikt nie wiedział na pewno, ale z sufitu zwisały zalarwione zwłoki małych drapieżników, jak lisy i jenoty, a w kącie poniewierały się sarnie głowy i perfekcyjnie odcięte w stawach racice. Niektóre były wstępnie spreparowane, jakby ktoś przygotowywał je na gryzaki dla psów. W samym rogu ustawiono starą żeliwną wannę wypełnioną wodą. Kolejnego martwego dziecka nie znaleziono, za to w kącie stała lodówka turystyczna, a w niej śledczy zabezpieczyli identyczny pojemnik, jaki wiózł na pace ksiądz Donat. Był pusty, lecz nosił ślady brunatnej substancji.

– Krew była ludzka – ponownie zaświadczyła Swieta, kiedy spytano ją o opinię. – Na dnie zostało jakieś dziesięć mililitrów. Została pobrana z ciała nie wcześniej niż kilka dni temu.

– Czy mogła należeć do Tymka?

– Na to pytanie odpowiem po powrocie do laboratorium.

– Po co komuś ludzka krew? – Do Huberta podszedł Czupryna i gryząc cybuch, przyglądał się pracującym w milczeniu technikom. Nikt nie miał wątpliwości, że komendant jest na granicy wybuchu. – O co tutaj chodzi? Wiesz?! – wypalił. – Bo od tego chyba ciebie mam, mistrzu.

– Po wojnie i w czasach walk gangów w latach pięćdziesiątych odnotowano pojedyncze przypadki – zaczął Hubert. – Porywano dzieciaki, bo krew była potrzebna do nielegalnych operacji. Pamiętam takie zabójstwo. Zakwalifikowaliśmy je początkowo jako mord rytualny. W ciągu tygodnia zaginęło dwóch chłopców. Jeden z nich był bratem mojego kumpla z komendy. Jak się okazało pechowo dla sprawcy, wiceszefa dochodzeniówki... Postawił na głowie wszystkie wydziały... Odezwali się antysemita. Maca, Mojżesz i wszystkie te pierdoły odżyły...

– Na tym terenie nie mieszka zbyt wielu Żydów – wszedł mu w słowo Czupryna. – Słyszałeś o Jedwabnem? To całkiem niedaleko. Tykocin to skansen. Turyści przyjeżdżają do Tejszy najeść się czulentu. Zwiedzają synagogę, kupią kilka pamiątek i wracają do siebie.

Hubert odchrząknął. Kontynuował:

– Okazało się, że dziecko zostało uprowadzone, bo jeden mafioso potrzebował krwi po postrzale. Ktoś się pomylił i nie zbadał prawidłowo grupy. Trzeba było przetaczać ponownie. Dlatego porwano drugiego chłopca.

Profiler przerwał i przyjrzał się Czuprynie.

– Pytasz, czy mieliśmy ostatnio w regionie jakieś fajerwerki? – Komendant pokręcił głową. – Wojna gangów, strzelaniny? To pieśń przeszłości. Dziś napadów na

banki nie robi się jak w westernie. Hakerzy załatwiają sprawę bezkrwawo.

– To nie musi być postrzał. Mogą być gwałtowne wypadki. Drogowe, domowe? Ktoś nie został zawieziony do szpitala... Kogoś odesłano.

Czupryna kiwał bezradnie głową, jakby wciąż nie dowierzał.

– Puszczę ludzi w miasto. Jeśli było coś takiego, dowiemy się. Nie ma już tego dużo. Trudno się ukryć. A tak zwana mafia złagodniała. Nosi białe kołnierzyki.

– To nie musi być mafia – powtórzył Hubert. – To może być ktoś bogaty, kogo stać na operację w domu.

Przed oczyma stanęła mu nagle Swieta, która sama wydobyła sobie kulę z barku.

– Na co?

– Na krew – odparł Hubert. – Te dwa pojemniki to wierzchołek góry lodowej. Może kogoś toczy choroba, która wymaga ciągle nowej krwi, a nie da się jej załatwić legalnie. Czeka na przeszczep? Brał udział w wypadku, był ofiarą strzelaniny? Sam już nie wiem. – Złapał się za głowę i szarpał włosy w geście desperacji.

– Nic nie rozumiem – prychnął Czupryna. – Z kim mamy do czynienia? Kogo szukamy? Powołałem cię, żebyś ograniczył grono podejrzanych, a nie je rozszerzał!

– Jest za wcześnie na profil. Za mało wiem o księdzu i o jego powiązaniach. Nie przesłuchaliśmy nawet matki Tymoteusza.

– Puszczają się z Gizą i z Puchaczem – rzekł zniecierpliwiony komendant. – Siedzę w tej dziurze tylko pół dnia, ale starczyło mi czasu na ustalenie stanu faktycznego. Donat zrobił sobie z Dobrej słupa, a Puchacza wziął na cichego współnika. Pewnie tych dwoje się zbratało. Mieli romans. Mówią o tym wszyscy. Donat nie spodziewał się, że go wydymają... Miejscowi są zdania, że dzieciak jest jego.

– Możliwe, że to, co mówisz, jest prawdą – zaczął ostrożnie Meyer. – Ale na razie to tylko hipotezy. Trzeba je potwierdzić. Jedynym pewnikiem jest to, że wszyscy uczestnicy dramatu bardzo dobrze się znali.

– Tutaj wszyscy się znają i mieszają ze sobą, człowieku. Kochają, nienawidzą i wiedzą o swoich sekretach. Nie ujawniają ich ze strachu, że ktoś wyda ich własne.

– Dlatego i my powinniśmy je jak najszybciej poznać – podkreślił Hubert.

– Poznawaj, kto ci broni – zachnął się komendant. – Nie wziąłem nawet szczoteczki do zębów. Wybyłem z domu o świcie i nie spodziewałem się, że zabawię tu tak długo. Ludzka krew kurewsko mi tutaj nie pasuje. Nie życzę sobie mieć na karku wojny polsko-żydowskiej.

– A myśliwi kontra ekolodzy? Taka wojna jest okej?

– To byłoby zbyt proste. – Czupryna machnął ręką.

– Nie lekceważyłbym tego tła. Jest bardziej prawdopodobne niż religijne rytuały.

– Dajże już spokój! – zdenerwował się komendant. – Powiedz lepiej, jaka była kolejność zdarzeń! – Spojrzał na zegarek. – Nie chcę wracać do domu z głową pełną kisielu.

– Zamierzasz już wracać? – Hubert ciężko westchnął, bo wiedział, że bez wsparcia komendanta jego pozycja natychmiast osłabnie. Zamiast to skomentować, rzekł: – Puchacz twierdzi, że dziecko opuściło jego dom przed trzecią. Niewykluczone, że przyszło do tej kryjówki, ale może wcale do niej nie dotarło... Znało tego, z kim poruszało się po lesie, i tej osobie ufało. Możliwe, że wędrowali tak nie pierwszy raz... To jest ktoś z wioski. Pies go znał. Ta osoba znała też dobrze Puchacza. Przyjrzałbym się dokładnie tym dwóm pijusom, którym matka dała alibi. Czy faktycznie pojechali do Białegostoku? Jeśli nie, gdzie w tym czasie byli? Nie oni jednak są najważniejsi. Bo jeśli to typy, które połaszczą się na kilka flaszek, nasz człowiek mógł im je podsunąć i tym sposobem unieszkodliwić opiekuna Tymka. Nie wiemy, o której w lesie pojawił się ksiądz Giza. W rejestr polowań wpisał się dopiero przed piątą. Co robił wcześniej? Nie mamy pojęcia...

– A może to Giza wywabił dzieciaka z domu? – wpadł profilerowi w słowo komendant. Pyknął z fajki. – To by znaczyło, że ma związek z zabójstwem Tymka... Chłopiec pomagał mu w mszach, ksiądz znał jego matkę, opiekował się nimi. No i baniak z krwią znaleźliśmy w jego aucie.

– Sprawca mógł go podrzucić, żebyśmy tak właśnie myśleli – zauważył Hubert.

– A wątek osobisty? Kochanka zdradza go z kumplem, jej dzieciak stwarza problemy... Ludzie mówią, że to ksiądz był ojcem Tymka...

– A może nie? – przerwał mu Meyer. Nie znosił tak pracować. Wolał chodzić po ludziach sam i przedstawić zwierzchnikom sprawdzone dane. – Druga połowa miejscowych ci powie, że Dobrą zapłodnił Puchacz. Zawsze znajdą się tacy, którzy będą mieli na to jeszcze inny pogląd... Chcesz się opierać na pogłoskach? Jakie znaczenie na tym etapie ma to, czyim synem był Tymeek? Jeśli zajdzie potrzeba, pobierzemy próbki i wykryjemy właściwego dawcę spermy... A może wystarczy zadać to pytanie matce chłopca?

– Nie omieszkam – odparł rozzłoszczony komendant. – Więc jaki masz plan?

– Portret wiktyologiczny księdza. Moim zdaniem to jest teraz klucz.

– Krótko i treściwie poproszę – zażądał Czupryna. – I dlaczego mam ci zaufać?

Hubert już miał powiedzieć, że nie musi, ale nabrał powietrza i spróbował uspokoić oddech.

– Ksiądz wyszedł na polowanie – zaczął. – Był przygotowany jak na wojnę. Na pace zabezpieczyliście imponujący arsenał.

– Plus krew – dopowiedział komendant.

– Plus baniak ludzkiej krwi – zgodził się Meyer i wrócił do swojego wątku. – Z jakiegoś powodu Donat zabił wilka. To jest nielegalne, prawda?

– Są pod ochroną, a ten biały miał czip. Jedzie już do nas ekspertka z Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami czy innej fundacji chroniącej wilki. Jeszcze ją będę miał na głowie.

– To może być bolesne doświadczenie – przyznał Hubert. – Z pewnością nie

odpuści. A z tego, co czytałem w sieci, ksiądz Giza już wcześniej nie miał dobrej prasy.

– Prowokował afery z nielegalnymi trofeami. Trzymał w domu elementy rysia, wilka, a nawet słonia – prychnął Czupryna. – I co z tego wynika? Bo nadal mam sieczkę w głowie! A żeby zdążyć na konferencję dla popołudniówek, muszę być w komendzie za trzy godziny. Właściwie już powinienem ruszać. – Zawahał się.

– Strzelec wiedział, że Giza przywiezie wilka na tory.

– Skąd?

– Nie mam pojęcia – przyznał Hubert. – To najślabszy element układanki. Dlaczego przywiózł go tutaj? Polowanie odbyło się w gminie Jelonki. Chłopiec został złożony na ołtarzyku Hubertusa w Reptach. Kupy to się nie trzyma. Dlaczego strzelec czekał, aż ksiądz dotrze do torów, i skąd wiedział, że się tam pojawi? Na dodatek odstrzału dokonano tuż obok szałas, w którym bawił się Tymek, a z którego ktoś zrobił pieczarę zła. Jakby bardzo mu zależało, byśmy ją znaleźli... – Zatrzymał się, obserwując, jakie wrażenie zrobiły na komendantzie jego słowa. – Czy gdybyś jechał na nielegalny odstrzał, brałbyś wszystkie jednostki broni i bańkę ciepłutkiej krwi?

– Nie wiem, kurwa – zbiesił się komendant. – Zasadniczo nie zaczajam się na myśliwych i nie upuszczam krwi dzieciom. Mów normalnie, co sugerujesz.

– On się nami bawi – wyjaśnił Hubert. – To dopiero preludium.

– Preludium do czego?

– Do właściwego spektaklu. Sprawca wodzi nas za nos, a my idziemy prosto na celownik, jak te sarny.

Czupryna długo się nie odzywał. Wreszcie rzekł, wielce z siebie zadowolony, jakby brał udział w konkursie dedukcyjnym:

– Mogłoby się to trzymać kupy, gdyby dziecko zabił ksiądz, a mściciel go odłowił. Najprostsze wyjaśnienie zwykle jest prawdziwe.

Hubert opuścił ramiona. Z trudem ukrywał zawód.

– Kto miałby być tym mścicielem?

– Matka dzieciaka. Była jedyną kobietą w kole, nie?

– Dobrawa Wątła? – Hubert się skrzywił. – Niby dlaczego miałyby planować tak skomplikowany odstrzał? I jaki obstawiasz motyw?

– Donat był starym, obleśnym dziadem. Księdzem, który nigdy się z nią nie ożeni... Może miała go dosyć? Była udupiona w cholernym trójkącie... Z jednej strony duchowny, z drugiej pijak i były gliniarz na dodatek. Nie zrozum mnie źle, lubiłem Puchacza i wiesz, że niechętnie pozbywam się dobrych ludzi z zakładu... Ale jego z jakiejś przyczyny wypierdoliłem... – Zatrzymał się dla większego efektu. – Chłła. I bez powodu rzucał się z łapami na chłopaków. – A potem nabrał powietrza i dokończył: – Wątła dziedziczy po Donacie, a jest tego sporo. Poza tym jak ktoś bawi się tak z twoim dzieckiem, sam powiedz... Miałbyś opory, by go odstrzelić?



– Jak się bawi? – przerwał mu Hubert, ale Czupryna nie był łaskaw odpowiedzieć. Wyjął wykałaczkę i zaczął ją przeżuwać.

– Ona ponoć była dobra w te klocki – kontynuował. – Doman pokazywał mi foty.

– W jakie niby klocki? – Profiler znów próbował wbić mu się w słowo, ale i tym razem Czupryna go uciszył.

– A o jakich ty myślisz, człowieku? W ubiegłym roku była królową strzelców. Taki laur dostaje myśliwy, który odłowi największą zwierzynę.

– Zapominasz o jednym. – Hubert skorzystał, że Czupryna zdecydował się napełnić fajkę. – Nie było jej tutaj. Suwałki leżą trzy godziny drogi stąd. To więcej, niż ty masz dzisiaj do Białego. Równie dobrze mógł to zrobić ktoś z twojego miasta.

– I może zrobił? – Komendant wzruszył ramionami. Odszedł bez słowa.

– Inspektorze! – zawołał za nim Hubert. – Nie skończyliśmy...

– Napisz mi, kto to może być! – odkrzyknął Czupryna, nawet się nie odwracając. – Złapię go! Żaden skurwysyn nie będzie dręczył dzieci na moim terenie.

W tym momencie podjechała limuzyna i wszystkie kraciaste koce świata, w które ubrany był inspektor, zniknęły Hubertowi z oczu.

\* \* \*

Gdyby wszystkie gosposie księży wyglądały jak Dobrawa Wątła, celibat zostałby zniesiony przez samych zainteresowanych dla dobra ludzkiego gatunku. Sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, cienka kość, szare przenikliwe oczy i miedziany kolor włosów, które nie znały farby. Na twarzy ani śladu makijażu, a cera i tak połyskiwała perłowo. Kobieta była ubrana w długą powłóczystą sukienkę w kolorze bławatków. Biust w rozmiarze G, talia osy. Kiedy wprowadzano ją do pokoju przesłuchań, wszyscy pracownicy domu kultury postanowili akurat tędy przechodzić. Nie minął kwadrans, a w korytarzu zrobił się korek.

– Przepraszam, przesuniecie się. – Tomek Domański torował drogę Meyerowi i rzucał do mijanych kolejno kaowców: – Rusz się, chłopie. Nie powinienes być już w domu? Biblioteka dawno zamknięta...

Dopiero kiedy dotarli do wejścia, pojęli przyczynę sensacji. Dobrawa siedziała bokiem do szyby przysłoniętej jedynie papierową roletą i zdawała się nie zwracać uwagi na harmider na korytarzu.

– Ale dzida! – syknął ktoś z tyłu. – Księżulo znał się na robocie.

– Trochę szacunku, człowieku – obsztorcował go młody Doman. – Dopiero co zwoziłeś z lasu jej dziecko.

– To jej? – zdziwił się zuchwalec. – Przecież ona sama jest dzieckiem. Kiedy urodziła? W podstawówce?

– Wyjdz, Józek, zanim cię pierdolnę! – nie wytrzymał Doman ojciec, który pojawił się w tłumie nie wiadomo skąd, ale też wpatrywał się w kobietę porażony jej urodą.

Hubert zamachał do niego. Doman się zbliżył.

– Mam wieści – szepnął profilerowi do ucha. – Jest nieźle.

Hubert zacisnął szczęki. Nic nie było nieźle, ale ulżyło mu, że nie ma za nim jeszcze listu gończego albo ekipy czarnych.

– Spotkamy się wieczorem w chacie. Może będziemy mieli gościa – rzucił konfidencyjnie Doman i ustawił się na tyłach tłumu obserwującego zboląłą matkę.

– Nie wyglądała tak, kiedy mieszkała u księdza – padło z tyłu. – Wyrobiła się.

– Bo ty się znasz – burknął ktoś inny. – A może to nie była ona?

Hubert miał dość. Pociągnął roletę. Opadła z hałasem, aż kobieta ulokowana w prowizorycznym pokoju przesłuchań krzyknęła przestraszona.

– Wchodzimy – zarządził.

Młody Doman nacisnął kławkę.

– Bardzo mi przykro, że musiała pani czekać – zaczął pewnie Meyer, lecz nim dotarł do stołu, poczuł się onieśmielony. Dobrawa z bliska przypominała cudowny wizerunek Matki Boskiej z sanktuarium w Bogucicach. Z trudem wydusił oficjalnym tonem: – Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

Spojrzała na niego z wyrzutem, jakby spóźnił się na randkę, na którą sam nalegał, choć ona jej nie chciała.

– Jak miewa się Ela? – zwróciła się do młodego Domana, a w kąciku jej ust zabłąkał się kpiący uśmiech, co Meyerowi wydało się co najmniej niestosowne.

– Dobrze, dziękuję – odparł wyraźnie spłoszony Tomek. – Znacie się?

– Nie pamiętasz mnie? – Kobieta udała, że się dziwi. – Mieszkałam na Bielskiej. W domu obok Sandry Sowuli. Z twoją żoną chodziłam do szkoły.

– Rzeczywiście – przytaknęła z grzeczności Doman, lecz zarumienił się jak sztubak. – Dawno cię nie widziałem.

– Od roku nadzoruję przetwórnię w Suwałkach. Ale i tak większość czasu spędzam za granicą – wyjaśniła. – Nasz jesiotr sprzedaje się w tej chwili w piętnastu krajach. We Francji najwięcej. Dlatego często bywam w Paryżu.

Hubert zmarszczył brwi. Nie rozumiał, po co to powiedziała. Na jej twarzy nie widział bólu, jaki powinna czuć po stracie syna. Powiedział jej przecież o zabójstwach. Nie wierzył, że nie rozmawiała z wiozącym ją funkcjonariuszem. Zachowywała się tak, jakby nie przyjęła tych danych do wiadomości albo nie doświadczała z tego tytułu cierpienia.

– Nazywam się Hubert Meyer – przedstawił się ponownie. – To ja z panią rozmawiałem. Podkomisarz Tomasz Domański poprowadzi przesłuchanie.

– Czy jestem podejrzana? – Podniosła głowę i Meyer nagle poczuł, że jej tęczywki rozpuszczają go do postaci płynnej. Oparł się jej nie bez trudu.

– A chciałaby pani coś wyznać? – zapytał i z przerażeniem stwierdził, że się uśmiechnęła, jakby ją rozbawił.

Zaraz jednak przywróciła na twarz wyraz apatycznej powagi. Nie spodobało mu się to. Wzmógł czujność.

– Zginął ksiądz Donat. Zналиśmy się. Byliśmy przyjaciółmi. – Urwała.

Hubert w jednej chwili pojął, co nad rzeką próbowała mu powiedzieć Swieta, i jak lekarka musiała się czuć w towarzystwie tak hipnotycznej istoty. Każdy gest Dobrawy był wystudiowany, czy zaś skrywały tajemnicę. Ona grała.

– Dziś rano zabezpieczyliśmy także ciało dziecka. Paweł Puchacz, pod którego opieką zostawiła pani syna, dokonał identyfikacji. To Tymoteusz Wąty. Pani dziecko.

Nie odpowiedziała. Nie ruszyła nawet powieką. Jakby jego słowa jej nie dotyczyły albo mówił w języku, którego on nie znała.

Hubert odchrząknął.

– Zrozumiała pani, co powiedziałem?

– Tak – odrzekła, patrząc mu prosto w oczy.

– Więc będzie pani zeznawała?

– To zależy, jakie macie pytania.

Młody Doman nerwowo przeglądał dokumenty. Hubert założył dłonie na ramiona.

– Funkcjonariusz, który panią wiozł, powiedział mi, że odmówiła pani wizyty w prosektorium – rzekł.

– Owszem – potwierdziła.

– Dlaczego?

– Muszę odpowiadać?

– Pytam z ciekawości.

– Nie wierzę, że to mój syn.

Nikt się nie odezwał.

– Tymek uciekł. Nie pierwszy raz umknął Pawłowi. – Zaśmiała się dziwnie. – To sprytny chłopak. Od dziecka musiał być sprytny. Inaczej byśmy sobie nie poradzili.

– Rozumiem – powiedział Hubert, choć było wręcz przeciwnie. Spojrzał na młodego Domana, który zapewne najchętniej ulotniłby się z tego pokoju. Kontynuował: – Pobraliśmy próbki z jego grzebienia. Analiza DNA potwierdziła, że to pani syn został zamordowany.

Kobieta przyjrzała się Hubertowi ze złością.

– Nie wierzę panu.

– Bardzo mi przykro.

Wstała.

– Proszę usiąść – poprosił i zdecydował się zablefować, bo jak dotąd nie ustalili abonenta, który jedenaście razy próbował połączyć się z księdzem przed jego śmiercią. – Dlaczego dzwoniła pani do Donata dziś nad ranem?

– Ja? – Spojrzała na profilera wrogo, jakby podczas ceremonii pogrzebowej zaczął się nagle wygłupiać.

– Tak wskazują nam billingi. Dzwoniła pani do kapelana wiele razy. Była godzina piąta. W jakim celu? O czym chciała pani z nim rozmawiać? Wiedziała pani, że syn uciekł Puchaczowi? A może potrzebowała pani pomocy w usunięciu ciała?

Kobieta zacisnęła pięści i wysyczała ledwie słyszalnie:

– Mój syn żyje. To nieprawda, co mówisz!

Hubert nie odpuszczał.

– Czy brała pani udział w uprowadzeniu chłopca? Kto zawiadomił panią o jego zniknięciu? – atakował. – Czy zabiła pani swoje dziecko?

Kobieta siliła się na spokój, ale jej twarz wykrzywił teraz grymas pogardy. Z trudem powstrzymywała się przed wybuchem. Milczała. Jej pierś podnosiła się i opadała. Coraz szybciej i szybciej. Aż nagle piana poszła jej z ust i upadła na ziemię w konwulsyjnych drgawkach.

Rzucili się na podłogę, by ją ratować.

\* \* \*

– Co z nią będzie? – zapytała Swieta, kiedy Dobrawę zabrała karetka. – Miała zakrwawioną całą twarz. Pobiliście ją?

– To nic poważnego – zachnął się Hubert. – I dla twojej wiadomości, nie mam zwyczaju bić kobiet w ogóle, a już tym bardziej świadków w trakcie przesłuchań. Upadając, uderzyła głową o posadzkę. Jeśli to tylko wstrząśnienie mózgu, jutro wieczorem zostanie wypisana. Oczywiście po wykonaniu wszystkich badań. Jeżeli nie – zostanie na obserwacji.

– To był atak epilepsji? Nigdy nie słyszałam, żeby była chora...

– Podobno takie rzeczy zdarzają się nawet zdrowym w wyniku nagromadzenia wielkiego stresu – bąknął.

– Zadałeś chociaż jedno pytanie?

– Więcej niż jedno. Sęk w tym, że na żadne nie odpowiedziała. Z pewnością jest w szoku. Wcale nie przyjmuje danych. Chciała tylko, żebyśmy zaprzeczali. Widziałem wiele matek, których dzieci zamordowano, ale to było jak z horroru. Ona jest... – szukał słowa.

– Nieprawdziwa? – podpowiedziała lekarka i włożyła fartuch. Drugi podała Hubertowi.

– Nie to miałem na myśli. Ale faktycznie jakby grała rolę. Może popełniliśmy błąd, pozwalając, żeby cały dom kultury przyszedł ją oglądać?

– Ona to lubi – zapewniła Swieta. – Tylko dlatego była uprzejma.

– Co masz na myśli?

– Nie jestem psychologiem. – Swieta wykipła się od odpowiedzi. – Zajmuję się materią, którą można zważyć, zmierzyć, gruntownie przebadać. Nie znam się na tym, ale wiem co nieco o narcyzach. Nie wiem, jak to się dzieje, ale cały czas na nich trafiam. Matka, trzech moich byłych i wreszcie Dobra. Całe życie staję na palcach, żeby im dogodzić.

Hubert przemilczał uwagę. Nie rozumiał, jak Swieta może mienić się przyjaciółką Dobrawy, skoro głównie ją krytykuje.

– Powinna była przyjść tutaj osobiście – oświadczył. – Właśnie po to pradawne plemiona praktykowały rytuał obmywania ciał zmarłych i żegnania ich śpiewem. Obcowanie ze zwłokami przed pochówkiem jest po to, by informacja o śmierci dotarła do najbardziej wrażliwych.

– A jeśli się rozsypie?

– Już się rozsypała. To zachowanie nie jest typowe. Pewnie masz rację i to typ osobowości histrionicznej, który tworzy fasadę, by się za nią ukryć. Może pójdź w stronę choroby psychicznej. – Zawahał się. – Albo symuluje. Wygląda na to, że ma wiele do ukrycia.

– Myślisz, że zleciła zabicie syna? – spytała Swieta. – Sama nie mogła przecież tego zrobić! Była tej nocy poza Narwią.

– W tej chwili trwa przeszukanie jej domu, mieszkania księdza Donata i chaty Puchacza. Dowiemy się tego.

Lekarka nie odpowiedziała. Otworzyła obite czarną skórą metalowe drzwi, zza których do przedsionka buchnął kłęb pary. Hubertowi zdawało się, że wchodzi do monstrialnej lodówki.

– Obejrzymy ich?

\* \* \*

Chłopiec leżał na metalowym stole z odpływami i Swieta miała rację – wyglądał jak lalka. Teraz, kiedy Hubert poznał już jego matkę, pojął, że genetyka miała tutaj kluczowe znaczenie. Długa kość, wzrost metr dwadzieścia pięć w wieku sześciu lat, złote włosy pofalowane jak u cherubina. Zmysłowe usta i te rzęsy, jakby ktoś przymocował je dla ozdoby. Morderca nie mógł wybrać piękniejszej ofiary.

Co chcesz mi powiedzieć? Dlaczego wybrałeś akurat to dziecko? Po co włożyłeś mu w usta niemowlęcy smoczek z kawałkiem futra? Prawdziwego ogona rysia...

– Kojarzysz Izaaka?

– O tym samym pomyślałem – skłamał Hubert.

Otrząsnął się ze swoich rojeń, choć wiedział, że tego widoku nie zapomni już nigdy.

Patrzył na nacięcia o długości półtora centymetra w złączeniach stawów i na szyi.

Jak bardzo musiałeś cierpieć, chłopcze... Komu ufałeś na tyle, by pozwolić na coś

takiego? Przed kim uciekałeś? Co robiłeś w lesie? Co się wydarzyło tej nocy? Dlaczego twoja matka po tobie nie płacze?

– Ten chłopiec nie pierwszy raz dostarczał krwi. – Swieta wskazała zabliznione rany na przegubach. – A może to był wypadek? Ktoś nie chciał jego śmierci, ale upozorował dzieło dewianta, by odsunąć od siebie podejrzania?

Hubert pokręcił głową.

– Nie słyszałem jeszcze o przypadkowym upuszczeniu krwi.

Wskazał na zasinienia na nogach i pręgi biegnące od łydki po udo.

– Możemy go na chwilę odwrócić?

– Tam jest więcej śladów – potwierdziła Swieta. – Masz rację. Był bity. Poprzedniego wieczoru dostał ostre manto. Obstawiam kabel. I rękę Pawła Puchacza.

– Pewnie dlatego uciekał – zastanowił się Meyer. A potem podniósł głowę i przyjrzał się lekarce. – Wiedziałaś o tym?

Spuściła wzrok.

– Dlatego powiedziałaś mi to wszystko nad rzeką – upewnił się. – Bo to dziecko było bite od dawna, a Dobra nic z tym nie robiła.

– Teraz już ją znasz. Wiesz, jak potrafi zakłamywać rzeczywistość, żeby pasowała do jej wyobrażeń. O swoich podejrzeniach mówiłam jej dziesiątki razy. I kiedy tylko mogłam, zawsze brałam Tymka do siebie. Miał u mnie swój kąz z zabawkami, ale to Dobra była jego matką... – Swieta urwała.

– Puchacz go lał. To już wiemy – wtrącił się profiler. – A ona? Biła go? Byłaś świadkiem szarpaniny, awantur?

Kobieta długo się wahała, nim udzieliła odpowiedzi.

– Kiedy miał trzy, może cztery latka, odwiedziłam ją bez zapowiedzi. Byłam w pobliżu, przyjechałam do rodziców. Pomyślałam, że kupię ciasto, wino i wejde pogadać. Przywiozłam też prezent dla Tymka. Mieszkali wtedy kątem u Donata. Jeszcze nie zbudował Kamiennego Fortu. Za kościółkiem była mała plebania. Dosłownie dwa pokoje. Oddał Dobrej i dziecku ten większy...

Zatrzymała się. Przykryła chłopca prześcieradłem, ale twarz zostawiła odsłoniętą. Wyglądał jak śpiący anioł z fresków. Hubert nie mógł się powstrzymać i go sfotografował.

– Przepraszam – powiedział, widząc zaskoczenie na twarzy Swiety. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Długo milczała. A potem nagle podniosła prześcieradło, by ułatwić mu wykonanie kolejnych zdjęć.

– Jeśli to pomoże szybciej znaleźć mordercę, rób, co chcesz. A potem odwróciła się do kamery. – Jest wyłączona. Prokurator był trzy godziny temu, podpisał mi raport i wrócił do miasta. Możemy być tutaj tak długo, jak chcesz.

– Wiem, ile masz pracy. – Skinął jej głową w podziękowaniu. – Nie zamierzam ci

zawracać głowy bez potrzeby. Też muszę się wyspać. Jeśli szczerze, od przedwczoraj nie zmrużyłem oka. A przedtem miałem inne przejścia. Służbowe... – Urwał.

– Malują się na twojej twarzy. Od razu poznałam. Chcesz, zapiszę ci leki na sen? Pozwolą ci się odciąć. Organizm się zregeneruje.

– Nigdy nie wspomagałem się niczym, by zasnąć – zaczął i przerwał, bo Swieta wydawała się zawiedziona. Zmienił temat. – Sandra to ładne imię. Dlaczego go nie używasz?

– Swieta znaczy światło. Zawsze mówię prawdę.

– Nie widzę związku.

– Tę ksywę wymyślił mój narzeczony – Oleksandr. Był Ukraińcem i lekarzem wojskowym. Wyjechał któregoś razu do rodziny za Donieck, a z powrotem już go nie wpuścili. Donat uruchomił swoje kontakty i dowiedział się, co się stało. Wysłali Olka poborem na wojnę. Zginął od postrzału. Ja nie byłam żoną, więc nie dostałam nawet lakonicznego powiadomienia. To się wydarzyło trzy tygodnie przed naszym ślubem.

Hubert nie wiedział, co powiedzieć.

– Teraz spotykam się z takim jednym Francuzem – kontynuowała i Hubert był pewien, że głównie z nerwów. Byle mówić, zagadać tamten temat. – Jest trochę starszy ode mnie. Z wykształcenia to farmaceuta, ale nie pracuje w branży. Przyjechał z Paryża na zlecenie Grzybka, łowczego tutejszego koła, by przygotować do sprzedaży jedną z jego spółek. Zaprzyjaźnili się. Polują razem i już wiesz, w jakich okolicznościach się poznaliśmy... To miły człowiek. Elegancki, jak to Francuz.

– Brzmi jak świetna partia i coś poważnego – skwitował zimno Hubert, choć nie widział związku ze sprawą.

– Nie jestem pewna, czy coś z tego wyjdzie – kontynuowała. – Jean Baptiste nie lubi prawdy, jak Dobra... Do dziś nie powiedziałam mu o wielu rzeczach... Nie wiem, jak by zareagował. Unika spotkania z moją rodziną. Na razie tylko randkujemy.

– Może mało w nim z wojskowego? – Uśmiechnął się, a oczy Swiety rozblęły.

– Pewnie tak właśnie jest. Zobaczymy...

Znów zapadło milczenie. Wreszcie Hubert wrócił do przerwanej wątku.

– I co zobaczyłaś, kiedy odwiedziłaś wtedy Dobrawę u księdza?

– Tymek stał w łóżeczku przywiązany za nogę. Nie mógł się ruszyć na odległość dwóch kroków. Ktoś zostawił mu miseczkę z pokrojonym jabłkiem, ale mały nie był w stanie po nie sięgnąć. Woda wylała się na pościel. Butelka była pusta. Podejrzewam, że przewróciła się, kiedy próbował ją schwycić... Kiedy znalazłam chłopca w takich warunkach, myślałam, że ją uderzę. Dzięki Bogu nie było jej w pobliżu.

– Gdzie ją znalazłaś?

– Na zakrystii. Liczyła pieniądze. Była oburzona, że się wtrącam, i śmiertelnie się na mnie obraziła. Zależało jej głównie na tym, żebym nie powiedziała nikomu, że

wchodzi za ołtarz. Wiesz, kobietom nie wolno tam bywać. Kiedy napomknęłam o dręczeniu małego, machnęła tylko ręką. Powtórzyła, że Tymek bywa upiorny. I że się nie znam, bo nie mam swoich dzieci.

– To nie brzmi jak bajka o troskliwej mamusi.

– Taka też bywała. Przy gościach... – ciągnęła Swieta. – Ale pamiętam, że wtedy, gdy go odwiązałam, garnał się do mnie i nie chciał zejść z kolan. Tulił się do piersi jak przerażone zwierzątko. Wszystko jej wybaczałam ze względu na to dziecko.

Hubert czuł, że musi sprawdzić każde słowo lekarki. Mogła oczerniać koleżankę z zazdrości i w wyniku przeżytych traum.

– Chłopiec został zgwałcony?

– Nie ma śladów penetracji, ale...

– Tak? – Hubert przełknął ślinę. Czekał.

Swieta odwróciła głowę.

– Nie – zaprzeczyła stanowczo. – Nie znalazłam żadnych obrażeń, które mogłyby wskazywać na molestowanie. Sprawca jednak pozostawił go bez ubrania... Są siniaki, otarcia i podbiegnięcia od kabla, ale one musiały powstać wcześniej.

– Ile wcześniej?

– Dwanaście godzin? – Zawahała się. – Tymek nie miał świeżych ran, jeśli dobrze się rozumiemy. Ten, kto to zrobił, nie pastwił się nad nim w ten sposób. Ale rozebrał, upokorzył i ponacał w tych miejscach. – Pokazała znów ranki. – Tutaj był wenflon.

– Sprawca musiał się na tym znać? – upewnił się Hubert. – Miał doświadczenie w opiece nad chorymi? Pielęgniarskie, lekarskie?

Swieta zastanawiała się chwilę.

– Niekoniecznie był zawodowcem. Mógł to zrobić każdy, kto umie podłączyć kroplówkę. Ktoś, kto opiekował się na przykład starszym rodzicem... To nie musi być barbarzyńca.

– Przychodzi ci ktoś taki do głowy?

– Tutaj? – roześmiała się Swieta. – W co drugim domu jest taka osoba. Większość kobiet rodzi w mieszkaniu, a pomagają im sąsiadki. Nazywają to powrotem do natury. Wiesz, do miasta daleko, a to są koszty.

– Niebyszała – zdziwił się profiler. – W dwudziestym pierwszym wieku?

– Ja nie mówię, że tak robią wszyscy... – Swieta zaczęła się wycofywać. – Ale zapytałeś o kompetencje. Moim zdaniem to nie musi być pielęgniarka czy lekarz... Sam wiesz, że sprawcy seksualni niekoniecznie gwałcą ofiary. Może rytuał spuszczenia krwi i słabnięcia dziecka zaspokajał jego potrzebę kontroli?

Hubert nie spuszczał z niej spojrzenia. Była to interpretacja. Nie suche podanie faktów. Zastanowiło go, dlaczego wchodziła w jego kompetencje.

– Przypominasz sobie coś jeszcze? Dochodziło do innych incydentów, jak ten z przywiązywaniem małego do barierki łóżka? Chłopiec ci się zwierzał?



– Tymek nie był rozmownym dzieckiem. I sprawiał problemy. Był małym buntownikiem, często bywał wściekły. Bardziej niż inne dzieci w jego wieku. Ktoś kiedyś opowiadał mi, że uderzył kamieniem kota, który zaczął się na jego kanarka.

– Miał kanarka?

– Bardzo krótko. Dobra miała alergię i nie mogli trzymać zwierząt w domu. Kupiłam mu w sklepie zoologicznym kanarka. Bardzo się ucieszył... – Przerwała.

– Jak to było z tym kotem?

– Znalaziono go na stercie liści. Miał rozbitą głowę. Ludzie mówili, że to Tymek go uderzył. Nie wiem, czy to prawda... Przy mnie nigdy nie bywał agresywny. Raz tylko zabrał z domu pojemnik z jajkami i obrzucił okna domu Pawła Puchacza. Byli z nim wtedy dużo starsi koledzy. Podejrzewam, że podbuntowały go dzieci Walochów. Ale to na nim, jako najmłodszym, skrupiła się złość miejscowych. I tylko jego złapano. Pozostali byli starsi, szybsi. Mieli doświadczenie w przeskakiwaniu płotów.

Hubert się skrzywił.

– Więc nie był takim aniołkiem, na jakiego wyglądał?

Swieta natychmiast wzięła chłopca w obronę.

– Był normalnym dzieckiem! Czasami psocił, innym razem uciekał... Ludzie będą ci opowiadać legendy, ale moim zdaniem Tymek chciał tylko zwrócić na siebie uwagę matki, która wciąż była zajęta.

Hubert nie skomentował. Podeszedł do drugiego stołu, na którym leżał ksiądz Donat.

To ciało nie było piękne ani młode. Donat cierpiał na lustrzycę. Wielki brzuch rozlewał się na boki. O ile chude łydki były niemal pozbawione włosów, o tyle plecy miał owłosione jak goryl. Głowa została poskładana z wielu fragmentów: miazga mózgu, kości czaszki i nieokreślone włókna. Hubert obejrzał w internecie zdjęcia kapelana i wiedział, że Donat był na czubku głowy całkowicie łyśy. Jakby biologia przygotowała mu idealne miejsce na biskupią piuskę. Nie było mu dane jej włożyć. Pewnie z tej przyczyny na większości zdjęć pozował w myśliwskim kapeluszu z piórkiem i zielonej marynarce. Od cywilów odróżniała go jedynie koloratka. Różnica wieku między nim a Dobrą przekraczała trzydzieści lat. Hubertowi zdało się obrzydliwe, by istota o tak wyjątkowej powierzchowności zadawała się erotycznie z ropuchem.

– Nie wierzę, że nie było między nimi seksu – odezwała się Swieta, jakby czytając Meyerowi w myślach. – Donat nie przeżył w celibacie choćby pół tygodnia. Dowodów oczywiście nie mam. Mówię ci wszystko, co wiem, a ty to sprawdzisz.

– Bądź pewna – potwierdził i ruszył do trzeciego stołu, na którym leżał wilk.

– Pierwszy raz robiłam sekcję zwierzęcia na zlecenie tej jednostki – przyznała Swieta. – Ale wykonałam ją rzetelnie, jak prosiłeś. Przyczyna zgonu nie jest możliwa do ustalenia. Pociąg skutecznie zatarł ślad, nawet jeśli do postrzału doszło.

– Z pewnością doszło – wtrącił się Hubert. – Mamy telefon księdza Gizy, kule w kieszonce i wszystkie zdjęcia jego trofeów oraz kobiet i... – Zawahał się.

– Jest na nich Dobra?

– Nie ma ani jednego jej zdjęcia – zaprzeczył i zaraz dodał: – Fotek z dziećmi też nie ma. Przy śledztwach z udziałem duchownych kładzie się dziś na to duży nacisk. Ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Miał w domu kilka innych sprzętów: tablet, dwa smartfony i laptop. Wasi informatycy próbują złamać jego hasła.

– Nie sądzę, żeby był pedofilem – oświadczyła stanowczo. – Jebaką? Tak. Brutalem, który lubi zapach krwi? Być może... Nie słyszałam jednak żadnych plotek, by namawiał ministrantów czy jakieś dzieci do niecznych czynów. – A potem wskazała białego wilka. – Miał czip. Podam ci numer. Prześledźcie, jak biegł i gdzie został trafiony. Może to pozwoli ci uszczegółwić przebieg wydarzeń.

– Już to zrobiliśmy. Czupryna rozmawia teraz z kobietą zajmującą się wilkami. Ale chętnie sam to sprawdzę, póki nie przekażą mi oficjalnych raportów.

Świeta kiwnęła głową, jakby meldowała, że przyjmuje dane do wiadomości.

– I jeszcze jedno. To mnie zaciekawilo najbardziej. – Pokazała. – Widzisz?

Na strzaskanej obroży wisiał malutki nadajnik wielkości jednogroszówki.

– Ocalał. Jest zrobiony z ołowiu. To domowa robota. Nie stosuje się takich urządzeń w organizacjach proekologicznych. Ktoś zrobił to specjalnie dla tego wilka.

– Co masz na myśli?

– Dla ciebie złamałam dane sobie słowo. – Sięgnęła do kieszeni i podała mu karteczkę z zanotowanym numerem. – Maniek czeka na twój telefon o każdej porze dnia i nocy.

– Co jest w tym nadajniku?

– Lokalizacja. Myślę, że to wyjaśnia, skąd snajper wiedział, gdzie poluje Donat. Tego wilka wypuszczono wprost pod jego strzelbę.

– To możliwe?

– Nadajnik naprowadza drugie, bliźniacze urządzenie. Gdziekolwiek ksiądz Giza by się ruszył z ciałem drapieżnika, sprawca by go znalazł. Myślę, że teraz też wie nie tylko, gdzie znajdują się wilki, ale na przykład także to, że o nim rozmawiamy.

– Uważasz, że nas słyszy?

– To ponoć zaawansowana technologia, choć opakowanie na to nie wskazuje. Tak ma być. Udaje samoróbkę, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

Hubert poczuł grozę. Nie wiedział, co myśleć. Otworzył usta, zamknął.

– Koniecznie pogadaj z Mańkiem – powtórzyła lekarka. – On twierdzi, że nasi myśliwi nieprzypadkowo zabili już kilka podobnych białych wilków. To dla nich rarytas, rodzaj trofeum. Rzadki drapieżnik pod ochroną przydaje prestiżu. Sama nie wiem... Maniek uważa, że dlatego zginęli i dziecko, i myśliwy. Może być więcej ofiar, jeśli go nie powstrzymasz...

– Zabrzmiało jak z dobrego dreszczowca. – Hubert przyjrzał się kulce ołowiu. Zrobił zbliżenie, a potem nie czekając na pozwolenie, zdjął ją z kółka. Pochylił się i wysylabizował przesadnie: – Teraz mamy bezpośrednią linię, bydlaku.

Świeta się nie zaśmiała. Odwróciła się i podeszła do niewielkiej misy na czwartym stole. Leżał w niej smoczek z kawałkiem futra.

– To był ryś. Podobno w okolicy żyje tylko jedna rodzina, ale może uciekła już na Białoruś. Oficjalnie gatunek u nas niewystępujący. Ten fragment został odcięty ze skóry, którą znajdziesz w salonie księdza Donata. Pamiętam ją. Dobra swego czasu wysyłała rysia do wyprawienia, a potem fabrykowała listy z prośbą o pozwolenie na prezentację trofeów na wystawie Pelikana. Wiesz, że to Donat nauczył ją polować? Wychodzili łowić razem, a choć to zakazane, zabierali ze sobą małego. Tymek pierwsze kroki stawiał w lesie. Widział, jak Donat i jego matka zabijają zwierzynę, oprawiają i przynoszą mięso do domu. To dlatego mały bywał czasem taki dziwny.

– Co masz na myśli? – zachnął się. – Poza pogłoskami o kocie. Niepotwierdzonymi, rzecz jasna...

– Są rzeczy, których dziecko w jego wieku nie powinno wiedzieć ani oglądać – odrzekła i urwała.

– Bardzo mi pomogłaś – podsumował Hubert, choć sam nie wiedział jeszcze, co z tych nowych danych ma znaczenie, a co zaciemnia obraz. – Dziękuję, że zostałaś po godzinach.

– *A votre disposition.* – Zaczęła przykrywać kolejno ciała. Dopiero kiedy skończyła, dodała: – Wybacz, że cię nie odprowadzę, ale mam dużo pracy.

– Ja też – odparł i zastanowiło go, że kiedy podała mu wszystkie informacje, które chciała przekazać, straciła nim zainteresowanie.

\* \* \*

Zmierzchało, a nad łąką wisiała czerwona luna zwiastująca przymrozek następnego dnia, więc kiedy Hubert zbliżył się do zagrody ekologa, nie od razu pojął, z kim szarpie się Maniek Kolecki.

– Z nieba mi spadasz, człowieku! – burknął mężczyzna zamiast powitania. – Pomóż, bo on bardzo cierpi.

Hubert pchnął chybotliwą bramkę i przyśpieszył kroku. Torbę z dokumentami rzucił pod płótem.

– Przynieś tamten koc!

Ekolog wskazał sznur, na którym wisiała wielka płachta w kolorowe pasy. Ktoś uprał ją i powiesił, by się wymroziła. Hubert już wcześniej spostrzegł, że to tutejsza tradycja. Miejscowi wystawiali pranie na mróz i zdejmowali je sztywne, by dosychało w domu przy piecu. Kiedy podszedł z płachtą, która wciąż zachowywała swój kształt po zawieszeniu na sznurze, zobaczył, że poturbowanym na przednim siedzeniu pasażera jest nie człowiek, lecz bocian.

– Co się tak patrzysz! – obsztorcował go Maniek. – Naprostuj kapę i dawaj ją! Bazyl ma przestrzelone skrzydło! Jak będzie nim ruszał, więcej nie polecą. Od razu możemy gotować z niego rosół...

Długo miotali się z zamarznąłą kapą, aż wreszcie udało im się zawinąć ptaka i wydostać go z samochodu. Przenieśli go do ogrzewanego kojca za domem, w którego centrum stała ogromna balia wypełniona wodą. Mimo niskiej temperatury nie była zmrożona. Maniek wciąż powtarzał, by uważać na nogi, bo bocian wierzgał czerwonymi pałkami z siłą stukilowego mężczyzny, lecz łatwo było je złamać.

– Co za kolos! – jęknął Hubert, gdy w końcu zapanowali nad ptakiem, a Maniek z wprawą aplikował bocianowi środek nasenny. Szybko jednak okazało się, że to ledwie początek operacji.

– Teraz! – huknął z nagłą ekolog i nie czekając, aż ciało ptaszyska zwiotczeje, zabrał się do wyjmowania kuli.

Zadaniem profilerów było trzymanie miotającego się z bólu pacjenta. Po kwadransie przepychanek Hubert miał ręce poranione pazurami i bocianim dziobem. Wreszcie skończyli. Ptak wyglądał jak nieżywy, a wokół pełno było piór i świeżej krwi.

– Dobra robota – skwitował Maniek i przyciągnął swój plecak.

Wyjął termos, odkręcił i napełnił kubek parującym płynem. Podał Meyerowi, który upił łyk, krzywiąc się na gorzki smak ziółek. Dopiero wtedy Kolecki spojrzał na gościa łaskawiej.

– Dziękuję za pomoc.

Wyciągnął dłoń. Przywitali się.

– Drobiazg – odparł Meyer, choć czuł się jak po porządnym biegu. Otarł twarz z potu i wskazał leżącego u ich stóp bociana: – Czy ten gość nie powinien być w Afryce?

– Powinien, a jakże – zgodził się ekolog i zadarł głowę. Wskazał gniazdo na lampie przed swoim domem. – Moje jeszcze nie przyleciały, a jego rodzina tutaj została. Bociany wiążą się na całe życie. Mają jednego partnera i razem wychowują dzieci. Skoro żona zdecydowała się na przezimowanie w Polsce, i on nie emigrował. Wiem, że próbował, ale wrócił. Żerował po gospodarstwach, starał się zapewnić dzieciakom byt. I jakiś łajdak znów go postrzelił.

– Jak to znów?

Hubert powstrzymał się przed komentarzem, że Maniek mówi o ptaku jak o człowieku.

– Normalnie – prychnął ekolog, zdejmując czapkę. Dredy rozsypały się na plecach, ale na czubku głowy widniała łysina. Hubert z satysfakcją przyznał, że facet w nakryciu głowy prezentuje się o niebo lepiej. – Na szczęście to tylko śrutówka. Chyba nawet wiem, kto się na niego zamierzył. Kojarzysz fermę lisów na obrzeżach Narwi?

– Nie znam tutaj nikogo – odparł Hubert. – Jestem profilerem. Przyjezdny.

– Wiem przecież. Cała okolica o tobie gada. Mieszkaś w chacie starego Domana. Hubert już wiedział, co powie przyjacielowi o jego wspaniałej kryjówce.

– Ta ferma należy do ojca jednego tutejszego gliniarza. Czołgiewicz się nazywa. Mówią na niego Czołg.

Hubert podniósł brew.

– Chyba go jeszcze nie poznałem.

Maniek się uśmiechnął.

– Jeśli będziesz robił przy tym dochodzeniu, to się zmieni. Aspirant Czołgiewicz walczy o stanowisko z młodym Domańskim. Czuje też miętę do Eli, jego żony. Ci dwaj to wrogowie, choć Doman stara się jak może zakopywać topór wojenny.

– I ten Czołg lubi strzelać do bocianów dla sportu?

– Mawia, że wychodzi taniej niż strzelnica u Puchacza.

Hubert przyjrzał się ekologowi.

– Skąd to wiesz?

– Wszyscy wiedzą. – Maniek wzruszył ramionami. – To przecież totalne zadupie. Pierdniesz pod kołdrą i słyhać aż w kościele. Czy wiesz, że na Puchacza od dawna były zakusy, żeby go wsadzić? To się wreszcie Czołgom udało. Ciekawe, bo ksiądz zginął akurat wtedy, kiedy chłopaki się pogodzili i podzielili Dobrą, a Donat rozdzielił między nich swój majątek.

Hubert oniemiał.

– To także gadają we wsi?

– Kłócili się o kobietę, fakt, ale i o wspólne interesy. Jedź do Hajnówki, pogadaj z notariuszem. Jest tylko dwóch, nie zbłądzisz. Albo poproście o wgląd do ostatnich aktów. Podzielili wszystko i z tego, co mi słowiki i sowy doniosły, Dobrawa wcale się na śmierci Donata nie obłowi.

– Sprawdzę.

– Liczę na to – rzekł obojętnie Maniek.

Pochylił się nad bocianem. Przykrył go troskliwie jak kochankę, która zaniemogła. Hubert wskazał śpiącego ptaka.

– Jak go znalazłeś?

– Monitoruję wszystkie osobniki. Obserwuję każdą bocianią rodzinę. Wiem, co lubią, jak wychowują swoje dzieci. Staram się wiedzieć, kiedy wracają, i dbam, by nie robiono im krzywdy. To numer dwadzieścia trzy, mój faworyt. Dałem mu na imię Bazyl. Znam go od pisklęcia. Nagrywałem film, jak się wykluwa z jaja. Możesz wyszukać w internecie. Sam wtedy zaczynałem z fundacją... – Przerwał, bo spał się, by przenieść ptaka dalej.

Hubert podziwiał jego krzepę. Kolecki zrobił to sam, bez proszenia o pomoc. Kiedy układał bociana w nowym miejscu, pogładził go z czułością, jak większość

ludzi traktuje domowe koty albo ulubionego psa. Wrócił i kontynuował, jak gdyby nigdy nic:

– Ktoś zniszczył jego gniazdo. Nie wiem, co się stało z partnerką i dziećmi Bazyla. Czy przeżyły? Bez naszej pomocy nie przetrwają przednówka. A nie wygląda, by wiosna tego roku nadeszła przedwcześnie. Bazyl musiał ich szukać. Gniazda zwykle są rujnowane, żeby wypłoszyć ptaki i móc do nich strzelać. – Urwał. – Nie pytaj, kto za tym stoi. Wiem, ale nie mam dowodów. Ogólnie mogę ci powiedzieć, że to klika tutejszych pseudomyśliwych... I nie chodzi mi tylko o członków Pelikana.

– Znasz się na tym – skwitował Hubert, choć trudno mu było wyobrazić sobie Domana mierzącego z dubeltówki do bocianów.

– To moja robota. Unia płaci mi sowicie za badania. Powinienem był zawiadomić Bocianią Rodzinę, ale gdybym czekał, aż przyjadą ludzie z fundacji, Bazyl by zszedł. Uratowaliśmy mu dzisiaj życie. Po postrzale zabraliby go na kwarantannę, a ja wiem, że on ucieknie przy pierwszej lepszej okazji. Będzie chciał znaleźć swoich. Lepiej niech zostanie u mnie. Zajmę się nim, jak należy. Dobrze się poczuje, wypuszczę go. W tym czasie poszukam jego bliskich.

Hubert nic nie odpowiedział. Facet ewidentnie miał swój świat.

– Wiem, że przyjechałeś z powodu wilka – zmienił nagle temat Maniek. – Chcesz wejść, coś zjeść? Czy pogadamy na werandzie?

Meyer się zamyślił. Było mu zimno, ręce miał zgrabiące. Rękawice podarte. Cały był pokrzwawiony. O masce covidowej Maniek chyba nie słyszał.

– Umyłbym ręce, jeśli to nie problem.

– To włącz. – Ekolog wskazał drzwi chaty. – W szufladzie masz płyn do dezynfekcji. Częstuj się!

A potem coś sobie przypomniał, odwrócił się i ruszył do auta, zostawiając Huberta samego, jakby psycholog bywał u niego codziennie od lat.

– Zaraz wracam, tylko wezmę sprzęt – krzyknął. – Sprawdzimy trasę wilka i dodam cię do użytkowników aplikacji. Pobierzesz ją w wolnej chwili. Masz nadajnik?

Hubert sięgnął do kieszeni. Pokazał.

– Święta mówiła, że to nie pierwszy postrzał – zaczął, ale Maniek nie dał mu dokończyć.

– I nie ostatni, obawiam się. Mam teorię na temat zbrodni w naszym lesie. Jeśli chcesz jej wysłuchać, chętnie się podzielę.

– Mówisz o księdzu czy o dziecku?

– Nie wiem, jakim cudem wmieszał się w to Donat – przyznał ekolog. – Liczę, że odkryjesz powiązanie. Ja się na ludziach nie znam. Gadałeś ze Świętą, więc wiesz, że związki średnio mi wychodzą. Wiem za to sporo o tutejszych zwierzętach. Wilk, który zginął, przyjaźnił się z Tymkiem.

– Przyjaźnił? – upewnił się Hubert. – Co masz na myśli?

– Basior go sobie upodobał. Podchodził pod ich dom, bo chłopak go karmił. Kradł dla niego żywe kury, a wilk w podzięcie lizał go po twarzy. One mają doskonały węch. Tak okazują uczucia.

– Słyszałem – mruknął Hubert i przypomniał sobie stare śledztwo w sprawie zabójczynie dzieci. Mieszkał wtedy w Jakunówku, a za sąsiadkę miał zwariowaną panią biolog, która walczyła o wilki. Może nie zaszkodziłoby znaleźć do niej kontakt? Powiedział coś innego: – Nie obraż się, ale to, co mówisz, brzmi dosyć fantastycznie. Nikt poza tobą o tym nie wspominał...

– A co oni mogą wiedzieć o wilkach? Uważają je za potwory, bestie. To są drapieżniki, ale nie monstra... To, co napomknąłem o przyjaźni Tymka z basiorem, to nic... Oj, nieraz jeszcze uniesie ci się ta brewka. – Maniek zaśmiał się nerwowo, lecz zaraz zmarkotniał. – Wilki nie dają się udomowić. Nie przywiązują się jak psy. Dlatego kiedy o tym usłyszałem, sam nie wierzyłem... To brzmiało jak baśń... Mroczna bajka... – Urwał, zamyślił się. Spojrzał na rzekę. – W naszym lesie było tylko pięć białych basiorów i jedna wadera. Sądzimy, że przybiegły z Syberii, i nikt nie wie, dlaczego zostały. Ale to nie nasz gatunek. Dwa już odstrzelono. Zostały tylko cztery. To matka i młode tych, które zabito. Od tamtej pory ich nie widziałem, ale możemy sprawdzić ich nadajniki.

– Ty je założyłeś?

Ekolog powoli skinął głową.

– Ja z kolegą.

– Kolegą? – zdziwił się Hubert. – Myślałem, że jesteś samotnikiem. Prowadzisz fundację sam...

– Ten kolega mieszka na Białorusi. To zootechnik. Ma swój teren. Kontaktujemy się wirtualnie. Bardzo rzadko przyjeżdża. I to od niego mam niektóre dane, nowinki techniczne. Jest dobry w te klocki. Pomógł mi przy mojej wilczej aplikacji.

– Okej – przytaknął ostrożnie Hubert. – Jaki to ma związek ze sprawą, która sprowadziła mnie w twoje progi? Bo wszystko brzmi arcyciekawie, ale mam w cholerę roboty ze śledztwem. Czas ma tutaj znaczenie.

– Zgadzam się – potwierdził Maniek. – I dlatego tak mi zależało, by Swieta cię do mnie podesłała. Nikt inny by mi nie uwierzył. Może ty też nie, ale przynajmniej jesteś obcy. Są szanse... Czytałem o tobie i liczę, że zbadasz rzecz gruntownie.

– Jak zawsze – zgodził się skwapliwie Hubert. – Więc?

Maniek Kolecki wahał się dłuższą chwilę, nim odpowiedział.

– Moim zdaniem gdzieś w lesie leżą zwłoki jeszcze jednego dziecka. Czy wiesz, że w listopadzie zaginęła córeczka łowczego koła Pelikan? Mniej więcej w tym samym czasie na torach, dokładnie w tym samym miejscu, ułożono wilczycę. Jej nadajnik też mam. Prześledzimy archiwalia jej trasy aż do śmierci. Może to pozwoli ci znaleźć ciało Miry Grzybowskiej, lat jedenaście.

\* \* \*

Hubert wparował do opustoszałego domu kultury, nie zwracając uwagi na dyżurnego, który mimo swojego zaawansowanego wieku żwawo biegł w ślad za nim, pokrzykując i domagając się wyjaśnień. Psycholog otworzył drzwi pokoju podkomisarza Domańskiego. Był pusty. Na biurku stała parująca kawa, a w popielniczce tlił się papieros.

– Gdzie szef? – Meyer odwrócił się do brzuchatego i wąsatego funkcjonariusza, który wyglądał, jakby od dawna powinien być na emeryturze.

– Wyszedł z wojewódzkim.

– To Czupryna nie pojechał?

– Dopiero przed chwilą zapakowali się do auta. Niedługo Doman powinien być z powrotem. Szef chciał przegadać z nim jeszcze jakieś sprawy.

– Poczekam.

Hubert usiadł za biurkiem młodego Domana i w dwóch haustach wypił całą kawę. Potem włożył do ust zapalony papierosa i porządnie się nim zaciągnął. Popiół spadł na papiery, ale psycholog zaraz go zdmuchnął. Dyżurny nie spuszczał z gościa przerażonego spojrzenia.

– Nie martw się pan, nie obrabuję podkomisarza. – Profiler uśmiechnął się kpiąco, a potem wyjął z kieszeni pognieciony plakat, który dostał od Mańka Koleckiego. – Przynieś mi w tym czasie akta tego zaginięcia.

– To nie nasz teren. Zgłoszenie było na komisariat w Rybitwie. I zresztą wycofano je. Matka rozklejała te wydruki na złość mężowi. – Dyżurny machnął ręką. – To piniaczka. Miesza tylko i robi mu koło pióra. Fakt, skoczył w bok. I to niejedyn raz... Ale poszło o forszę. Walczą o podział majątku, a jest co dzielić.

– Pojedź do Rybitwy i przywieź dokumenty – upierał się Hubert. – Popilnuję biznesu.

– Nie mogę, inspektorze. Doman łeb mi urwie... A jakby ktoś zadzwonił z informacją? Przecież pan wie, że otworzyliśmy gorącą linię.

– Ile osób zadzwoniło?

– Jak na razie nikt – przyznał policjant.

– Ciekawe. – Hubert zamyślił się i podszedł do czajnika, dotknął go. Był jeszcze gorący. – Jeszcze nie pracowałem przy sprawie, żeby nie było choć jednego świra.

– No, jedna wariatka była. Chciała mi sprzedać kołdry z wielbłądziej wełny – przyznał dyżurny. – Rozłączyła się, zanim zażądałem podania PESEL-u.

Hubert wzniosł oczy do góry. Takie rozmowy nie należały do ekonomicznego racjonowania energii. Już lepiej spożytkowałyby ten czas na myślenie o niczym.

– Długo trzyma temperaturę ten czajnik? – rzucił i nie czekając na odpowiedź, dolał wody do kawy, choć była już ledwie ciepła. – Jak się nazywasz?



– Żelislaw Pabich. Ale wszyscy mówią do mnie Żelich. Skrót od imienia i nazwiska, wie pan...

– Zrozumiałem – uciął zniecierpliwiony Hubert. Podszedł do mężczyzny. Uścisnął mu dłoń. – Hubert jestem. I nie mów do mnie „inspektorze”, bo dawno nie ma mnie w tej firmie. Dlatego właśnie mogę więcej niż ty i w razie jakby co, gwarantuję ci, że wykorzystam swoje kompetencje. – Rozsiadł się z dolewką swojej lury. Miała kolor brudnej ścierki i była równie smakowita. – Skoro nie chcesz jechać do Rybitwy, opowiedz mi o zaginięciu małej Miry.

Żelich się spłoszył. Obejrzał się na drzwi, by upewnić się, czy na posterunku poza nimi rzeczywiście nikogo nie ma.

– Rozmowa jest nieoficjalna. Nikt się nie dowie – zachęcił go Meyer. – Ojcem zaginionej dziewczynki jest łowczy Pelikana i kuzyn księdza Gizy. To prawda?

– Zgadza się.

– Więc jak to było z tym uprowadzeniem?

– Nie ma pewności, czy dziewczynka w ogóle zaginęła. Grzybek, znaczy się Wojtek Grzybowski, długo nie zgłaszał sprawy... Twierdził, że żona go opuściła i wyjechały z córką do teściów nad morze. Bo Basia Grzybowska jest z Kamienia Pomorskiego.

– Kiedy sprawa wyszła na jaw?

– Miesiąc temu. Jak teściowie przybyli do nas z mordą, że zięć zabił córkę i przetrzymuje wnuczkę.

– Weszliście mu do lokalu?

– I do firmy – skwapliwie meldował Żelich. – Przeszukano każdy centymetr biura. Budynki koła też poddano rewizji. Nic podejrzanego nie zabezpieczono. Pamiętam, że ksiądz Giza wziął wtedy Grzybka w obronę. Oni, wie pan, zawsze byli ze sobą blisko. To dzięki inicjatywie Grzybka Donat został honorowym prezesem i koło przeznaczyło pieniądze na figurę świętego Huberta, choć nie wszyscy temu przyklasnęli.

– Słyszałem, że Grzybek był przeciw kapliczce.

– Tylko początkowo – wyjaśnił dyżurny. – Chciał ją mieć bliżej siebie, dokładnie na własnej działce. Był zły na księdza, że zmienił lokalizację, chociaż mu to obiecał. No i wziął za to szmalec...

– Grzybek zapłacił Donatowi? – upewnił się Hubert. – A ten nie dotrzymał słowa i, jak rozumiem, pieniędzy nie oddał?

– Musi tak właśnie – potwierdził dyżurny i mruknął coś gwarą. – Ludzie plotkowali.

– Ilu członków należy do tego koła?

Żelich wznosił oczy do góry i zaczął liczyć, powoli wyłamując palce. Hubertowi wydawało się, że trwa to wieki.

– Dwadzieścia jeden osób. Po śmierci Donata zostało dwadzieścia. Zawsze było

tylu, mówiąc szczerze. Nie dopuszczali nowych, póki ktoś nie umarł.

– Więc jedno miejsce się zwolniło – rzekł Meyer. – Jest jakaś lista rezerwowych? Kto decyduje o przyjęciu nowego człowieka?

– Grzybek. Jest łowczym, odkąd pamiętam.

– Też jesteś myśliwym?

– Żona z domu by mnie wygnała! Ratuje bezpańskie koty i od lat nie je mięsa. Segreguje każdą folijkę i tak dalej... – Zaśmiał się nerwowo. – Broń lubię i celnie strzelam, ale robota tutaj w zupełności mi wystarczy.

– Kto jeszcze z waszych jest w kole?

– Naszych?

– Z policji, straży. Mundurowi...

– No... – Żelich się zawahał. – Obaj Domańscy są w kole i nasz technik – Wacek Wieleba. No i zastępcy Tomka: Waldka jako druga kobieta po Dobrawie miała ostatnio przystąpić. Na razie tylko z nimi sympatyzuje. W każdym razie płaci składki. Czołgiewiczze... Za to z Rybitwy wszyscy trzej gliniarze należą.

– Co było dalej z Mirą?

Żelich natychmiast sposepniał.

– Nie znaleźliśmy jej. Matka najpierw ukrywała się u jakiejś koleżanki. Nie ustaliliśmy nazwiska, bo wyjechała... Teraz jest w Kamieniu Pomorskim. Rodzice szukali córki przez dwa tygodnie, a potem wrócili do domu. Grzybek twierdzi, że kłamie. Dlatego tak szybko zabrali się z Narwi... Wielu podziela jego pogląd. Jaka matka zostawiłaby dziecko i pojechała do rodziny za pracą?

– Wezwij ją na jutro – zarządził Meyer. – Pojechałbym do niej, ale nie mam na to czasu. Tak jej powiedz.

– A rozkaz Domana?

Hubert się skrzywił, z trudem hamując wybuch. Znał ten typ służbisty. Nie zrobi niczego, co mogłoby narazić jego ciepłą posadkę.

– Sam się tym zajmę – zdecydował. – Podaj tylko jej numer. I wszystkie namiary, jakie masz.

Funkcjonariusz trzasnął obcasami zadowolony i odwrócił się do drzwi.

– Chwilunia! – krzyknął Hubert. – Jeszcze nie skończyliśmy. Powiedz, gdzie szukaliście i jakie macie ślady. Braliście pod uwagę, że dziewczynka już nie żyje?

Żelich zawahał się, pochylił głowę.

– Wtedy nikt nie wierzył Basi. Każdy myślał, że to sprawa rodzinna.

– Grzybek bił żonę? Była tam przemoc?

– Z tego, co wiem, to nie... Basia, nawet jak się znalazła, nic takiego nie zeznawała. Mówiła o nadmiernej kontroli, śledzeniu i różnicy charakterów... Coś wspomniała o zdradzie Grzybka. Nic o siniakach i podnoszeniu ręki.

– Załatw mi jej telefon i dzwoń do Domana, że oddelegowuję cię do Rybitwy. Posiedzę za ciebie na posterunku, aż podkomisarz wróci. Gorącą linię też przynieś. Będę odbierał.

Chwilę potem Żelich położył przed nim karteczkę z namiarami na żonę Grzybowskiego.

– Na imię jej Basia – powtórzył. – A odkąd opuściła męża, używa nazwiska panieńskiego. Sowula.

– Sowula? – zdziwił się Meyer. – Jak Sandra Sowula, lekarka medycyny sądowej?

– Są kuzynkami. Chyba ze strony ojca – wyjaśnił Żelich i opuścił pośpiesznie pokój, jakby uciekał przed kolejną nawałnicą pytań.

Niepotrzebnie, gdyż Hubert nie zwracał już na niego uwagi. Sięgnął po aparat i wykręcił numer Basi. Przedstawił się i czekał na reakcję.

\* \* \*

– Bóg mi pana zesłał! – wykrzyknęła kobieta po drugiej stronie. – Czytałam w internecie, że znaleźliście Tymka. Mój Boże, toż to makabra! Może ktoś wreszcie na poważnie zajmie się poszukiwaniami mojej córeczki! – emocjonowała się.

– Dlaczego pani wyjechała?

– Bałam się – padło w odpowiedzi. – Dobrawa mi doradziła, żeby jak najszybciej zejść im z oczu. Miała mi donosić, co się dzieje, ale nigdy nie zadzwoniła. Nie wiem, jak mogłam tak dać się nabrać.

– Dobrawa Wąta? – upewnił się Hubert. – Matka Tymka? Skąd się znacie?

– Nasze dzieci nie chodziły do jednej klasy, ale szkoła jest mała. Wszyscy rodzice się znają. Dobra mieszkała dom w dom z moją cicią. W Narwi mówią na nią Swieta. Może pan z nią pomówić. Ona mieszka teraz w Białymstoku, ale często bywa w rodzinnych stronach. Jej rodzice są schorowani...

– Tak wiem, poznałem Swietę – przerwał jej Hubert.

– Czasami, kiedy odwiedzałam cicię, widywałyśmy się z Dobrą. Gdy ostrzegła mnie, że Donat mi tego nie daruje i planuje zemstę, byłam wstrząśnięta... Uciekłam.

– Czego ksiądz Donat nie mógł pani darować?

– To ja upubliczniłam jego wnioski o zalegalizowanie trofeów. Zrobiła się z tego wielka afery w mediach. No wie pan, głowa wilka, ryś, kość słoniowa... Pan wrzucił w internet nazwisko „ksiądz Donat Giza” i wejdzie w grafikę. Skan powinien wyświetlić się jako jeden z pierwszych. Ludzie zaczęli to udostępniać. Wszyscy ekolodzy, organizacje zielonych... Donat stracił przez to stanowisko w Lasach – mówiła jak nakręcona. – Ale teraz, kiedy on już nie żyje, wsiadłam w najbliższy pociąg i jestem na Podlasiu. To mi zajmie całą noc i pół dnia jutrzejszego. Został mnie pan w Kamieniu Pomorskim. Mam prawie tysiąc kilometrów do pokonania, a samochodu nie prowadzę. Ale proszę się mną nie martwić. Dotrę. Byle tylko udało

się panu wznowić poszukiwania! I niech pan koniecznie pomówi z moją ciotką. Święta znała całą prawdę od początku i ukrywała mnie w Białymstoku, kiedy była na mnie nagonka.

– Jaka nagonka?

– Groźby, szarpanie. Święta opowie. Ja już do niej dzwonię i upoważniam ją do zdradzenia wszystkich tajemnic księdza Gیزی! Może jak on nie żyje, sprawa wreszcie wyjdzie na jaw... Boże, błogosław! Ja nie przestałam wierzyć, że zdarzy się cud i ktoś odzyska moje dziecko... Gdzie pana znajde?

Hubert podał numer komórki Domana i zastrzegł, że jak tylko następnego dnia aktywuje własną, poda jej bezpośredni namiar. W razie czego miała dzwonić na posterunek albo do Święty.

– Ksiądz Donat pani groził?

– A mój mąż był z nim w zмовie, choć wtedy tego jeszcze nie wiedziałam – odparła bez zastanowienia. – Wiele razy. Śmiercią. Dzwonił, przyjeżdżał. Zaczęła się pod moją pracą... Że zniszczy mnie. Oczerni, że się kurwię. Pomówił mnie w pracy, że kradnę. A na koniec powiedział, że mąż z domu mnie wyrzuci. I generalnie mam to odszczekać, przyznać, że jestem wariatką, hejterką i szkalowałam jego imię bezpodstawnie. Nie zgodziłam się. Kazałam mu się odpiardolić. Pan wybaczy, ale Donat tak właśnie się wyrażał, gdy był rozwścieczony. A wtedy był niemożliwie! Wszystko nagrałam, pokażę panu. Wszystko mam w komórce, bo jak trzymałam na dysku w chmurze, to się włamali i próbowali skasować. Nikt wcześniej nie chciał mnie słuchać... To sitwa!

– Faktycznie, jakby wszyscy w Narwi byli ze sobą skoligaceni – zauważył Hubert.  
– Żadnych obcych.

– I jak w rodzinie są niesnaski oraz nienawiści. Ręka rękę myje, a jak trzeba, to nikt pary z gęby nie puści. Od początku mówiłam, że w porwaniu brał udział mój mąż. Ale ponieważ Grzybek przyjaźni się z tutejszymi policjantami, nikt nie brał moich słów poważnie. Tylko straciłam robotę. Bogu dzięki, że pan przyjechał.

– Proszę powiedzieć, w jakich okolicznościach zaginęła Mira – przerwał jej Hubert.

Kobieta się zawahała. Wiedział, że to może być dla niej trudne.

– Nie wróciła ze szkoły.

– Przecież dzieci uczą się online. Po co poszła do szkoły?

– Była wystawa tymczasowa zorganizowana przez koło łowieckie. Dzieci miały akademię, odgrywały scenki z myśliwskiego teatryku i śpiewały piosenki. Nie chciałam się na to zgodzić, a Mira też nie miała ochoty brać w tym udziału, bo ona ma dobre serce, ale jej tato się uparł. Wie pan, że Grzybek jest łowczym Pelikana? Wściekł się, że córka nie będzie przynosiła mu wstydu. Skoro obce dzieci biorą udział w przedstawieniu, to jego córka ma zagrać główną rolę.

– I zagrała?

– Niestety – przyznała cicho kobieta. – Wyrecytowała swoje, zaśpiewała trzy piosenki, a potem wybiegła z sali i ukryła się w łazience. Ostatnią osobą, która widziała ją żywą, był Tymek Wątki. Pomagał jej, kiedy wymiotowała w toalecie. Oni się przyjaźnili. Razem chodzili do lasu. Tymoteusz często u nas bywał. Wie pan, Dobra wyjeżdżała, więc jak chłopiec był pod opieką Święty, to ciocia pozwalała mu na wyjścia do nas. A jak zajmował się nim Paweł, to też zwykle Tymka nocowaliśmy. Ja nawet wołałam, gdy chłopiec był u nas, bo Grzybek wtedy mniej się rzucał. Nie bił mnie nigdy. Co to, to nie! Nie pozwoliłabym... Ale terroryzował mnie psychicznie. Zdradzał. Wszyscy we wsi o tym wiedzieli! Dlatego w końcu zdecydowałam się odejść. Inaczej nie wiem, co by się stało. Zabiłabym go chyba, a nie chciałam zostać morderczynią. Mam dziecko!

– Jest pani pewna, że poza Tymkiem nikt więcej Miry nie widział?

– Tak wynikało z rozpytań policji. Sama obeszałam wszystkich, zagadnęłam chyba każdego mieszkańca... Nie znalazłam nikogo, kto mówiłby z nią po akademii.

– Pani Grzybowska, pani Basiu... – Hubert zaczął powoli, by wiedziała, że to pytanie ma wielką wagę. – Czy słyszała pani może o innych zaginięciach dzieci w tej okolicy?

– Nie. Tylko moja Mira zniknęła. – Rozpłakała się. – Ale mówiłam głównie z ludźmi z Narwi i w Rybitwie. Nikt mi nie wierzył. Nie potrafiłam tego pomieścić. Ledwie wytrzymałam ten miesiąc. Pana pojawienie się w Narwi jest jak ostatnia nadzieja...

– Proszę się spakować na kilka dni – polecił. – Może pani wziąć urlop z pracy?

– Wezmę na żądanie tyle, ile będzie trzeba. Jak pracodawca odmówi, trudno, poświęcę tę robotę – odparła. – Niech pan mi wierzy, zrobię wszystko, żeby znaleźć Mirę. Zaraz kupuję bilety i jadę. Może pan na mnie liczyć.

Ledwie odłożył słuchawkę, w drzwiach stanął zaczerwieniony od mrozu młody Doman, a za nim drżący i spłoszony Żelich. Dyżurny przyciskał do piersi cienką teczkę akt.

– Siadaj, Tomku. – Hubert nie ruszył się z krzesła podkomisarza i wskazał mu fotel petenta. – Dlaczego zataiłeś, że jedenastoletnia dziewczynka, córka łowczego, zaginęła w tych lasach ledwie parę miesięcy wcześniej?

\* \* \*

Doman junior streścił sprawę uprowadzenia małej Grzybowskiej, która została objęta dochodzeniem i niedługo potem umorzona z braku cech przestępstwa.

– Na jakiej podstawie?! – pieklił się profiler.

– Skąd mam wiedzieć, wujku? To nie mój rejon! – tłumaczył się podkomisarz. – Gdyby nie zabójstwo Tymka, do dziś bym nie wierzył, że do porwania doszło. Pamiętam oczywiście plakaty, które Basia rozklejała na drzewach, i jej rozpaczliwe monity w mediach społecznościowych, ale nikt nie brał ich serio. Wszyscy mieli

Baškę za furiatkę. W kółko była chora. Grzybek, łowczy Pelikana, twierdził, że przeszła guza mózgu, wciąż cierpiała na anginę albo zatoki. Bóle głowy miała tak straszliwe, że nie była w stanie podjąć żadnej pracy, a jeśli ktoś ulitował się po znajomości, zaraz ją traciła, bo przestawała przychodzić albo zaniedbywała obowiązki.

– Ostatnią straciła, kiedy Giza bezpodstawnie oskarżył ją o kradzież – rzekł Hubert prowokacyjnie. – I nie był to odosobniony donos. Przed chwilą rozmawiałem z panią Grzybowską.

Tomek pochylił głowę, jakby Meyer osobiście go zawstydził.

– Na kamerach widać, że Basia wzięła tę forsę z kasy – odparł po namyśle. – Bardzo mi przykro, ale ona ci kłamie. Kierownik sklepu, w którym pracowała, wspaniałomyślnie nie zgłosił kradzieży, bo kwota była niewielka, a Grzybek uregulował stratę z nawiązką. Ale to dlatego Basia wyjechała. Ze wstydu – podkreślił.

Hubertowi trudno było w to uwierzyć. Nie pokrywało się to z wrażeniem, jakie Barbara Grzybowska zrobiła na nim podczas rozmowy telefonicznej. Była konkretna, może nieco egzaltowana, ale rzutka, chętna do działania i zaskakująco pełna optymizmu, że wciąż jest szansa na znalezienie jej córeczki. Z tego, co pojął, pracowała w swoim rodzinnym Kamieniu, i nie zauważył u niej symptomów depresji, apatii czy przybicia, w jakim to stanie miała być nieustannie, kiedy mieszkała z mężem. Kolejna sprawa, która go nurtowała: dlaczego żona najbogatszego człowieka w gminie podejmuje się dorywczych prac ekspedientki czy szeregowego pracownika na stacji benzynowej.

– Sprawdzimy to wszystko jeszcze raz – zapewnił solennie Tomek, kiedy Hubert podzielił się z nim swoimi spostrzeżeniami.

– Przyznasz, że to zadziwiające – stwierdził sceptycznie profiler. – Wszyscy się tutaj znacie. Powiązania koleżeńsko-rodzinne są bardzo bliskie... Chcesz powiedzieć, że przez miesiąc nikt nie spostrzegł nieobecności tego dziecka?

– Zrozum, jest pandemia... Zresztą byliśmy pewni, że matka zabrała dziewczynkę do dziadków. Nie chcieliśmy robić Grzybkowi dodatkowych kłopotów. Wojtek jest w Narwi liczącą się osobą. Prowadzi hodowlę jesiotra i kilka innych zakładów. Połowa miejscowej ludności u niego pracuje. Basia nie skończyła żadnej szkoły, wcześniej kariera nie była dla niej ważna. Podejmowała różne prace, ale raczej dla fanaberii, z nudów, nie zaś dla pieniędzy. Nie ma stosownych kompetencji i po prostu nie jest subordynowanym pracownikiem. A nieobliczalna była zawsze. Skandal mógł zaszkodzić wielu osobom – przyznał młody Doman. – Dzięki Grzybkowi w tych trudnych czasach z głodu nie umiera mnóstwo tutejszych rodzin. Pytasz, czy jej mąż nas zmanipulował? Sam już nie wiem. Sprawa bardzo szybko przycichła, ludzie nabrali wody w usta i gadali tylko po kątach. Wiesz, jak to jest w takich dziurach... Ciszej będziesz, dalej zajedziesz...

Hubert oniemiał.

– Od listopada ojcu dziewczynki udawało się zwodzić komisariat w Rybitwie,

a potem twój, i dopiero nagły przyjazd teściów ujawnił, że los dziecka jest nieznanym! A ty nadal nie czujesz potrzeby, by coś z tym zrobić? Co z ciebie za policjant!

– A co mam zrobić, wujku? – Tomek jeszcze niżej pochylił głowę.

– Może wszczęć śledztwo? – Hubertowi nie było wcale do śmiechu. – Ojciec zna temat?

– Raczej oględnie.

– A Czupryna? Twój zwierzchnik wie o zaginionej jedenastolatce z Rybitwy?

– Jeszcze nie.

Hubert wziął do rąk teczkę dostarczoną przez Żelicha. Było tam tylko kilka notatek z przesłuchań rodziców, nauczycielek ze szkoły i Tymoteusza Wątlęgo, w którego imieniu mówiła Dobrawa. Najwięcej miejsca zajmowały dokumenty dotyczące konfliktu Barbary Grzybowskiej z księdzem Donatem Gizą, który zarzucał kobiecie, że szkaluje jego dobre imię, i groził złożeniem pozwu cywilnego. Z tego, co mówił młody Doman, obietnicy nie wypełnił.

– Tylko dlatego, że Basia wyjechała – przyznał.

O relacjach między mieszkańcami Narwi rozmawiali do nocy. Kiedy skończyli i obaj zamierzali opuścić dom kultury, Tomek zaoferował się, że podrzuci Meyera do domku dziadka. Profiler odmówił i poprosił, by policjant pożyczył mu swoje biegówki oraz latarkę czołową. Jak się okazało, w składziku Tomek miał kilka zestawów, więc dopasowali narty i buty dla Meyera, a potem ustalili, że zbiorą się rano i zadecydują, jak przedstawić temat zaginięcia Miry Czuprynie, by uniknąć afery w mediach.

Po Tomka przyjechała żona, ale nie wyszła się przywitać. Policjant wsiadł pośpiesznie do auta, Meyer zaś natychmiast skręcił ze ścieżki i pognał w kierunku polany, na której znaleziono Tymka. Chciał pobyc w tym miejscu nocą, rozejrzeć się i zastanowić nad motywami sprawcy.

Po prześledzeniu trasy, jaką ksiądz pokonał z wilkiem na pacy, Hubert wiedział, że Donat rozpoczął polowanie w miejscu, gdzie wpisał się do książki łowów. Stamtąd profiler postanowił zacząć rekonstrukcję wydarzeń na własne potrzeby.

\* \* \*

Okrągła polana pokryta była śniegiem i otoczona niemal z każdej strony gęstym zagajnikiem. Hubert nie wiedział, z którego miejsca kapelan strzelał do basiora, ale snajper w tym momencie nie mógł go widzieć. Sprawca z pewnością przemieszczał się wozem z napędem na cztery koła. Broń ważyła swoje, a odległości były zbyt duże. Potem psycholog poszusował do kapliczki Hubertusa. Z daleka zdawało mu się, że między żerdziami wciąż leży ciało chłopca. Na szczęście było to tylko złudzenie. Wokół poniewierały się fragmenty taśm policyjnych, plastikowe kubki, opakowania po jedzeniu na wynos i kartki wydarte z kolorowych magazynów – ewidentnie ślady bytności gapiów oraz dziennikarzy koczujących tutaj do dzisiejszego wieczoru.

Hubert zmęczył się drogą, ale dla młodego i wysportowanego człowieka – w wieku na przykład syna Domana – nie byłoby to tak dotkliwie. Mimo to psycholog wątpił, by sprawca poruszał się na piechotę lub na nartach. Nie wiedział przecież, gdzie ksiądz Donat porzuci wilka. Nawet jeśli tory kolejowe przecinające polanę były stałym miejscem, w którym kłusownicy usuwali ślady postrzału chronionego prawem drapieżnika, ciągnęły się wzdłuż ściany drzew. Strzelec miał naprawdę niewiele czasu, by wymierzyć do księdza i odstrzelić go za pierwszym razem. Chyba że sprawców było dwóch. Jeden z nich śledził lokalizację na aplikacji, którą pokazywał mu dziś po południu Maniek Kolecki, i kontaktował się ze strzelcem telefonicznie bądź przez radiostację. Dlaczego czekali z zabójstwem do brzasku? Nie mieli sprzętu noktowizyjnego? Czy chcieli mieć pewność, że ksiądz zginie na miejscu? Rozległ się pisk i jednostajny stukot, a w oddali Hubert dostrzegł światła pociągu, które rozświetliły polanę.

– Czyżbyś czekał, aż Donat położy wilka na torach? – szepnął. – Dopiero wtedy strzeliłeś... Dlaczego? Czy to ma znaczenie? Jaki związek ze sprawą ma wilk? Czego jest symbolem? Co chcesz mi w ten sposób powiedzieć? Czy wilk łączy zabójstwo księdza i ofiarę z chłopca? Czy to zwykły przypadek, że zginęli tej samej nocy? Kto naprowadził cię na to miejsce i jak?

Lokomotywa wynurzyła się z zagajnika niczym ogromna, uzbrojona gąsienica. Nie ciągnęła wagonów. Przymocowano do niej tylko jedną płaską platformę, lecz hałas w lesie robiła monsturalny. Hubert widział spłoszone zwierzęta, które uciekały między drzewa: sarnę z młodymi, kicającego zająca... A nieco dalej, tuż przy kapliczce – dostrzegł człowieka z wielkim worem na plecach.

– Hej! – krzyknął i skierował czołówkę w stronę, gdzie widział ludzką postać. – Zaczekaj!

Ale sylwetka była ledwie dostrzegalna spomiędzy drzew. Przed zagajnikiem leżało coś wielkiego i zapewne ciężkiego. Hubert nie wątpił, że uciekinier porzucił to, spłoszony jego krzykami.

Odepchnął się z całych sił na nartach i wbiegł na polanę z takim impetem, jakby startował w wyścigu. Wąski snop światła czołówki znaczył jego drogę. Wiedział, że jest widoczny jak na scenie. Poza jego latarką nie było żadnego innego źródła światła. Dopadł pakunku, który rzucił uciekinier, i rozwinął płachtę. Odetchnął z ulgą, że nie jest to kolejne ciało. Były tam niezliczone jelenie wieńce. Meyer przyjrzał się znalezisku. Zrobił zdjęcie, choć wątpił, czy starą komórką Domana uda się wszystko uwiecznić tak, by w razie potrzeby fotografia nadawała się do wykorzystania, ale chciał mieć dowód na to, co widział. Wyłączył latarkę. Udał, że się oddala. A potem zawrócił i skręcił do postumentu swojego imiennika. W połowie drogi zdało mu się, że między sztaketami widzi ruch. Mignęła czerwona czapka, a potem szalik w kolorowe pasy. Kto ubiera się w tak jaskrawe barwy do lasu, skoro pragnie pozostać niezauważony?

– Wyłaź! – krzyknął.

Ale zbieg wyskoczył już na ścieżkę, a potem skręcił w las. Mimo że Hubert gnał za



nim, aż niemal wypluł płuca, nie udało mu się go dogonić. Wrócił do znaleziska i obejrzał dokładniej wór, do którego zbieracz poroża zapakował swój łup. Wewnątrz znajdowała się kolorowa płachta w pasy. Dokładnie taka jak ta zmarznięta, do której dziś po południu ładował bociana Bazyła. Pomyślał, że jeśli w okolicy nie sprzedają identycznych, będzie musiał pogadać o tym z ekologiem.

\* \* \*

Do chatki Domana dotarł zlany potem i czerwony na twarzy, ale o dziwo, czuł się rześko. Po porannym odretwieniu nie było śladu. Młody Doman miał rację: codzienny trening na biegówkach dawał endorfinowego kopa. Spojrzał na zagubiony w głuszy domek i zaniepokoił się. W pokoju głównym paliło się światło.

– Już myślałem, że porwał cię Balwierz z Narwi. – Doman powitał go naręczem lokalnej prasy. – Nawet na żonę tak długo nie czekałem.

– Ona na ciebie niejedną raz.

– To ma być powód, dla którego za mnie nie wyjdiesz? – zaśmiał się przyjaciel i obejrzał się bojaźliwie za siebie, choć w domku poza nimi nie było nikogo.

– Kto w tym kraju kupuje jeszcze papierowe gazety?

– Ja, ale tylko weekendowe. – Doman wypiął pierś z dumy. – Dodają program telewizyjny.

Hubert rzucił okiem na nagłówek.

– Balwierz? Długo musieli się nad tym głowić. Za trudne pseudo. Nie przyjmie się.

– Już się przyjęło – sprostował Doman. – Hashtag balwierzznarwi zbiera żniwo na Twitterze. Każdy w tym kraju już wie, że to to samo co cyrulik. Jakiś chujek z naszej ekipy wrzucił zdjęcia do sieci.

– Które?

Doman pokazał swoją komórkę. Przewijał kolejno strony.

– Prawie wszystkie z małego aparaciku – oburzył się Hubert. – Kto z waszych ludzi miał do nich dostęp?

– Mój durny syn postanowił zrobić odbitki i dał je do zakładu Małkowskiego. Musiały wypłynąć stamtąd. Trwa oddzielne postępowanie.

– Powiedz mi, po co w dzisiejszych czasach robi się odbitki? Nie macie drukarek atramentowych?

– Czupryna wydał taki rozkaz – wyjaśnił Doman. – Skąd mieliśmy wiedzieć, że Małkowski puści to dalej?

– Dostał dobrą cenę. Inaczej by nie zaryzykował. – Meyer się zezłościł. – Kto pierwszy opublikował zdjęcia z oględzin?

– Redaktor Motylewski – odparł bez zastanowienia Doman. – Kiedyś, przed mediami społecznościowymi, to był facet instytucja. Nie ruszał się za próg bez identyfikatora „PRASA”. Zawsze wszystko wiedział pierwszy. Biznesmeni i politycy

wciąż liżą mu rowek, żeby ich nie opisał, a miejscowi liczą się z Motylem bardziej niż z jakimkolwiek radnym, uważając go za głos ludu – podkreślił były policjant. – Redaktor Motylewski ostrzy swoje pióro dla największej tutejszej gazety, a w kablówce ma własny program. Cała Białostoczczyzna ogląda jego podsumowania tygodnia w niedzielne wieczory.

– Chyba już wiem, o czym będzie najbliższy odcinek – mruknął z niechęcią Hubert. I dodał: – Lepiej by było mieć tego Motyla po naszej stronie.

– To może być niełatwe – odrzekł Doman. – Facet szczyci się niepodległością. A jak go znam, zachował sobie jakiegoś asa w rękawie. Byle tylko nie opublikował zdjęć martwego dziecka!

– Nie mogliście ich zablokować?! Kara grzywny, wezwanie na przesłuchanie, pozew zbiorowy? Jest mnóstwo możliwości prewencyjnych!

– Najdrastyczniejsze obrazki portale zapiksłowały z automatu, ale wilka grzeją wszyscy.

Doman znów wyjął telefon.

– Myślałem, że nie masz tutaj zasięgu – prychnął Hubert.

– Zrobiłem screeny. Przy okazji odgrzali też aferę wokół trofeów księdza Gizy. To woda na młyn ekologów. Wiesz, że Donata już kiedyś napadł zielony?

– Człowiek Mańka?

– A więc się poznaliście. – Doman się zaśmiał. – Niezły z niego lalusz. I pukacz pierwszej wody.

– Odezwał się wzorowy mężuś.

Przyjacieli wcale się nie obrazili.

– Święta mówiła, że masz sporo nowej wiedzy. Ponieważ wracasz tak późno, mniemam, że byłeś na swojej wizji.

– Byłem w lesie i jakiś gość grasował z worem jelenich rogów. Miał kolorową czapkę robioną na drutach. Widziałem go z daleka. Zwiął, jak tylko do niego krzyknąłem.

– Z porożem? Kolorowa czapka? – Doman się zamyślił. – To pewnie kościelny. Teraz jest sezon dla zbieraczy. Kupała głównie z tego żyje. Ponoć ludzie słono bulą za ten towar. Coś tam się z niego produkuje: guziki, figurki i inne bzdety dla ozdoby. Niektórzy płacą za preparowanie i wieszają sobie w domach. Na przykład ja – zarechotał. – A babka Kupały, bo tak się gość nazywa, sprzedaje ręczne wyroby z włóczki. To musiał być on! Przoduje w gminie w zbieractwie zrzutów.

– Dlaczego uciekł? – zastanawiał się Hubert. – Zawołałem go tylko, a ten zaczął gnać jak oszalały. Porzucił swój łup, a wierz mi, że było tego sporo.

Doman wzruszył ramionami.

– Kupała jest niegroźny. Trochę opóźniony. Ludzie go unikają, bo się jąka i mówi z trudem. Zdenerwowany ślini się jak bernardyn. Kiedy był mały, podobno upadł na

głowę. Jak było naprawdę, tego już nikt nie dojdzie. W każdym razie rodzina się na niego wypięła. Babka to jedyna bliska mu osoba. – Doman spojrział na zegarek. – Wera chyba nie dojdzie – zmienił temat. – Waldek się przeziębził. Nie wiedzą, czy to nie korona, i Zośka zakazała mu siadać za kółko. Protestował, a nie miałem kogo po niego wysłać.

Na długą chwilę zapadła cisza.

– Dowiedziałeś się czegoś? – spytał Hubert grobowym tonem.

– Niewiele – przyznał Doman. – Rudy jak zwykle jest ostrożna. Mówiła kodem.

Meyer odstawił narty pod ścianą. Zdjął kozuch, zaczął rozpinąć buty.

– Dobry ten sprzęt – pochwalił. – Nie dziwię się, że twój syn woli go w zimie od samochodu. Na tym terenie to czyste złoto.

– No – burknął Doman. – Zwłaszcza gdy się nie ma prawa jazdy.

– Tomek nie prowadzi? Jak dostał się do policji?

– Nic w tej sprawie do mnie nie mów. – Doman zrobił groźną minę. – Żona go wozi. Kupił Eli sportową toyotę i jeździ obok kobity na miejscu pasażera. A jak się dostał? Czupryna go ciągnie. To jego pupil.

– Zauważyłem. – Hubert zaśmiał się kpiąco. – To musi boleć.

– Znacznie bardziej niż to, że uparł się być abstynentem.

– W ciebie się, widać, nie wrodził. Podaj ten kod Werki. Może ja go rozkminię?

– Nie ma co rozkminiać – zaczął ostrożnie Doman. – Mamy siedzieć w kryjówce, nie wychylać się i pod żadnym pozorem nie mieszać się do spraw Balwierza.

– Na to chyba już za późno – mruknął zniechęcony Hubert. – Nawet dzieci w szkole wiedzą, że mnie zimujesz. Ekolog od samego rana czekał, aż go odwiedzę. Dane rozchodzą się tutaj błyskiem.

– Tylko o obcych. Własne sekrety tutejsi chowają głęboko.

– Dobrze powiedziane. Nic nie wypiełeś?

– Jestem trzeźwy jak niemowlę! – Doman uderzył się w pierś. – Aż chce mi się rzygać.

Hubert przyjrzał się przyjacielowi czujniej.

– Co ma się wydarzyć dzisiejszej nocy?

– Nie wiem – odrzekł Doman, a Hubert już wiedział, że kłamie.

– Na co się szykujesz? – powtórzył.

– Może trzeba będzie odebrać Werę z dworca. – Doman urwał.

– Nie jedzie autem?

Wzruszenie ramion.

– Co tak naprawdę powiedziała? Rano byłeś dobrej myśli. Co zaszło?

– Kamienicznik do niej zadzwonił.

Hubert poczuł, jak oblewa go zimno.

– Do Werki? Kołomyjski miał czelność jej grozić?

– Nie groził. Grzecznie spytał, kiedy sprawa Englotów będzie zamknięta. Oraz czy jesteś gdzieś obok... A akurat była z mężem w domu...

– Miękki szantaż. – Hubert westchnął. – Wiedziałem, że ta ucieczka to był błąd.

Podszedł do ściany i uderzył w nią pięścią, aż posypał się tynk.

– Spokojnie. Nic się jeszcze nie stało. – Doman chwycił przyjaciela za ramiona i unieruchomił. Wpatrzył się w niego, milczał, aż wreszcie rzekł: – Dlatego zabrała się z kimś do Katowic, a potem pociągiem do Białegostoku. Uprzedziła, że wyłączy komórkę.

– Dlaczego? – Hubert nie rozumiał. – To nie ma sensu.

– Też tego nie pojmuję.

– Zanim dotrze tutaj w ten sposób, minie ruski rok!

– Pytałeś, dlaczego wciąż jestem trzeźwy. – Doman opadł na fotel. – Czekam, aż się odezwie. Wciąż chodzę do komórki i sprawdzam zasięg. Oczywiście ni chuja. Tak myślę, że lepiej byłoby pojechać do miasta i jej poszukać.

– Jasne – zgodził się Hubert. – Jedźmy!

– A gdyby nagle pojawiła się w Narwi? – Doman popukał się w czoło. – Jeśli żadnego z nas nie będzie, zgłupieje. Jak sama znajdzie dziadkową leśniczówkę?

– Przecież każdy zna twoją chatę – prychnął Hubert. – To nie był dobry pomysł. Trzeba było zostać w Białym. Albo wróć do siebie – miotał się.

– Uspokój się. Nie rób gwałtownych ruchów. To nawet lepiej, że pracujesz przy tej sprawie. – Doman mówił szybko, jak miał w zwyczaju, gdy był zdenerwowany. – Nikt ci nie zarzuci, że się ukrywałeś. Czupryna cię powołał. Jesteś w robocie. A jak będzie trzeba, masz mocne alibi. Nikt nie wie, że jeszcze wczoraj w nocy byłeś w Katowicach. Trzymajmy się wersji, że przyjechałeś do nas w walentynki i dopiero nocą ruszyliśmy do głuszy.

Hubert wiedział, że to rozumowanie ma sens. Bał się, emocje zalewały mu głowę, ale nie był w stanie siedzieć beczynnym, kiedy nie widział, z której strony spodziewać się ciosu. Kołomyjski jest skuteczny. Cholernie skuteczny.

– O której wyjechała?

– Zadzwoniła, że rusza, jak zacząłeś przesłuchanie Dobrawy. Piętnasta?

– To jak ona jedzie? Przez Koszalin? – zdumiał się Meyer. – Chyba że ma ogon?

– Nie wiem.

Umilkli obaj.

– Sprawdzalem strony internetowe – podjął znów wątek Doman. – Nie ma żadnych wieści o śmierci matki Englota. Zupełnie żadnej wzmianki. Nic. To mnie niepokoi.

Hubert zmarkotniał.

– Powinno już huczeć w sieci. Rano musieli przecież odkryć ciało.

– Chyba że je posprzątał. A może wcale nie wypadła? Myślałeś o tym? Może oni byli w zмовie?

– Co ty chrzaniisz? – Hubert poczuł, jak włoski na karku stają mu dęba. – Widziałem przecież Kołomyjskiego w jej domu. A firanka? Rozbite szkło i bałagan jak po walce?

– Widziałeś zwłoki?

Pokręcił głową.

– Byłem pewien, że ją zabił. Wypchnął... Rozmawiałem z nim.

– Pobiliście się. Tyle wiesz – wszedł mu w słowo Doman. – A potem ty wyszedłeś i odjechałeś.

– Jak tchórz.

– Nic nie zrobiłeś.

– A jeśli rzeczywiście ukrył zwłoki? Zaczną jej szukać... Zbadają mieszkanie... Są tam moje odciski. Byłem tam, wszystkiego dotykałem. Któryś z sąsiadów mógł mnie widzieć. Jak wchodziłem albo jak biegłem do auta...

– Dostajesz paranoi.

– Łatwo ci mówić... – Hubert opadł na fotel, na którym przed chwilą siedział Doman. – Sam już nie wiem.

– Wszystko się ułoży – zaczął przyjaciel, ale psycholog miazdżył go spojrzeniem, więc urwał i dokończył: – Wera z pewnością wie więcej niż ktokolwiek. Lepiej będzie, jak od razu pojedę. – Położył na stoliku kartę do telefonu Huberta. – Załaduj i poczekaj na nas. Jak wyjdiesz na szosę, powinien być zasięg.

– Mam czekać pół nocy na drodze?

– Masz kłaść się spać! Wróć. Jutro od rana zaczynacie czynności. Duży jesteś, poradzisz sobie. Gdyby czegoś było ci trzeba, najbliższa chata to dom Grzybowskich. Wojtek jest łowczym w Pelikanie. To równiacha. Pomoże ci nas znaleźć.

Hubert spojrział na Domana ze zgrozą.

– Zabraniam ci mówić z tym patałachem o czymkolwiek! – ryknął.

– Co cię napadło?

– Nic, nikomu, Doman. Ani słowa. Nie potrzebuję więcej pomagierów. Ty i Werka starczycie mi za wszystkich. A jeśli chodzi o łowczego, ten gość ukręcił łeb sprawie zaginięcia własnej córki. Uwierz mi, nie wolno mu ufać.

Doman pokręcił głową przekonany, że Hubert musi zostać sam i ochłonać.

– Ty nic nie wiesz – dokończył Hubert. – Dzieciak tego twojego Grzybka może być kolejną ofiarą Balwierza. Mira zaginęła w ubiegłym roku. Podejrzewamy, że to nie matka ją porwała.

– Podejrzewacie? – powtórzył Doman. – Ty i kto? Basia, jego szalona kobita? Czy

mój synek cicha woda?

Hubert machnął ręką, udając lekceważenie.

– Nie czas teraz na przepychanki.

Doman stanął w progu. Długo rozważał zasłyszane słowa. Hubert po jego minie widział, że mu nie wierzy.

– Muszę znaleźć Rudy – rzekł wreszcie białostoczanin. – A ty się połóż albo napij, bo coś z tobą słabo. Świrujesz.

\* \* \*

Zanim Kupała wszedł do chaty, otrzepał porządnie kurtkę ze śniegu. Wystukał buty, zdjął je i postawił w sieni. Dopiero potem ściągnął czapkę i odkręcił szalik. Zawiesił okrycie na drążku przed wejściem, by obeschło. Zdawało mu się, że zachowuje się ciszej niż kot, ale babka zaraz się wychyliła i kaszląc, spluwając na klepisko, utyskiwała:

– Znów cię nosi, Jańciu, po te jelenie wieńce?

– Nic dziś nie przyniosłem, ma-ma-matulu. Jeszcze na-na-narzutę straaaaciłem.

– Moją narzutę? – jęknęła. – Robiłam ją cztery miesiące! Nie mogłeś wziąć kupnej?

Kupała zastanawiał się długą chwilę. Wreszcie sięgnął po mokre ubranie.

– To póóóójdę – mruknął.

– Siadaj! – Zatrzymała go gestem. – Policji w lesie pełno. Balwierz grasuje. Nie będziesz już nigdzie dzisiaj łąził. Zrobiłam jedną, zrobię i dziesięć kolejnych. Byle tylko Bóg dał przetrwać przednówek. Po Wielkiejnocy będzie mniej bólu w palcach. – Podniosła powykrzywiane ręce. – Przyniosłeś łój borsuka?

Wnuk sięgnął do kieszeni i podał jej mały słoiczek.

– Nie było łatwo. Mówią, że dopóki psiaaaarze nie znikną z lasu, nie będzie nowego łoju. Oszczędzaj.

Staruszka już odkręciła wieczko i nacierała tłuszczem zgrubienia na palcach.

– To w ogóle po-po-pomaga?

– Z ibupromem czterysta plus jak cię mogę – odparła i sięgnęła po chochlę. Podeszła do pieca. – Siadaj, Jańciu, zjesz gorącej zupy. Pewnie się namarzłeś.

– Miałem taki pięęęęknny łuuuup, babo – poskarżył się. – Chodziłem ze trzy go-go-godziny i byłoby z tego i tyyyyysiąc złocisz, ale ten gość od starego Dooooo-mana grasował na nartach.

– Ten psycholog? – zainteresowała się kobieta, stawiając przed Kupałą wielką miskę zupy. – Wygląda mi na takiego, co zajrzy pod każdy kamień. I kołdrę – zaśmiała się. – Co niektórym się może nie spodobać, oj nie...

Odkroiła krzywą pajdę chleba, trzymając bochenek przy piersi. Kupała przyglądał

się jej błyszczącym od tłuszczu dłoniom i zastanawiał się, czy nie zrezygnować z pieczywa, ale ostatecznie żur z babcinym chlebem był jego przysmakiem od dziecka.

– Donat zginął, jak żył – powiedział głośno, o dziwo, bez jąkania.

Babka odwróciła się, przeżegnała z bojaźnią.

– Nie bluźnij, Jańciu. Nie nasza rola oceniać ludzkie uczynki. Tylko Bóg ma prawo zaglądać w dusze.

– A ty myślisz, że ja komuś zaaagląda-da-dam? Mówię tylko, że poszedł za-zabijać nielegalnie. I nikt... nikt... nikt... o tym nie mówi. W niedzielę po mszy powiedziałem mu o byku. Zaaaapalił się. Wiedziałem, że z rana pójdzie do laaasu. Ten, kto go zabił, teeeeeż to wiedział. S-s-s-skąd? No powiedz?

– Nic nam do tego, Jańciu.

– A Tyyyyymek?

Kobieta się odwróciła. Położyła palec na ustach i znów się przeżegnała.

– Cicho sza. Nie mieszaj się.

– Dojdą, że był u nas tej... tej... tej... nocy. A potem zgi-zgin... Zabili go! Jak ba-ba-baranka – wyrzucił z siebie.

– Dojdą, to dojdą. Nie nasza sprawa. Bóg ich poprowadzi. Albo i nie... – Poszła do drugiego pokoju i przytargała wielki wór robótek. – Jutro zrobisz zdjęcia i wstawisz do internetu – zarządziła. – A kapą się nie przejmuj. Obudzę cię, jak się rozwidni, i pójdiesz po swoje wieńce. Nikt poza tobą ich nie weźmie. Kto by miał siłę się z nimi zabawiać?

– Pójdę te-te-teraz – zdecydował Kupała i wyczyścił talerz po zupie skórką od chleba. – Tysiak się nam przyyyda. Ty się nap-napra-cowałaś, ja też swojego dzieła nie dam sobie zaaaabrać.

– Tylko uważaj, chłopcze! – Poklepała go po plecach, jakby był dzieckiem, a nie miał na karku szóstego krzyżyka.

– Zawsze u-u-u-waż-aaam.

– Niech Bóg cię prowadzi. Nie będę spała.

Zapaliła gromnicę. Ale świeca zaraz zgasła. Podsyciła płomień ponownie. Przeżegnała się i wymruczała pod nosem jakieś zaklęcie.

– Pomodłę się o spokój księdza i za nasze dzieci – powiedziała głośniej. – Gdyby Tymek nie odnalazł Miry, nic by mu nie było.

## **Dzień drugi**

### **16 lutego 2021 (wtorek)**

Huberta obudził odgłos przyciszonych rozmów, a w nozdrzach poczuł zapach świeżo zaparzonej kawy. Nie miał wężu, więc uznał, że wciąż jeszcze śpi. Przekręcił się tylko na drugi bok. Ponieważ jednak padały słowa: „Kołomyjski”, „Katowice”, „śmierć Englotowej”, „śledztwo” – zmusił się do otwarcia oczu.

Przez wszystkie okna do wnętrza wdzierало się słońce. Meyer rozpruł śpiwór i zrzucił na podłogę, przekonany, że spał do południa. Nie był jednak w stanie się podnieść. Zdawało mu się, że jest jeszcze bardziej zmęczony niż poprzedniego dnia.

– Jednak żyje – usłyszał głos Weroniki Rudy, a po chwili ją zobaczył.

Czarny strój do biegania eksponował wszystkie jej krągłości. Pochyliła się nad nim.

– Znalazł cię? – wyszeptał i przełknął ślinę, bo przed oczyma miał jej smukłe uda.

W tej samej chwili złapał się na tym, że chuchnął na nią nieświeżym oddechem. Z tego, co pamiętał, wczoraj raczej się nie mył.

– Można tak powiedzieć. – Prokuratorka się uśmiechnęła i przekręciła głowę tak, że widzieli się teraz z właściwej perspektywy. – Ale są i złe wieści. Pożyczyłam sobie twój wóz. I nim przyjechałam. – Położyła kluczyki na śpiworze. – Żona Doman wie więcej, niż mu się wydaje – dodała i urwała, widząc wściekłość malującą się na twarzy psychologa.

Zrzucił bety na podłogę z udawanym animuszem.

– Widzę, że nie traciłeś czasu na wkładanie piżamy – skwitowała, oceniając jego wczorajszy strój, a potem odmaszerowała do kuchni, wołając: – Nie poznałabym cię z tą brodą.

Hubert spojrział w lustro zawieszone między ikonami a narwiańskim landszaftem i stwierdził, że nie wygląda tak źle, jak się czuje. Zarost był szpakowaty, lecz dłuższy i wyglądał dziś mniej menelsko. Przeczesał włosy, wyszukał w kieszeni szczoteczkę do zębów, po czym pośpiesznie dokonał ablucji jamy ustnej bez użycia wody. Spluwał do doniczki z kwiatkiem, a potem końcem szczoteczki zakopał płwociny. Jeśli wziąć pod uwagę stan gleby tej rośliny, Doman nieprędko to spostrzeże.

Kiedy opuścił sypialnię, na stole w kuchni czekała już na niego jajecznicza, do której się zabrał, nie witając się z zebranymi.

– Skoro jesteśmy niemal w komplecie – odezwała się Werka, zapalając papierosa i wystawiając twarz do słońca – możemy zaczynać.

– Powiedz mu. – Doman odchrząknął. – Marzę, by przestał się rzucać.

– Wzięłam twój wóz, bo sprawa jest zamknięta – oświadczyła.



Hubert odłożył widelec. Siedział bez ruchu. Spoglądał to na Domana, to na prokuratorkę.

– Nie biorą pod uwagę udziału osób trzecich.

– Skąd wiesz?

– Wpadłam na kawę do koleżanki, która robiła oględziny miejsca zdarzenia i rewizję w lokalu. Nie mają wątpliwości.

– A ślady w mieszkaniu?

– Nie ma żadnych śladów.

W pomieszczeniu zapadła cisza.

– Nie chcesz, nie mów mi, co zaszło – kontynuowała. – Ale ja ci powiem, co znajduje się w aktach. Upadek z siódmego piętra. Bardzo krótki, wręcz lakoniczny list pożegnalny. Biegły pisma potwierdził zgodność. Podejrzane zachowania sprzed miesiąca. Krystyna Englot pisała niepokojące wiadomości do męża i syna. Miała zdiagnozowaną depresję. Leczyła się i w żadnym razie nie powinna pić tyle dżinu. Alkohol w połączeniu z prochami, które brała, mógł spowodować paranoję i jest hipoteza, że kobieta wyskoczyła bynajmniej nie z powodu załamania nerwowego, ale coś jej się zwidziało. – Werka się zatrzymała. – Cytuję oczywiście słowa ich eksperta.

– A kamienicznik? – wyrwało się Hubertowi. – Obserwują go? Szukają kogoś jeszcze? Na przykład mnie?

Rudy pokręciła głową.

– Tak jak ci powiedziałam, nie mają żadnych przesłanek, by prowadzić dochodzenie przeciwko komukolwiek. Uważają, że to becep. Tragiczna historia, przerażający koniec świetnej ponoć przed laty aktorki. I jej osobisty dramat, z którym sobie nie poradziła. Sprawa jest zamknięta. Możesz odetchnąć.

– A więc ujdzie mu to na sucho?

– Najważniejsze, że ty nie będziesz w to wmieszany.

– Sprawdzili jej laptop? Mają jej list do mnie?

Wera potwierdziła, lekko się przy tym uśmiechając.

– Jeśli nie pojawią się nowe dowody, nawet się nie skontaktują. Napomknęłam koleżance, że od niedzieli pracujesz nad sprawą w terenie. Nie byli zainteresowani.

– Dałaś mi alibi? – zdziwił się Hubert.

– Miałam wyjście? – Wzruszyła ramionami. – Nie martw się. To była luźna rozmowa. Po prostu podrzuciłam im ten temat. Masz szczęście, że tutaj tak się ułożyło.

– Że zamordowano dwie osoby? W tym dziecko! – oburzył się Hubert.

Weronika spojrzała błagalnie na Domana, ale ten odwrócił się do piecyka i przewracał kielbaski.

– Zdaniem mojej znajomej wszystko wskazuje na to, że z Krystyną było naprawdę

źle – ciągnęła. – Miała obsesję. Nie tylko tobie zawracała głowę. Pisała do wszystkich. Nie wiesz pewnie, że korespondencję tej samej treści dostało sześćdziesięciu dziennikarzy.

– Spotkała się z kimś?

– Kilka redakcji odpowiedziało, a z jedną reporterką była umówiona na środę. Około pierwszej w nocy odwołała zaproszenie. Mejlowo.

– O tej godzinie już nie żyła – zauważył.

– I to jest jedyny śliski element – przyznała Werka. – Z wiadomych przyczyn nie zwracałam pani prokurator na to uwagi. Módl się, by Krystyna Englot została szybko pochowana, a sprawa przyschła.

– Naprawdę wierzysz w to, co mówisz?

– Uważam to za zrządzenie losu – powiedziała z naciskiem prokuratorka. – Mogło być gorzej.

– Będzie gorzej – wszedł jej w słowo psycholog. – Kołomyjski na to liczy. Że będę siedział cicho, zestrachany o własną dupę. Jemu płazem ujdą dwie zbrodnie, a co najlepsze, będzie miał na mnie haka. Pewnego dnia przyjdzie i zażąda przysługi za milczenie. Sądziś, że zdołam mu odmówić, jeśli teraz tak to zostawię?

Weronika uniosła ręce w geście totalnej bezradności.

– Sama już nie wiem, Hubercie, czego ode mnie oczekujesz! – westchnęła. – Mam pójść i zgłosić, że jesteś świadkiem zbrodni? Tak się składa, że uciekłeś z miejsca zdarzenia i nie udzieliłeś ofierze pomocy. Nie zawiadomiłeś policji, nie sprawdziłeś, czy da się ją uratować. Nie wiesz nawet, jak do tego doszło! Za to pobiłeś domniemanego sprawcę i dziwisz się, że do końca życia będą ci się oboje śnili...

Przerwała, bo w pokoju panowała cisza. Hubert wpatrywał się w nią zboląłym spojrzeniem. Wiedziała, że przeholowała, ale ją wkurzył.

– Kiełbaski gotowe. – Do stołu podszedł Doman i jak gdyby nigdy nic zaczął rozkładać je na talerze. – Musztarda, keczup, chrzan? Co bierzecie?

Żadne się nie odezwało. Wpatrywali się w siebie wrogo.

– Chciałam pomóc. – Ciszę przerwała Wera. – Narażałam się. Jechałam taki kawał. Nawet nie spytałeś, co się działo w nocy. Uważasz, że to mój obowiązek? Jak tylko wpadniesz w tarapaty, rzucam wszystko i jadę do Katowic robić za twojego szpiega... Nie oczekiwałam wdzięczności, ale nie sądziłam, że okażesz się takim dupkiem. Wiesz, ile mnie to kosztowało? Co nakłamałam mężowi? Czy spałam chociaż godzinę? To cię nie obchodzi! – Wstała, oddała Domanowi czapkę. Pogładziła się po swoim opływowym stroju, jakby zbierała z niego niewidzialne pyłki, a potem przybrała oficjalny ton, jakim przemawiała w sali sądowej: – Zwolnisz na chwilę ten pokój, bo chciałabym się przebrać? Wyjeżdżam. – A potem głośniej zwróciła się do Domana: – Podrzucisz mnie na dworzec?

Zniknęła w sypialni. Hubert zerwał się i rzucił się za nią. Chwycił ją za ramiona. Mocno przytulił.

– Jesteś najlepsza – szeptał i naraz poczuł, że ma wielką ochotę ją pocałować. Ale nie byłoby chyba gorszego momentu. – Dziękuję. Ja... ja... Przepraszam, Werko. Bardzo to doceniam! Po prostu nie mogę znieść tego, że zachowałem się jak tchórzliwy matoł. Żałuję, że uciekłem. Do końca życia będę tego żałował. Sam siebie nie poznaję. Tak, jestem wściekły. Na siebie. Ty dostałaś rykoszetem. Przepraszam – powtórzył.

Wtuliła się w niego. Kiedy podniosła głowę, w oczach miała łzy, ale wiedział, że już mu wybaczyła. Stali tak w milczeniu, aż Doman dyskretnie kopnął drzwi, by mogli pomówić w cztery oczy, Werka jednak ponownie je uchyliła. Doman wycofał się do kuchni i zabrał się kompulsywnie do jedzenia.

– Wiem, że to trudne – powiedziała, siłąc się na urzędowy ton, choć teraz niezbyt jej to wyszło. – Czasami zachowujesz się jak twoi klienci.

– Kurewsko się boję.

– Czego, Hubercie? Tego, że ktoś się dowie, jaki jesteś naprawdę?

Nie odpowiedział. Zastanawiał się. Diagnoza była trafna. Dopiero teraz na własnej skórze poczuł, jak ciężko być przestępcą. Jak trudno milczeć, chronić swoje mroczne tajemnice. Jedna pociągała za sobą następną. Nie dało się tego uniknąć. Już do końca życia będzie musiał kłamać. Pragnął z całych sił opowiedzieć jej o wszystkim, podzielić się ciężarem, który z trudem dźwigał, i zostać zrozumianym, ale wiedział, że nie wolno mu jej tym obarczać. Właśnie dlatego, że czuł do niej nie tylko sympatię i wcale nie chciał, żeby była jego platoniczną przyjaciółką. Kim więc miałyby być? Czego on chciał, a co sam oferował? Takie właśnie życie, pełne kłamstw, sekretów i niebezpieczeństw? Jeżdżenie po nocy do leśniczówek w głuszy... Wera miała męża, który ją kochał i był w stanie dać jej wszystko, na co pozwala ten świat. Co taka kobieta w ogóle robi u jego boku? Czuł się jak nieudacznik. Jak jeden z tych frustratów, których zwykle poszukiwał i o których pisał w swoich opiniach. Bał się, że go złapią, a to rzutowało na każdą jego decyzję.

– Nie zasługuję na ciebie – wymknęło mu się. I od razu się poprawił, choć to słowo stanęło mu w gardle jak ostra kość: – Na twoją przyjaźń. Nie wolno mi cię tym obciążać. Jestem na siebie zły, że funduję ci takie przygody. Dlatego tak się rzucam...

– Daj spokój! – Wyswobodziła się z jego objęć. – Gdyby dotyczyło to mnie, zrobiłbyś to samo. A nawet więcej. Zabiłbyś chuja, prawda? – Zaśmiała się przez łzy.

– Tak bym zrobił. Daj tylko znak – zapewnił i przeraził się, bo mówił prawdę.

– Na szczęście nie mam takich wrogów. – Znów do niego podeszła. Poglądziła go po zaroście. – Tak się zastanawiałam, czy jest twardy, czy miękki. Powinieneś jeszcze sprawić sobie szylkretowe okulary. Będzie komplet.

A potem go pocałowała.

Tak zastał ich młody Doman, który wpadł do chatki z siłą ładunku wybuchowego i wciąż na nartach.

– Jest kolejne ciało – rzucił, z trudem łapiąc dech.

– Znaleźli dziewczynkę? – Meyer odsunął się od Weroniki, ale nadal trzymał ją za rękę. – Mira Grzybowska? Córka łowczego?

– Kościelny Kupała – wysapał Tomek. – Ktoś go zaatakował, kiedy zbierał poroże. Gardło ma przebite tyką jelenia. Śpiesz się, wujku. Czupryna chce pogadać z tobą w cztery oczy. Na popołudnie planują konferencję prasową. Komendant mówi, że trzeba coś rzucić dziennikarzom na żer. I ty masz mu ten kawał mięcha dostarczyć.

\* \* \*

Dobrawa przyglądała się pielęgniarce, która podawała właśnie lek do kroplówki jej sąsiadki, a potem dyskretnie wyjrzała przez okno. Paweł Puchacz czekał na ławce przed wejściem. Ramiona pochylone do przodu i zwieszona głowa wskazywały, że nadal nie wrócił do formy.

– Jestem gotowa, Anielo – powiedziała. – Wypełniłam dokumenty. Czuję się dobrze.

– Sama nie pójdziesz, duszyczko – odparła łagodnie pielęgniarka. – Policja musi cię odebrać. Mówili, że zaraz będą. Zjesz obiad.

– Nie jestem głodna.

– Wypuściłabym cię, kochana. – Pielęgniarka podeszła i przytuliła Dobrą. Też spojrzała na ławkę pod drzewem. – Pawełek po ciebie przyjechał?

Dobrawa spłoszyła się, jakby przyłapano ją na kłamstwie.

– Przecież nie mogą mnie tutaj trzymać w nieskończoność...

– A dokąd pójdziesz? Dom Pawła zaplombowany. Wciąż zbierają ślady.

– Coś wymyślę – skłamała, bo dobrze wiedziała, gdzie zamierza się zaszyć.

– Masz jeszcze trochę czasu. – Kobieta niechętnie wypuściła pacjentkę z ramion.

Dobra odsunęła się na bezpieczną odległość.

– Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy. Chcesz coś na uspokojenie?

Dobrawa nabrała powietrza w płuca i zdecydowała się powiedzieć prawdę. Liczyła, że przekona tym pielęgniarkę. Znały się przecież od lat. Aniela asystowała przy porodzie jej synka i zawsze była dla niej miła.

– Paweł zawiezie mnie do Kamiennego Fortu. Wciąż mam klucze. Jakby policja pytała, będę tam na nich czekać.

– Jestem zmuszona im o tym zameldować – ostrzegła pielęgniarka, robiąc groźną minę. – Tylko pod tym warunkiem puszcze cię wcześniej.

– Wiem. – Dobra skinęła głową. – Dlatego ci o tym mówię. Nie ruszę się stamtąd. Bądź spokojna. – Uśmiechnęła się lekko, bo wszystko przebiegało tak, jak sobie zaplanowała. – Zresztą dokąd miałabym pójść?

Aniela zastanawiała się dłuższą chwilę.

– Tylko nie wracaj jeszcze do pracy. Błędów narobisz. Starczy już tych głupstw.

Jesteś w żałobie.

– Nie musisz mi przypominać.

Pielęgniarka zaczęła przeproszać, ale Dobrawa już wkładała płaszcz. Zanim wyszła, odwróciła się i dodała:

– I nie słuchaj tego, co mówią ludzie. Nic nie wiedzą.

\* \* \*

– Na to poroże został nadziany po śmierci – relacjonowała Swieta. Na głowie miała dziś tylko jedną włóczkową czapkę w kolorze kanarkowym. – Przyczyną zgonu jest ten drobiazg. – Rozchyliła wargi denata i wyjęła podłużną kość, która wciąż była wbita w język i sięgała aż po gardło. – Próbował to wykrztusić. Bezskutecznie. – Wskazała wymiociny na śniegu, które z daleka wyglądały jak wzór na mandali.

Obok ciała leżał wór z porożem.

– Zmarł szybko, gwałtownie. Nie męczył się długo – zakończyła.

Hubert wymienił spojrzenie z młodym Domańskim.

– Zdążyliście go przesłuchać?

Policjant pokręcił głową.

– Był zapisany na jedenastą. Zamiast niego przybiegła zrozpaczona babka. Czekwała na wnuka całą noc, a kiedy wzeszło słońce, poszła jego tropem. Zna dobrze ten las i wie, gdzie Kupała zbiera wieńce. To ona nas przyprowadziła.

Policjant wskazał starszą kobietę okutaną w pled termoizolacyjny, spod którego wystawał kolorowy płaszcz w azteckie wzory. Tkanina wyglądała na rzecz własnej roboty. Dwaj mundurowi odprowadzali ją właśnie do furgonetki koronera. Podali jej gorącą herbatę. Twarz miała czerwoną, zapuchniętą. Plecy zgarbione, jakby nie była w stanie się wyprostować.

– Pani Luba w maju kończy dziewięćdziesiąt osiem lat – wyjaśniał młody Doman. – To jedna z naszych najstarszych mieszkanek, a wciąż jest aktywna zawodowo. Jej specjalnością są wyroby z włóczki. Tka też samodziały. Niebawem przyjedzie jej czworo dzieci. Janek Kupała był jej wnukiem. Tylko on jeden zdecydował się zostać na gospodarce w Narwi. Może i nie był to jego wybór, lecz przymus, bo z jego upośledzeniem i tak nie miałby życia w mieście, ale tych dwoje było ze sobą bardzo blisko. Wszyscy ich tutaj lubili.

Kobieta piła wrzątek z kubeczka, aż nagle podniosła głowę, a oczy jej i Huberta się spotkały. Zanim psycholog zdążył zareagować, staruszka odrzuciła pled i ruszyła w jego kierunku. Jak na niemal stulatkę ruszała się nadzwyczaj żwawo.

– Pan nie słucha tych matołów, jak będą mówić, że to nie ma związku – rzuciła jak wyzwanie. Nie przedstawiała się, nie słuchała kondolencji. – Śmierć mojego Jańcia to kara boska. I ja będę dźwiagała to brzemie!

Hubert milczał. Podniósł dłoń, gdy ktoś starał się odciągnąć babuleńkę. Nie

spuszczał z niej spojrzenia. Ale staruszka jakby się zacięła, powiedziała o słowo za dużo. Przestraszył się, że nie dokończy.

– Kara za co? – spytał łagodnie. – Widziałem go wczoraj w nocy. Opowiadał?

Skinęła głową, więc wziął ją pod ramię i odeszli od tłumu.

– Uciekł, bo się przestraszył, że będziesz go pan dręczył. A on tego nie zrobił.

– Czego? – dopytał Hubert, ale staruszka nie słuchała.

– On niejedyn raz go ratował – mówiła jak nakręcona. – Jak ktoś przywiązał Tymka w szałasie i podłączył do pojemnika.

– Pojemnika? – powtórzył jak echo Hubert. – Jaki pojemnik ma pani na myśli?

– Ten, co go pokazywali w telewizorze. Ksiądz Donat upuszczał mu krwi, żeby chłopiec był spokojniejszy, a Paweł Puchacz go tam prowadził. Mój wnuk to wszystko widział. I to nieraz! – Powtórzyła. – Zabili go, żeby nie mógł tego zeznać.

Hubert stał oniemiały.

– Paweł Puchacz i ksiądz Donat upuszczali chłopcu krwi?

– Od dawna – potwierdziła kobieta. – Zakazali Jańciowi gadać. Ksiądz cytował Biblię na mszy, sama słyszałam. Cała Narew była na kazaniach. Podobno w dawnych czasach była to popularna metoda, słyszał pan? Oni nie chcieli zrobić Tymkowi krzywdy. Chcieli go wyleczyć!

– Z czego?

– Z niegrzeczności!

– Pani widziała to upuszczanie?

– Wnuk tylko mi opowiadał – zaprzeczyła stanowczo. – A jeszcze wczoraj, jak szedł po wieńce, rzekł, że ksiądz chodził polować nielegalnie. To musi być ktoś z łowczych. Kto inny by wiedział, że Donat pójdzie po tego byka? Pan to sprawdzi!

Hubert kiwnął głową.

– A ja głupia kazałam mu milczeć i się nie mieszać. Mówiłam, że nie naszą robotą jest oceniać innych. Pierwszy rzuć kamieniem, plotłam... – Pociągnęła nosem, ale się nie rozpląkała. Zacietrzewiła się tylko bardziej i trudniej było ją zrozumieć. Dalej mówiła już gwarą przetykaną polskimi słowami: – A przecież gdyby Tymek nie poszedł szukać Miry, nic by mu nie było. Tej nocy, kiedy ktoś go wywabił do lasu, on przyszedł na chwilę do nas... Nic dziwnego, że jak wczoraj się modliłam, to świece gasły jedna po drugiej. Wiesz, co to znaczy?

– Nie wiem – wydukał profiler. Zastanawiał się, czy przypadkiem babcia Kupały po śmierci ukochanego wnuka nie postradała rozumu.

– Śmierć. Mój dzieciak już wtedy nie żył. Domagał się modlitwy. A ja Boga nie słuchałam, tylko tych księżychni durnot... – Nagle chwyciła psychologa za kożuch. –

Musisz znaleźć tego, kto zrobił krzywdę im wszystkim. Tymkowi, mojemu Jańciowi i księdzu. Nie moją rolą jest oceniać, jak prowadził się Donat, ale człowiek nie powinien ginąć jak zwierzę. Zanim umrę, chcę spojrzeć temu drapieżnikowi w oczy.

Rozumiesz? Inaczej nie zaznam spokoju! A ty ze mną...

\* \* \*

Puchacz zatrzymał samochód przed domem księdza Donata i spojrzał na Dobrą.

– Chcesz, zostanę z tobą – rzekł, siląc się na rycerski ton, ale zabrzmiało to jak płacziwa prośba.

Pokręciła głową. Ręce trzymała złożone w małdrzyk, zaciskała w nich granatową czapeczkę robioną na drutach.

– Miał ją na głowie może dwa razy.

– Zostanę – powtórzył Puchacz. – Pozwól mi się sobą zaopiekować.

Zbliżył się do niej, by ją przytulić, ale go odepchnęła.

– Zajmij się tym, co spieszyłeś. – Sięgnęła do klamki. Drzwi były jednak zablokowane. – Wypuść mnie! – rozkazała.

Wcisnął centralny zamek. Włożyła na głowę za małą czapeczkę dziecka i wygramoliła się z wozu.

– Chcesz pomóc? Miej oko na przyjezdnych – dodała, odchodząc. – Romka się zjawi, jak tylko się dowie z telewizji, co zaszło. Tego się teraz boję najbardziej. W tym możesz mi pomóc. Niech ona się w to nie miesza!

Zbielał na twarzy.

– Odzywała się?

– Cały czas się odzywa. Wiesz, że uwielbiała Tymka. Z wzajemnością. Nie da mi żyć. Będzie cię oskarżała, że przez ciebie mojego synka już nie ma.

Puchacz nie słuchał dłużej. Wsiadł. Sięgnął po bagaż Dobrej i zaniósł go na próg domu. Nie zaprotestowała. Zawsze tak było. Mówiła nie, a on robił swoje. I w końcu zawsze się zgadzała. Kiedy weszli do domu, uderzył go zapach Donata. Jakby ksiądz nagle stanął obok: wino mszalne, towot, woda kolońska i dobry rum. Puchacz nie miałby nic przeciwko temu, by łyknąć coś z piwniczki byłego przyjaciela, ale postanowił zaczekać, aż Dobra zaśnie.

– Zrobię ci herbaty – zaoferował się, lecz kobieta stanęła na szeroko rozstawionych nogach, założyła rękę na ramiona.

– To koniec, Puchacz – rzekła. – Nie przychodź więcej. Te pieniądze, które zarobiłam, możesz przekazać na konto. I nie rozklejaj się, bo tego nie zniosę.

Nie uwierzył jej i podbiegł, by pocałunkami przegonić złe myśli, ale zaskoczyła go, wyjmując sztucer zza szafy. Musiała wiedzieć, że Donat go tam trzyma, albo zostawiła w tym miejscu broń z rozmysłem.

– Wynoś się, Pawełku, i nie wracaj – ryknęła, a potem głos jej się złamał. – Uciekaj stąd jak najdalej. Szukają cię. I nie puszczą. Nie miałam wyjścia, wybacz. Nie po tym, co się stało z Tymkiem.

W tej samej chwili rozległo się walenie do drzwi. Dobra uchyliła firankę i upewniła się, że dom otaczają mundurowi.

– Otwarte! – krzyknęła, bo ostatnim, na co miała teraz ochotę, było wstawianie nowych zawiasów. – Jest tutaj – dodała, odkładając strzelbę i oddychając z ulgą.

Spojrzał na nią zawiedziony, bo dopiero teraz uwierzył, że go wydała.

– Nie miej żalu. – Uśmiechnęła się przeproszająco, wzruszając ramionami, a on pojął, że nie potrafi się na nią gniewać. – To musiało się tak skończyć. Od początku wiedzieliśmy, że przyjdzie taka chwila.

Wyprowadzili go. Nie opierał się. Nic nie powiedział, a Dobra była pewna, że od tej chwili będzie milczał, nawet jeśli posadzą go przed psychologiem albo podłączą do poligrafu. Zbyt wiele miał do stracenia.

Wreszcie sama na włościach, pomyślała. Odzyskam kontrolę nad swoim życiem. Nie poddam się.

Ściągnęła z głowy czapeczkę Tymka. Przyłożyła ją do ust, a potem do nosa, starając się przypomnieć sobie zapach synka. Przez krótką chwilę zdawało jej się, że dziecko jest gdzieś obok. Obejrzała się nerwowo. Była sama. Nieoczekiwanie się rozpląkała.

\* \* \*

– Widzieliśmy to – zapewnił starszy brat Waloch.

Ten szczupły i wyższy, w niebieskiej czapce, której nie zdjął, nawet kiedy w pokoju przesłuchań zrobiło się gorąco jak na Dominikanie.

– Obaj – potwierdził drugi.

Był okrągły na twarzy i rumiany jak pączek. Na głowie miał zielony beret w gwiazdki. Ściągnął go, ledwie wszedł do komendy, i tylko szukał miejsca, gdzie by go porzucić.

Młody Doman podsunął im pod nos katalog ze zdjęciami sygnalitycznymi. Numerem 0932 oznaczona była fotografia Pawła Puchacza.

– Rozpoznajecie mężczyznę, który zaprowadził chłopca do lasu? – podyktował wolno do protokołu.

Bracia Walochowie spojrzeli na siebie, a potem obaj wyciągnęli dłonie i wskazali 0932.

– To jak to jest, panowie? – Doman odchylił się na krześle. – Mówiliście wcześniej, że byliście w agencji.

– To Puchacz wymyślił. – Pierwsza pękła niebieska czapka. – Obiecałem koledze, a moje słowo droższe pieniędzy.

– Za składanie fałszywych zeznań grozi ci teraz siedem lat, Andrzej – zauważył Doman. – Warto było tak nadstawiać karku?

– Zastraszył nas – odnalazł się w sytuacji okrągły brat. – Tak było, Tomek.



– Nie mogłeś przyjść z tym do mnie? – zdziwił się młody Doman. – Ile się znamy?

– Od dzieciaka.

– No. – Podkomisarz pokiwał głową. – Warto było tak ryzykować?

– Przecież w końcu byśmy przyszli. – Chudszy Waloch ściągnął wreszcie nakrycie głowy. Na środku czaszki błyszczała łysina, po bokach sterczały pojedyncze włosy. – Przyszlibyśmy – zapewnił niezbyt wiarygodnie.

Doman westchnął. Obejrzał się na drzwi. W domu kultury oczywiście nie było pomieszczenia z lustrem weneckim. Teraz wszyscy tego żalowali. By wyżsi rangą śledczy, w tym komendant Czupryna, mogli monitorować przesłuchanie, na szafce z dokumentami postawili kamerkę. Obejmowała przestrzeń za plecami Tomka Domańskiego i twarze przesłuchiwanym. Doman miał nadzieję, że Meyer ma jeszcze jakieś pomysły, bo on już wyczerpał wszystkie.

– I co było dalej?

– No co było? – Chudszy Waloch się zawahał. – Popilimy, posiedzieli, pogadali o dupach. Tymek w tym czasie był u siebie. Nasi synowie wcale go nie lubili. Był młodszy, to się znudzili i poszli do chaty. Tymek został sam i bawił się, coś tam składał. A potem nagle Puchacz wstał, wręczył nam po flaszcze i zawarliśmy układ. My powiemy, że pojechalim na dziwki do Białegostoku, jakby nas pytano, a on miał sprawę w lesie. Mielimy o nic nie pytać.

– I nie pytaliście?

– Najsampierw nie – przyznał okrągły. – Dopiero jak wódka się skończyła, to poszedłem do Puchacza po dokładkę.

– Która mogła być godzina?

– Po północy, to pewne, bo wahalimy się, czy Puchu wrócił już z tej głuszy. No i ciekawi byliśmy, co go tam pogało. Braciak pytał o godzinę na stacji benzynowej, a stamtąd do domu Puchacza na trzeźwo idzie się dobry kwadrans. My w formie byliśmy już zaawansowanej.

– I co? – zniecierpliwiał się policjant. – Zastaliście go? Był w domu?

– Ano! Wyszedł w piżamie i wyglądał, jakby dopiero co się wybudził. Ale był jakiś taki nieswój. Myślałem, że Dobra wróciła i znów go zrugowała.

– Często się sprzeczała?

– Ostatnio nie było między nimi zgody wcale. Ona chciała to skończyć. On kocha ją nad życie. Wiele razy mówił, że jak go rzuci, zastrzeli się. Dlatego wciąż z nim była.

– Co było dalej?

– Nagle Tymek wybiegł ze swojego pokoju. Puchacz go złapał, zaciągnął do łóżka. Krzyczał, że jest noc i nigdzie nie pójdzie. Groził, że zadzwoni do matki i na niego naskarzy. Ale dzieciak nic sobie z tego nie robił. Poszarпали się, Tymek obsmarkał się z płaczu, bo Paweł raz go mocniej szarpnął i pękł łańcuszek chrzciniowy, ten

z medalikiem Maryi.

– Jak mocniej?

– No, przycisnął bachora do ściany, coby nie wierzgał. Ledwie dyszał, jak go puścił – odparł Waloch, wzruszając ramionami. – To nie była pierwszozna. Ten dzieciak taki był. Nic się Puchacza nie słuchał. Zresztą poza Donatem nikogo nie szanował. Łaził, gdzie chciał, i nawet matce się nie opowiadał. Ale Dobrej to było na rękę. Ja myślę, że ona go nie chciała. Czasem zwyzywała go od antychrystów... Temu uciekał...

– Dlaczego uważasz, że go nie kochała?

– Zostawiała go samego z obcymi ludźmi i rzadko dzwoniła. Nie sprawdzała, co słychać. Ile to razy bylimy u Puchacza na domówce, Dobra podawała żarcie, a dzieciak spał u siebie. Nawet słowa z nim nie zamieniła. Tolerowała go, ale wolałaby go nie mieć. – Urwał. – Ale to był temat zakazany. Raz, jak o tym gadaliśmy z Puchaczem, to dostalim po mordzie. On nie chciał tego widzieć. Dobra była dla niego jak święta.

– Wróćmy do feralnego wieczoru...

– Wódki nie dostałem, co mnie zakurwiło. Tylko jakieś piwa. Trzy sikacze. A widziałem, że Puchacz miał whisky i bimber Cygankowej. Nas nie poczęstował.

– Dlatego zaczailiście pod jego domem?

– No, czekalim, aż zaśnie. I nie zdążył kogut somsiadów zapiać, a zgasło. To braciak dał mi znać, ja żem był gotów, ale drzwi się otwarły i Pablo wylazł z Tymkiem. Popychał go do lasu.

– Poszliście za nim?

– No poszlimy.

– I?

– I widzieli, co żeśmy zeznali. Przywiązał chłopca w szopie. Dalej my już nie patrzyli, bo nagle zza krzaków wychylił się biały wilk. Pokazał zęby. Uciekaliśmy jak zające.

– Ale po wódkę do Puchacza wróciliście?

Obaj pochylili głowy.

– My byli niedopici, to i poszliśmy. Jego nie było, a wiedzielim, gdzie trzyma alkohol. Klucz zawsze był na parapecie. Odlalimy pół butelki bimbru Cygankowej i pęto kiełbasy zabrali. Zgłodnieli.

– Puchacz was nie przyłapał?

– Wtedy nie... A potem... – Chudszy Waloch się zawahał. – Nawet jak się zorientował, to następnego dnia było takie zamieszanie, że nie było o czym gadać.

Doman się zastanowił. Nie wiedział, co jeszcze mógłby z tych pijaków wycisnąć i na ile wiarygodne jest ich zeznanie. W feralną noc musieli mieć w czubach więcej niż dwa promile, ale to był ich stan normalny. Gorzej by się czuli, gdyby byli trzeźwi.

– Wiecie, kiedy Puchacz wrócił?

Kręcenie głowami.

– Rozmawialiście z nim po odkryciu ciała? Tłumaczył się? Zauważyliście jakąś zmianę w jego zachowaniu?

– Był nieswój, bardzo nerwowy. Jakby coś ukrywał.

– Co na przykład?

– No, że w tej szopie coś z krwią poszło nie tak i mógł dzieciaka zakatrupić.

– Czyli nie widzieliście, żeby niósł chłopca do kapliczki Hubertusa? Mówiłeś, że Tymek omdlał i...

– Tego my nie widzieli. Dla nas to i tak było nadto. Tymek to był w sumie fajny chłopiec. Ładny jak matka i taki sam zadziora. A chłopak to chłopak. Żaden z nas za dzieciaka nie był grzeczny, nie?

Doman wstał, skierował się do drzwi.

– Zaczekajcie. – Wskazał kamerę na szafce i podkreślił: – To cały czas jest włączone.

A potem obrócił się i zadał jeszcze jedno pytanie.

– Skąd macie swoje czapki?

– Od Kupały. Prezent gwiazdkowy. Szkoda idioty. Był nieszkodliwy, a ile poroża zbierał! Zawsze razem świętowaliśmy. On był kościołowy, to nie pił, ale umiał się zachować. A jego babka warzy najlepszy żur na świecie.

– I do tego ten chleb kminkowy! – rozmarzył się drugi brat. – Jużem zgłodniał. Kiedy nas puścicie?

Doman wyszedł. Na korytarzu czekali na niego zwierzchnicy. Komendant Czupryna podszedł do podkomisarza i poklepał go po ramieniu:

– Dobra robota. Zawijamy go. I wrzucamy tę bombę do prasy. Niech się dymi.

Spojrzał na markotnego Huberta.

– I widzisz, Meyer, obeszło się bez twoich profili.

– To nie Puchacz – zaprotestował psycholog. – Klucz zawsze leżał na parapecie. Chłopca z domu mógł wywabić każdy. Nic się tu nie zgadza.

Ale nikt go nie słuchał.

\* \* \*

– Sprawca nie przekroczył trzydziestki. Ma wykształcenie wyższe, jest inteligentny, pochodzi stąd – zaczął raport Hubert, kiedy wszyscy się rozeszli, a Czupryna zajął gabinet młodego Domana na swój sztab.

Najwyraźniej wbrew temu, co prezentował publicznie, nadal nie traktował pracy Meyera poważnie, bo pozwolił uczestniczyć w spotkaniu zarówno Tomkowi Domańskiemu, jak i jego ojcu i Weronice. Tej ostatniej głównie dlatego, że mu się

podobała i imponowało mu, że gości żonę ministra. Patrzył na nią z łakomą podejrzliwością, przekonany, że mają z Hubertem romans. Inaczej nie potrafił sobie wytłumaczyć jej obecności w Narwi.

– Toś się niewiele omylił. Puchacz ma studia, nie jest głupi i mieszka w tych stronach od dziecka. Dobija czterdziestki, choć wciąż nieźle się trzyma.

– Puchacz nie jest inteligentnym sprawcą. Gdyby zabijał, byłby typem niezorganizowanym – zauważył Hubert i umilkł. Był już zmęczony odpieraniem ataków. Odkąd znów pracował dla policji, nieustannie borykał się z próbami siłowego dopasowania opinii do podejrzanego. – Nasz człowiek ma zmienny modus operandi. Dostosowuje go do sytuacji, warunków i ofiary.

– Czy nie tak robi każdy zmyślny przestępca? – odparował komendant.

– Zasadniczo to bardzo rzadkie zachowanie. I dlatego się martwię, bo to świadczy o wysokiej inteligencji sprawcy oraz sprycie – podkreślił Hubert. – Większość przestępców nie zmienia sposobu działania. Udoskonala, uczy się, rozwija, ale wzór jest podobny. Przypomina to wariację na dany temat, choć przestępca zwykle nie zdaje sobie z tego sprawy. Nie myśli o tym. Skupia się na zaspokajaniu swoich fantazji, rojeń i realizacji idei. Jego nadrzędnym celem jest uniknąć odpowiedzialności. Ale jest dobra wiadomość. I w jednym, i w drugim przypadku sygnatura pozostaje stała.

– Czyli?

– Rodzaj pieczęci autorskiej. Coś, co ilustruje tego konkretnego napastnika. I mówi o nim bardzo wiele. Można to porównać do analizy obrazów Picassa, by stwierdzić, że stoi za nimi ten konkretny malarz. Czasami to będzie kolor, innym razem technika, jeszcze innym rodzaj użytego płótna...

– Pierdolisz, Meyer – zniecierpliwiał się Czupryna. – Już stary Doman jest bardziej stały w uczuciach niż ten nasz łotr. Pierwsze zabójstwo to broń palna, drugie flebotomia, a trzecie – kość plus tyka. Jaka niby jest w tym przypadku sygnatura?

– Jeszcze nie wiem – przyznał Meyer. – Ale sygnatura występuje zawsze. Nawet w zbrodniach rodzinnych i tych, których dokonano z przyczyn osobistych. MO i sygnatura pozwalają na stwierdzenie, czy mamy jednego autora.

Komendant już się znudził.

– Nic nie łączy tych spraw – oświadczył władczo i pyknął z fajki. – Trzeba je rozdzielić. Moim zdaniem to zbieg okoliczności, że ksiądz i dzieciak zginęli tej samej nocy. Ot, przeznaczenie. Jeśli zaś chodzi o kościelnego, zabił go strzelec, żeby uniknąć zatrzymania. Kupała musiał coś wiedzieć. Może o Donacie, a może o sprawcy? – Zwrócił się do młodego Domana: – Weźmiesz pod lupę koło łowieckie Pelikan, a jak będzie trzeba, wszystkich zgromadzisz jednej nocy na dołku. Te chojraki od razu zaczną mięknąć, jak im zabierzesz sprzed nosa dubeltówki, noktowizory i ciepły śpiworek. To może być też jakiś wnerwiony ekolog. Może ten koleś od bociana, o którym mówił Meyer?

– A co z zaginięciem dziewczynki? – spytał Hubert.

– Co ma być? – zdziwił się komendant. – Nie ma zgłoszenia.

– Zgłoszenie jest – zaproponował młody Doman. – Tyle że niewiarygodne. Ojciec twierdzi, że dziewczynkę uprowadziła matka, a ona oskarża jego. Na ten moment uważamy, że to ukryte porwanie rodzicielskie.

Hubert spojrzął na zegarek.

– Pani Grzybowska powinna być za godzinę. Mogę z nią pomówić, jeśli pozwolicie.

– Nie widzę przeszkód. – Czupryna machnął ręką. – Cieszę się, że sprawy mamy pozałatwiane. Rozdzielacie zabójstwa. Odwet ekologa i wendetę na kochance. Dajemy odpowiedni komunikat do prasy: „Balwierz z Narwi zatrzymany”. Mogę wracać do domu.

– Robisz błąd, Krzysztofie – odezwał się Hubert. – Będziesz tego żałował, kiedy pojawią się kolejne ofiary.

– A pojawią się? – Inspektor ziewnął szeroko. – Na jakiej podstawie wyciągasz tak destrukttywne wnioski? Chcesz mnie postraszyć czy zmobilizować? A może szukasz usprawiedliwienia dla swojej dalszej roboty w tym miejscu?

Hubert zignorował przytyk. Nie chciało mu się wchodzić w teoretyczne dyskusje.

– Modus operandi tych spraw faktycznie się różni – przyznał. – Chłopiec się wykrwawił, księżda zastrzelono, a kościelny udławił się kością, ale sygnatura jest ta sama.

– Szkoda, że nie wiesz jaka.

– MO w przypadku inteligentnych sprawców jest zwykle dynamiczne. Narzędzie zbrodni też nie musi się zgadzać. Nasz klient uczy się, szybko się przystosowuje. To cecha ambitnych i zmyślnych jednostek. Tutaj mamy do czynienia także z człowiekiem o wypaczonym kodeksie wartości, zapewne i psychopatą, ale jednocześnie przyświeca mu idea. W jego mniemaniu te działania są konieczne.

– Czyli? – Czupryna się skrzywił. – Bo za udział w wykładach każe sobie płacić.

– Założmy, że on robi to w jednym celu: kogoś chroni – tłumaczył Hubert. – By ratować status quo. Znajdziemy sprawcę w cieniu tej osoby. To jest jego sygnatura.

– Kogo ochrania? – włączyła się do rozmowy Weronika. – Kobiętę?

Hubert ostrożnie skinął głową i dorzucił:

– Która łączy wszystkie te sprawy, a nawet jest powiązana z obecnym podejrzanym.

– Dobrawa Wątpa – wyszeptła Wera, a Czupryna znów zainteresował się rozmową.

– Co to oznacza dla nas? – zapytał.

– Że trzeba się jej przyjrzeć – wyjaśniła prokuratorka. – Dziwię się, że jeszcze tego nie zrobiliście.

– Ależ wiemy o niej wszystko – zaproponował Czupryna. – Nie możemy jej brać pod

uwagę. Na czas zabójstwa jej dziecka i księdza Gizy ma twarde alibi: była w Suwałkach. Kiedy zginął kościelny – leżała w szpitalu. Nie opuszczała swojej sali. Nie słyszałem jeszcze o sprawcy ze zdolnością bilokacji, choćby był najinteligentniejszy w całej wsi. I przed trzydziestką – podkreślił.

– Nikt nie mówi, że laleczka osobiście dokonała tych zbrodni, Krzychu – do rozmowy włączył się Doman ojciec. – Hubert tylko zauważa, że jej nazwisko przewija się w każdym z wątków. Co oznacza, że babka jest powiązana ze sprawcą w jakikolwiek sposób – wysylabizował.

– Widzę, że otoczyłem się twoimi ludźmi, Meyer, i słono za to zapłacę... – poskarżył się Czupryna. A potem podniósł głowę i spojrzał na Tomka Domańskiego: – A ty co o tym sądzisz, chłopcze? Nic się nie odzywasz. Nie chciałbyś wziąć na warsztat młodej wdówki i jej zlustrować?

Młody Doman spłoszył się i odruchowo zrobił krok w tył, co zauważyli wszyscy.

– Zgadzam się z Hubertem – rzekł po namyśle. – A jednak odmawiam wykonania rozkazu. Wybacz, szefie. Dla dobra śledztwa nie powinienem się w to mieszać.

– Odmawiasz? – zdziwił się komendant. Musiała to być pierwsza taka sytuacja, bo nie był w stanie ukryć szoku. – Dlaczego?

Młody Doman nie wiedział, gdzie podziąć oczy. Pochylił głowę i wychrypiął:

– Nie będę obiektywny. Miałem z nią krótki romans. I powiem raz, ale dobitnie. Ta kobieta jest zdolna do wszystkiego. Ten mój skok w bok to była pomyłka i kataklizm. Definitywnie definitywne zakończenie w jej przypadku jest najskuteczniejsze. Inaczej nie żyjesz. Tato, nie mów Eli – wyrzucił na jednym oddechu i zamilkł.

W pokoju długo panowała cisza.

– A jednak nieodrodny syn swojego ojca – skwitowała w końcu z kpiącym uśmiechem Weronika. Spojrzała na Huberta. – Ty sobie z nią poradzisz. Trafił swój na swego. Jak cię znam, zaleciłbyś działania proaktywne.

– Tym razem skuteczniejsza byłaby prowokacja. – Meyer odchrząknął. – Ale zgadzam się, że trzeba się do niej zbliżyć. Inaczej nic nie powie. Będzie płakać, grać zboląłą matkę, oskarżać kogo się da. A potem tak zamydli obraz, że polegniemy. Nasz sprawca szybko się uczy. Odkryje szachrajstwo.

– Uważacie, że Dobra zleciła zbrodnię czy wie, kim jest morderca? – Czupryna nie krył szoku.

– Sądzę, że wie więcej, niż chce ujawnić – potwierdził Hubert. – A jeśli zna nazwisko podejrzanego, z jakiejś przyczyny go kryje. Tego musimy dowiedzieć się najpierw.

– Może sama zaplanowała intrygę? – podsunął komendant. – W końcu przez lata łączył ją z księdzem wstydlivy sekret.

– Jaki tam sekret – skrzywiła się prokuratorka. – Wszyscy dokładnie znali ich sytuację. Dobrawa i Donat nie musieli się kryć. Ciekawi mnie coś innego. Dlaczego milczenie leży w jej interesie?

Czupryna przerwał jej bezceremonialnie.

– Nasz sprawca to kobieta czy mężczyzna? I mamy do czynienia z jednym autorem czy kilkoma? Chciałbym się przygotować.

W sali znów zapadła cisza.

– Nie wiesz? – Komendant skrzywił się z pogardą. A ponieważ profiler nie dał się podejść, dorzucił: – Ale podejrzewasz? Nie chcesz go spłoszyć. Potrzebujesz dowodów – mówił z coraz większą nadzieją. – Chcesz mi zaimponować? Przyjdiesz pewnego dnia z kartką i pokażesz mi, jak kiedyś, żebym wiedział, do których drzwi mam iść z nakazem aresztowania?

– Mylisz się – wszedł mu w słowo Hubert, choć wiedział, że nie takiej odpowiedzi spodziewa się stary policjant. – Naprawdę nie wiem. Jeszcze... Ale mam pomysł, jak do tego dojść. – Przerwał, zapatrzył się w okno. – Aresztowanie Puchacza to doskonała zasłona dymna. Wykorzystajmy to. Skoro i tak chcesz go przymknąć na cztery osiem, ciśnij tę hipotezę w mediach, ile się da. Niech reporterzy przyjdą nam w sukurs, żeby Dobrawa straciła czujność. Trzeba zrobić, jak radzi Wera.

– To znaczy? – Czupryna sięgnął po fajkę. Opróżnił ją i wystukał stary popiół.

– Uwieść ją.

Meyer wyczuł w głosie prokuratorki cień zazdrości. Rozweseliło go to.

– Jeśli potwierdzisz rozkaz. – Zawahał się i odchrząknął. – Spróbuję zdobyć sympatię Dobrej. Ona potrzebuje teraz człowieka, któremu mogłaby ufać. Jestem gotów zagrać tę rolę na potrzeby dochodzenia.

Czupryna metodycznie napełniał fajkę, pogrążony w swoich myślach. Nic nie odpowiedział, ale nie wyglądało, żeby szykował się do wyjazdu, jak jeszcze przed chwilą. Był zaintrygowany.

– Nie chciałabym być w twojej skórze, kiedy ta kobieta się dowie, że to tylko działania wywiadowcze – podsumowała prokuratorka i włożyła płaszcz. – Bądź ostrożny, proszę cię. To niezwykle łąska zołza.

– Owszem – zgodził się. – A jednak jest też matką, która straciła dziecko.

– Nie sądzę, by to ci pomogło – mruknęła Rudy i skrzywiła się z obrzydzeniem. – Pozwalała, by jej faceci bawili się z jej synkiem we flebotomię.

– I tutaj dochodzimy do sedna – podkreślił. – Bo skoro to wyszło na jaw, jest szansa, że się tego wstydzi.

\* \* \*

Dobra usiadła przed kominkiem z lampką czerwonego wina i obłożyła się albumami. Wydawało jej się, że wypłakała już wszystkie łzy, ale kiedy tylko otworzyła księgę z pierwszego roku życia Tymka, musiała pójść po nowe pudełko chusteczek. Wczoraj jeszcze nie chciała wierzyć w to, co jej mówili, ale dziś była sama w domu Donata, który należał już do niej, jak zresztą pozostałe jego dobra, i nie

trzeba było nawet prowadzić procedury spadkowej. Od lat marzyła o takiej chwili: Donat nie żyje, a ona rozpoczyna całkiem nowy rozdział. Niestety, w jej fantazjach Tymek korzystał z tego majątku razem z nią. Jak mogła pozwolić, by syn tego nie doczekał?

Odstawiła kieliszek na stolik i zapaliła lampkę. Przerzucała fotografie, jakby chciała w przyśpieszonym tempie cofnąć się do przeszłości, która na zdjęciach wydawała się niemal bajkowa. Dobra wiedziała jednak, że prawda wygląda zupełnie inaczej. Nie była dobrą matką. Nie była dobrym człowiekiem. Kłamała, oszukiwała, a jeśli raz zaczniesz, nie ma już odwrotu i tylko starasz się przykrywać stare matactwa nowymi. Zastanawiała się, kiedy to wszystko się zaczęło. Kiedy zmieniła się w potwora? Teraz, gdy Tymek nie żył, tęskniła za nim, ale wcześniej – przez te krótkie sześć lat jego życia – cały czas od niego uciekała, bo czuła się jego zakładniczką. Miała dopiero dwadzieścia cztery lata i pierwszy raz w życiu była wolna, ale daleko było jej do szczęścia. Odnosiła wrażenie, że jej życie zakończyło się wraz z ostatnią kroplą, która wypłynęła z żyły dziecka. Tymek nie był jej kulą u nogi, jak często o nim wcześniej myślała. Dopiero teraz została naprawdę uwięziona. W poczuciu winy. I wiedziała, że będzie jej ono towarzyszyło już zawsze.

Jedyne, czego zawsze pragnęła, a w dzieciństwie uważała za swoje jedyne marzenie, to była niezależność finansowa. Była przekonana, że gdyby jej matka miała zawód, sama mogła się utrzymać i zapewnić bezpieczeństwo jej oraz siostrze, nie pozwoliłaby nawet na jeden cios z ręki własnego męża. Odeszłaby po pierwszym krzywym spojrzeniu i niewłaściwej uwadze. Tak w każdym razie zrobiłaby ona. Ale jej matka nie skończyła szkoły, nie miała żadnego zawodu. Pochodziła z biednej rodziny, która nie przyjęłaby jej z powrotem. Nie miała wyboru. Po to, by zapewnić opiekę dzieciom, stała się zakładniczką męża. Przez pierwsze lata znosiła bicie i poniżanie, licząc, że coś się poprawi, a potem nie miała już dokąd pójść. Zmarła na zapalenie płuc, bo wieszała pranie na mrozie i ją przewiało. Dobra lubiła myśleć o śmierci matki, że była to jej kolejna – iście doskonała – próba samobójcza. Nie potrafiła wejść na strych i założyć pętli. Na skok do studni też nie znalazła w sobie odwagi. Może i się wstydziła, że dziewczynki będą dodatkowo naznaczone? Co innego, kiedy pijany mąż tłucze żonę – to zdarzało się w okolicy nierzadko i matka niosła ten krzyż z perwersyjną dumą, ponieważ ludzkie współczucie ją wzmacniało. Uważała, że jest niczym Zbawiciel, którego dręczą, kamienują i patrzą, jak umiera na ich oczach. Wina leży po ich stronie, bo nic nie zrobili, by ją ratować. Umyli ręce, pozwolili oprawcy dokonać krwawego dzieła. A ona sama co zrobiła, by wydostać się z tej matni? Choć raz spróbowała stanąć na własnych nogach, podjąć jakąś pracę i ją utrzymać? Nie, nigdy. O każdy grosz musiała prosić. I robiła to. Nic jej nie obchodziło, że dziewczynki całe życie czuły się z tego powodu upokorzone. Kiedy zachorowała i leżała bez sił, zdawała się Dobrej najszczęśliwsza na świecie. Dużo mówiła o Bogu i o tym, że należy godzić się z jego wyrokami. Skoro taki los wybrał dla niej, ona go przyjmie. Wreszcie ktoś zadecydował za nią.

Dobra była już wtedy w szkole klasztornej, a Romka ogoliła włosy na języka, puszczała się z narkomanami i włóczyła po dworcach. Kiedy się dowiedziała, że



matka zmarła na zapalenie płuc, a ojciec nawet nie wezwał pogotowia, nie podano jej żadnych leków poza herbatą z miodem i główką czosnku – przyjechała i rzuciła go z balkonu. Nic mu się nie stało. Był tak pijany, że otrzepał się i poszedł pić dalej. Romka znów wyjechała, a Dobrą zaopiekował się ksiądz Donat. Nikt nigdy nie uwierzył, że wtedy między nimi nic nie było, ale to była prawda. Miała czternaście lat i była dziewicą jeszcze przez kolejne trzy. Kiedy skończyła siedemnaście i wiedziała już, że będzie zdawała na ekonomię do Białegostoku, przyszedł do jej pokoju z butelką orzechówki i karmelową czekoladą. Brzydziła się go, ale nie miałyby się gdzie podziąć przez najbliższe półtora roku. Dom ojca sprzedano za długi, a on sam wybył do Broku. Mówiono, że przygarnęła go jakaś kobieta pędząca bimber. Dobra więc jej go nie widziała.

Na ekonomię nie poszła, bo w czwartej klasie liceum była już w ciąży. Tymek urodził się w dniu egzaminów, do których tak rzetelnie przygotowywała się od drugiej klasy. Ludzie ze wsi gadali, że miała chłopaka, że ją porzucił, ale nikogo poza Donatem nie było. Ksiądz był dla niej miły. Nauczył ją gotować, prowadzić dom, strzelać, elegancko się ubierać. Wcześniej nie wiedziała, że istnieją widelczyki do ciasta, a koniak pije się z pękatek jak beczka kielichów. Nie mogłaby powiedzieć, że żałuje. Tymek wniósł promień światła w jej życie. Kiedy się urodził, lepiej zrozumiała matkę i wybaczyła jej. Wiedziała już, że to, co nazywała tchórzostwem i słabością, było wygodnictwem. Matka nie chciała dorastać. Dobra niosła tę okropną cechę w genach. To z tej przyczyny została z księdzem, a potem dała się przekazać Pawłowi. Puchacz wziął ją jako księgową i naturalną koleją rzeczy zaczęli ze sobą sypiać. Nie kochała żadnego z nich. Ani księdza, ani Puchacza. Przygodnych amantów z delegacji, których imion i twarzy nie chciała pamiętać – tym bardziej. Nie wiedziała, co to jest miłość. Nie umiała się dzielić. Ale marzyła o niej, wierzyła, że któregoś dnia się o tym przekona. Wiedziała jedno: niezależność materialna ma znaczenie i dlatego teraz może zacząć od nowa. Nie będzie więcej chodzić na zgniłe kompromisy i oddawać się mężczyznom, ponieważ mają wyższą pozycję od niej. Wreszcie to ona zadecyduje o swoim losie. Może urodzić jeszcze wiele dzieci. Jeśli będzie chciała. Bo na razie nie chce. Wszystko zależy, kto będzie dawcą genów.

Odłożyła albumy i poszła po kolejne wino, choć po czterech lampkach, które już wypila, kręciło jej się w głowie. A nie minęła trzynasta i dopiero co opuściła szpital. Cóż, nieczęsto dziedziczy się tak ogromny majątek i traci jedyne dziecko, rzekła do siebie w myślach. Dlaczego nic nie czuje? Płakała, owszem, nad swoim smutnym życiem, nad nagle przerwany los jej pięknego synka, ale czy cierpiała naprawdę? Nie – uśmiechnęła się. Czuła ulgę. Zła matka. Zły człowiek.

„Jesteś wilczycą – mawiał Donat. – Prawdziwą wilczycą. Kiedyś naprawdę zostaniesz sama i będziesz wtedy najszczęśliwsza”.

Miał rację. Tak właśnie było. Nie wiedziała, czy tak wygląda szczęście, ale pierwszy raz w życiu nikt nie stał jej nad głową, do niczego nie zmuszał. Była sama i na dodatek bogata. To jej teraz wystarczyło, by nie pragnąć niczego więcej.

Odkorkowywała właśnie kolejną butelkę, kiedy rozległ się stukot kołatki, a potem

wybrzmiały dzwonki na werandzie. Spojrzała na antyczny francuski zegar na kominku, który Donat otrzymał w prezencie od kolegi antykwariusza z Lourdes. Zrobiło jej się przyjemnie, że należy tylko do niej. Zawsze go lubiła.

Podeszła do okna, wyjrzała. Przed drzwiami stał ten przystojny psycholog. Był już starszawy, ale wciąż pociągający. Pewnie grzebie w sprawie i chce ją oskarżyć. Byłaby głupia, gdyby sądziła, że zostawi ją w spokoju. Zganiła się, że tyle wypiła. Przecież muszą ją brać pod uwagę jako pierwszą podejrzaną. Schowała pustą butelkę do śmietnika, a pełną włożyła do szafki pod zlewem. Kieliszek umieściła w zmywarce. Pośpiesznie przepłukała usta, a potem bardzo spokojnie ruszyła na piętro, by przebrać się w ogrodniczki i rozciągniętą bluzkę. Po drodze sięgnęła po mokrą chusteczkę i rozmazała tusz pod oczyma, by wyglądać jak najżałośniej.

\* \* \*

Hubert stał pod drzwiami, co jakiś czas stukając kołatką, i zaczynał się już niepokoić. Nie był pewien, czy kobieta w ogóle słyszy, że ktoś się dobija. Jeśli po porannym nalocie policji wzięła leki uspokajające i położyła się na górze, może nie mieć świadomości, że na werandzie czeka na nią gość.

Dom był imponujący i nawet z zewnątrz nie przypominał leśnej chaty, lecz fortecę z kamienia, który – jak twierdzili miejscowi – przyjechał do Narwi aż z Afryki. Nie bez przyczyny przezwali rezydencję Kamiennym Fortem. Surowość budynku i obejścia nie zmyliła tutejszych, a tym bardziej wytrawnego znawcy leśnych chat, ponieważ ojciec Meyera kiedyś takowe stawiał. Hubert już na pierwszy rzut oka widział, że w ten wiejski zamek zainwestowano furę gotówki. Lokalizacja również była nieprzypadkowa. Był to bodaj jedyny budynek w okolicy, który postawiono w otulinie rezerwatu, z widokiem na rzekę i z bezpośrednim do niej dostępem. Rzecz jasna stał na podwyższeniu z kamieni, które zabezpieczało go przed ewentualnym zalaniem, gdy poziom wody w Narwi podnosił się na wiosnę. Doman opowiadał, że dom księdza zbudowano w błyskawicznym tempie, jeszcze zanim Donat zdobył wszystkie pozwolenia. By zwierzchnicy kościołowi nie mogli mu odebrać majątku, ziemia została nabyta na jego podopieczną. Nazwisko Dobrawy Wątlej figurowało na wszystkich innych dokumentach własności księdza Gizy, które Hubert przed godziną przeglądał. Kiedy wybuchła afera zainicjowana przez Pawła Puchacza, byłego wspólnika księdza, Giza interweniował w Unii i tylko sobie znanym sposobem zablokował rozbiórkę nielegalnej budowy. Obecnie papiery były wyczyszczone i Dobra, nielegalna wdowa po nim, mogła poszczycić się jednym z największych majątków w okolicy. Tylko rodzina Grzybowski, zajmująca się hodowlą i przetwórstwem jesiotra, przewyższała ją wypłacalnością. Ale to była rodzinna firma. Posiadała też kilka innych zakładów usługowych, hotel i stację benzynową.

Sięgnął po swoją przedpotopową komórkę, do której włożył już kartę kupioną przez Domana, i wykręcił numer matki Tymka. Został przekierowany do poczty głosowej. Zadzwoił więc po posiłki do Święty. Zajęte. Przez chwilę się zastanawiał, czy kobiety nie dzwonią do siebie, ale ta myśl wydała mu się absurdalna. Już

zdecydował się odejść, gdy usłyszał szelest i drzwi się uchyliły.

Dobra wyglądała źle. Miała rozmazany makijaż, usta spierzchnięte. Bujne brązowe włosy były w nieładzie, jakby dopiero co wstała z łóżka. Poprawiła szelkę dzinsowych ogrodniczek. Pod nimi miała tylko rozciągnięty T-shirt, tak cienki, że przez tkaninę wyraźnie prześwitywały ciemne sutki. Czyżby tak długo zwlekała z otwarciem drzwi, by zdążyć zdjąć biustonosz?

– Obudziłem panią – odezwał się i udał, że się wycofuje.

– Nie czuję się najlepiej. W głowie mi się kręci – szepnęła i otworzyła szerzej drzwi.

Hubert wszedł na ganek.

– Potrzebuję pani pomocy – oświadczył.

– Trochę wypiłam. – Pochyliła głowę. – Nie umiem sobie z tym wszystkim poradzić.

Była boso. Paznokcie umalowała na niebiesko. Nie mógł oderwać oczu od jej stóp. Cała była długa, koścista, a jednak tam, gdzie należy, apetycznie zaokrąglona.

– Sam chętnie bym się czegoś napił.

– Donat miał dobrze zaopatrzoną piwniczkę. – Uśmiechnęła się zachęcająco. – Chyba jeszcze coś zostało.

Zabrała jego kozuch i powiesiła go w szafie. A potem podała mu kapcie. Pokręcił głową i zawahał się, czy zdejmować buty, ale spojrzał na dywany, cętkowaną skórę przed kominkiem oraz wyfroterowane parkiety. Wewnątrz bynajmniej nie było skandynawsko. Wszystkie ściany obwieszono trofeami myśliwskimi i obrazami z motywem łowów. W kuchni stały przeszklone witryny, w nich zaś zdobne komplety porcelany i bibeloty. Na samym środku przed kominkiem dostrzegł porozrzucane albumy ze zdjęciami i listy. Domyślił się, że wspominała dziecko.

– Ktoś się panią opiekuje? – spytał, kiedy ostatecznie ściągnął swoje zabłocone trapy wraz z grubymi skarpetami. Przyglądała mu się z niepokojem i niedowierzaniem, ale nic nie powiedziała. – Ma pani wszystko, czego pani trzeba?

– Mów mi Dobra. – Wyciągnęła smukłą dłoń.

Uścisnął ją. Była sucha, niemal bez życia. Jakby kobieta dała mu do potrzymania zgniecioną kulę papieru.

– Hubert.

Wskazała centralne miejsce na sofie. Sama usiadła naprzeciwko. Widział małe kółko odbite na szklanym stoliku, ale kieliszka ani butelki z winem nie dostrzegł. Pomyślał, że zwlekała z otwarciem, by je ukryć. Dlaczego, skoro wyznała mu prawdę?

– W czym mogę pomóc?

– Wiesz, że dziś rano znaleźliśmy kościelnego? – zaczął i zablęfował, by zobaczyć jej reakcję: – Jego gardło przebito tyką jelenia.

Przeżegnała się dyskretnie.

– To mnie przeraża – szepnęła śpiewnie i spojrzała na profilera spod przymkniętych powiek. Nie dał po sobie poznać, że zauważył zachętę do flirtu.

– Jak wszystkich w okolicy – rzekł. – Znałaś wszystkie ofiary.

– Jak wszyscy w okolicy – odbiła piłeczkę. – Narew to wieś. Paweł też ich znał.

– Dlatego na niego doniosłaś?

Zrobiła minę, jakby ją zranił.

– To za twoją sprawą na komendę zgłosili się bracia Walochowie. Ich matka nam powiedziała – dodał.

– Uważasz, że się mszczę?

– Nie wiem.

Zastanawiała się chwilę, nim odparła:

– Nienawidzę go. Cokolwiek tam zaszło i jakikolwiek miał motyw, nie daruję mu tego, że naraził moje dziecko na niebezpieczeństwo. – Urwała. – Zostawiłam Tymka pod jego opieką, bo nie miałam innego wyjścia. Musiałam wyjechać i dokończyć sprawę w Suwałkach.

– Co to była za sprawa? – przerwał jej.

Długo nie odpowiadała.

– Papierkowa robota. – Machnęła ręką. – Musiałam siedzieć przy komputerze i wstukiwać dane. Inaczej Puchacz z Grzybkiem nie zamknęliby budżetu i spółka nie kwalifikowałaby się do sprzedania. Francuzi chcieli mieć to na wczoraj.

– Nie mogłaś podłączyć się do sieci tutaj? Każdy teraz pracuje w domu.

– To skomplikowane – prychnęła. – Pracujemy w systemie. Na naszej aplikacji. Musiałam być blisko nadajnika. – Urwała.

– Na czym dokładnie polega ta aplikacja?

– Nigdy nie zdradzili mi szczegółów – odrzekła szybko i wiedział, że kłamie, ale pozwolił jej mówić dalej, licząc, że jeszcze do tego wróci. – Puchacz twierdził, że tej nocy spał i nie wie, jak mały mógł się wymknąć, ale bracia Walochowie powiedzieli mi prawdę. Poza tym próbowałam go ostrzec. Ze wszystkich sił zabraniałam mu przychodzić do Fortu. Nawet kiedy w końcu wtargnął, kazałam mu uciekać. Ale jego zaślepiąca żądza. Liczył, że zerznie mnie w ramach pocieszenia – dodała ze wstrętem. – Zupełnie jak Donat. Też poszedł po byka, choć odstrzał był nieaktualny.

Przyjrzał się jej. Czy grała? Z pewnością. W co chciała go wciągnąć? Była nienaturalnie blada, ręce jej drżały. Oddychała jednak równo. Jej bystre oczy lustrowały go, jakby trzymała go na muszce. Wiedział, że skoro potrafi zachować zimną krew na polowaniu, jest zdolna do szybkiego podejmowania decyzji. Zanim tutaj przyszedł, obejrzał jej fotografie dostępne na stronie Pelikana. Nie miała profilu w mediach społecznościowych, ale pojawiała się na zdjęciach grupowych z innymi myśliwymi. Jedno z nich stało oprawione na kominku. Podeszedł i obejrzał je bez

skrępowania. W zielonej kurtce i kapeluszu z piórkiem Dobra zdawała się twarda, nieustępliwa i po prostu skuteczna. Łowczyni. Taka właśnie jest naprawdę. To, co prezentowała mu tutaj, było jedynie podstępą grą. Ta kobieta była zupełnie inna, niż próbowała mu ją odmalować Świeta.

– Wiedziałś, że ksiądz upuszcza krew Tymkowi?

Pochyliła głowę. Nie zaprzeczyła.

– Po co to robiliście?

– Nie brałam w tym udziału. Zawsze odbywało się to pod moją nieobecność.

– Syn ci się nie skarżył?

– Wierzył, że to dla jego zdrowia. Mieli niepisaną umowę z księdzem. Tymek po prostu wierzył. W Boga i Donata. Dla Tymka była to jedna i ta sama osoba.

– Co masz na myśli?

– Donat miał charyzmę, a mój syn rozpaczliwie potrzebował męskiego wzorca. Uczepił się go, a ja nie protestowałam. Byłam tylko matką. Samotną kobietą, która musiała czasami odgrywać męskie role, a to się mojemu dziecku nie podobało. Donat zaś lubił być podziwiany. Wszystko w życiu robił tylko w tym jednym celu.

– To był jego syn?

Przemilczała pytanie, a potem nagle wstała i poszła do kuchni. Spod zlewu wyjęła odkorkowaną butelkę, przelała jej zawartość do szerokiej karafki, a po drodze sięgnęła do jednej z witryn po kieliszki różnej wielkości. Meyerowi podała większy.

– Jeśli masz ochotę na dłuższą opowieść, powinieneś się napić. Raczej nie pojedziesz już dzisiaj do domu. Mam siedem sypialni, możesz tu nocować.

Hubert przyjrzał się jej.

– To jest niedwuznaczna propozycja?

– Zdecydowanie jednoznaczna.

Nalała sobie wina aż po brzeg i nie trując się dekantowaniem, upiła połowę.

– Czy nie po to właśnie przyszedłeś?

– Nie wiem, z kim zadajesz się na co dzień, ale nie każdy mężczyzna odwiedza cię w tym jednym celu.

– Oszczędź sobie moralizatorskich gadek i nie zgrywaj rycerza – zachnęła się. – Wiem, dlaczego tu jesteś.

Przekrzywił głowę, uciekł spojrzeniem.

– Wysłali cię, żeby mnie zmiękczyć. Uwieść – podkreśliła z wszystkowiedzącym uśmiechem. – Albo i sam to wymyśliłeś. Szanuję tę strategię. Nie wiem, jak to robicie w wielkim świecie, ale nie sądzę, by różniło się od tego, co robię całe życie.

– A co takiego robisz?

– Puszczam się. – Wzruszyła ramionami. – Wybacz, nie zaskoczyłeś mnie. Może i jestem dziewczyną z prowincji, ale znam życie od podszewki. Nie obrażam się,

a nawet mi to schlebia. Od razu mi się spodobałeś. Mam ci wypłacić wszystko, czego nie powiedziałabym na posterunku.

– Byłoby miło.

Rozciągnęła twarz w grymasie satysfakcji.

– Widzisz, ze mną jak z dzieckiem. Zamiast manipulacji wolę karty na stole.

– Podzielam ten pogląd.

Hubert odetchnął z ulgą, że etap tokowania mają już za sobą, a wtedy Dobra rozłożyła ramiona, prezentując swoje imponujące długościaste ciało w pełnej krasie. Musiała to ćwiczyć dziesiątki razy, bo wiedziała, jaki efekt osiąga. Psycholog z trudem się koncentrował. Fakt, że ma do czynienia z matką, która straciła dziecko i jednocześnie jest główną podejrzaną w sprawie, nie pomagał. Dobrawa Wątpa była dzikim kotem. Najwyższej klasy drapieżnikiem, który zdaje sobie sprawę z własnych atrybutów. I Meyer był pewien, że nie zawaha się ich użyć. Miała jednak słabą stronę – próżność. Nie sądził, by w tej chwili o niej pamiętała. Była wprost wygłodniała głasków. Nie wierzyła w dobro, wszędzie wietrzyła podstęp, lecz chciała być postrzegana jako zboląła matka. Ofiara. Za wszelką cenę pragnęła wrócić do trybu: „bez skazy”. Hubert zamierzał to wykorzystać.

– Do opowiadania jest niewiele – rzekła słodkim, wibrującym tonem. – Nic nie łączy mnie z Balwierzem. Bo tak go nazywacie?

– To sprawka dziennikarzy – uciął. – O czym więc chciałaś rozmawiać do nocy?

Obejrzała się na drzwi wejściowe.

– Nagrywasz to czy będziesz spisywał?

– Mam dobrą pamięć.

Sięgnęła do porzucanych albumów. Wygrzebała spośród nich notatnik i dołożyła długopis. Musiał należeć do jej syna, bo miał nadruk aut i świecił się po włączeniu.

– Żeby nie pomyliły ci się nazwy firm, personalia i daty.

– Aż tyle tego będzie?

Nabrała powietrza, a potem zaczęła spowiedź:

– Jestem przerażona. Nie będę ci udowadniać, że nie jestem Balwierzem, bo sam do tego dojdiesz. Widzę jednak, że to, co się dzieje, wskazuje na mnie jako na główną sprawczynię. Kiedyś czytałam sporo kryminałów. Pierwsze pytanie Herculesa Poirot: „Kto korzysta na zbrodni najwięcej?”. Książd Donat? Ja – bo z dnia na dzień staję się zamożną osobą. Mój synek? Matka modliszka uwalnia się od bękarta.

Hubert chciał zaoponować, ale powstrzymała go gestem.

– Nie przerywaj, bo stracę odwagę.

Sięgnęła po swój kieliszek i wypila wino do dna. Hubert natychmiast go uzupełnił.

– Kochałam Tymka, bo to był mój syn, ale go nie lubiłam. Za jego sprawą moje życie zmieniło się w więzienie. Nie mogłam pójść na studia. Przez lata wytykano

mnie palcami. Dziecko grzechu, panna z dzieckiem, stara panna z brzuchem, córka pijaka, a na koniec – kochanica księdza. Chciałam odciąć się od wszystkiego i uciec. Gdybym nie zaszła w ciążę, wyjechałabym i nigdy tu nie wróciła. Prowadziłabym zupełnie inne życie. Może zrobiłabym karierę, została sławna?

Zatrzymała się, sprawdzając efekt tych słów, ale Hubert pozostał niewzruszony. Na kartce zapisał jedno słowo. Nie potrafiła go dostrzec, bo obrócił notes licem do stołu.

– Kościelny Kupała nie tylko lubił Tymka – kontynuowała. – On go ubóstwiał. Wiedziałam, że mały notorycznie ucieka do jego chaty. Potrafił przesiadywać z babką Lubą i Jańciem całymi godzinami. Byłam zazdrosna, ale i spokojna. Nie groziło mu tam nic złego. A ja miałam czas dla siebie, mogłam po prostu być sama ze sobą. Ale przy mnie, w domu, nigdy nie śmiał się tak radośnie ani nie tracił poczucia czasu. Kupała sam był jak duże dziecko. Chodzili razem do szopy, zbierali poroże, karmili zwierzęta. I bawili się z wilkami. Słyszałam o tym tylko z opowiadań. Nigdy nie widziałam, jak moje dziecko dotyka wilka i, jeśli szczerze, przez długi czas uważałam to za bajki. Tymek miał bogatą wyobraźnię. Jak każde dziecko z deficytami, stwarzał alternatywne światy, wymyślał niestworzone historie, by poprawiać rzeczywistość. Wtedy czuł się bezpiecznie. Nigdy nie miałam z nim tak bliskiego kontaktu, jaki mieli babka Kupała albo jej wnuk. I byłam o to na nich zła. Uważałam, że mi go odbierają. To dlatego Tymek chodził do nich, tylko kiedy wyjeżdżałam. A wyjeżdżałam coraz częściej. Tak bardzo chciałam mieć odrobinę wolności. Uciec stąd, zniknąć, zacząć na nowo. Ale gdzieś z tyłu głowy kołatało mi się, że nie mogę porzucić syna. Nie potrafiłabym. Pochodzę z dysfunkcyjnej rodziny. Sama byłam porzuconym dzieckiem, które musiało sobie radzić, jak umiało, i z tego radzenia sobie Tymek pojawił się na świecie. Donat mnie nie zgwałcił. Chciałam tego seksu. Wtedy myślałam, że ksiądz mnie ochroni, uratuje. I że jestem mu to winna. – Przerwała. –

Ale nigdy go nie pokochałam. Może i dlatego nie lubiłam też jego syna. Tymek był krnąbrny, nie szanował mnie, nie ufał mi i sądzę, że mnie nienawidził. Kiedy Donat upuszczał mu krew, pokorniał. A potem chyba się uzależnił. Czytałam, że można znaleźć w tym perwersyjną przyjemność.

– Ile razy to zrobiliście?

– Ja w tym nie uczestniczyłam – zastrzegła.

– Ile? – powtórzył Hubert. – I do czego używaliście jego krwi?

Wzruszyła ramionami. Spojrzała na psychologa przeciągle. Wiedział już, że nie zamierza powiedzieć mu wszystkiego.

– Wiem o sześciu razach, ale z pewnością było tego więcej. Ostatni zabieg wykonali po ucieczce Miry. Tymek zniknął wtedy na całą noc i szukał jej z Kupałą. Mieli ze sobą wilka. Tego białego, którego zabił Donat.

Na chwilę w pokoju zapadła cisza.

– Zgłosiłaś zaginięcie?

– Nie.

– Twoje dziecko wybywa z domu na całą noc, a ty nic z tym nie robisz? Nie

szukasz go? Idziesz spać, jak zwykle? – Nie dowierzał.

– Był z Kupałą – obruszyła się. – Wiedziałam, że z kościelnym nic mu nie grozi.

– Jak często się to zdarzało?

– Co? – Zrobiła minę niewiniątka.

– Łaźnienie po nocy z kościelnym.

Wzruszyła bezradnie ramionami.

– Może baba Luba wie.

– Wiedziałaś cokolwiek o swoim synu?

– Wystarczająco go znałam, by wiedzieć, że trzeba mu na to pozwolić. Był dzieckiem grzechu. Miał w sobie diabła. – Urwała.

Hubert przyglądał się jej w milczeniu, bezskutecznie poszukując na jej pięknej twarzy poczucia winy.

– Jak widzisz, korzystam na tej sytuacji najwięcej. – Beztrosko podjęła nowy wątek. – Spełniło się moje marzenie. Nie ma już mojego wybawiciela-oprawcy, kotwica w postaci niechcianego dziecka przestała istnieć, a jedyny świadek naszych niecnych działań – Kupała – też nie żyje. Paweł Puchacz został aresztowany, więc i on nie może mnie powstrzymać ani tym bardziej pogrążyć. Mogłabym to wszystko sprzedać przez pośredników i zacząć na nowo gdzieś w zupełnie innym mieście albo za granicą. Jestem młoda, ułożę sobie życie. Nic mi nie udowodnicie, bo podczas każdego zabójstwa byłam daleko i nie muszę się starać o alibi.

– Ale nie zrobisz tego – dokończył za nią Meyer.

– Nie – zapewniła i przyjrzała się osadowi na dnie opróżnionego duszkiem kieliszka. – Bo ten, kto morduje, pojedzie za mną. I będzie mnie prześladował.

Hubert roześmiał się jak z dobrego żartu.

– To ma być dowód twojej dobrej woli czy niewinności?

Nie uśmiechnęła się. Pozostała poważna.

– Kim jest Balwierz? – zaatakował Hubert. – Nazwisko.

Odwróciła głowę i lekko się uśmiechnęła.

– Gdybym je znała, nie siedziałabym tutaj, tylko wzięła strzelbę i zrobiła z jego głowy miazgę. Bądź pewien, że nie zawahałabym się nawet sekundy.

– Więc o kim myślałaś, mówiąc, że pojedzie za tobą?

– O nikim – wykipiała się od odpowiedzi. – Po prostu wiem, że ten ktoś morduje przeze mnie. Czuję, że to jakiś rodzaj odwetu. Los mi tak odpłaca. Zrobiłam w życiu wiele złego. Zdrady, kłamstwa... Nienawidziłam, upokarzałam, byłam chciwa. To znaczy niektórzy tak uważają... – Zawahała się. – A ja tylko staram się przeżyć. Chroniłam siebie. I do niedawna też synka. Masz dzieci?

Hubert nie odpowiedział. Pokręcił się na sofie i upił łyk wina. Odstawił kieliszek.

– Co chciałaś mi powiedzieć? – rzekł twardo. – Bo nie zostanę na noc. Mogę ci



poświęcić jeszcze pół godziny. Chyba że dasz mi coś konkretnego.

– Pawła z Donatem łączyły różne interesy. Korzystali ze swoich źródeł, by przejmować tanio ziemię. Nie tylko w okolicy tutejszych rezerwatów. Także w Beskidzie i na Podkarpaciu. Sprzedawali odstrzały zagranicznym myśliwym, kombinowali z rolnikami. Ekolodzy, którzy blokowali polowania i robili hałas wokół manifestacji, byli dla nich wygodni, bo zapewniali zasłonę dymną. Giza i Puchacz handlowali mięsem, sprzedawali kość słoniową, ale najlepszym ich interesem był handel ścięgami.

– Ludzkimi?

– Pozyskiwali je z trupów. To w pełni legalne.

Hubert sięgnął po notes. Uśmiechnęła się, kiedy na kartce zaczęły się pojawiać zapiski.

– Słyszałeś o tutejszej klinice ortopedycznej, w której leczą się sportowcy?

Hubert pokręcił głową.

– Donat miał w niej czterdzieści pięć procent udziałów. Paweł ma trzystaście, reszta należy do siedmiu innych osób. Pakiet większościowy należy teraz do mnie. Możesz sprawdzić KRS-y i wszystkie wyciągi.

Zatoczyła ramieniem okrąg.

– Jak sądzisz, z czego to postawił? Z tacy? Z ciężkiej pracy kapelana Lasów Państwowych? A może wierzysz, że Donat odziedziczył to po przodkach? – Zaśmiała się. – Pochodził z równie zgodnej rodziny jak moja. Dlatego się nade mną ulitował.

– Ile wyciągał z tych ścięgien? I jakim sposobem?

– Wszywali połówki – odparła, wzruszając ramionami. – Sprawa wyszła na jaw tylko dlatego, że maratończyk z Rzeszowa, którego u nich operowano, przegrał zawody z powodu kontuzji. Rehabilitacja szła dobrze, szybko wracał do zdrowia. Ale zawody były za granicą i biegacz natychmiast musiał się poddać kolejnej operacji. Tam mu powiedzieli, że przy wysiłku nowiutkie ścięgno musiało pęknąć, bo była go tylko połówka. Facet się wkurzył, bo zapłacił jak za zboże. Groził rozpętanem afery. Donat był za zniszczeniem go w mediach i znalazł jakiś materiał do czarnego piaru. Puchacz wolałby sprawę wyciszyć. Ostatecznie gościa skorumpowali, ale to zapoczątkowało między nimi rozłam. Zimna wojna trwała kilka miesięcy, aż nagle Donat zadenuncjował Pawła, że w otulinie stawia dom bez pozwolenia. Doprowadził do wielkiego szumu w mediach i Paweł musiał opłacić rozbiórkę. W odwecie namówił Basię Grzybowską, żeby puściła do mediów pozwolenie na trofea myśliwskie Donata. Temat podjęto na komisji w sprawie ustawy o łowiectwie. Zrobił się z tego porządny dym. Nie było dnia, żeby dziennikarze nie koczowali na naszym podjeździe. Donat rozmawiał ze wszystkimi. To wtedy zaatakował go szalony ekolog z brygady Mańka. Donat wykorzystał tę sprawę i obrócił kota ogonem. Nie dość że wyszedł z twarzą, to jeszcze ugrał swoje z ministrem środowiska. Zaprzyjaźnili się. Jeździli razem na polowania. Od tej chwili wierzył, że jest niezniszczalny.

Hubert pochylił się, dotknął skóry rysia leżącej przed kominkiem.

– To jeden z tych przedmiotów sporu?

Pokiwała głową i mówiła dalej, choć Hubert wstał i zaczął zwiedzać. Nie odwróciła głowy, gdy podszedł do skóry i urwał kawałek, dyskretnie chowając go do kieszeni.

– Kiedy Donat wykrył, że Basia go zadenuncjowała, groził jej i doszło do szarpaniny. Musisz wiedzieć, że łowczy koła, mąż Basi, jest jednym ze współników w naszej klinice. Donat miał do Grzybka pretensje, że nie umie upilnować żony. Do konfliktów między nimi dochodziło już wcześniej. Baśka ma zdiagnozowaną osobowość graniczną. Co pół roku Grzybek woził ją na wczasy do Choroszczy. Kiedy wracała ze szpitala, przez sześć miesięcy było okej. Do czasu, aż Grzybek wdał się w romans. To tutejsza tajemnica poliszynela. Basia przestała bywać na hospitalizacji. Jej mania była trudna do zniesienia nawet dla mnie. A potem zdarzyła się tragedia. – Dobra się zatrzymała. – Wtedy sądziłam, że nie może być nic gorszego.

Hubert usiadł, oparł dłonie o kolana. Ułożył w nich twarz, tak by jego oczy znalazły się na wysokości oczu Dobrawy.

– Córka Basi zaginęła? – upewnił się.

Potwierdziła skinieniem.

– Grzybek twierdził, że Baśka uprowadziła Mirę i wyjechała z nią do rodziców. Początkowo nikt w to nie wierzył. Wszyscy mieli dość ich przepychanek. Grzybowscy angażowali w swoje kłótnie miejscową ludność, a bardzo wielu pracowało w ich zakładach. Nie chcieli stracić pracy. Zdrada Grzybka była jawna, ale on się bronił, że Basia nie pozostała mu dłużna, choć dowodów nie miał. Na dodatek Mira miała konto na Instagramie i nawet po jej zniknięciu regularnie pojawiały się na niej nowe zdjęcia. Ludzie tutaj nie lubią mieszać się w rodzinne spory. Ponieważ Baśka ma żółte papiery, nawet ci, którzy jej współczuli, bali się opowiadać po żadnej ze stron. Baśka rozklejała plakaty, płakała, rozpaczała. Oskarżała Grzybka o porwanie dziecka. Szybko jednak została uznana za świruskę, która odgrywa się na niewiernym mężu. To, że są najbogatsi w okolicy, nie pomagało. Ludzie nabrali wody w usta i uznali, że to rodzinna sprzeczka, ale łątka rogasza do Grzybka przyłgnęła. O dziwo, nie wściekał się. Mówiono, że sam puścił plotkę, jakoby Basia uciekła z kochankiem.

– Miała kochanka?

– Z pewnością. – Dobra zamyśliła się i zamilkła na długą chwilę. Na jej bladej twarzy Hubert pierwszy raz zauważył rumieniec. – Nie mam pojęcia, kim był ten facet, bo dobrze się kryli, ale wiele mógł i ją wspierać. Wiem, że była w nim zakochana, a on w niej, choć od początku wiedziała, że nie zostawi żony. Pogodziła się z tym. I nagle, bez słowa, wyjechała do rodziców. Co tak naprawdę się stało? Czego się przestraszyła? Czy wzięła wtedy Mirę ze sobą, czy ją zostawiła? Nie wiem do dziś.

– A ty? Co o tym wszystkim sądziłaś?

– Nauczona jestem nie wtrącać się do cudzych spraw – zastrzegła. – Od początku

jednak byłam pewna, że Donat bierze aktywny udział w tej historii. Kiedy Basia wyjechała, obiecałam, że będę ją informowała, ale... – Przerwała.

– Nie zadzwoniłaś ani razu – dokończył za nią.

Pokręciła głową.

– Donat powiedział mi wprost, że mam się od Baśki odciąć albo pożałuję.

– Dlaczego?

– Nie lubili się. Tak po prostu. Zresztą nie musiał mnie długo namawiać. Sama to wiedziałam. Kilka razy brałam telefon do ręki, ale nie byłam w stanie jej pocieszać, choć w jakimś stopniu ją rozumiałam. I współczułam jej. Do dzisiaj tak jest. Ale nie zadzwonię – zaperzyła się nagle. – Zablokowałam jej numer w komórce.

– Co ci zrobiła?

– Niebezpieczne jest bratanie się z ludźmi, którzy generują kłopoty – oświadczyła stanowczo. – Bo któregoś dnia ściągną je na ciebie. Miałam w życiu dość własnych. Gardzę nieporadnymi kobietami, które zrzucają winę na świat. – Wstała, podeszła do okna. Kiedy wróciła, była wzburzona. – Któregoś dnia, kiedy Tymek znów uciekł do Kupały, jego babka wykrzyczała mi, że nie mam serca, bo szukali razem Miry. To mnie zastanowiło. Czyżby faktycznie Basia nie zabrała jej ze sobą? Gdzie jest dziewczynka? Chciałam powiedzieć o tym z synem, ale milczał jak głaz. Nie ufał mi. Wtedy pojęłam, że on mnie nienawidzi.

– To raczej się nie zdarza – zaproponował Hubert. – Dzieci w tym wieku kochają rodziców bezwarunkowo.

– Może Tymoteusz był wyjątkiem potwierdzającym tę regułę – weszła mu w słowo. – Tamtego dnia powiedział, że jeśli Mira umrze, on też nie chce żyć. I dodał, że wolałby już mieszkać w lesie w wilczej norze niż ze mną. Nie chce, żebym była jego matką. Miał wtedy niespełna sześć lat...

Ukryła twarz w dłoniach, a potem sięgnęła po chusteczkę, by pośpiesznie obetrzeć twarz. Meyer zastanawiał się, czy znów udaje, czy cierpi naprawdę.

– Twój syn miał konto na Instagramie?

– Były bliźniacze. Mira je założyła. – Dobra wydmuchała nos i znów starała się być konkretna. Oczy miała jednak załzawione, a dolna warga drżała jej z emocji. –

Mira nadała swojemu nazwę: „it\_isnobody”, a Tymek: „itis\_nobody”. Możesz je obejrzeć. Na koncie Miry cały czas pojawiają się nowe zdjęcia.

Hubert wyciągnął swoją przedpotopową komórkę.

– Na tym sprzęcie raczej tego nie sprawdzę – zauważył.

Dobrawa przyniosła swój telefon. Usiadła obok niego, tak podwijając nogi, by widział jej stopy. Kolejno wrzucała hasztagi, a potem podała urządzenie Hubertowi.

– Ostatni post umieszczono dziś rano.

Meyer przyjrzał się rysunkowi. Przedstawiał baletnicę w odcieniach różu. Miała w ręku nóż ociekający krwią. W innych okolicznościach pomyślałby, że to typowy

obrazek jedenastoletki inspirowany japońską mangą. Za plecami dziewczynki stał biały wilk, a z jego szyi skapywała krew. Krople pokolorowano na intensywny błękit. Był to odcień sukienki Dobrej w dniu przesłuchania i barwa jej paznokci. W dolnym rogu leżała kupa chrustu, choć równie dobrze mogło to być poroże.

– Uważasz, że te posty wstawia Mira?

– To ręka dziecka – oświadczyła bezdyskusyjnie. – Czy koleżanka mojego syna je umieszcza, czy jej porywacz? Tego nie wiem. Przyznasz jednak, że są przerażająco aktualne?

– Więc jesteś zdania, że Mira wciąż żyje?

– Jestem tego pewna! I liczę, że ją odnajdziesz – odparła z naciskiem. – Tylko dlatego tu zostałam. Jak wspominałam wcześniej, nic mnie nie trzyma w Narwi.

– A pogrzeb syna? – zapytał Hubert i wydało mu się, że to było pierwsze pytanie, które Dobrą zaskoczyło. – Nie planujesz go pochować?

Pokręciła głową. Znów ukryła twarz w dłoniach. Trwała tak długi czas, a kiedy ponownie na niego spojrzała, zrozumiała, że żaloba, cierpienie i ból po stracie dziecka dopiero przed nią. Na razie nie dopuszcza do siebie tych myśli. Dlatego pije, spowiada się, wymachuje strzelbą i wydaje kochanków. W ten sposób broni się przed przyjęciem bolesnej prawdy do serca.

– Nie jestem gotowa – wyznała. – Wstydziałabym się wystąpić przed ludźmi, bo to, że Tymoteusz zginął, jest moją winą. Nie zrobiłam mu krzywdy, ale go zaniedbywałam. W sumie wstydzę się większości swoich życiowych decyzji. Gdybym mogła zacząć na nowo, zrobiłabym to. Może gdybym urodziła się w innej rodzinie, w innym miejscu? Tak bym chciała zacząć jeszcze raz... – Nieoczekiwanie się rozplakała. – Dlatego dopóki nie znajdziecie Miry – żywej lub martwej – nie ucieknę. Możesz być pewien. Bo wiem, że nie zaznam spokoju. I w przeciwieństwie do syna kochałam tę dziewczynkę. Była jak promyk słońca...

– Już to dziś słyszałem. – Meyer się zamyślił. – Babcia Kupały powiedziała to samo. O tym, że nie zazna spokoju. Tak mówią winni.

\* \* \*

Dobra jakby nie słyszała jego ostatnich słów. Uspokoili się już, wydmuchała nos.

– Baba Luba to właściwa osoba, jeśli chodzi o poszukiwania – kontynuowała. – Nikt nie zna lasu lepiej niż ona. Ale mogłaby nie przeżyć takiego marszu. Ma prawie sto lat! Dlatego ja spróbuję ją zastąpić.

Zawahała się, a potem poszła po mapę. Rozłożyła ją przed zadziwionym Hubertem. Obok położyła garść kolorowych flamastrów.

– Przygotowałam się – zauważył.

– Czytałam, że istnieje coś takiego jak profilowanie geograficzne – zaczęła. – Miałam nadzieję, że jesteś dobry także w tym.

– Jeśli mamy do czynienia ze sprawcą seryjnym, który układa ciała w miejscach publicznych – zaczął i urwał.

Odstawił kieliszek. Był niemal pełny, więc Dobra chwyciła go i opróżniła do dna.

– To chyba właśnie taka sytuacja?

Pochylili się na mapę. Miejsca odkrycia dotychczasowych ciał oznaczyli czerwonymi iksami. Ambony myśliwskie – żółtymi ptaszkami. Niebieskie wskazywały kryjówki dzieciaków, opuszczone budynki oraz miejsca, gdzie myśliwi mogą odpocząć w szałasach. Zieloną kropką oznakowali kapliczkę poświęconą świętemu Hubertowi. Tereny łowieckie zakreślili różowymi pasami.

– Wygląda na to, że przedstawienie rozgrywa się po tej stronie torów – stwierdził Hubert i przyjrzał się jeszcze raz stworzonej pośpiesznie mapie. – Skoro to jest teren działania sprawcy, powinien mieszkać tutaj. – Wskazał przestrzeń, na której nie było żadnych oznaczeń.

– Lub wszędzie indziej – zauważyła Dobra. – W Bielsku, Białymstoku, a nawet dalej na wschód.

– Dlaczego nie na zachód?

– Dobrze wiesz, że to ktoś z naszych – odparła bardzo poważnie.

– Nawet jeśli mieszka w mieście, to nadal jest to wasz człowiek – zgodził się Hubert. – Zna teren. Przemieszcza się szybko, skutecznie. Ma samochód terenowy. Może jeździć wycinką, zna typowe dla tutejszych przejścia. A jeśli jest człowiekiem z zewnątrz, urodził się tutaj albo wychowywał. I bywa. Ktoś obcy zaraz zostałby zauważony – podkreślił. – Potrzebuję kogoś, kto zna ten las. I miejscowych.

– Ja ci nie wystarczę? – Uśmiechnęła się figlarnie.

Nie zareagował. Wskazał niewielką dróżkę, a potem poprowadził od niej prostą linię. Dzieliła mapę na pół.

– To jego trasa – rzekł. – Na tej linii go znajdziemy.

– A gdzie jest Mira? – dopytała Dobra. – Gdzie mógł ją ukryć?

Hubert się zamyślił.

– Jeśli dziewczynka jest przetrzymywana w osadzie, to będzie twoja okolica. Gdzieś tutaj. Piwnica, spiżarka, szopa, drewnia? – wymieniał. – Przychodzi ci coś do głowy?

Dobra kiwała głową. Oczy jej lśniły z ekscytacji.

– Zaprowadzę cię tam – zapewniła. – A jeżeli się mylisz?

– Gdybyśmy dziś jej nie znaleźli, będzie to znaczyło, że ją wywiózł. I faktycznie mieszka poza Narwią. A to bardzo ważny trop.

Chwycił telefon i zadzwonił do Domana, by natychmiast po niego przyjechał. Policjant dopytywał się, dlaczego sam nie wsiądzie za kółko, a psycholog odparł zgodnie z prawdą, że jest po drinku. Słyszał, że policjanci dyskutują głośno, Doman zaś klnie, że Hubert pochopnie zaufał Dobrej, zamiast trzymać się ustalonego planu.

Ale się tym nie przejmował. Czuł nagły przebłysk intuicji i wiedział, że mają szansę znaleźć Mirę żywą. To było teraz najważniejsze. Powiedział to młodemu Domanowi dobitnie:

– Nawet jeśli się mylę, zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

Młody Doman chwilę milczał.

– Muszę skonsultować się z komendantem Czupryną.

– Nie ma czasu – zaproponował Hubert. – Jeśli inspektor odmówi ci błogosławieństwa, weźmiesz na swoje sumienie odmowę ze względów proceduralnych? Kto tu jest szefem? Zareportuj mu o swoich działaniach, kiedy będziesz już przygotowany. Informuj go, jestem za. Ale samodzielnie myśl i podejmuj decyzje. Jesteś wodzem czy nie? – podjudzał młodego policjanta.

Doman zasłonił słuchawkę, lecz Hubert słyszał, że szybko konsultuje sprawę z ojcem. Kiedy ponownie usłyszał chrząknięcie, dodał na jednym oddechu:

– Przeczyszemy podejrzane zagrody i zabudowania. Zbierz ludzi znających głuszę. Pomów z myśliwymi i ekologami. Może ta sprawa ich zjednoczy.

Dobrawa słysząc te słowa, zaczęła gwałtownie machać rękoma. Tym razem to Hubert przykrył słuchawkę.

– Nie rób tego – szeptała przerażona. – To może być ktoś z tutejszych. Ludzie zaczną plotkować. Spłoszymy go.

– Nie mamy wyjścia – odrzekł i odsłonił telefon: – Obserwuj każdego z członków ekipy poszukiwawczej. Weź swój mały aparat. Rób zdjęcia, ale tak, by to widzieli.

Młody Doman protestował, powoływał się na inne rozkazy komendanta wojewódzkiego, ale Hubert przerwał mu bezceremonialnie:

– Skoro się boisz, sam do niego zadzwonię. Przyjedź jak najszybciej, reszta nie na telefon.

Rozłączył się i długo wpatrywał się w Dobrawę bez słowa. Była zarumieniona z podniecenia, uśmiechała się lekko. Zastanawiał się, co jej dolega, skoro po śmierci dziecka jest w stanie emanować takim szczęściem. Czy jest psychopatką, narcyzem, cierpi na borderline, a może jest paranoiczką?

– Gdzie będziesz jej szukał, jeśli nie żyje?

Podniósł mapę i zatoczył niewielki okrąg na samym środku linii, którą przed chwilą wyznaczyli jako strefę działania sprawcy.

– A jak ją zakopał?

– Wątpię. – Hubert pokręcił głową. – On działa na pokaz, teatralnie. Chce, byśmy podziwiali jego dzieło. Nie zniósłby, gdyby coś innego przykuło uwagę opinii publicznej. Modus operandi się różni, ale sygnatura pozostaje taka sama. – Zatrzymał się, bo nagle go olśniło. Dotarło do niego to, o co dopytywał się Czupryna. – Spektakl! Sprawca czerpie przyjemność z budzenia grozy. Właściwie tylko po to to robi.

– Popisuje się?

Hubert przyjrzał się kobiecie.

– Nie przed nami – powiedział. – Przed tobą. To rodzaj zalotów.

– Brzmi dosyć makabrycznie.

– Sama zwróciłaś uwagę na związek zabójstw z własną historią.

Na twarzy Dobrawy zagościło niedowierzanie, które stopniowo zmieniało się w lęk.

– Zastanów się dobrze, kto tak bardzo pragnie twojej uwagi, że postanowił siać grozę w Narwi.

– Po to morduje? Żeby mi zaimponować?

– Może w jego opinii zmusiłaś go do tych czynów? Wszyscy, którzy zginęli, zagrażali tobie, twoim celom i interesom.

– Dzieci też? – wyszeptała.

– Miłość psychopaty objawia się czasem w taki właśnie sposób. – Westchnął. – To nie musi być odrażający dewiant, który budzi niepokój już na pierwszy rzut oka. Przeciwnie. Niektórzy bywają czarujący, charyzmatyczni. Natomiast przy bliższym poznaniu obserwuje się objawy zawłaszczania, a potrzeba władzy i kontroli rośnie. Groźby i przeproszenie. Sinusoida emocji... Przychodzi ci ktoś taki do głowy?

– Właśnie opisałeś każdego z moich kochanków. Poza jednym... Ale to ja go zdradziłam i porzuciłam.

– Nazwisko wiele by ułatwiło.

– To było tak dawno temu... – wymigała się od odpowiedzi. A potem dodała: – Przygotuję listę. Jego imię też tam znajdziesz.

– Poznałem go? – zainteresował się Hubert.

– Nie wątpię.

Wstała. Skuliła się.

– Wyjadę – oświadczyła. – Jeśli stąd zniknę, przestanie zabijać.

– Wyjedziesz, jak go złapiemy – przerwał jej. – Teraz jesteś potrzebna. Bo on robi to dla ciebie. To wynaturzona forma opieki.

Dobrawa zbladła, uciekła spojrzeniem, a Hubert wiedział, że pomyślała o kimś konkretnym. Liczył, że tym razem poda nazwisko, ale tak się nie stało.

– Mam być wabikiem?

– Nie zmieniaj nic w swoim zachowaniu. Z nikim nie rozmawiaj. Obserwuj i przemyśl to, co powiedziałem. Jeśli wpadnie ci do głowy, kto mógłby roztoczyć nad tobą taką kuratelę, dzwoń o każdej porze dnia i nocy. A nazwisko tej szczególnej osoby, proszę, podkreśl dwukrotnie.

– To nie on. Jest normalnym facetem. Dlatego właśnie odeszłam. Nie chciałam robić mu bagna w życiu. I nie zasługiwałam na jego uczucie.

– A więc to była miłość? – zakpił, ale nie odpowiedziała.

Zacisnęła usta i skrzyżowała ramiona na piersiach, jakby zbyt cienka bluzka nagle ją zawstydziała. Nie było śladu po dawnej manipulantce.

– On tak twierdził. Ja nie potrafię kochać nikogo. – Urwała.

Hubert sięgnął po telefon i na stoliku rozdzwoniła się komórka Dobrej.

– Masz teraz mój numer. Możesz wysyłać esemesy. Zdjęć i obrazków nie odczytam.

– On nie przestanie?

– Życie toczy się swoim rytmem – powiedział. – Zawsze będą istniały sytuacje krytyczne. Czy to jest twoje życie, moje, czy kogokolwiek z miejscowych. Dla sprawcy nawet drobne zagrożenia zasługują na jedno proste cięcie. Dla ofiar oznacza to śmierć. Pytasz mnie, czy on przestanie? Tak, jeśli go złapiemy albo pójdzie siedzieć za coś innego. Może też popełnić samobójstwo. Oni tak często robią, kiedy już wiedzą, że nie unikną aresztowania. Ale ten klient? Nie sądzę... Traktuje ten las jak swoją scenę. Działa efekciarsko, wręcz z patosem, co oznacza, że czuje się tutaj bardzo pewnie. Uważa, że zapanował nad tym terenem. I faktycznie zna go doskonale. Pamiętaj, że cały czas ma cię na oku. Robi to dla ciebie. Dlaczego? Wiecie tylko ty i on. To jest rodzaj godów – powtórzył. – Rykowisko. Balwierz uważa się za twojego ratownika. Rycerza. Przygotuj listę kochanków i ludzi, którzy w ostatnim czasie okazywali ci niezdrową atencję. Sprawdzimy każdego. Bez twojej pomocy niewiele zrobimy.

– Czy może chcieć zapolować i na mnie?

Hubert ważył słowa, nim je wypowiedział.

– Wszystkie dotychczasowe śmierci to ofiary, które składa ci na ołtarzu. Jesteś jego boginią.

– Na razie? – dopytała.

Psycholog powoli skinął głową.

– Jeśli na czas nie pojmiesz przesłania, może chcieć cię ukarać. Dlatego nie zmieniaj nic w zachowaniu. Bądź taka, jak do tej pory. Jaką cię znają tutejsi. Obserwuj, co się wokół dzieje, bo każdy detal, słowo mają znaczenie. Balwierz nie spuszcza cię z oka, co dla nas jest pomocne, a za twoim przyzwoleniem możemy to wykorzystać. – Spojrzała na sztucer oparty o witrynę. – Ale to lepiej miej naładowane.

Wiedział, że powinien teraz wyjść, zostawić ją z tą wiedzą, ale nie mógł się ruszyć. Była tak piękna, krucha i twarda jednocześnie. Jakby wykonano ją z najcieńszej porcelany. A jednak wystarczyłoby jedno mocne uderzenie i rozbiłaby się na drobne kawałki. Dlaczego nie uczyniła tego śmierć syna? – zastanawiał się.

– Skąd to wszystko wiesz? – spytała. – Zabiłeś kiedyś kogoś?

Zbyt długo się wahał. Zrozumiała.

– Ja raz próbowałam – wyznała. – Ale nie dało mi to ulgi. A teraz on naprawdę nie



żyje. I wiesz, wcale nie czuję się z tego powodu lepiej.

Hubert nie słuchał dalej. Rzucił się do drzwi, jakby go ktoś gonił. Dobrawa nie próbowała go zatrzymać. Wiedziała, że cokolwiek się wydarzy, psycholog wróci. Może jeszcze tej nocy. Bardzo tego chciała.

\* \* \*

Wrócili zmęczeni i poirytowani. Po rozmowie z Hubertem podkomisarz Domański wszczął alarm i zwerbował do pomocy lokalne posterunki, a dzięki starym znajomościom ojca w poszukiwaniu zaangażowała się także miejscowa społeczność: ochotnicza straż pożarna, harcerze i bracia łowiecka wraz z rodzinami. W szereg poszukiwaczy włączyli się również wszyscy cywile w sile wieku. W narwiańskich domach zostały tylko kobiety z małymi dziećmi, których pilnowały jak kurki piskląt w okresie grasowania dzikich lisów.

Przeczesał kwartały lasu, zajrzeli pod każdy kamyk, przetrząsnęli każdy sząłas. Młodszy i silniejszy wzięli ze sobą łopaty i rozkopali hałdy śniegu. Szli według planu nakreślonego przez profilerę, który powielono i rozdano ludziom. Początkowo pracowali w milczeniu, ale potem, kiedy poszukiwania się przedłużały, zaczęli się zatrzymywać i plotkować. Gdy się ściemniło, ci z tylnych rzędów po cichu dezercerowali, a nim wzeszedł księżyc, w lesie była już tylko jedna trzecia tropicieli, głównie mundurowych. Wreszcie około północy Meyer dał znać młodemu Domanowi, że należy kończyć akcję. Przemarznięci i zdegrustowani, psiocząc na psychologa, wracali grupami do domów.

Hubert został ze swoją mapą w zagajniku, w którym poprzedniej nocy widział kościelny. Tomek Domański znów pożyczył mu swoje narty i patrzył, jak profiler odjeżdża w ciemny las. Podkomisarz zarządził naradę i czekał teraz, aż uczestnicy nocnej akcji zrobią sobie coś gorącego do picia i zgromadzą się w największej sali, która musiała im dziś posłużyć za konferencyjną. Nie minęło pół godziny, a wszystkie krzesła były zajęte. Reszta posiadała na parapetach, schodkach i na podłodze. Ludzie byli zarumienieni od mrozu i wyglądali na padniętych. Niektórzy ziewali, zupełnie się z tym nie kryjąc. Na ich twarzach znać było jednak ciekawość pomieszaną z zawodem, że polowanie na Balwierza okazało się nieskuteczne.

\* \* \*

Do gabinetu zajrzał Doman.

– Czekamy na ciebie, synu.

Tomek poprosił, by ojciec uczestniczył w zebraniu, słuchał i ewentualnie wsparł go swoim autorytetem.

– Zdążyli już zrobić notatki? – zdziwił się podkomisarz. – Mają wydruki tablic?

– Sam ich rozlicz. – Stary policjant wzruszył ramionami. – Jestem tu towarzysko.

– Czupryny nie będzie? – upewnił się jeszcze raz Tomek, ale już wstał

i maszerował do swoich ludzi.

– Dzwonił, że ma hordeę dziennikarzy na karku i żebyś się do niego odezwał, jak skończysz.

– Jest wściekły? – zapytał drżącym głosem syn, na co ojciec roześmiał się gromko.

– Przeciwnie. Ucieszył się, że nie ma kolejnego ciała.

Tomek rozejrzał się po zebranych, a potem podziękował im za udział w nagance. Wiedział, że powinien wygłosić mowę motywacyjną, ale nie zamierzał gadać długo. Każdy marzył tylko o tym, żeby wrócić do ciepłego łóżka i opowiedzieć bliskim, co się działo na akcji. Obiecał więc, że nadgodziny będą zapłacone, a wojewódzka na nich liczy, skoro na ich potrzeby wyekspediowała dwa dodatkowe radiowozy.

– Jeśli znajdziemy tego klienta, premie macie gwarantowane – dokończył. – Stawka zgodnie z pagonami, ale dla najaktywniejszych mam fundusz plus. – Urwał. Odchrząknął. – Ciała Miry nie znaleźliśmy, ale to znaczy, że wciąż jest nadzieja.

– Psycholog się pomylił? – krzyknął chudy okularnik z potarganą blond fryzurą, a stary Doman zrugął go spojrzeniem.

Syn jednak odpowiedział młodemu funkcjonariuszowi:

– To była nie tylko pogoń za Balwierzem, lecz także taktyka proaktywna, aspirancie Czołgiewicz.

Odwrócił się, szukając wsparcia u ojca, ale Doman stał wyprostowany jak struna, wyraźnie dumny, że spłodził i wychował takiego syna. Skinął mu jedynie nieznacznie głową, co dodało Tomkowi otuchy. Kontynuował:

– Kiedy pracowaliście w lesie, ekipa z Rybitwy spisała numery kręcących się po okolicy gapiów. Mamy trzydzieści dwa auta terenowe. Takim porusza się sprawca.

Skinął na jednego z policjantów z parapetu. Podał mu plik wydruków.

– Sprawdzicie każdego z nich. Dossier, rozpytanie, karalność.

– Każdego?! – rozległy się głosy oburzenia. – Tam było z pół Podlasia. Sensacja na całą okolicę. Telewizory to rozdmuchały, nie dziwota, że nic nie znaleźliśmy.

Tomek podniósł ręce. Sala ucichła jak na zawołanie.

– To jeszcze nie wszystko – dodał.

Skinął na kobietę z warkoczem zaplecionym po ukraińsku dookoła głowy, tak drobną, że wyglądała jak nastolatka. Kiedy wyszła na sam środek sali, z kabury u pasa wystawał jej colt anaconda. Podała szefowi pendrive i plik papierów.

– To są zdjęcia gapiów i wstępne wydruki ze zbliżeniami – wyjaśnił młody Doman. – Do analizy tego materiału potrzebuję dwóch osób. Nie chodzi tylko o zidentyfikowanie ludzi, lecz także prześwietlenie ich mediów społecznościowych. Nudna i niewdzięczna robota. Będziecie mnie kląć, ale jak rozwiążemy tę sprawę, stawiam na tym stole kratę wódki.

– Szef przecież nie pije! – rozległy się śmiechy.

– Za to tatuś nie odmówi – odezwał się stary Doman. – Trzymaj się, Czołgu, bo jak

padniesz pierwszy, stawiasz na tym blacie drugą kratę Ducha Puszczy. A to już nie zabawka dla przedszkolaków.

Atmosfera się rozluźniła. Do pierwszego zadania zgłosiły się dwie kobiety, w tym mała z coltem.

– Jest tutaj Waldka? – Tomek rozejrzał się gorączkowo, jakby niedowidział.

Podniosła się piersiasta brunetka w męskim kombinezonie.

– Masz dobre układy z lokalną prasą? – upewnił się podkomisarz. – Twój chłop robi w „Wieściach”? I ma swój program w naszej kablówce?

– Pisał mi godzinę temu, że dotarł do redakcji. – Waldka spojrzała na zegarek. – Powinien jeszcze siedzieć w zakładzie i stukać tekst o naszych wyczynach. Nic mu nie chlapnęłam. Co najwyżej podrzuciłam skan mapy Meyera i pokazałam, gdzie jest strefa buforowa... – zażartowała.

Rozległy się nieśmiałe śmiechy.

– To nie jest taka głupia koncepcja, Waldko. – Tomek też się uśmiechnął. Waldka była jego zastępcą, nosiła takie same pagony i ufał jej bardziej niż własnemu ojcu. – Mamy ofertę dla twojego człowieka. Damy mu wyłączność. Opublikujcie tę mapę.

– To przecież dowód operacyjny! – zdumiała się Waldka, a w sali zawrzało. – Pojebało cię, Tomek?

– Zrób, co mówiłem – powtórzył, próbując przekrzyczeć harmider. Wreszcie ryknął: – Cisza! Ale zastrzeż, że za tę tajemnicę mamy pióro Motyla na własność.

– On nie pójdzie na pasku – jęknęła kobieta. – Zaraz zacznie chrzanić o wolności prasy. I że nie będzie nic pisał pod dyktando.

– Dobrze się składa, bo nie potrzebujemy notariusza. Chcemy człowieka, który rozumie nasz plan.

– To jest jakiś plan?

W sali rozległ się szyderczy rechot.

– Nie, tak tylko zebrałem was w środku nocy – zbiesił się nagle podkomisarz i zmierzył młodego awanturnika z tyłu pogardliwym spojrzeniem.

Nosił ksywę Czołg. Wszyscy obstawiali, że jest gejem, bo nikt nie widział go jeszcze w towarzystwie kobiety, ale Tomek wiedział, że Czołg jest heterykiem. Zalecał się kiedyś do jego obecnej żony. Ela chodziła z Czołgiem do jednej klasy, a na studniówce tańczyli poloneza w pierwszej parze. Teraz Doman i Czołg konkurowali o wszystko: o auto, stanowisko, a nawet, jak widać, o posłuch w sali. To dlatego Czołg wciąż się wtrącał i podważał autorytet szefa.

– Dla ciebie mam inne zadanie – oświadczył Doman konfidencjonalnie, jakby chodziło o wcielenie się w rolę tajnego agenta. – Siądziesz tam i do rana będziesz odbierał ewentualne telefony.

Sala zawrzała. Czołg przeklął i uderzył pięścią w ścianę.

– Cisza! – krzyknął znów podkomisarz. – Też jestem zmęczony, ale liczy się każda

minuta. Może Mira jeszcze żyje. To, co teraz robimy, ma niebagatelne znaczenie.

– Gorąca linia, tablice rejestracyjne i scrollowanie Facebooka? – Czołg zarechotał.

– Właśnie tak – podkreślił Tomek. – Szukamy sprawcy, który żyje wśród nas. Znać go. Lub ją. To nie jest przyjezdny.

– Może ktoś z tej sali? – wyrwało się Waldce, a stary Doman odpowiedział jej, nim znów zawrzało:

– Niewykłuczone! Pracowałem przy sprawach, w której podejrzanymi okazywali się gliniarze. To żadna sensacja. Tak, sprawcą może być wasz kuzyn, wuj czy pociotek.

– Albo babcia! – zakpił w odwecie Czołg.

– Jeśli jest w formie, by ganiać ze strzelbą po lesie, i dałaby radę pokonać osiłka Kupałę w walce wręcz, czemu nie? – odparował młody Doman.

– Na co nam ten psycholog, skoro nie umie określić płci? – szczył ludzi Czołg. – Przegonił nas po głuszcy, a sam pewnie smacznie chrapie.

Udało mu się. Wśród funkcjonariuszy pojawił się rozłam. Jedni patrzyli na konkurenta młodego Domana z pogardą, inni kiwali głowami.

– Aktualnie odpoczywa na miejscu zbrodni – oświadczył zimno młody Domański. – Reogłędziny. Konfrontacja. Słyszałeś te pojęcia na studiach?

Czołg chciał dalej pyskować, ale Tomek nie dał mu już dojść do słowa. Podniósł głos. Mówił władczo, groźnie.

– To, co dziś robiliśmy, to była naganka. Nie mogłem was uprzedzić wcześniej, bo ktoś mógłby niechcący puścić farbę. Teraz na zwiad poszedł Meyer. Słyszeliście, że sprawcy lubią wracać na miejsce zbrodni? Podbijają swoje fantazje, wspominają albo wracają, by się upewnić, że nie zostawili śladów. Hubert zaczeka na naszego człowieka. I da nam znać, jeśli klient się pojawi.

W sali panowała teraz idealna cisza. Nikt nie ziewał.

– Nie zamkniemy go dzisiaj, ale pójdziemy za nim. To będzie polowanie z podchodu, a jak Bóg da, to i po tropie. Nie wolno nam go spłoszyć. Jeśli Mira żyje, porywacz nas do niej doprowadzi. Do tego zadania potrzebuję pięciu ochotników.

Podniósł się las rąk.

Tomek obejrzał się na ojca z dumą. Doman odpowiedział mu uśmiechem i też podniósł grabę.

– Jeśli emeryci się kwalifikują – dodał, a sala gruchnęła śmiechem.

– Słuchajcie – podjął wątek młody Doman. – To może być niebezpieczne. Niewykłuczone, że zostanieie w lesie do rana. Będzie zimno, ciężko i nie będziemy spali. Potrzebujemy ludzi o różnych kompetencjach. Silnych, gibkich, szybkich i łbskich. Oraz jednego bardzo chytrego. – Spojrzał na Czołga z wyższością. – Żartowałem z tą infolinią, aspirancie Czołgiewicz. Jeśli odszczekasz swoje pierdoły, przydzielę ci dowództwo akcji. Będziesz w kontakcie z Meyerem i ze mną. Ja muszę

zostać tutaj, odbyć szereg rozmów z górą. Będę koordynował wasze działania.

Kolejno wstawiały osoby, które młody Doman zaakceptował, i ustawiali się jak ekipa specjalna obok jego ojca.

– Może być gorąco, a może być nuda – rzekł Czołg, kiedy wyszedł na środek sali, ale nie umiał ukryć zadowolenia.

– To wszystko. Możecie się rozejść – oświadczył Tomek i skinął na Waldkę.

Odeszli na bok.

– Zaplanujmy działania na jutro. Trzeba chuja wykurzyć z nory – zaczął. – Wydzwoń swojego chłopca. Niech Motyl się szykuje, że i on dziś nie pośni. Jak dobrze, że ludzie wymyślili internet. Skorzystamy z jego dobrodziejstwa, żeby Balwierz posrał się w gacie z emocji.

– Motyl to mój narzeczony – pisnęła Waldka.

Pomachała Tomkowi przed oczyma pierścieniem z trupa czaszką, który ze względu na swoje wymiary przypominał raczej kastet. Tomek był pewien, że gdyby przyszło co do czego, sprawiłby się w tej roli doskonale.

– Jeszcze lepiej – odparł. – Trudniej będzie mu odmówić.

– A co ma zrobić?

– Podłożyć ogień pod tyłek Balwierza.

– O, to Motyl umie robić doskonale – ucieszyła się.

– Trzeba, by sprawca sądził, że wiemy o nim więcej, niż jest w rzeczywistości. Powiedz Motylowi, że dziś dostanie mapę, a jutro profil i niech się nastawia na najazd ogólnopolskich kamer. To będzie jego wielka chwila – dodał. – Potrzebujemy, by ktoś odebrał sprawcy całą sławę.

– To mi się podoba, Tomeczku. Skoro kariera Motylewskiego tak nabierze tempa, zmuszę go wreszcie do ceremonii. Ale suknię włożę czarną.

– Inaczej tego nie widzę. – Zaśmiał się. – Skoro wymarzył sobie pannę młodą w stopniu podkomisarza, niech gra dziewczącą rolę samodzielnie.

– Święte słowa, szefie! – Waldka wypięła swoją imponującą klatkę piersiową, aż zdawało się, że mundur trzaśnie w szwach. – Załatwię, żeby informacje o Balwierzu od rana hulały na wszystkich portalach. Żadna sprawa kryminalna w tym kraju nie będzie miała lepszych zasięgów.

Tomek uśmiechnął się i wypuścił powietrze.

– Nie mów do mnie szefie, Waldko – obsztorcował ją łagodnie. – Jesteś moją drugą.

– Wybacz, Tomeczku – przeprosiła skwapliwie. – Ale gdyby sytuacja była odwrotna, chciałabym, aby wszyscy mówili do mnie szefowo. Mąż też.

– To z pewnością się wypełni. – Doman z uśmiechem opadł na krzesło.

Sala była pusta. Ludzie poszli do zadań lub wrócili do domów, a on wciąż trząsał się

z emocji. Było to jego pierwsze wystąpienie w życiu i sam był zaskoczony, że poszło tak dobrze.

Pomachał odjeżdżającym ludziom, ojcu, a wreszcie Waldce, która na pożegnanie zrobiła mu termos kawy i oddała własne kanapki. Masę musiała zawdzięczać talentom kulinarnym, ponieważ zwykłą bułkę przełożyła poetyckim pieczonym boczkim z karczochemi. Tomek wziął dużego gryza i pomyślał, że w życiu nie jadł nic pyszniejszego. Kiedy zaspokoił pierwszy głód, otrzepał okruszki z ubrania i sięgnął po słuchawkę, by złożyć meldunek Czuprynie. Nie zdążył. Słuchawka podskakiwała na widelkach jak oszalała. Podkomisarz zaczerwienił się i chwycił ją, przekonany, że to komendant wojewódzki nie może doczekać się raportu.

– Mam Mirę – usłyszał głos zniekształcony przez specjalistyczne urządzenie. – Chcecie dostać ją żywą?

\* \* \*

Z twarzy młodego Domana w jednej chwili odpłynęła krew. Rozejrzał się. Budynek dawno opustoszał. Portiernia z pewnością była otwarta na oścież, bo nawet stąd widział notatki i książki wpisów. Czy drzwi wejściowe są zamknięte? Gdzie podział się Żelich? Przed oczyma przewinęły mu się makabryczne sceny z obejrzanych seriali, kiedy to sprawca najpierw zabija strażnika, a potem tego, który sam został na posterunku. Zdawało mu się, że minęły wieki, nim te wszystkie myśli ogarnął, aż wreszcie rozum wrócił i Doman wcisnął przycisk aparatury nagrywającej.

– Czego chcesz? – rzekł, siłąc się na spokój.

– Wkrótce będziemy z Mirą jednym ciałem i tak staniemy przed obliczem Pana – padło w odpowiedzi.

– Gdzie jesteś?

– Niedaleko.

– Skąd mam wiedzieć, że dziewczynka jest z tobą?

– Ma na sobie czerwony kombinezon, choć lekko stracił już barwę. Ona natomiast straciła nieco krwi. Pod spodem nosi niebieską tunikę, białe rajstopy i majteczki w gwiazdki z napisem „Poniedziałek”. Tego dnia zniknęła.

Tomek z całych sił powstrzymał się przed przekleństwami i obrzucaniem wyzwiskami rozmówcy. Przypomniawszy sobie szkolenie z negocjacji, na którym kazano im powtarzać, co mówi porywacz, by nie doszło do dezinformacji. Powinien przedłużać, starać się dowiedzieć o rozmówcy jak najwięcej. Pytania krótkie, podane z szacunkiem, lecz stanowcze. Nie wolno mu okazać strachu. Przestępca musi wiedzieć, że rozmawia z kimś posiadającym moc decyzyjną. Kiedy tylko wyczuje pogardę, rozłączy się.

– Skąd mam wiedzieć, że Mira żyje?

– Dostaniesz zdjęcie.

– Jak je prześlesz?

- No chyba, że nie pocztą. Listonosz zawsze puka dwa razy. – Zaśmiał się.
- Wypuść ją. To tylko dziecko. Ma dopiero jedenaście lat. Rodzice za nią tęsknią.
- Tymek miał sześc. A jej matka to kurwa.
- Zostaw Mirę w lesie. Znajdziemy ją.
- Znajdziecie – potwierdził. – Z pewnością. Wtedy, kiedy ja tego zechcę.

Tomek przeraził się, że mała Mira już nie żyje. Oczy zaszczyły mu mgłą. W piersiach nagle zbrakło tchu.

- Dlaczego zadzwoniłeś?
- Ten dzisiejszy spektakl bardzo mnie rozbawił. Chcecie się bawić, zabawimy się. Połączenie zostało zerwane.

\* \* \*

Romka zakończyła połączenie, a telefon schowała do kieszeni. Wyłączyła silnik i pogładziła kierownicę nowiutkiego bmw, które zdążyła wyjątkowo polubić, choć jeździła nim dopiero od kilku dni. Wiedziała, że będzie musiała je zostawić na jakimś parkingu. W tej dziurze ściany mają oczy i uszy, a taki wózek, po dzisiejszej pogoni w lesie, z pewnością spisali. Żałowała, ale jeśli udałoby się jej wyciągnąć trochę grosza od siostry na bilet do Anglii albo i na Dominikanę, nie będzie potrzebowała auta. W Narwi zresztą bardziej sprawdziłaby się terenówka.

Spojrzała na ciemne okna Kamiennego Fortu i splunęła, wysiadając. Jeśli Dobra jest, to w gabinecie. Doskonale się składa, bo to tam znajdował się sejf z bronią i gotówką. Uśmiechnęła się, wiedząc już, że ma szansę zaskoczyć siostrzyczkę.

Ruszyła od strony rzeki, za wysokimi krzakami. Sportowe buty ślizgały się na lodzie, ale mimo to zaczęła truchtać. Dotarła do bramy, sprawnie wspięła się na ogrodzenie i je przeskoczyła. Krótki dziedziniec przebiegła skulona. To był jedyny newralgiczny moment. Przekląła w duchu, bo nagle rozbłysło światło, a zaraz potem zgasło. Zawahała się. Wpatrywała się w ciemne, zasłonięte okna, zastanawiając się, czy Dobra już ją spostrzegła. Wtedy skrzydło drzwi się uchyliło, w szczelinie błysnęła lufa dubeltówki. Siostry zamarły w oczekiwaniu. Wreszcie Romka podjęła decyzję. Podniosła rękę.

- To ja, *sister!* – krzyknęła pojednawczo. – Nie rób głupot.

Drzwi zaskrzypiały, otwały się. Dobra stała z bronią wymierzoną wprost w Romkę. Kiedy ją poznała, złamała strzelbę i opuściła ją w kierunku ziemi.

- Czego chcesz?

– Tutaj mam mówić? – Romka uśmiechnęła się przymilnie. – Nie odpowiadasz na moje wiadomości. Nawet nie wiem, czyś zdrowa.

Dobra milczała. Usta miała zaciśnięte. Z odległości, z jakiej widziała ją Romka, widać było tylko jej twarz oświetloną poświatą księżyca. Czarny golf, obcisłe getry i buty trekkingowe nasuwały myśl, że Romka zastała Dobrą przed wyjściem na

wyprawę.

– Śpieszysz się gdzieś?

– Nie twoja sprawa.

– Przykro mi z powodu Tymka. – Romka zrobiła smutną minę. – Między innymi dlatego przybywam...

– Nic ci do tego – odburknęła Dobra, ale nie umiała ukryć niepokoju. – Od kiedy się tu kręcisz?

– Wystarczająco – odparła Romka, pewna już, że siostra ją wpuści. – Na tyle długo, że powinnaś mnie wysłuchać. Puchacz nie zostawił chłopca w lesie. Mówił psom prawdę. Walochy to kłamliwe gnoje. Chcesz, zajmę się nimi.

– Nie! – zaprotestowała Dobra i spytała łagodniej: – Skąd możesz to wiedzieć?

Romka obejrzała się. Wokół nie było żywego ducha. Gęstwinę lasu spowijała ciemność, ale żadna z nich nie miała pewności, czy jakiś intruz nie kryje się w krzakach. Jeśli wziąć pod uwagę dzisiejszą obławę, dom mógł być pod obserwacją.

– Koło północy widziałam, jak twój syn szedł – wyszeptwała Romka z triumfem. – Nie był sam. Towarzyszyła mu Mira. Wiem, gdzie się ukrywała. Zależy ci jeszcze na niej?

Dobra nie odpowiedziała. Odwróciła się i weszła do domu. Drzwi zostawiła otwarte. Romka podążyła za siostrą, oglądając się za siebie kilka razy.

– Jest tu coś do żarcia? – rzuciła, gdy tylko przekroczyła próg i skierowała się wprost do lodówki. – Od wczoraj nie miałam nic w ustach.

– Najpierw przestaw tę czerwoną landarę – zażądała Dobra. – Pewnie kradziona, a kolejnego nalotu policji nie potrzebuję. – Zawahała się. – Pieniądzy nie znajdziesz. Tydzień przed śmiercią Donata mieliśmy włamanie. Zrabowano całą gotówkę, a do banku nie pojedę. Większa wypłata wzbudzi podejrzenia.

Romce mina zrzedła. Przyglądała się siostrze wrogo, oceniając, czy mówi prawdę.

– Donat nie zgłosił napadu. Sam chciał się tym zająć – ciągnęła Dobra. – Puchacz miał znaleźć sprawcę i odzyskać szmal. Nie zdążył. Gdzie jest Mira?

Romka pogładziła się po kształtnej głowie ostrzyżonej na zapałkę, a potem długo zabawiła się kolczykiem w języku.

– Odzyskam dla ciebie ten hajs – rzekła wreszcie z satysfakcją. – Widzisz, jak dobrze, że przyjechałam?

– Nie mieszaj się do tego! – zaproponowała Dobra. – Mało ci kłopotów?

– Tym bardziej nie mam już nic do stracenia.

– Kiedy powinnaś być na bramie?

– Apelację rozpatrzą w ciągu tygodnia. Papuga da mi znać, ile ugrał. – Romka uśmiechnęła się chytrze: – Ale kto ci powiedział, *sister*, że w ogóle zamierzam się stawiać na zimowisko?



Dobra się przeraziła.

– Chcesz uciec?

– Nigdy nie byłam w Afryce – potwierdziła Romka. – Dlatego bardzo mi na rękę, że ktoś ma kupę gorącego szmalcu, który można gładko przejąć. – A potem podeszła, poklepała Dobrą po ramieniu. – Nie stresuj się. Jesteśmy przecież rodziną, nie? Tylko powiedz mi, kto zajął ten kesz, a wszystko będzie dobrze.

\* \* \*

Hubert się śpieszył. Brnął uparcie przez zasy i szufłował ramionami tak intensywnie, że aż złamał jeden z kijków. Rzucił go w śnieg i już chciał zdjąć narty, ale chwycił pierwszą lepszą gałąź, oczyścił z bocznych wiechci i się nią podpierał. W końcu i ona pękła.

Tomek Domański zadzwonił do niego, ledwie wszedł w gąszcz. Młody policjant był rozbity, przerażony i kilka razy powtarzał profilerowi przebieg rozmowy telefonicznej z porywaczem, aż Hubert musiał go srogo opierdolić, by Doman wziął się w garść. Nakazał, by pod żadnym pozorem nie przerywano zaplanowanych działań, a jeszcze wzmożono czujność. O telefonie miał zaraportować jedynie Czuprynie i ewentualnie powiedzieć ojcu. Niestety, stary Doman poszedł z grupą Czołga i jak dotąd nie było z nim kontaktu. Hubert zastrzegł, by Tomek nie wysyłał ojcu żadnych wiadomości ani nie mówił o zdarzeniu, póki profiler nie dotrze i nie wysłucha nagrania. Potem wspólnie zadecydują, co dalej.

– To może być oszust – ostrzegł Domana. – Zakompleksiony pieniacz, który upatrzył sobie szeroko zakrojoną akcję policji jako sposób na podniesienie własnej wartości. Wcale nie musi być porywaczem i z pewnością nas obserwuje. Jest blisko! Ktoś z uczestników naganki? Może twój znajomy? Zachowuj się normalnie. Nie mogą się zorientować, że spanikowałeś!

By nikt nie zauważył zmian w działaniach policji, ustalili, że Meyera nie zdejmie z lasu radiowóz ani żaden cywilny jeep. Psycholog buńczucznie zapewnił, że z powrotem poradzi sobie samodzielnie. Niestety, zgubił się w puszczy jak dzieciak. Jego starożytny telefon w większości miejsc nie miał zasięgu, a mapa w ciemnościach okazała się bezużyteczna. Krążył dobrą godzinę wokół polany, nim znalazł w końcu trakt prowadzący do szosy. Wydostał się z leśnego labiryntu i – ku swojej rozpacz – pojął, że musi nadrobić kilka kilometrów, bo przed nim rozpościerała się rzeka. W tym szalonym pośpiechu omal do niej nie wpadł. Zatrzymał się, rozejrzał. Jedynym obiektem, który udało mu się zidentyfikować, był wielki kamienny dom z prywatnym zejściem do Narwi. Przed nim stała czerwona ósemka bmw coupé. Ponieważ znajdował się tak daleko od miejscowości, a czas gonił, postanowił, że mimo ustaleń zmieni plany i poprosi właściciela, by pożyczył mu wóz lub podwiózł go do komendy. Jeśli nadal będzie biegał po lesie, doprowadzi do katastrofy albo wyzionie ducha od zadyszki. Nie miał pewności, czy Tomek się ogarnął, lecz wiedział, że tej nocy może się wydarzyć wszystko. W sztabie powinien być ktoś, kto skoordynuje działania i na

czas zawróci ludzi z terenu.

Był już na granicy lasu i wychodził właśnie na otwartą przestrzeń, kiedy dotarło do niego, że to przecież Kamienny Fort – dom księdza Donata Gizy. W ciemności, widziany od tej strony, był trudny do rozpoznania, choć przecież Hubert był tutaj ledwie kilka godzin temu. Meyer zatrzymał się, zawahał. Jeśli wejdzie, Dobra Wątpa, która znajdowała się w ścisłym kręgu podejrzanych, będzie miała większą wiedzę o działaniach policji niż wszyscy funkcjonariusze z okolicy. Poza tym profiler nie przypominał sobie, by ktokolwiek wspominał, że matka Tymka jeździ najnowszą wersją ósemki bmw. Z Suwałk wysłali po nią radiowóz, bo autobus miała dopiero za kilka godzin, więc coś tu się nie zgadzało. Czy powinien ryzykować i ujawnić matce zabitego chłopca tak ważne dane? Rozwagał ten problem, gdy z samochodu wysiadł kierowca. Ciemne, połyskliwe dresy, czarne sportowe buty na wielkich poduszkach, obcisła puchówka. Na plecach aerodynamiczny plecak z termosem włożonym w boczną kieszeń. Kim, do cholery, jest ten facet? – zastanawiał się Hubert i starając się nie robić hałasu, choć znajdował się tak daleko, że usłyszenie jego ruchów byłoby niemożliwością, odpiął narty i ustawił je przy drzewie, skulił się i przeciął polaną truchtem. Skrył się za paśnikiem dla zwierząt, a potem podbiegł jeszcze kilkadziesiąt metrów, by mieć księżowską hacjendę w zasięgu wzroku. Przykrył usta, by stłumić głośny oddech. Uspokajał się chwilę. Następnie przeczłogał się aż do składu pociętego drewna, które z jakiejś przyczyny gospodarz zostawił na podwórze. Hubert wiedział, że to szaleństwo, ale chciał zobaczyć twarz przyjeźdźcy. Zarejestrował, że ósemka jest na warszawskich blachach. Na wszelki wypadek spisał numery i wysłał je esemesem do Domana. Zaraz potem wyłączył komórkę, bo nie pamiętał, jak przełącza się dźwięk na wibracje w tak wiekowych aparatach.

Był teraz o krok od intruza i nie chciał go spłoszyć.

Wtedy w drzwiach rezydencji stanęła Dobra z bronią. Wymierzyła do gościa i Hubert ze zdziwieniem stwierdził, że intruz z beemki to nie facet, lecz kobieta. Całkiem ładna, w takim militarno-lesbijskim stylu, jaki znał ze szkoleń służb mundurowych. Ubrana jak mężczyzna i tak się poruszająca. Zdradzał ją jednak głos. Dźwięczny, zadziorny. Choć starała się nadać mu głęboki i szorstki ton, mówiła piskliwie:

– Nie odpowiadasz na moje wiadomości. Nawet nie wiem, czyś zdrowa.

Hubert przełknął ślinę, skupił się i zamarł. Starał się nie uronić ani słowa z prowadzonej przez kobiety rozmowy. Było to arcytrudne. Czasem dobiegały go tylko pojedyncze zdania. Innym razem słyszał bardzo wyraźnie:

– Koło północy widziałam, jak twój syn szedł. Nie był sam. Towarzyszyła mu Mira. Zależy ci jeszcze na niej?

Kobiety schowały się w domu, a Hubert odetchnął z ulgą, że nie został nakryty. Zaraz też spróbował włączyć komórkę i o zaistniałej sytuacji zawiadomić Domana. Niestety, na mrozie stary telefon odmówił współpracy. Może zamókł albo bateria się wyczerpała? Hubert wciskał klawisze, machał nim i chował pod kożuch, by sprzęt się rozgrzał. Bezskutecznie. W końcu zaklął szpetnie i zdecydował, że trzeba zagrać

w otwarte karty. Kimkolwiek jest kobieta, która odwiedziła Dobrą, musi go podwieźć na posterunek, a przy okazji się ją przesłucha. W uszach dźwięczały mu jej ostatnie słowa: „Twój syn szedł. Nie był sam. Towarzyszyła mu Mira”. Wstał i już otwarcie podszedł do wozu. Obejrzał tablice dokładniej.

W tym momencie drzwi Kamiennego Fortu ponownie się otwały. Gościni Dobrej krzyknęła do niego wulgarnie, wzięła szybki zamach i uderzyła go pałką w łeb. Cios był celny i mocny. Kiedy padał, ostatnią jego myślą było to, że nie docenił przeciwniczki. Ta rzecz w kieszonce plecaka to nie był termos, lecz broń.

Dosłownie sekundę później rozległ się strzał.

# Część 2

## Trop

## **Dzień trzeci 17 lutego 2021 (środa)**

*Moja Kochana Rodzinko! Kocham Was!*

*Mamuniu! Nie denerwuj się już na tatusia, on nie chciał, dbał o mnie i wcale nie krzyczał. Nawet mało razy zapomniał o obiedzie. A jeśli tak było, to ja jestem durza i sama umiałam zrobić jajecznicę albo tortellini. Jemu i sobie. W lesie jestem bezpieczna. Nasz wilk nie pszychodzi, ale są inne białe. I sarendki i stado srok:) Mam też pszyjaciela (I i to nie jest mały Tymek:). Jestem bez pieczna. Wogóle nie musicie się martwić :>*

*Kocham, kocham, kocham <3. Jesteście najlepszymi mamą i tatą na świecie. I nie kłućcie się już. Nie długo się zobaczymy.*

*Wasza Mira*

*PS: Jestem głeczna.*

List napisany dziecięcą ręką i pokolorowany fluorescencyjnym flamastrem przyszedł z samego rana. Listonosz przyniósł go razem ze służbową pocztą, a dosłownie pół godziny później na posterunek wpadła zdyszana Barbara Grzybowska. Ciągnęła za sobą niedużą walizkę we wzór liści marihuany, pod pachą taszczyła wielkiego misia, a na ramieniu niosła plażową torbę wypakowaną po brzegi dokumentami. Rzuciła swój majdan w drzwiach i prychając na Żelicha, który chciał ją zatrzymać, pobiegła wprost do gabinetu podkomisarza Domańskiego.

Tomek zaczynał poranną odprawę dopiero za godzinę, więc był sam. Nieliczni podwładni czekali w najmniejszej salce na drugim końcu budynku, gdzie urządzono sztab generalny.

– Jestem – zameldowała z triumfem i zaraz odwróciła wzrok. – Gdzie znajdę pana Meyera? To on do mnie dzwonił. Chcę mówić tylko z nim. Nie z tobą!

Młody Doman wstał i przyjrzał się kobiecie. Odzież miała w nieładzie. Pachniała tak, jakby podróżowała w wagonie z bydłem. Oczy podkrążone, usta spierzchnięte. Uśmiechała się jednak z nadzieją. Tomek nie miał serca odbierać jej optymizmu. Dyskretnie wsunął list pod notatki na biurku i otworzył ramiona, by kobietę przywitać. Zrobiła krok w tył. Tomek wyciągnął więc dłoń. Nie uścisnęła jej.

– Może kawy, herbaty? – zaproponował, by zyskać na czasie i skonfundowany schował dłoń do kieszeni. – Cieszę się, Basiu, że udało ci się przyjechać tak szybko.

– Kawy chętnie. Najlepiej potrójną, jeśli macie ekspres. A czy szybko? – Zaśmiała się. – Zdaje mi się, że podróżowałam tysiąc lat. Szybciej się nie dało. Co słyhać, Tomeczku? – Przekrzywiła głowę i odwróciła się do drzwi, w których wisiał już spodziewający się bury Żelich, bo wpuścił nieupoważnioną osobę do gabinetu szefa.

– Wszystko w porządku – uspokoił go Doman. – Zrób Basi kawy.

– Z mlekiem i cukrem – oświadczyła Grzybowska. – Mój mąż już jest?

Tomek pokręcił głową.

– Nie wezwaliście nas na konfrontację? – Basia była zawiedziona. – To na co czekacie? I gdzie są wszyscy? Tak pustego domu kultury nie widziałam nawet w święta.

– W nocy wiele się działo. Ludzie muszą odpocząć – zaczął Tomek i zaraz urwał. – Siadaj, siadaj, proszę. – Wskazał jej fotel. – Jak się czujesz?

– Dzwonił do mnie pan Meyer. Podobno rozpoczęliście działania i wszczęłeś wreszcie dochodzenie. – Mówiła szybko, nerwowo. A potem podniosła głos, by dyżurny słyszał za drzwiami: – Żelich, jak będziesz szedł z kawą, przynieś moją torbę! Leży tam u ciebie w kantorku. Podczas przesłuchania chcę ją mieć pod ręką. – Znów zwróciła się do młodego Domana. Teraz mówiła konfidencyjnym szeptem. Była podniecona, gestykułowała. – Mam wszystkie dokumenty, Tomeczku. Listy, papiery, notatki... Pokażę wam. Jeśli Bóg pozwoli, znajdziemy ją, prawda?

Tomek słuchał jej, ale był coraz bardziej niespokojny. Usiadł za biurkiem, zaplótł dłonie.

– Wiem wszystko, Basiu. Hubert mi przekazał.

– To gdzie on jest? – Kobieta rozejrzała się zniecierpliwiona. – Mówił, że mam być jak najszybciej. A teraz nie odbiera...

– Hmm. – Tomek odchrząknął.

Nagle zerwał się i rzucił do drzwi. Zawrócił, dopadł biurka i zabrał z niego kartkę z kolorowymi napisami. Basia spostrzegła, że dokument znajdował się w folii oznaczonej sygnaturami, jak pokazują to na filmach. Serce podeszło jej do gardła. Miała złe przeczucia, ale oniemiała dopiero po słowach Domana, który nie patrząc jej w oczy, rzekł:

– Zaczekaj tu. Zrobię odprawę i dokończymy.

Uciekł. Po drodze nakazał dyżurnemu, by pod żadnym pretekstem nie wypuszczał żony Grzybka z pokoju.

Kiedy więc została sama, podeszła do biurka i zaczęła na nim szperać. Czytała po kolei każdy zadrukowany papier, który wpadł jej w ręce.

\* \* \*

Zapowiadała się osobliwa odprawa. Uczestniczyło w niej tylko kilka osób i poza Waldką, Czołgiem oraz technikami nie było wcale policjantów. Po wczorajszej, totalnie bezskutecznej akcji młody Doman, w porozumieniu z inspektorem Czupryną, zdecydował, że wszyscy muszą się przespać, i dał im wolne do trzynastej. Sam nie spał wcale.

Kiedy wszedł do pokoju, dyskusja trwała już w najlepsze.

– Nie jesteśmy w stanie określić płci dzwoniącego – oświadczył Doman ojciec i spojrzął na prokuratorkę Rudy, która zaoferowała swoją pomoc, póki jest w Narwi. A ta z kolei przygwoździła wzrokiem technika.

– Mówiłeś, że to urządzenie zniekształcające głos nie jest skomplikowane.

– Gdyby dzwonił na komórkę, mógłbym coś podzielać – odparł technik. – Ale to była rozmowa przez linię stacjonarną. Może z budki?

– Z budki? – zdziwiła się. – W okolicy nie może ich być zbyt wiele. Obstawmy wszystkie i pobierajmy odciski palców, przesłuchajmy sąsiadów. Jaki problem?

– Problem w tym, że w promieniu stu kilometrów nie ma ani jednej czynnej. – Technik wzruszył ramionami. – Poza tym to mógł być też numer z przekierowaniem.

– Czyli że dzwonił normalnie z komórki? – domyślił się Czołg.

– Na kartę albo abonament. Skoro miał urządzenie zniekształcające głos, mógł mieć też nakładkę do przekierowań. Gdybym miał numer... – Urwał. – Niestety, został zastrzeżony.

– Ile czasu będziemy czekali, aż dostawca ustali numer? – dociskała Rudy.

– Billingi przychodzą za miesiąc – odparł technik tonem służbisty.

– Nie pytałam, kiedy przychodzą billingi – zirytowała się. – Pytanie brzmiało: ile będą ustalać numer? Dwa dni, tydzień? Jesteśmy w dwudziestym pierwszym wieku! To ma znaczenie, czy prefiks jest tutejszy, czy z innego regionu!

– W więzieniach są budki – padło z kąta ledwie słyszalnie. – Czasami też wyświetlają się jako zastrzeżone.

Wszystkie oczy zwróciły się na Huberta. Wyglądał blado, wzrok miał mętny, twarz z jednej strony opuchniętą, wargę rozbitą. Zdawało się, że ledwie trzyma się na nogach. Tak było w istocie. Zgrywał jednak twardziela i uśmiechał się krzywo.

– I nie można się do nich dodzwonić – kontynuował. – Linie więzienne działają tylko w jedną stronę.

– Miałeś być w szpitalu, wujku! – oburzył się Tomek Domański i zebrani odwrócili głowy w jego kierunku, jakby dopiero teraz podkomisarza zauważyli.

Profiler podniósł dłonie w geście kapitulacji.

– Sorry, Tomeczku, nie obraż się, ale wyglądasz, jakbyś to ty bardziej potrzebował szpitalnej opieki. – Hubert od niechcenia poprawił sobie bandaż na głowie. – Jak ci się podoba mój gustowny czepeczek? Wypisałem się na życzenie. Chcieli mi wmówić, że mam leżakować tydzień. Powiedziałem im, że łóżka potrzebne są dla covidowców. Zresztą nie chciałem się od nich zarazić.

– Nie gadaj z nim, Tomku. – Wera machnęła ręką. – Przeżywał nie takie ciosy. Do wieczora się zagoi. Ale Meyer ma rację, coś ty taki blady, młody? Znów ktoś nie żyje? Czy może porywacz przysłał obiecane zdjęcie?

Spojrzała przestraszona na Tomka, a zaraz potem na jego ojca, który miał minę, jakby zaoferowano mu angaż w *Tańcu z gwiazdami*.

– Zdjęcia jak dotąd nie ma – odparł młody Doman i delikatnie, jakby rozbrajał bombę, położył na stole list dziewczynki. – Ale to przyszło przed chwilą. – Po czym powoli, jakby się bał, że nie trafi na siedzisko, opadł na krzesło. – Jeszcze niezbadane. Włożyłem tylko do folii. – Odetchnął. – W gabinecie siedzi jej matka. Nie wiem, co mam jej powiedzieć. Znamy się od lat...

Doman ojciec podszedł do syna i położył mu dłoń na ramieniu. Nie odezwał się. Nikt więcej nic nie powiedział. Żadne nie dotknęło listu. Patrzyli na przygaszonego Domana i bali się, że poznanie treści i ich zainfekuje. Wyglądało na to, że korespondencja zawiera truciznę, która odbiera siły do życia.

Pierwszy po kartkę sięgnął Meyer. Przeleciał wzrokiem i zaraz odłożył, jakby dowód rzeczowy parzył go w palce.

– Zostawcie nas – zwrócił się do Waldki i Czołga. Posłuchali go bez protestów, niczym własnego generała. – Nie wychodźcie z biura. Będziecie potrzebni.

– Mam nadzieję, bo słabo to wygląda – odważył się podsumować Czołg, a choć Waldka szturchała go w bok, by się przymknął, nie zamierzał kończyć tyrazy: – No co, jest coraz gorzej. Nie panujemy nad sytuacją. Czekamy na kolejne ciało czy jak?

– Chyba mnie to przerasta – jęknął Tomek, kiedy Czołg z Waldką wyszli. Wyglądał jak dzieciak bojący się podejść do egzaminu. – Rzucę papierami. Zajmę się obserwacją ptaków. Ela się ucieszy, bo będę cały czas w domu. Z ojcem pojedę na ryby...

– O tej porze roku? – spytała Wera. – Nie za rześko?

– Wytniemy przerębel – odrzekł Tomek i urwał. – Nigdy nie mieliśmy tak trudnej sprawy. Nie wiem, czy mój poprzednik robił choć jedno zabójstwo, gdzie nie wiadomo było, kim jest sprawca. Znamy wszystkich naszych lujów. Wiemy, kto czym handluje i co ma za uszami. Taka robota inaczej wygląda... Ten Balwierz mnie przeraża. A teraz jeszcze ten list... Ja wiem, że to na nic. Mira nie żyje. Wiem to... Czuję... Nie jestem w stanie spojrzeć w oczy jej matce... I jej tego powiedzieć...

Milczeli chwilę. Rudy spoglądała na profilera, ale ten uparcie gapił się w okno, jednocześnie usiłując podrapać się pod bandażem.

– Długo będziesz tak pierdolił, synek? – Pierwszy wybuchnął Doman ojciec. – Ktoś kazał ci być gliniarzem? Trzymanie terenu w ryzach to nasza robota. Jak nie umiesz być wyrachowanym, zimnym skurwysynem, to jak zamierzasz złapać tego psychola? Umówmy się, że sobie przy nas popłaczesz. Ciocia Wera obetrze ci łezki, wujek Meyer strzeli gadkę motywacyjną, a jak nie pomoże, to ja przetrzepię ci dupsko. Albo pierdolnę raz a zdrowo! Zadziała błyskawicznie... – I na potwierdzenie swoich słów wałnął syna w plecy, aż młodego przygięło. – Oraz rada od tatusia na nową drózkę: nigdy, przenigdy nie okazuj słabości przed podwładnymi! Wiesz, co robią teraz Waldka z Czołgiem na papierosie? Obrabiają ci tyłek, kombinują, jak cię wygrzyźć! I dzwonią do reszty, bo mają cię za pizdę! A ten mały skolopender Czołg tylko czeka na taką okazję. Spędziłem z nim wczorajszą nockę i masz w nim zagorzałego wroga. Czai się na twój stołek i nie spocznie, póki cię nie zastąpi! Dla



niego ta posada to spełnienie marzeń, więc jak nie weźmiesz się w garść, od razu idź ciąć przerębel! Wiesz, chłopcze, ile będzie cię kosztowało odbudowanie autorytetu?!

Tomek patrzył na ojca wpierv oniemiały, potem gniewnie, ale jednocześnie coraz bardziej się prostował.

– Do boju, synu! – rozwijał się Doman. – Idź, rozdziel zadania. A mają być, kurwa, trudne. Najlepiej niemożliwe do wykonania. Bądź bezwzględny! Przez najbliższy miesiąc masz trzymać ich tak krótko, żeby chodzili jak yorki przy nodze. Pojawi się małe uchybienie, stosuj kary cielesne. I głód. Zwłaszcza Waldkę... Czołga przeczołgaj! Zamknij w szalasię, spuść krew i nie żałuj batoga. Co się tak patrzysz? Chcesz utrzymać stanowisko, walcz jak drapieźnik. Nie? Zostań ofiarą. To proste. Analizy zostaw na później, jak wrócisz do łóżka żony. Zresztą i to zbędne. Z Elą też pieścisz się jak z jajkiem. Zobaczysz, nie wyjdzie ci to na zdrowie! – Sapnął. –

A zamiast zabawiać się biegówkami, zacznij jeździć po właściwej stronie wozu! Mam dość świecenia oczyma przed kumplami! – dodał z taką wściekłością, że aż się zapłuł.

Wera i Hubert nic nie dodali, ale Tomek wiedział, że zgadzają się z ojcem. Wstał.

– Przyjrzyjcie się temu. – Wskazał list. I dodał, ale już innym tonem: – Popełniłem jeszcze jeden błąd. Nie wiem, czy uda mi się to odkręcić.

– Jaki? – zainteresowała się Werka.

– Basia siedzi u mnie w gabinecie.

– Mogła przeczytać tajne akta? – Meyer podniósł brew. W jego oczach czaiła się kpina. – Podwójna wiktyimizacja ofiary, naruszenie przepisów czy zwykła ludzka głupota? – wymieniał. A ponieważ młody Doman wciąż stał oniemiały w drzwiach, dorzucił: – Co tutaj jeszcze robisz, synu? Idź, ratuj twarz i to dochodzenie!

\* \* \*

Tomek wyszedł jak zrugany psiak i skierował się wprost do swojego gabinetu. Po drodze widział przez okno Waldkę z Czołgiem. Palili na spółkę jednego papierosa i szeptali sobie do ucha. Oblał się rumieńcem. Nie miał żalu, że knuli, ale był na siebie zły, że tak łatwo się podłożył. Co gorsza, widzieli to wszyscy poza nim.

– Basiu, już jestem. – Nacisnął kłamkę i zobaczył Grzybowską siedzącą za jego biurkiem. W ręku miała wyniki sekcji zwłok Tymka. Po twarzy ciekły jej łzy.

– Moja Mirka nie żyje, prawda? – Zaniosła się łkaniem. – Szukacie już ciała?

Tomek podszedł, wyrwał jej dokument z ręki.

– Kto ci pozwolił tu grzebać?! Ostatni raz ci zaufałem. Wiesz, że możesz być pociągnięta do odpowiedzialności?

– Tylko przepisy cię obchodzą. – Kobieta zaszlochała jeszcze głośniej. – Papiery... Paragrafy...

– Nie trać nadziei. – Podszedł do niej. Przytulił. – Nie będę ci kłamał, Basiu.

Prawdopodobieństwo jest jak osiemdziesiąt do dwudziestu, ale nadal mamy te dwadzieścia procent. Skup się, pomódl i uwierz, że Bóg wie, co robi. A nawet jeśli stało się najgorsze, musimy znaleźć Balwierza, bo on znów to zrobi.

– Kto to może być, Tomeczku?! Kto? Zabij go, obiecaj mi, że jeśli ona zginęła, nie zostawisz go przy życiu. W imię tego, co było kiedyś między nami...

Tomek położył jej dłoń na ustach. A ponieważ słała się na nogach i omdlewała, uderzył ją lekko po twarzy.

– Przyjechałaś, bo wierzysz – rzekł twardo.

Ocknęła się jak ze snu. Oczy odzyskały czujność.

– Tak – potwierdziła. Była wściekła, ale gniew dodał jej sił. Zaskoczyło ją, że jeszcze je ma. – Wciąż wierzę. Tylko dlatego jeszcze żyję... Tak myślę...

– Więc weź się w garść, Bacha! Zdrzemnij się, jak trzeba.

– Nie będę spać. Chcę działać!

– Waldka! Czołgiewicz! – krzyknął.

Podwładni natychmiast pojawili się w drzwiach.

– Opowiedz im wszystko – zwrócił się znów do Grzybowskiej. – Pokaż dokumenty, które przywiozłaś. I pamiętaj, co mi obiecałaś. Ja też wiem, co mam do zrobienia.

– Dziękuję, Tomeczku – wyszeptała.

– Nie dziękuj. Współpracuj. Jak Waldka z tobą skończy, siądziesz z Meyerem. Musisz być teraz silna.

– Ty też bądź. – Zniżyła głos. – Bo przecież to także twoja wina. Wiemy o tym oboje.

Spojrzał na nią zimno, kiedy dodała:

– Chyba najwyższy czas to ujawnić. Nie sądzisz, podkomisarzu Domański?

\* \* \*

– Nie napisała tego sama – oświadczył Hubert, kiedy pozostali zapoznali się już z listem. – Nie jedenastolatka. Błędy są pozorowane. Słownictwo zbyt infantylne.

– To była mądra dziewczynka – zauważyła Wera. I zaraz urwała. – Sorry, jestem tu przejazdem. Nie powinnam się wtrącać.

– Ale się wtrącaj. Potrzebujemy twojego doświadczenia i świeżego oka – zaoponował Hubert i spojrzał na odwróconego do okna Domana, który po wyjściu syna z pokoju zatopił się w myślach i nie reagował na zaczepki. – Nie martw się o Tomka – pocieszył go Meyer. – To jego chrzest bojowy. Kto z nas nie miał takich zapaści? Będzie z niego najlepszy śledczy w regionie. Czupryna dawno to zauważył.

Doman długo nie odpowiadał.

– W dupie mam to, że młody pękł – mruknął wreszcie. – Zostawili go z tym bez

wsparcia. I udają, że jak mają Puchacza, to sprawa zamknięta. Martwi mnie co innego. – Urwał. Dołączył do stołu. – Ale nie będą pierdzielili. Wracamy do naszego gnoja.

– Bardzo dobrze, że zostawili – zaperzył się Hubert. – Gdyby siedzieli mu na głowie, nie mógłbyś tutaj być.

– Ani ja – dodała Rudy.

– Tak przy okazji, kiedy chcesz wracać? – zapytał Hubert.

Wzruszyła ramionami.

– Urlop mam do jutra. Myślałam, że zacznę wracać wieczorem.

– Weź mój wóz – zaoferował.

– Potrzebujesz go. Zresztą też nie zostaniesz tu na zawsze, powinieneś być mobilny.

Zawahał się, nim odrzekł:

– Nie ruszę się, póki tego nie rozwikłam. Chyba że wcześniej aresztują mnie do innej sprawy. – Zaśmiał się szyderczo i dotknął głowy. – Wiesz, co ta suka powiedziała, kiedy się ocknąłem? – zaperzył się. – To był błąd, że jej zaufałem. Te listy, telefony... To może być ona... Pasuje do profilu jak ulał... – Przerwał.

Doman splunął do szklanki, w której były już tylko fusy.

– Nic nie widziała, nic nie słyszała – rzucił. – A osoby nie zna...

– Że mi się zdawało! – fuknął Hubert. – I robiła jeszcze słodkie minki. Podobno całą noc siedziała przy moim łóżku. Zmieniała mi opatrunki, czekając, aż się obudzę. Pielęgniarki są wzruszone jej dobrocią. Wiecie, że to ona mnie przywiozła? Przywiozła, rozumiesz? Czym? Taksówką, wozem drabiniastym? Kiedy zapytałem, kim jest jej nocna gościni, kazała mi odpoczywać!

– Sprawdzili już blachy tej ósemki?

– Jest w leasingu. Wysłali zapytanie do firmy i czekają na dane. Facet z BMW obiecał, że do wczesnego popołudnia poda nam nazwisko. Co z tego? Wiemy już, że tę beemkę skradziono z parkingu w Blue City w Warszawie. To może nie mieć związku – narzekał. – Ale ja rozpoznam tę gnojówę. Rysownik ma być lada chwila.

– To jedna z dziewczyn, która robiła analizy facebookowe – wyjaśnił Doman. – Ta mała z warkoczem. Nie spała do rana.

– Wygląda na to, że ta cała Dobra jest zła – oświadczyła z satysfakcją Wera. – Może wreszcie ją przymkniecie?

– Nie – zaprotestował Meyer. – Nie może się zorientować. Potrzebujemy jej.

– Do czego?

– Wystawię ją na wabia.

W sali panowała teraz idealna cisza.

– To o nią chodzi sprawcy. A ten babochłop z pałką to jakaś bliska jej osoba. Wątpię, że ma starszą siostrę. Świeta, tutejsza asystentka z prosektorium, coś wspominała. Jak

będzie portret pamięciowy, rozpętam piekło. Żadna diabolina nie będzie ze mną pogrywała.

– Czego jej nie darujesz? – Werka przechyliła głowę. – Gdyby Dobrawa chciała twojej krzywdy, leżałbyś już sześć stóp pod ziemią. Albo rozpuściłaby cię w krecie. Uratowała cię. Zależy jej na tobie. Wie przecież, że pamiętasz i rozpoznasz tę kobietę. Głupia nie jest.

– Tego właśnie jej nie daruję. Że robi ze mnie durnia. I kłamie.

– A ten strzał? – zainteresował się Doman. – Do kogo strzelano? Kto naciskał spust?

– Tomek mówi, że w okolicy zabezpieczono ślady krwi. Zwierzęcej. Ponoć ktoś kłusował.

– Kłusował? – powtórzyła oniemiała Wera. – Pół regionu w mundurze i po cywilu szlaja się po puszczy, a nie mogą ustalić jednego kłusownika?

– Też mi to pachnie lokalną sitwą – zgodził się Hubert. – Moim zdaniem to Dobra walnęła ze swojej strzelby. Do siostry czy kogoś innego? Sam nie wiem. Tutaj wszyscy wszystko wiedzą, ale w ustach mają pełno wody.

– No cóż, wygląda, że zbierają jej coraz więcej. W końcu zaczniesz się wylewać... – zauważyła Wera i zaraz umilkła.

– Mam tylko nadzieję, że nie znajdziemy wkrótce postrzelonego dziecka. To byłby koniec świata – rzekł Doman. – Tobie, Meyer, dostałoby się najbardziej. – Postukał w list. – Skoro to nie Mira pisała, po co go wysyłał?

– Nie sądzę, żeby chciał ją zabić – oświadczył profiler. I dodał: – Idę o zakład, że nie jest porywaczem. Moim zdaniem to ten gość, który dzwonił w nocy. Bawi się z nami.

– Dziś wyszły gazety – zauważyła Wera. – To może mieć związek.

Hubert podziękował jej za wsparcie.

– Kochanek Waldki spisał się na medal. Poświęcili tej sprawie trzy bite rozkładówki. Po czternastej, jak komenda się zaludni, będzie gorąco także w mieście. Jestem pewien, że ta publikacja przygoni prasę krajową. I telewizory. Dziś siądę do profilu. Trzeba dać nowe mięcho Motylewskiemu. Ta strategia działa. Odkąd weszliśmy do gry, Balwierz się zaktywizował. I bardzo dobrze! W końcu popełni błąd.

– Czupryna też przyjedzie? – upewnił się Doman. Westchnął ciężko. – I wszyscy święci...

– Na to liczę. – Hubert pokiwał głową. – Bo szykuję ceremonię specjalną.

– Co tym razem?

– Czuwanie – odrzekł. – Ale ciebie już nie będzie. To jutro albo nawet pojutrze. Przydałoby się to dobrze zorganizować, żeby Balwierza przygonić do Narwi i popisowo zamknąć. Dobra z jakiejś przyczyny nie chce chować swojego dziecka,

więc będzie musiała zmierzyć się z tym podwójnie. Zrobimy z niej gwiazdę na czuwaniu, a jak będzie trzeba, i na pochówku syna. Ciekaw jestem, dlaczego boi się pogrzebu. – Hubert się zamyślił.

– Widzę, że warto jednak zostać – włączyła się Weronika. – Zapowiada się lepszy event niż koncert dla VIP-ów. W dzisiejszych czasach to rarytas.

– Wolałbym, żebyś się nie narażała. W domu i w robocie – zaoponował Hubert. – Nie myśl, że nie doceniam, że jesteś. Na dodatek z dobrymi wieściami...

– Nie mówmy o tym na razie... – Obejrzała się. – I nie tutaj.

– Jest coś nowego?

Wera pokręciła głową, ale nie czuł się uspokojony. Przyglądał się jej, jakby podejrzewał, że coś przed nim ukrywa. A potem nagle się uśmiechnął.

– Choć oczywiście będzie mi raźniej, jeśli zostaniesz. Nam... – poprawił się.

Zachichotała.

– Jeszcze się zastanowię – odparła, ale wiedział, że to postanowione.

Zrobiło mu się ciepło w okolicy klatki piersiowej. Zaraz jednak przeszło mu przez myśl pytanie, gdzie Werę przenocują. Chatka Doman jest mała. Ciasnotę dawało się odczuć, kiedy byli tam z Domanem tylko we dwóch. Wprawdzie łóżek stało więcej niż trzy, ale poza dwiema wersalkami w największym pokoju same piętrowe. Było to zrozumiałe. Rodzina Domańskich zawsze była liczna i latem wszystkie dzieciaki musiały się pomieścić. Słowem, warunki biwakowe. Nie wyobrażał sobie, by kobieta przyzwyczajona do luksusów czuła się tam komfortowo.

– Co z tym listem? – zniecierpliwiał się Doman. – Zaraz wróci młody. Będzie chciał wiedzieć, jakie wydać rozkazy.

Hubert natychmiast otrząsnął się z rojeń o rodzaju pizamy Wery.

– Jest ich dwóch – zaczął. – *Numero uno* to zabójca powiązany z Dobrawą. Jestem już pewien, że Wątpa wie, kim jest, lub go podejrzewa, lecz nie chce ujawnić nazwiska. Dlaczego go chroni? Nie wiem. Obiecała dostarczyć listę kochanków, konkubentów i platonicznych adoratorów. Wszystkich trzeba będzie dyskretnie przeświecić.

– Jeśli sądzić po tłoku podczas jej ostatniej wizyty na przesłuchaniu, ta lista jest długa – mruknął Doman. – Rozumiem, że zajmiesz się jej ograniczaniem?

Wera głośno się zaśmiała.

– Dziś napiszę profil – mówił dalej Meyer. – Obiecałem Czuprynie, że opublikujemy zredagowane fragmenty. Motylewski przyjeżdża po południu. Rozmówię się z nim, jak to sprzedać. Niech Balwierz poczuje się w obowiązku udowodnić, że się mylimy.

– Zamierzasz go upokorzyć czy wyzwiesz na pojedynek?

– Jeszcze nie zdecydowałem. Będę miał opinię, zrobimy naradę. Dziennikarza zaprosimy na finał. Liczę, że będzie kreatywny.

– Stoi. – Doman klepnął się po udach. – A więc uważasz, że małą Mirę porwał całkiem inny typ?

– Oni ze sobą rywalizują – wyjaśnił profiler. – Porywacz nie jest mordercą. To znaczy kiedy uprowadzał dziewczynkę, nie brał pod uwagę, że ją zabije. Chciał rozgłosu. Mam nadzieję, że dziecko wciąż jest kartą przetargową. W przeciwnym razie... – Umilkł na chwilę. Zawahał się. – To może się zmienić, bo gdy do gry wszedł sprawca bardziej bezwzględny, ludzie zapomnieli o małej Mirze. Balwierz rozpoczął popis na ostro. Bez skrupułów zastrzelił księdza i nadział na poroże kościelnego Kupałę. Działa efektownie, moim zdaniem nazbyt teatralnie, by kierował nim motyw seksualny. Jego celem nadrzędnym jest zwracanie uwagi. Każde miejsce zbrodni to rodzaj inscenizacji. I co nadzwyczaj ciekawe, za każdym razem innej. Jakby wychodził ze skóry, by komuś zaimponować. Dlatego jego działania będą eskalować. Nasz człowiek już teraz czuje się pominięty. Może zabić dziecko tylko po to, by pokazać swoją siłę. To będzie wyzwanie dla konkurenta, a przy okazji groźba dla nas. Manifestacja mocy, bezwzględności. Jestem pewien, że ci dwaj dobrze się znają.

– Nie byłoby lepiej, gdyby się nawzajem wyłukli?

– Wtedy będziemy mieli kolejne ciało i znacznie więcej danych. – Hubert zapatrzył się w okno. – Oby tylko nie było to ciało dziewczynki.

– Myślałeś, jak temu zapobiec? – spytała Werka.

Hubert wolno skinął głową.

– Po to właśnie trzeba mu pomóc urosnąć w mediach. Niech poczuje się silny. I swoją agresję skieruje przeciwko Balwierzowi, a nie wobec małej Grzybowskich.

– Dlatego planujesz czuwanie i popisowy pochówek?

Hubert potwierdził.

– Przyjdą obaj. I będą się nawzajem obserwować.

– Więc zastawimy na nich pułapkę! – Doman zatarł ręce.

– Zaraz, zaraz – weszła mu w słowo Wera. – A jeśli uprowadzenie Miry to sprawa między małżonkami?

– Tak było tylko na początku – zaoponował Hubert. – Potem się to zmieniło. Jestem zdania, że zaginięcie dziewczynki i śmierć chłopca ściśle się ze sobą wiążą.

– Wcześniej powiedziałaś, że strzelec i zabójca Kupały to ta sama osoba. Czy on odpowiada też za śmierć synka Dobrawy?

– Nie – zaprzeczył. – Za śmierć dziecka odpowiada ktoś z jego otoczenia.

– Donat Giza? – strzelił Doman.

– Nie można tego wykluczyć. Sprawca znał chłopca. I dziecko mu ufało.

W pokoju panowała cisza. Wera i Doman wpatrywali się w Meyera, czekając na dalszy wywód.

– Jak to wyjdzie, rzucą się na nas. – Pierwszy odezwał się Doman. – Kościół,

lokalne władze – wszyscy będą chcieli to podważyć. Do tego dołożą się ekolodzy i zrobi się straszny rwetes. Jesteś na to gotów?

– Nie, i dlatego na razie nie dzielcie się tą hipotezą z nikim – wychrypiał Hubert. – Zakładam, że jest jeszcze druga opcja. O wiele bardziej straszliwa.

– Jeszcze bardziej niż ksiądz morderca? Kto to może być? Matka? – zgadywała Wera. – Któryś z kochanków Dobrej zabił Tymka na jej polecenie?

Hubert wzruszył ramionami.

– Mam prostszą koncepcję, choć spowoduje większy huk i traumę dla tego środowiska, ale na razie nie jestem jej pewien. Wybaczcie, potrzebuję uporządkować dane. Dziś po południu wyłuszczę rzecz dokładniej. Zajmijmy się tym, co pilniejsze.

– Klientem, który napisał list i dzwonił wczoraj do mojego syna? – dopytał Doman. – Jak rozumiem, to porywacz Miry? Czy jestem w błędzie?

Hubert wypuścił powietrze z płuc.

– Uważam, że to oszust. Osoba niepowiązana ze sprawcami, która chce ugrać coś dla siebie.

– To ilu ich w końcu jest? – zbiesił się Doman. – Trzech, czterech? Ogarniasz w ogóle, co mówisz? A może od tego uderzenia całkiem pomieszało ci się we łbie?

Hubert nie słuchał narzekań przyjaciela.

– To jest bardzo ważny wątek. Klient od listu podłączył się pod Balwierza. Próbuje przypisać sobie złą sławę dwóch walczących jeleni. Pytanie brzmi: dlaczego zadzwonił akurat do Tomka? Skąd miał informację, że to on siądzie tej nocy przy telefonie? Zastanawialiście się? Dopiero co zakończyła się akcja poszukiwawcza, a on chciał rozmawiać właśnie z nim. Dlaczego? – powtórzył.

– Bo jest szefem komisariatu? – podrzucił Doman ojciec, ale takim tonem, jakby sam w to nie wierzył. – I nikogo innego w budynku nie było?

– W takim razie skąd miał wiedzę, że Żelich wyjdzie przestawić auto? – zapytał Meyer. – W drugą część akcji zostali wtajemniczeni nieliczni.

– I ich rodziny, bliscy oraz dzieci – skwitował kwaśno Doman. – To nieduża społeczność. Plotka goni plotkę. Nie zapominaj, że zazwyczaj niewiele się tutaj dzieje.

– A jednak zgadzacie się, że podejrzany dzwonił do Tomka nieprzypadkowo? – upewnił się Hubert i umilkł. Odwrócił się do Wery: – Nie masz może proszka od bólu głowy? Znow zaczyna mnie napieprzać.

– Bo powinienes leżeć na wznak! – prychnęła, ale przetrząsnęła torebkę i podała mu listek apapu. – Tylko to. Zaraz powiem Żelichowi, żeby przyniósł apteczkę. Potem załatwi się coś mocniejszego. Powinienes się przespać.

Hubert pokręcił przecząco głową i łyknął od razu trzy tabletki.

– Hej, bo się przekęcisz! – Zabrała mu lek.

Przełknął bez popijania i kontynuował:

– Moim zdaniem porwanie Miry to sprawa osobista. Taki sam motyw przyświeca również facetowi od listu i nocnego telefonu, ale to dwie różne osoby. Każdy mógł podać szczegóły ubioru dziewczynki, bo takie dane Basia umieściła na plakacie.

– O majtkach też? – zauważył Doman. – Poniedziałkowych...

– Też mnie to zastanawia. Trzeba przesłuchać matkę dziewczynki i zweryfikować, czy dane mogą być prawdziwe oraz kto, poza porywaczem, mógł je mieć. Jest jeszcze coś, co mnie niepokoi. – Profiler zawahał się i spojrzał na przyjaciela, a potem na Werkę. – Zauważyliście, że młody Doman jest rozbity dopiero od dzisiejszego ranka? Pękł po nocnym telefonie, a pogorszyło mu się po otrzymaniu listu i przyjeździe Basi. Wcześniej wręcz rósł w siłę, a od ludzi słyszałem, że wczorajszą odprawę poprowadził brawurowo.

– Tak było – potwierdziła Weronika. – Siedziałam z tyłu i nic się nie odzywałam, ale byłam pełna podziwu. Jakby codziennie podejmował tak szeroko zakrojone akcje.

W pokoju panowała cisza.

– Sugerujesz, że mój syn ma coś wspólnego z zaginięciem dziewczynki?! – ryknął Doman ojciec. W jego oczach było przerażenie. – Albo, co gorsza, z Balwierzem?

– Spokojnie, chłopie! – Hubert podniósł dłonie w pojedynczym geście. – Mówię tylko, że trzeba młodego po ojcowsku przesłuchać, nim zrobi to Czupryna, bo moim zdaniem między nim, Basią a sprawcą uprowadzenia Miry coś było. Lub nadal jest – podkreślił. – I młody wie, że to szkodzi dochodzeniu. Miał miętę z Dobrą, a teraz wychodzi, że może i z Basią.

– Z powodu romansu? – zdumiał się Doman. – Choć teraz, kiedy to powiedziałaś, sprawa wydaje się oczywista. Sam srałbym w gacie, gdybym miał powiązanie. Dopiero co ćwiczyliśmy taką sytuację na własnej skórze.

– Rozsypał się bynajmniej nie z powodu nadmiernej empatii. Tomek to nie mięczak – ciągnął Hubert. – Nie reagował tak na miejscu zabójstwa księdza. Ani nawet na widok chłopca, którego znał, a z którego spuszczone krew. Przyznasz, że to sytuacje bardziej stresogenne? – Przerwał. Przymknął oczy i zaczął mówić jak w transie: – Boisz się, bo utraciłeś kontrolę. Ale coś zaniedbałeś, zrobiłeś coś, z czego dumny nie jesteś. A może raczej nie zrobiłeś tego, co powinieneś. – Otworzył oczy, przyjrzał się przyjaciołom. – Uwierzcie mi, wiem, co mówię. Jestem obecnie w podobnym miejscu. I czuję jego strach przez skórę. Obawiam się, że sam tak śmierdę.

Nikt długo nie śmiał się odezwać.

– Czy ja dobrze rozumiem? – Milczenie przerwała Weronika. – Sugerujesz, że mamy grasującego w okolicy seryjnego mordercę, który ma sojusznika w postaci oszusta/naśladowcy – wroga podkomisarza Domańskiego? Przy takim założeniu Tomek jak najszybciej powinien zostać odsunięty od sprawy!

– Jeszcze nie teraz – zaprotestował Hubert. – Tomek nie powinien wiedzieć, że go podejrzewamy. Poza tym jestem prawie pewien, że zarówno oszust, jak i porywacz nie są sojusznikami Balwierza z Narwi, lecz jego wrogami. Działają na własny



rachunek.

– A mój syn? – spytał Doman, głośno przełykając ślinę.

– Nie musi być powiązany z Balwierzem. Może po prostu ma swoje tajemnice? – Profiler skierował palec w ojca Tomasza. – To twój dzieciak, więc je z niego wyciągniesz. Wtedy zastanowimy się nad ewentualnym powiązaniem. A Czuprynie ani mru-mru...

– A ja? – zapytała Wera.

– Co ty?

– Też chcę się przydać. – Wzruszyła ramionami. – Do wieczora jeszcze kupa czasu.

– Jesteś przekonana? – Hubert przyjrzał się jej bacznie. – Co powiesz mężowi?

– Mogłabym na przykład zachorować. Jest pandemia, tak? – Uśmiechnęła się. – Ludzie chorują, umierają. Kwarantanna może trwać nawet siedemnaście dni.

Hubert nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem.

– To głupie – przyznał, ale zaraz spoważniał. – Więc weźmiesz na warsztat Basię. Będziemy robili publiczne czuwanie. Chciałbym to zorganizować jutro wieczorem. Podejdiesz ją podczas przygotowań i prześwietlisz. Staraj się spędzać z nią jak najwięcej czasu, ale bez świadków. Kobieta z kobietą zawsze inaczej gadają.

– A ty?

– Zaplanuję zasadzkę na Balwierza.

– Czyli?

– Bliżej zapoznam się z Dobrą.

– Jeszcze bliżej chcesz się z nią zapoznawać?! Może od razu się z nią połów?

– Wyobraź sobie, że nie jestem w formie do figli. Zresztą już nie ma czasu na flirty. Skuteczniejszy będzie terror. Potrzebujemy jej wiedzy. Czuję, że ta beemka i nocny gość łączą się ze sprawą. Wieczorem napiszę opinię i przygotuję ludzi do ostatniego odstrzału. Zdejmiemy ich na oczach wszystkich świętych.

– Brzmi interesująco. – Werka wzięła się pod boki. – Aż żal opuszczać Narew. Zobaczyć tę kobietę na linii ognia? Marzenie!

– Chcesz mi pomóc? – Hubert przerwał jej i dotknął opatrunku na głowie. – Ale pamiętaj, że Dobra świetnie strzela, nawet jak się wkurzy.

– Ja też niezgorzej – burknęła Rudy. – Choć nie z dubeltówki. Chcesz, żebyśmy sobie postrzelały?

– Wolałbym nie. – Hubert się skrzywił. – Nie znoszę wojen. Jestem totalnie za miłością.

Wszyscy roześmieli się w głos.

– Wobec tego weźmy ją w dwa ognie – zaproponowała Wera. – Byle nie na jej terenie... Daj mi kilka godzin, a zdobędę na nią papiery. Tam gdzie diabeł nie może,

wystarczą kobieta i Excel. Mam też kumpla, który egzekwuje wszystkie niemożliwe do ściągnięcia wierzytelności. Wiesz, jak to robi? Czyta dokumenty księgowe i wyciąga wnioski z wpisów do KRS-ów. Poproszę, by sprawdził świeżutki majątek tej pani oraz jej przemyłych kolegów. Gdybyś mi dostarczył listę adoratorów panny Wątlej, zajmiemy się każdym z nich z osobna.

– Tęskniłem za tobą. – Meyer się rozpromienił. – Wręcz czuję, że zdrowieję...

– Jak na uderzenie pałką bojową w potylicę, trzymasz się całkiem żwawo – zakończył dyskurs Doman i nie czekając na ich dalsze przekomarzanki, pomaszzerował do drzwi. – Idę, wezmę syna na porządny obiad. Czołg będzie miał mokro w gaciach z radości, że do trzynastej z Waldką pokierują tym bajzłem.

\* \* \*

– Wciąż masz do mnie żal? – powiedziała Dobra, stając w drzwiach z koszykiem pełnym wiktuałów. W drugim ręku miała pęk kwiatów w celofanie.

Godzinę temu wszyscy rozeszli się do swoich zadań. Hubert został sam w salce zaadaptowanej na konferencyjną. Rozłożył dokumenty na kupki, do tablic korkowych przypinał fotografie z miejsc zdarzeń i zdjęcia sygnalityczne podejrzanych. W centralnym miejscu kazał zawiesić portret pamięciowy sprawcy napadu na siebie. Dobra wpatrywała się w tej chwili w ten rysunek, choć gdyby jej nie znał, nie odgadłby, że kobieta rozpoznaje poszukiwaną osobę. Nie zająknęła się również, że na obrazku widnieje mężczyzna, a przecież oboje wiedzieli, że Meyera zaatakowała kobieta.

– A powinienem mieć? – Hubert dotknął opatrunku, robiąc przy tym zboląłą minę.

Specjalnie nie pozwolił na zmianę bandaży, by obrażenia wyglądały ohydniej.

Dobra rozejrzała się, szukając wolnego miejsca, gdzie mogłaby postawić koszyczek, lecz takiego nie było. Stół i większość krzeseł zajmowały papiery. Wreszcie ustawiła łubiankę przy samych drzwiach. Podeszła bliżej do profilera, jakby szykowała się do pocałunku. Wzdrygnął się, kiedy pogładziła go po zarośniętym policzku.

– Powinieneś być zostać w szpitalu – szepnęła, lekko rozchylając usta.

– Naprawdę jest ci przykro?

Odwróciła się gwałtownie, jakby ją obraził.

– Możesz się zrehabilitować. – Obdarzył ją uśmiechem pewniakiem.

Zdjął akta z jednego krzesła i przestawił mebel tak, by Dobra siedząc na nim, musiała patrzeć na dzieło rysowniczkę z warkoczem.

– To twoja siostra – oświadczył bez ogródek. I zaraz dodał, siląc się na konfidencyjny ton: – Jeszcze nikt poza tobą nie oglądał tego portretu.

Dobra spuściła głowę i gwałtownie zasłoniła twarz rękoma, jakby nakrył ją na masturbacji. Milczała.

– Masz mnie za durnia?

Nadal nie kwapiła się z odpowiedzią.

– Uwierzyłem, że zależy ci na znalezieniu Miry. Ale teraz chcę tylko zrozumieć.

Za drzwiami rozległo się szuranie, a potem dobiegły ich głosy policjantów składających meldunki. Hubert słyszał w tle głos Weroniki, ale wiedział, że ma jeszcze kilka minut na zmiękczenie matki Tymka.

– Gdzie ona jest?

Dobra podniosła głowę.

– Nie wiem – wyszeptwała. – Uciekła. Powiedziałam, że nie chcę jej znać. Bardzo mi przykro, że ucierpiałeś. Romka zareagowała tak, bo się ukrywa.

– Wiem, co zrobiła twoja siostra – wszedł jej w słowo. – Szukamy jej. I znajdziemy. Pytałem o małą Mirę. Gdzie ją ukrywasz?

– Ja? – Dobrawa się zapowietrzyła. – Nie mam z tym nic wspólnego!

– Więc kto?

– Spytaj rodziców. Basia i Wojtek są w to zamieszani!

– Dostyc tych kłamstw! – Hubert sięgnął po zdjęcia z miejsca odkrycia zwłok Tymka. Położył przed Dobrą. Odwróciła głowę. Nie była w stanie na nie patrzeć. – Chcesz, żeby skończyła tak samo?

– Tak się nie zdarzy!

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Bo ten, kto pomógł umrzeć mojemu chłopcu, sam już nie żyje – odparła gniewnie. – Dlatego dzwoniłam do Donata nad ranem! Tymek ukrył się w lesie i byłam pewna, że pójdzie do szafasu.

– Skąd wiedziałeś, że chłopiec uciekł?

– Przeczucie? – Przekrzywiła głowę i kpiąco się uśmiechnęła.

Na ten widok Hubertowi przeszedł dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Walczył z pożądaniem zmieszonym z obrzydzeniem. Było to nadzwyczaj dziwne uczucie. Gardził nią, a jednak działała na niego jak magnes. Postarał się wziąć w garść.

– Bzdury. Sprawdziliśmy twój rejestr połączeń. Nikt do ciebie nie dzwonił.

– Mira napisała na moim Instagramie – wyszeptwała i wyjęła telefon.

Pokazała wiadomość.

„Wilka ciągnie do lasu” – odczytał. Wszedł w profil użytkownika, by stwierdzić, że to ten sam profil, który pokazywała mu poprzedniego dnia.

– To wszystko?

– Wystarczy, jeśli kogoś dobrze znasz.

– A ty jak dobrze znałaś tę dziewczynkę? – atakował. – Kochałaś ją? Pragnęłaś mieć ją na własność? Wolałabyś ją niż swojego niegrzecznego synka?

– To nie tak...

– A jak?

W tym momencie do pokoju wmaszerowała Weronika. Granatowa garsonka do złudzenia przypominająca mundur. Szpilki w kolorze ciała, biała jedwabna bluzka zapięta na ostatni guzik pod szyją. Na nosie miała okulary w grubej oprawie. Czerwone usta. Włosy ściągnęła w ciasny kucyk. Pod pachą Rudy niosła plik oznakowanych kolorowymi fiszkami dokumentów. Zajęła miejsce obok Huberta, przedstawiła się. Głos miała chropawy, niezdradzający emocji. Wyglądała jak sędzia, który przybył wydać orzeczenie. W pomieszczeniu natychmiast zrobiło się chłodniej.

Dobrawa zamknęła się w sobie i wpatrywała się w prokuratorkę z obawą.

– Czy pani wie, że ksiądz Giza przed śmiercią zmienił zapisy w prowadzonych spółkach? – Rudy zaczęła bez wstępów. – Z pierwszym dniem marca większość udziałów przejmują pan Puchacz i pan Grzybowski.

Dobrawa wzruszyła ramionami, ale twarz jej stężała.

– Dom w tej chwili należy do pani. Reszta majątku, który ksiądz posiadał na pani nazwisko, została sprzedana. Dwa lata temu podpisała pani stosowne upoważnienia. Zostały wykorzystane dwa tygodnie przed śmiercią Donata.

Udało jej się wytrącić Dobrawę z równowagi.

– Skąd ma pani te informacje?

– Od samych zainteresowanych. Kupców. Pewnie się pani domyśla, że to wyżej wspomniani panowie. Sprzedali sobie nawzajem pani mienie za promocyjną kwotę, jeśli można to tak określić. – Werka poszperała w dokumentach. – Otrzyma pani rekompensatę za odstąpienie i już nigdy nie wypłacą pani dywidendy od obrotu. To jest dokładnie czterdzieści dwa tysiące brutto. Od tego trzeba odprowadzić podatki.

Dobra wpatrywała się w prokuratorkę z pogardą, jakby ta pozwoliła sobie na niesmaczne żarty. Przenosiła wzrok na Huberta, a potem na swoje splecione dłonie. Meyer odchylił się na krześle. Milczał.

– Pani jest w błędzie – oświadczyła kobieta stanowczo. – To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Nic o tym nie wiem, a bez mojej zgody nie można wykonać ani jednego transferu. Nawet kiedy Donat żył, majątek figurował na moje nazwisko. Zawsze kiedy robił ruchy na kontach, to ja podpisywałam polecenia przelewów.

– Zostały zrobione, potwierdzone notarialnie, a wspólnicy zgodzili się na proces sprzedaży majątku pod pani nieobecność – powtórzyła spokojnie Wera. – Pieniądze uzyskane ze sprzedaży ksiądz otrzymał w gotówce. Czy pani wie, że został obrabowany?

Kobieta potwierdziła.

– Skąd? – zainteresowała się prokuratorka. – Przecież kradzież nie została zgłoszona.

– Mówił mi, że sam zajmie się odzyskaniem pieniędzy. Paweł Puchacz miał mu w tym pomóc. I ktoś z waszej komendy...

– Kto dokładnie?

– Nie mam pojęcia! O tym wszystkim dowiaduję się od pani!

Weronika pogrzebała w dokumentach.

– Jak się ma długi, nie należy wkurzać komorników – zaczęła. – Miałam na studiach takiego kumpla. Był wtedy jeszcze asesorem i pogrywał z nim jeden dłużnik. Grzecznie i elegancko umawiał się na zwrot słonej kwoty. Tym sposobem udało mu się ugrać tydzień zwłoki. Mój kolega czekał w piątek do dwudziestej, dla dłużnika odwołał nawet randkę, a ten krętacz nie dojechał wcale. Liczył pewnie, że przetrzyma młodego komornika do poniedziałku. Wie pani, co zrobił ten mój kolega? Następnego dnia o szóstej przyjechał z ludźmi i opieczetował wszystkie obrazy, sprzęt elektroniczny i biżuterię żony. Facet nie miał jak wezwać taksówki, żeby pojechać do banku i zlecić przelew, bo mój znajomy zabrał mu wszystkie komórki. Pieniądze znalazły się w ciągu dwóch godzin. Tak jak mówiłam, jeśli ma się długi, nie należy wkurzać komornika.

Dobra zaczęła wiercić się na krześle.

– Ciekawa opowieść, ale co to ma wspólnego ze mną?

– Te same zasady dotyczą również prokuratorów – wyjaśniła Wera. – Niedobrze mieć w nich wroga, jeśli człowiek znajduje się w pierwszej linii podejrzanych w sprawie o potrójne zabójstwo.

Dobra uniosła nieznacznie podbródek i uśmiechnęła się kpiąco.

– Ja pani nawet nie znam.

– To świetnie. Kiedy wydam nakaz przeszukania pani lokalu, nie będzie konfliktu interesów – stwierdziła Wera. – Więc jak, pojedziemy do banku po dobroci czy mam wezwać kolegę, by opieczetował schedę po Donacie?

– O co pani chodzi?

– Nie kontaktowała się pani z Basią Grzybowską po rzekomym porwaniu Miry.

– To prawda – przyznała Dobra. – I żaden sekret. Mówiłam o tym inspektorowi. Spojrzała przeciągle na Meyera. Udał, że nie dostrzega jej błagania o pomoc.

– Dlaczego? Nie obchodził pani los dziecka czy wiedziała pani, że jest bezpieczne?

– Nic nie wiem na ten temat.

– A o milionowym przelewie na konto rodziców Basi też nic pani nie wie?

Hubert obrócił się i spojrzał na prokuratorkę zaskoczony.

– To była pożyczka – rzuciła lekko Dobra.

– Dokładnie taka kwota zniknęła z kasy pancерnej księdza. I za tyle sprzedano majątek zapisany na panią. To, co zrobili potem pan Puchacz i pan Grzybek u notariusza, wygląda jedynie na formalność. Pani wiedziała, że przejmą firmy.

I wzięła od nich pieniądze za tę transakcję. Milion złożono w kasie pancерnej księdza, do której miała pani wszelkie kody. Czy pieniądze zniknęły w wyniku włamania, czy pani je wyjęła – to nie jest istotne. Moim zdaniem kradzieży nie było. Zwłaszcza że na konto rodziców Basi Grzybowskiej skonfliktowanej z mężem wpływa dokładnie taka suma, a Donat, który jako jedyny mógłby rościć pretensje do tak przeprowadzonej operacji, ginie... Słowem całej waszej trójce opłacała się jego śmierć. Podzieliliście ten majątek między siebie. Pani wzięła pieniądze, Grzybek i Puchacz firmy. Donat dostał kulkę, bo był w tym układzie zbędny. – Zatrzymała się.

– Ma pani na to jakieś dowody? – Dobra się uśmiechnęła. – Czy tylko słowa Baśki, która mnie nienawidzi?

– To nie matka Miry mi o tym powiedziała.

– Paweł Puchacz?

– Pani siostra.

Dobrawę zatkało. A potem nagle wybuchnęła śmiechem.

– Romka nic nie wie.

– Zaoferowałam pani siostrze współpracę w zamian za zmniejszenie odsiadki. Znaleźliśmy ją. Próbowała spod biedronki ukraść ładę niwę. Tak się złożyło, że auto należało do naszego kolegi. Inspektor w stanie spoczynku Tomasz Domański miał w nim radiostację i lokalizator GPS. Namierzył Romkę, nim wyjechała z Narwi, i osobiście przywiózł ją na policję. Pani Romana Wątpa czeka na dalsze przesłuchanie w pokoju za ścianą. Chce się pani przywitać? Czy zmieni pani zdanie i zacznie współpracować? W tej chwili satysfakcjonujące będzie z mojej perspektywy, jeśli przestanie pani utrudniać nam śledztwo. Więc jak będzie? Dogadamy się?

Dobrawa milczała. Poruszyła głową i zaczęła drzeć na całym ciele. Hubert już wiedział, że za chwilę uda omdlenie.

– Doman! – krzyknęła Wera. – Zabierzcie ją. Niech odpocznie w celi. I wejdźcie do lokalu.

Przesunęła jakiś dokument i podała policjantowi.

– Prokurator prowadzący upoważnił mnie do wydania nakazu przeszukania. Zabierzcie wszystkie jednostki broni i sprawdźcie amunicję. Niech technicy pobiorą próbki skóry przed kominkiem. Sprawdzimy, czy ten ryś pasuje do smoczka zostawionego przy zwłokach Tymoteusza. Masz wybór – zwróciła się do miotającej się kobiety, rozjuszonej teraz jak dzikie zwierzę. – Albo powiesz, jak było naprawdę, albo twoja siostra wyjdzie, a ty pójdiesz na dożywocie za podwójne zabójstwo. A kiedy siądziesz na ławie oskarżonych, kto wie, może i przybijemy ci także dzieciobójstwo. To nie będzie dla ciebie dobry czas. Kobiety w pierdlu bardzo źle traktują wyrodne matki.

Kiedy tylko mundurowi wyprowadzili Dobrą, Wera wypuściła powietrze, oparła łokcie na stole, a twarz ukryła w dłoniach, jakby odpoczywała po ciężkim biegu.

– Co to było? – Hubert przyjrzał się prawniczce z niepokojem. Na twarzy i szyi

miała czerwone plamy. Widział, że wciąż jest zdenerwowana. – Blefowałaś?

Werka pokręciła głową.

– Romanę zatrzymaliśmy naprawdę – potwierdziła. – Nie mam pojęcia, czy to dobrze, czy źle, ale to wszystko jest prawdą. Nie zdążyłam zweryfikować tego miliona, mój człowiek dopiero nad tym pracuje. Między Basią i Dobrą był jakiś układ, a pieniądze są wciąż na koncie rodziców Grzybowskiej. Za co tak naprawdę była to opłata? Nie wiem...

– Dobra robota. – Hubert podszedł i dotknął ramienia Wery. Przytulił ją. – Świetnie się spisałaś. Już dobrze, uspokój się. Po wszystkim...

Wera patrzyła na niego z przestraszeniem.

– Jest coś jeszcze – zaczęła. – I to ci się nie spodoba.

– Co takiego?

Znów odetchnęła głęboko. Spojrzała na czujnik na suficie, a potem podeszła do okna, otworzyła je i zapaliła papierosa, wychylając głowę poza obręb framugi. Hubert stanął obok niej. Palili jakiś czas w milczeniu.

– Mów – poprosił, kiedy Wera trochę się uspokoiła. – Bo teraz ja zejść na zawał.

– Właśnie dlatego zwlekam, żeby choć ciebie oszczędzić. Zgadnij, do kogo należy auto, które ukradła w Blue City siostra Dobrej.

– Skąd mam wiedzieć?

– Znasz człowieka – zaczęła, a ponieważ widziała, że Meyer ledwie trzyma nerwy na wodzy, wypaliła: – Do Kołomyjskiego! To jego firma wzięła beemkę w leasing. I tym właśnie wózkiem przybyła do Narwi siostra głównej podejrzanej. Jak myślisz, to zbieg okoliczności?

\* \* \*

Dopiero kiedy Hubert doszedł do rzeki, poczuł, że serce przestaje mu łomotać, a oddech się wyrównuje. Szedł marszowym krokiem, w rozchełstany kożuch. Uszy piekły go od mrozu, bo w roztargnieniu zapomniał czapki. Dobrze, że w kieszeniach znalazł rękawice. Zapiął się teraz, opatulił wełnianym szalikiem, który przyjemnie gryzł go w szyję, i zapatrzył się na Narew. Z całych sił walczył, by nie poddać się panice. Odsuwał od siebie myśli o czającym się zagrożeniu, bo wołał się nie zastanawiać, czy Romka Wątpa, siostra Dobrej, została wynajęta przez kamienicznika, by go zabić. Czy to jednak kosmiczny przypadek, że przyjechała samochodem należącym do Kołomyjskiego? Ale w tak nieprawdopodobne zbiegi okoliczności nie wierzył. Wiedział, że jest tylko jeden sposób, by się nie rozsypać: praca. Ona zawsze skutecznie stawiała go do pionu.

Ruszył wzdłuż linii brzegowej i rozmyślał nad motywem każdej zbrodni. Zabójstwo księdza Donata Gizy wydawało się najprostsze do analizy. Sprawca przygotował popisową wendetę. Czas odstrzału, miejsce, gdzie go dokonano, oraz sposób pozostawienia zwłok i ewentualne skierowanie podejrzeń na księdza, jakoby

był winien śmierci chłopca, wskazywały ma zemstę, lecz także na zadawnioną krzywdę i urazę. Hubert nie sądził, by strzelec działał na zlecenie. To była sprawa osobista. Sposób przeprowadzenia dzieła: perfekcyjna organizacja, strzał z dużej odległości, trasa śledzenia wilka i znajomość przyzwyczajzeń księdza myśliwych nasuwało skojarzenie, że dokonała tego osoba tutejsza, najprawdopodobniej należąca do koła łowieckiego lub czynny myśliwy. Niekoniecznie musiał to być któryś z łowczych z Pelikana – Donat Giza był znany w całym kraju i robił interesy z ludźmi w różnych branżach. Sprawca znał teren i pieczołowicie się do zabójstwa przygotował. Hubert pamiętał, jak sam zagubił się nocą w lesie. To nie mógł być wynajęty kiler. Las eliminował osoby z zewnątrz definitywnie.

Strzelec pochodzi więc z tego rejonu i zna tutejszą głuszę jak własną kieszeń. Czy to jeden z myśliwych? Było to prawdopodobne, lecz Hubert zakładał raczej inną opcję. Według niego snajper służył w wojsku lub policji albo ćwiczył na strzelnicy i wcale nie obnosił się ze swoimi zdolnościami. Mogła to być też kobieta. Strzał oddano z dużej odległości. Sprawca nie chciał się konfrontować z Gizą, nie potrzebował rozmowy, wyjaśnień. Nie ostrzegał. Hubert wiedział, że zabójcy tego typu nie radzą sobie z gniewem. Frustracja narasta przez lata, a drobny element katalizuje jedynie wprowadzenie planu w życie. Istniało więc prawdopodobieństwo, że zbrodni dokonano nie z nienawiści wobec księdza, lecz wobec myśliwych w ogóle. W ramach protestu? Wyrównania rachunków? By coś sobie udowodnić... Wtedy to ksiądz Giza byłby symbolicznym kozłem ofiarnym, którego się popisowo poświęca, by zademonstrować swój sprzeciw wobec wartości, jakie przyświecały ofierze.

Nie ulegało wątpliwości, że Donat był postacią kontrowersyjną. Lubił chadzać w myśliwskich strojach, popisywać się swoimi dokonaniem i bratać z łowczymi. Koloratka była symbolem, który dodatkowo go wywyższał. Hubert obejrzał wszystkie wideo dostępne w sieci, kiedy Giza przemawiał, i musiał przyznać, że był z niego charyzmatyczny mówca. A także sprytny polityk. Mimo ataków nie zaprzestał polowań, udzielał wywiadów i przytaczał fragmenty z Biblii mówiące o tym, że Bóg stworzył zwierzęta, by ludzie nad nimi panowali. Zabijanie dzików, saren i jeleni traktował jako dostarczanie zdrowej żywności i działalność niemal ekologiczną. Umiejętnie nagiął fakty i uśmiechał się, gładko odpierając wszelkie ataki. Zdawało się, że ma słoniową skórę i nic nie jest w stanie go dotknąć ani zniszczyć.

Mężczyzna, który kiedyś zaatakował Donata w Puszczy Białowieskiej, należał do grupy ekologów Mańka Koleckiego, ale jego alibi dokładnie sprawdzono. Chłopak był w tej chwili w Amazonii i walczył o ratowanie tamtejszych lasów. Zresztą jego atak miał zupełnie inny przebieg. Była to napaść bezpośrednia. Przyświecał mu także jasny motyw. Ekolog rzucał księdzu argumenty w twarz, a całość zorganizowana została po to, by podsycić atmosferę skandalu wokół wycinki Puszczy Białowieskiej. Strzelec, którego poszukiwali obecnie, działał w odmienny sposób: skrycie, konsekwentnie i nie zostawiał śladów. A jednak z zachowaniem reguł trzymającego w napięciu przedstawienia.

Do tej pory nie mieli pewności, skąd oddano strzał. Technicy wykonali oględziny



najbliższej ambony, lecz poza garścią opakowań po wafelkach, zużytymi prezerwatywami i połową butelki wódki nie znaleziono tam niczego, co zbliżyłoby śledczych do rozwiązania. Nie sposób było pobierać stamtąd odcisków palców, włosów czy wydzielin. Hubert był przekonany, że planując zbrodnię, sprawca to przewidział. Meyer osobiście wszedł na ambonę, by upewnić się, że to nie z niej strzelec zabił księdza. Widoczność ograniczał zagajnik.

Zdaniem Huberta zabójca czekał na Donata przy torach i wstrzymał się z naciśnięciem spustu, aż ksiądz położy wilka, by zatrzeć ślady kłusowania. Jakie to ma znaczenie? – zastanawiał się. Czy ma jakiegokolwiek?

Pewne było, że strzelec jest doświadczony, zorganizowany, posiada samochód – zdaniem Meyera stary, ale bardzo dobrze zachowany łązik, który nie zwróci uwagi miejscowych, a więc jakaś łada niva podobna do auta Domana. Jest za pan brat z techniką. Używa najrozmaitszych urządzeń naprowadzających. Najprawdopodobniej ma doświadczenie w pracy wywiadowczej, może wojsku, jednostkach mundurowych albo przyjaźni się z tymi grupami zawodowymi i pod pretekstem koleżeństwa zdobywa wiedzę o tym, co się dzieje w terenie. Może bywał na strzelnicy u Puchacza i ci dwaj się znają? Nawet jeśli nie mieszka w Narwi na stałe, regularnie bywa w tych rejonach lub wraca w te strony ze względu na powiązania rodzinne, ewentualnie towarzyskie. Jest grono ludzi, którzy dostarczają mu informacji, najpewniej nieświadomie.

Hubert nie sądził, by sprawcą okazał się któryś z lokalnych pijaków ani nawet wiekowych i brzuchatych myśliwych z koła. Człowiek, którego szukali, nie przekroczył trzydziestki; jest wysportowany, silny, a jego kondycja fizyczna jest wzorcowa. To także człowiek wybitnie cwany, sprytny i nie brakuje mu inteligencji. Ma wykształcenie wyższe, najprawdopodobniej techniczne. Pracuje, jest czynny zawodowo. To by wyjaśniało, dlaczego zbrodni dokonuje w nocy lub nad ranem. Przyjeżdża wieczorem, zaczają się, a potem wraca do swojego mieszkania. Hubert postanowił sprawdzić okoliczne miejscowości i trasy, które do nich prowadzą, oraz określić, ile zajęłoby mu droga z każdej z nich do Narwi.

Meyer zakładał, że zabójca jest w związku, choć raczej luźnym, i nie prowadzi wspólnego gospodarstwa domowego. To pozwala mu na działanie ad hoc i pozostawanie poza podejrzeniami. Ten człowiek zabił księdza Gizę i z pewnością Janka Kupałę, który zginął, ponieważ mógł go wydać. Dlaczego kościelny nie został zastrzelony jak Giza, a sprawca pośmiertnie wbił mu tykę jelenia w gardło? To bestialstwo wymagało już kontaktu bezpośredniego, może nawet rozmowy... Świadczyłoby o tym, że kościelny ufał zabójcy. A jeśli – Huberta nagle olśniło – Kupała tamtej nocy nie poszedł po porzucone poroże, lecz ruszył ostrzec sprawcę o przybyciu do wsi profilerów? Przed czym? Dlaczego uciekał przed Meyerem, chociaż przecież nie wiedział, kim jest i czego od niego chce? Czy Kupała był szantażowany i bał się sprawcy? Z pewnością się znali. Kupałę i strzelca łączył jakiś sekret. Może dlatego spotkali się w nocy pod pretekstem przyniesienia do domu jelenich wieńców? Czy doszło między nimi do konfliktu? Na przykład Kupała chciał wydać snajpera i to

dlatego sprawca musiał podjąć decyzję o natychmiastowym usunięciu świadka. Na to, że akurat ta zbrodnia nie była zaplanowana, a interakcja rozegrała się spontanicznie i z zaskoczenia, wskazywałoby też wiele innych śladów. Kupała nie był pobity, nie miał siniaków, otarć, które świadczyłyby o walce z napastnikiem. Święta mówiła, że umarł szybko. Zadławił się kością i wyzionął ducha. Co nam to mówi o sprawcy? Nie chciał zabijać kościelnego, którego uważał za swojego sojusznika. Zrobił to tylko dlatego, że się przestraszył, bo sprawy nieoczekiwanie się skomplikowały. W swoim środowisku może mieć opinię szanowanego obywatela. Zabił Kupałę, by chronić swoje dobre imię. Do zbrodni doszło, ponieważ kościelny postawił warunki: chciał pieniędzy lub zagroził ujawnieniem odstrzału księdza w imię wyższych idei. Z rozmowy z babką ofiary wynikało, że Kupałą łatwo było manipulować, wmawiając mu, że mniejsze zło jest konieczne. Kiedy jednak kościelny odkrył, że jest narzędziem w rękach sprawcy, nieświadomie wydał na siebie wyrok. Sprawca kierował się tutaj emocjami. Działał z lęku. Jaki związek z zabójstwami mają zaginięcie Miry i tortury zadane Tymkowi? Oboje zostali skrzywdzeni wcześniej... Czy Balwierz z Narwi tak naprawdę uważa się za wybawiciela słabszych: dzieci i zwierząt? Czy to może być kobieta? A kiedy ją zatrzymają, czy nie znajdą jednocześnie martwej dziewczynki?

\* \* \*

– Mogę ci zadać kilka pytań?

Hubert wszedł bez pukania do gabinetu Święty i zajął wolne krzesło przed jej biurkiem. Poderwała się zaskoczona i spojrzała wymownie na drzwi.

– Nie łącz nikogo – mruknęła do asystentki. A potem zwróciła się do Huberta: – Oczywiście, jeśli tylko zdołam pomóc.

– Potrafisz strzelać?

– Ja? – Zawahała się. – Byłam kilka razy na strzelnicy. I tato był myśliwym. Nie mam w domu broni, jeżeli o to pytasz.

– Jak często tu przyjeżdżasz? Bo na stałe mieszkasz w Białymstoku?

Potwierdziła skinieniem.

– Dziś wieczorem zamierzałam wracać do domu – odparła. – Jestem podejrzana?

Zaśmiała się nerwowo.

Hubert nie odpowiedział.

– Tutaj jeździsz patrolem, prawda? – kontynuował. – Widziałem, że stoi na podjeździe domu twoich rodziców. Ale w Białymstoku masz inne auto.

– Mini morrisa. Nie należy do mnie. To pożyczony wóz.

– Gdzie go trzymasz? Nigdy cię w nim nie widziałem.

– W garażu Grzybowskich. Należy do mojego kolegi. Zwykle przywozi mnie, a potem wraca do siebie. Nie chciałabym, żeby miejscowi je porysowali czy uszkodzili w jakikolwiek sposób... – Urwała.

– Znałaś oboje: i Tymka, i Mirę. Które z nich lubiałaś bardziej?

– Nie rozumiem tych pytań, Hubercie... Możesz mi to wyjaśnić?

– Jeszcze nie mogę. Mirę, prawda? Wszyscy lubili bardziej dziewczynkę. Chłopiec był dziwny. A może lepiej powiedzieć „zły”, co?

– Lubiałam ich oboje – podkreśliła i dodała, jakby nie dostrzegała prowokacji: – Ale to Tymkiem częściej się opiekowałam. Mira była starsza, więc bardziej samodzielna. A Tymek wpatrzony w nią jak w obrazek. Uważał ją za swoją siostrę, wiesz? Choć ona nie zawsze była dla niego dobra. Dzieciaki w tym wieku maluchy drażnią. Czasami gniewała się, że tak za nią łązi. Uważała się już za nastolatkę...

Hubert przerwał jej bezceremonialnie:

– Czy nie sądzisz, że matki obojga tych dzieci nie wypełniały prawidłowo swoich obowiązków?

– Czyli że je zaniedbywały? – Zmarszczyła brwi.

– Tak właśnie było?

– Nie wolno mi nikogo oceniać. Nigdy nie byłam matką – wykpiła się gładko od odpowiedzi, lecz nagle jej twarz wykrzywił grymas gniewu i zaatakowała: – Uważasz, że to ja zrobiłam krzywdę Tymkowi i Mirze? Chyba upadłeś na głowę! Tak, byłam zdania, że Baśka i Dobra nie kochają swoich dzieci. Obie są egoistkami zapatrzonymi we własne romanse. Każda na swój sposób jest próżna i myśli tylko o sobie. Dzieciaki traktowały przedmiotowo i wcale nie doceniały tego, że je mają. To prawda! Tak właśnie uważałam i nadal tak sądzę! Nie wstydzę się tego! – podniosła głos. –

Pomagałam tym dzieciom, jak mogłam, i starałam się zapewnić im czułość, troskę i bezpieczeństwo! Tak samo jak niektórzy opiekują się porzuconymi kotami, psami albo bocianami! Po prostu nie możesz przejść obok takiej krzywdy obojętnie... A to, co sugerujesz, Hubercie, mnie obraża!

Meyer nie odpowiedział. Przyglądał się kobiecie.

– Skąd masz swoje kolorowe czapki?

– Kupowałam je u babci Kupały.

– Lubiliście się?

Powoli skinęła głową.

– Oboje byli dobrymi ludźmi. Chciałam ich wesprzeć.

– Gdzie byłaś w nocy, kiedy zginął Janek Kupała?

– W swoim mieszkaniu, w Białymstoku.

– Ale przed dziesiątą, kiedy babka ofiary przyszła na posterunek i poprowadziła śledczych do zwłok, parkowałaś już w lesie swojego patrola. Skąd wiedziałaś, że doszło do ujawnienia kolejnego ciała?

– W nocy, kiedy Kupała zginął, byłam u siebie, w Białymstoku. I nie byłam sama – podkreśliła. – Możesz zapytać mojego przyjaciela. Jean Baptiste to potwierdzi.

– Byłoby to wskazane. – Hubert się zawahał. – Jeszcze jedno: chciałbym zobaczyć

twoje mieszkanie. Tutaj i w Białymstoku. Nie mam nakazu i pytam cię uprzejmie, czy nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli rzucę okiem. Dom twoich rodziców też chciałbym obejrzeć.

Naburmuszyła się i pokręciła kilka razy głową. Była już jednak spokojniejsza.

– Jestem zaskoczona, że bierzesz mnie pod uwagę. Jest mi tak po ludzku przykro.

– Czy mam rozumieć, że odmawiasz?

Spojrzała hardo, odgarnęła włosy z czoła.

– Tak – oświadczyła. – Dopóki nie będziesz miał nakazu, nie wejdiesz do żadnego z moich domów. A teraz proszę cię, wyjdź, bo mam dużo pracy.

Wstał.

– Jesteś o tym przekonana? To nie jest właściwa droga do oczyszczenia się z zarzutów.

– Nie dostałam żadnych zarzutów – odparowała. – Twoje pomówienia są żenujące. Liczę, że znajdziesz słowa, by mnie przeprosić. Pracuję przy tym śledztwie, pomagam, jak mogę... Nikt nie zapłaci mi za nadgodziny i paliwo na kursowanie do Białegostoku i z powrotem. Jeśli pozwolisz, sporządzę notatkę z tej rozmowy oraz przekażę ją Domanowi i swoim szefom.

– Będę wdzięczny, jeśli nie zapomnisz zaprotokołować każdej odmownej odpowiedzi – odrzekł. – Dziękuję za twój cenny czas.

\* \* \*

Kapliczkę świętego Huberta przystrojono w furę ciętych kwiatów, które charytatywnie dostarczyła lokalna kwiaciarnia Secesja. Z witek ostrokrzewu kobiety splotły rodzaj bramy, a na sztalugach ustawiono ogromne zdjęcie Miry Grzybowskiej. Była to ta sama fotografia, którą Basia powieliła na plakatach dwa miesiące temu. Rozpakowywano właśnie paletę zniczy, które miały zostać ustawione wzdłuż ścieżki prowadzącej do lasu. Z drewnianej konstrukcji zbudowano scenę, a dyrektor szkoły wraz z uczniami podłączyli mikrofon i nagłośnienie.

– W ciągu godziny wszystko będzie gotowe. – Weronika zwróciła się do matki zaginionej dziewczynki. – Powinnaś się trochę przespać, Basiu, bo padniesz ze zmęczenia. Zamierzamy czuwać całą noc.

– Nic mi nie będzie – odparła kobieta. – Uwierz, to, co robicie, jest dla mnie jak cud. Nie uronię ani sekundy. Ja wierzę, że on to zobaczy i go to poruszy. Odda mi ją. – Otarła rękawem łzy.

Rudy nic nie powiedziała. Nie była tego taka pewna. Jeśli wziąć pod uwagę to, co mówił Hubert, czuwanie faktycznie miało na celu sprowokowanie sprawcy, ale też funkcjonariusze otrzymali zupełnie inne zadania. Szykowały się kontrole, legitymowanie i przeszukania. Czupryna wywalczył nakazy rewizji w mieszkaniach wszystkich członków koła Pelikan, pomieszczeniach biurowych i w domu Grzybowskiego, a także u Dobrawy Wątlej oraz braci Walochów. Ostatni wniosek

dotyczył przeszukania domu rodziców Sandry Sowuli, medyczki sądowej, która pochodziła z Narwi, oraz jej białostockiego mieszkania na osiedlu Słoneczny Stoczek, ale jak dotąd komendant nie przedstawił go prokuratorowi nadzorującemu dochodzenie. Obawiał się, jak to zostanie odebrane, i zwlekał z poinformowaniem o tym Meyera. Weronika także była sceptyczna. Kiedy Czupryna zapytał ją o zdanie, skwitowała rzecz krótko:

– Hubert lubi prowokować.

– Więc wcale Święta nie podejrzewa?

– Grałeś kiedyś w pokera? Sprawdza jej karty.

– To chyba trochę mało, by eliminować z dochodzenia jednego z głównych ekspertów? Święta robiła wszystkie sekcje. Kiedy wyjadę z czymś takim, a rzecz się nie potwierdzi, zadymi się tak, że będzie mnie to kosztowało stołek.

Weronika wzruszyła tylko ramionami. Jak miała wyjaśnić inspektorowi, że Hubert działa tak dlatego, że żadne stołki go nie interesują? Wolała się nie odzywać, bo nie mogła zagwarantować, że ten blef nie okaże się za ostry i faktycznie nie odbije się na karierze komendanta.

– Co byś zrobiła na moim miejscu?

– Gdybym nadzorowała to dochodzenie, wydałabym ci zgodę, lecz trzymała gębę na kłódkę do końca procesu, a może nawet zawsze. I pod żadnym pozorem nie ujawniała tego mediom – zaznaczyła, mimo iż rzecz wydawała się jej oczywista. Czupryna jednak lubił się popisować nie mniej, niż Hubert prowokować.

– Szkoda, że jesteś tu tylko jako osoba towarzysząca – prychnął. I zaraz dodał: – Niepokoi mnie, że Święta odmówiła otwarcia drzwi dobrowolnie. Dlaczego?

– Nie wiem – przyznała Weronika. – Obserwowałabym ją. Jeśli ma coś na sumieniu, zacznie sprzątać.

– Może tylko o to chodzi Meyerowi? – spytał z nadzieją Czupryna. – Żeby złapać ją na gorącym? Sprowokować Balwierza i ujawnić jego pomocników? To blef?

– Hubertowi nigdy nie chodzi tylko o prowokację – zapewniła. – Znam go już tyle lat, a nawet mnie nie ujawnił całego planu. Lubi mieć asa w rękawie. Mówi, że sprawdza hipotezy i zbiera puzzle. Gromadzi dowody. Dla nas to tylko ślady ludzkiego zachowania, dla niego ciąg logiczny. Póki łańcuch poszlak nie jest kompletny, milczy i zamyka się w sobie, ale to nie znaczy, że nie pracuje. Bądź spokojny. Przyjdzie któregoś dnia i przedstawi ci najbardziej prawdopodobną wersję. Może i ma rację, postępując w ten sposób. Gdyby zwierzał ci się, jakie procesy analityczne wykonuje, miałbyś taką głowę. – Pokazała. – Czasami specjalnie wkurza jednych, żeby inni zaczęli popełniać błędy. Gdy ludzie są podminowani, nie myślą, lecz działają.

– Niech stracę – zdecydował Czupryna. – Zainwestuję w tę obserwację. Choć Bóg mi świadkiem, nie wierzę, że Święta mogłaby się w to wmieszać.

Werka wzięła się pod boki.

– A ty? Sam powiedz, jak byś zareagował, gdyby Meyer wpadł do ciebie bez zapowiedzi i zażądał pokazania brudnych gaci oraz tego, co masz pod kołdrą?

– Zrugałbym go, wkurwił się i zażądał podkładki. Ale otworzyłbym drzwi.

– Ja nie wiem. – Prokuratorka wzruszyła ramionami. – Z pewnością byłaby to sprawa honorowa. Ale też bym otworzyła. Nie masz nic do ukrycia, nie boisz się. Co innego, jeśli sekret jest wstydlivy. Wtedy bronisz dostępu wszelkimi sposobami.

– Co może ukrywać Swieta? – Czupryna się zamyślił.

\* \* \*

– O czym myślisz? – Basia pacnęła Werkę w ramię.

Prokuratorka ocknęła się, jakby wybudzono ją ze snu.

– Przepraszam, zamyśliłam się – wytłumaczyła się. – Mało tej nocy spałam.

– Może to ty potrzebujesz drzemki? – Basia pokiwała jej figlarnie palcem. – Tak jak mi wcześniej doradzałaś.

Wskazała Swietę, która pomagała kobietom ustawiać termosy z kawą oraz patery z kanapkami na blatach wynoszonych z ciężarówki przez ludzi Grzybowskiego.

– Ciocia dziś jakaś taka markotna – zauważyła. – Przeżywa czuwanie bardziej niż ja.

– Myślisz? – Werka udąa zdziwienie. A potem zdecydowała się skorzystać z okazji. – Słuchaj, jak to właściwie było z twoją ucieczką? Skąd pomysł, żeby ukryć się u niej?

– To ciocia zaproponowała – odparła szczerze Basia. – Donat i mój mąż nie dawali mi żyć. Przyklejałam plakaty, a oni płacili dzieciakom, żeby je zrywały. Następnego rana już ich nie było.

– Jakim dzieciakom?

– Nie wiem. Nigdy ich nie przyłapałam. Swieta mi tylko opowiadała. Raz poszarpała się z nimi i bardzo ją to wkurzyło. Zawsze była po mojej stronie. Kochała Mirę jak własne dziecko. Pogniewała się, że nie wzięłam jej na chrzestną. Długo musiałam ją przeproszać.

– Przecież ona mieszka w Białymstoku.

– Kilka razy w tygodniu tu bywa, głównie w domu rodziców. Są w bardzo ciężkim stanie, ale nie chcą iść do domu opieki. Ciocia ma z nimi krzyż pański. Kiedy u niej pomieszkiwałyśmy, wspominała o eutanazji. Swieta podejrzewa, że jej matka dręczy ojca. Raz go pobiła, innym razem chciała otruć. Potem sama próbowała popełnić samobójstwo. Gdyby Swieta nie przyjechała na czas, oboje by nie żyli. Ciocią bardzo to wstrząsnęło. Był czas, że przyjeżdżała do Narwi codziennie. Prawie wtedy nie spała. Rano miała zajęcia w instytucie, a zaraz po pracy zjawiała się w domu. Nie powinni być sami, ale Swieta nie ma serca zabrać ich do miasta siłą. Ojciec mógłby nie przeżyć tej podróży, a matka bez niego nie chce nigdzie wyjeżdżać.

– To by się nie udało – stwierdziła Wera. – Uciekliby z ośrodka, zgubili się gdzieś w mieście, przebiegli albo zdarzyłoby się coś gorszego. – Umilkła. – Przerabiałam to ze swoim ojcem. Zwiął z hospicjum i wszedł prosto pod pędzący skuter. Połamał się i nigdy już nie wrócił do formy. Obwinałam się przez całe lata.

Milczały długi czas. Pierwsza odezwała się Basia:

– Wiesz, jeszcze tydzień temu byłam absolutnie przekonana, że Mirka jest u ojca. Sądziłam, że ukrył ją przede mną i rozgrywa, żeby mieć prostszy rozwód. W głowie mi się nie mieściło, że w narwiańskim lesie grasuje jakiś Balwierz!

– I rozklejałeś te plakaty, nie wierząc, że ją uprowadzono?

Grzybowska oblała się rumieńcem.

– Można tak powiedzieć. Wiem, że to brzmi koszmarnie...

– Też grałaś na ten rozwód?

– Musiałam – zapewniła. – Wojtek zawsze chodził na boki, ale i ja nie jestem bez winy. Zdradziłam go, a on się o tym dowiedział. Kiedy mój romans wybuchł, nie potrafiłam żyć w kłamstwie. Któregoś dnia podałam Grzybkowi obiad, postawiłam na stole piwo i po prostu wyznałam, że kocham innego. Nie łudziłam się, że mój przyjaciel odejdzie od żony, nie chciałam go pogryzać. To trudne do zrozumienia, ale na miłość nie ma rady. Nie oczekiwałam, że on zniszczy dla mnie swoje poukładane życie, po prostu cieszyłam się, że znów coś czuję. Powiedziałam mężowi o zdradzie, bo wydawało mi się, że łatwiej będzie mi żyć dalej. On miał swoje kochanki, a ja swojego jedyne. Byłam zaskoczona, że tak się wściekł.

– Był wściekły?

– Okazało się, że jest o mnie zazdrosny. Ukłękł i prosił, żebyśmy spróbowali raz jeszcze. Ale ja nie chciałam.

– Mówiłaś, że nie chcesz niszczyć tamtemu życia – zauważyła Wera. – Rozumiem, że on ma rodzinę i nie zamierzał zostawiać żony? Nie proponował ci, żebyście byli razem?

Basia gwałtownie zaprzeczyła.

– Wręcz odwrotnie. Cały czas zaklinał mnie, żeby utrzymać nasz związek w tajemnicy, i dałam mu na to moje słowo. Ale nie mogłam, bo Mira widziała nas razem. To było okropne. Byliśmy nadzy, brał mnie od tyłu na białce w kuchni... Kiedy w korytarzu pojawiło się dziecko, pośpiesznie się ubrał i zwiął jak jakiś rabuś. Wieczorem napisał esemes, że to, co robimy, jest złe, i poprosił, żebyśmy się nie kontaktowali. Byłam w szoku, że rzucił mnie w ten sposób.

– Bo ty z kolei podjęłaś decyzję, że chcesz z nim być? – odgadła Wera. – I dlatego parłaś do rozwodu? Chciałaś też dostać połowę majątku, żeby mieć z czego żyć? Bo on jest biedny, czy tak?

Basia pochyliła głowę. A potem powoli zaczęła nią kręcić.

– Coś koło tego, ale nie do końca chodziło o forszę – przyznała wreszcie. – Bardziej byłam przerażona, że Mira powie ojcu. Oddaliśmy się od siebie. Pewnie miała mnie

za wyuzdaną zdzirę... Wcześniej to ojciec pozwalał sobie na różne ekscesy, a teraz straciła zaufanie także do mnie. Dlatego jak najszybciej poinformowałam o zdradzie męża. Nie chciałam, żeby dziecko opowiedziało o tamtej scenie w kuchni. Z tym mężczyzną zerwałam, choć wydawało mi się, że kocham go jeszcze bardziej... Dziś wiem, że to było złudzenie. Dla niego byłam tylko rozrywką. Dałam mu, więc wziął. Gdyby miał dobry seks z żoną albo dzieci, pewnie wcale by do tego nie doszło.

– Mimo to nadal chcesz z nim być?

Basia wzruszyła ramionami.

– Kiedyś myślałam, że jak się to ułoży, ja się uwolnię, a on nadal będzie mną zainteresowany, zaczniemy budować coś razem. A może nie? – Przerwała. – To już dawno za nami. On nie odejdzie od żony, ja zaakceptowałam jego decyzję i nie chcę go więcej krzywdzić. Dlatego wybacz, nie podam ci jego nazwiska.

– To bardzo ważna osoba dla dochodzenia – podkreśliła Wera i zawahała się, czy ujawnić, że podejrzewa, kim może być kochanek Basi, ale ugryzła się w język. – Już wiemy, że Mira zniknęła nieprzypadkowo i że sprawca wykorzystał waszą rozgrywkę, by rozpocząć zbrodniczą działalność. Nie rozumiesz?

Basia wydeła wargi.

– Nie sądzę, by porwanie Miry miało z nim coś wspólnego – orzekła. – I nie powiem ci, kto to jest. Nie pytaj.

Rudy wydało się to dziwne w ustach matki zaginionego dziecka.

– Opinia kochanka w miasteczku jest dla ciebie ważniejsza niż bezpieczeństwo córki?!

– Nie! – zapewniła Basia. I zaraz się skonfundowała. – Po prostu to nie ma związku... Kiedy wyjechałam, wszystko się skończyło. Porwanie było potem.

– Słyszysz w ogóle, co mówisz, Basiu? – oburzyła się Rudy. – Dopiero teraz mam pewność, że związek między tymi wydarzeniami istnieje.

Basia nie dała jej jednak dokończyć. Pochyliła się do prokuratorki i wyszczała:

– Jestem pewna, że Grzybek trzyma gdzieś naszą córkę. Nie byłby taki spokojny. Chciał tylko odegrać się na mnie za ten romans. A ja chciałam go zdradzić, żeby poczuł to, co ja czułam przez lata, kiedy on ruchał, co podlegało! Liczę, że dziś w nocy, kiedy przeszukacie wszystkie jego lokale, znajdziecie moją córkę całą i zdrową. Ja w to wierzę! Ty nie musisz. Ale przekonasz się, że mam rację. Znam Grzybka dwanaście lat! Kochał Mirę. Mała to skóra zdjęta z niego. Nie skrzywdziłaby jej.

Werka przyjrzała się baczniej kobiecie.

– Miałaś z Mirą kontakt przez cały czas – stwierdziła. – Odzywała się do ciebie na Instagramie albo przez inne aplikacje, prawda? Przestała dopiero po śmierci Tymka. Dlatego przyjechałaś?

Basia się zawahała, a potem nabrała powietrza, skinęła głową i wypaliła:



– Dopiero kiedy zginął Kupała, zaczęłam się bać naprawdę.

– I powinnaś się bać. – Weronika odłożyła liście ostrokrzewu oraz sekator. – Bo nie ma pewności, że te posty pisała twoja córka. To mógł robić porywacz. Albo i morderca. Jeśli nie okaże się, że ten, kto uprowadził Mirę, i Balwierz z Narwi to jedna i ta sama osoba.

Basia przyjrzała się jej z grozą w oczach.

– Pójdę się jednak przespać – oświadczyła i oddaliła się szybkim krokiem, jakby uciekała.

\* \* \*

Redaktor Motylewski poprawił metalowe okulary i poklepał się po łysiejącej czaszce.

– Nie ma problemu, opublikujemy ten rysopis – zapewnił. – Natomiast, mówiąc szczerze, liczyłem na coś więcej, panie Meyer.

– Ja również liczę na bliższą współpracę z panem – odparł Hubert. – Waldka twierdzi, że jest pan największym prasowym pistoletem w regionie. Od wczoraj zaś bez wątpliwości – gwiazdą.

Reporter wyprostował się, wypiął pierś z dumy, jakby czekał, że profiler przypnie mu medal. Aż pokraśniał na twarzy, oczy mu rozbłysły. Uśmiechał się tak szeroko, że Hubert bez trudu widział jego luki w uzębieniu. Psycholog zdziwił się. Nie spodziewał się, że tanie pochlebstwo sprawi dziennikarzowi tak wielką radość.

– Mów mi Motyl. – Dziennikarz wyciągnął dłoń, a Hubert ją uściśnął. – Tak będzie prościej działać.

– Zależy nam nie na jednym artykule, ale na zaplanowanej serii – tłumaczył psycholog. – Chcemy sprowokować sprawcę do kontaktu i do tego, żeby to ciebie uznał za swojego sojusznika.

– Daj mi obiecany profil, podaj więcej szczegółów, których nie ma konkurencja, a zapewniam, że zrobimy z tego serial dla gawiedzi.

– Wszystko dostaniesz w swoim czasie – podkreślił Meyer. – Ponieważ jednak niektóre dane mogą być szokujące, chciałbym być pewien, że jesteś po naszej stronie.

– Przecież nie trzymam z Balwierzem!

– Kiedy właśnie o to nam idzie, by sprawca uznał, że ma w tobie kompana. Tylko wtedy zdecyduje się na nawiązanie bliższego kontaktu. Nie możesz być jego wrogiem.

– Mam się z nim zakumplować czy co? – zdziwił się Motyl. – To może być słabe. Nie popieram przemocy.

– Dostaniesz więcej danych, niż mają tutejsi śledczy. Teksty będziesz nam słał do autoryzacji. Czasem je trochę ocenzurujemy, lecz zapewniam cię, że przyniesie ci to jeszcze więcej rozgłosu.

– Nie potrzebuję sławy – niemrawo zaproponował Motyl. – Przeszkadza w robocie. Gdybym chciał być popularny, startowałbym do sejmiku.

– Niechlubnej sławy – kontynuował Hubert, jakby poprzednia fraza nie padła. – Dostaniesz dane i będziesz walił w policję jak w bęben. Szykuj się, że tutejsi cię znienawidzą, większość czytelników jednak pokocha twój hart ducha i odwagę w dążeniu do prawdy. Ludzie uwielbiają bohaterów, którzy działają brawurowo.

– Co wy będziecie mieli z mojej sławy?

– Jeśli dobrze to poprowadzisz, Balwierz wyjdzie z kryjówki. To jednak, na czym najbardziej nam zależy, to żeby sprawca się podłożył i popełnił błąd. Ty go ujawnisz, a my odzyskamy dziewczynkę.

– Mam w tekstach rugać policję? – Dziennikarz nie dowierzał. – Jesteś pewien, że komendant Czupryna zaaprobował ten plan?

– Zawsze znajdują się jakieś błędy. Będziesz je wyłapywał i punktował w artykułach. Masz zostać naszym brygadierem. Wyobraź sobie, że patrzysz nam na ręce, jesteś ramieniem sprawiedliwości. Czwarta władza i tak dalej. Wszystko musi przepłynąć na Twitter, aż zrobi się z tego poważna krajowa dyskusja. O przepisach, przemocy domowej, feminizmie albo seksownych gosposiach księży. Chwytaj się wszystkiego, co jest nośne: ekologii, łowiectwa, cokolwiek uznasz za klikalne. Tematy są twoje. Wybieraj! Pamiętaj o jednym: Balwierz musi poczuć się na tyle bezpiecznie, by chciał nawiązać z tobą kontakt. Pracowicie buduj jego renomę. Po to, by go zniszczyć, kiedy go złapiemy.

– Mam być waszym podwójnym agentem? – rozochocił się Motyl.

– Kiedy nawiąże kontakt, dostaniesz aparaturę podsłuchową i pojedziesz na spotkanie. On pragnie sławy. Ma swoją ideę, wszystko robi w obronie pewnych zasad. Ale jeszcze nie wolno ci o tym pisać.

Motyl wsadził ołówek do ust i go przygryzł.

– Chyba rozumiem – rzekł. – Chcesz, żebym go napompuwał, a potem przekłujecie balon.

Hubert nie odpowiedział. Zastanawiał się chwilę, nim dodał:

– To człowiek inteligentny i potrzebuje równego przeciwnika. Dlatego wybraliśmy cię w ziejącego ogniem smoka, który podkłada ładunki pod działania śledczych. Balwierz pozazdrości ci sławy, siły, mocy. Będzie chciał mieć w tobie powiernika. Zostaniesz nim i będziesz go rozumiał. Zaczniecie do siebie pisać, może dzwonić... Nie wiemy, jaki będzie jego kolejny ruch, bo to zależy od fundamentu, który zbudujesz swoimi artykułami. Warunek jest taki, że dostajemy wszystko, każdą planowaną do publikacji kropkę i każdy screen z mediów społecznościowych. Podsłuch będziesz miał w domu, pracy i samochodzie.

– To jest legalne? Macie zgodę sądu?

Hubert uśmiechnął się krzywo.

– Jeśli dobrowolnie się na to zgodzisz, a raczej sam wyjdiesz z propozycją, nie

potrzebujemy jej, prawda?

Motyl skrzywił się kontrolnie, ale Meyer wiedział, że dziennikarz aż drży z ekscytacji i nie może się wprost doczekać nowej, niebezpiecznej przygody. Pewnie nigdy nie otrzymał podobnej propozycji i możliwe, że już nie dostanie. Prawdopodobieństwo, że kiedykolwiek na tym terenie dojdzie do podobnych zbrodni, była nikła.

– Nie ruszysz palcem bez naszej wiedzy – zastrzegł profiler, by Motyla bardziej podgrzać. – Nie zapominaj, że będziemy z tobą i Waldką w łóżku. I tak dalej...

– Spoko. – Motyl się zaśmiał. – I tak jesteście. Gadamy o was cały czas. Życzę wam dobrej zabawy. – Zatarł ręce. – To co? Kiedy ruszamy z tym koksem?

– Od razu. Zacznij od tego.

Hubert przesunął po blacie portret pamięciowy mężczyzny, który narysowała policjantka po padzie na Huberta.

– Kim jest ten facet? – zapytał Motyl i chwycił swój mały notesik.

– To kobieta. Romana Wąłła, siostra Dobrej. Ma wyrok za próbę zabójstwa. Uciekła, zrabowała samochód. Tutaj masz dane. Resztę przedstawi ci podkomisarz Domański. Zrób jej zdjęcie, pojedź po nas jak po łysej kobyle i daj apel do miejscowych. Liczymy, że złączymy donosić jeden na drugiego. Przed publikacją się dzwoniemy. Wtedy dostaniesz kolejny kombajn. Dobrze by było, żebyście zabukowali tyle miejsca, by opublikować go w całości. To będzie profil.

\* \* \*

**Profil psychologiczny nieznanego sprawcy, Ds 45/02/21, Ds 46/02/21, Ds 47/02/21  
Zabójstwo Donata Gizy, Tymoteusza Wątlego, Jana Kupąły (Ds 45/02/21)**

**Sprawca wiodący**

Ma wykształcenie wyższe lub wyższe niepełne, wiek 29–36 lat, płeć – mężczyzna, mieszka poza terenem dokonywania zbrodni, ale pochodzi z Narwi lub okolic albo regularnie tu bywa. Niekarany, nienotowany. Zna teren, przyjaźni się z miejscowymi – dzięki temu łatwo wtapia się w tłum, nie wzbudzając podejrzeń. Posiada dwa samochody – w Narwi porusza się autem terenowym, tanim, w kolorach maskujących lub ciemnych. W bagażniku znajduje się jego „warsztat” i potrzebne narzędzia. Drugie auto – najprawdopodobniej sedan lub sportowe – jest czyste i nowe (do 3 lat), kolor czerwony. Broń, sprzęt przechowuje w okolicy. Może to być szopa, drewnitnia, stary dom po rodzicach lub piwnica zaprzyjaźnionych i niczego niepodważających przyjaciół. Sprawca może uchodzić za osobę towarzyską, charyzmatyczną, sympatyczną, lecz tak naprawdę ludzie wiedzą o nim niewiele. Ma bardzo dobrą opinię i może być stawiany za wzór do naśladowania. Śledzi działania organów ścigania. Potrafi zachować zimną krew. Po zbrodni niewiele zmienił w swoim zachowaniu i wyglądzie. Może należeć do klubów strzeleckich, paramilitarnych lub mieć przeszłość aktywisty w organizacjach, w których pełnił najprawdopodobniej funkcję zastępcy dowódcy lub zarządzał sprawami zza kulis. Jest w związku nieformalnym, ma partnerkę (w miejscu swojego stałego zamieszkania, najprawdopodobniej okoliczne miasto lub miasteczko do 1–1,5 godziny drogi od Narwi). Osoby postronne uważają ich za wzorową parę. Nie prowadzi wspólnego gospodarstwa. Sprawca trzyma kobietę na dystans. Zapewne ma ona zniekształcony, wyidealizowany jego obraz. Kiedy zostanie aresztowany – partnerka będzie zdziwiona, może nie wierzyć w jego winę, kłamać, mataczyć, by go chronić. Z pewnością zapewni mu alibi.

Sprawca nie będzie stawiał oporu przy aresztowaniu. Będzie milczał. Jest przygotowany na taką okoliczność i z pewnością wykona telefon do adwokata, może grozić śledczym, oskarżać ich o łamanie prawa. Trzeba postępować z nim ostrożnie, zadbać o nagrania, dokumenty, notatki i trzymać się ściśle

procedur, bo podejrzany wykorzysta każdy detal, by uniknąć kary.

Motywy jego działania są gniew i odroczone zemsta na Donacie Gizie. To w kręgu jego „starych znajomych lub wrogów” należy poszukiwać sprawcy. Może polowali razem, prowadzili interesy. Giza mógł „obieczać” coś sprawcy, ale tej obietnicy nie dopełnił. Może to być tzw. dawny sojusznik, który działał z Gizą potajemnie i czuje się przez ofiarę skrzywdzony. Czas zabójstwa wskazuje na długą i wytrwałą obserwację ofiary. Sprawca przygotowywał się do zbrodni i ją planował. Mogło być więcej prób, ale zaniechał tych działań, ponieważ jest perfekcjonistą i umie czekać. Podczas przesłuchania warto zastosować taktykę odwlekania. Należy zebrać i przedstawić dowody w postaci dokumentów, które mogą odebrać mu tzw. twarz. Trzeba mu rzucić „kotwicę”, by mógł się jej chwycić, tylko wtedy jest szansa na przyznanie się do winy. Sprawca będzie skłonny do podania szczegółów zabójstwa dorosłych ofiar, nie przyzna się do zabójstwa dziecka. Może do tego dojść jedynie wówczas, kiedy zastosuje się taktykę „oczerniania ofiary” – należy wykazać współczucie i zrozumienie dla relacji sprawcy z ofiarą Gizą.

Zabójstwo Jana Kupały zostało dokonane pod wpływem impulsu i z lęku. Motyw: usunięcie świadka. Sprawca nie jest z niego dumny. Najprawdopodobniej uważa, że nie powinno być do niego dojsz. Sympatyzował z ofiarą Kupałą, możliwe, że byli cichymi współnikami w innej sprawie. Tutaj jest największe pole do zastosowania taktyki okazania litości. Tej zbrodni sprawca żałuje najbardziej.

Zabójstwo dziecka – Tymoteusza Wątlego – zostało dokonane w ramach dodatkowej „kary” wymierzonej Donatowi Gizie, ale to nie wystarczyło sprawcy i dokonał odstrzału niczym myśliwy (odwrocień ról). Tymoteusz Wątyl znał sprawcę, dobrowolnie udał się z nim do lasu, najprawdopodobniej pod pretekstem legendy, że zostanie zaprowadzony do kryjówki Miry Grzybowskiej, która była przyjaciółką chłopca. Chłopiec dobrowolnie poddał się rytuałowi flebotomii, której był uczestnikiem już wcześniej i której dokonywał na nim Donat Giza. Uwaga! Tymek został być może wprowadzony w błąd, że dziewczynka potrzebuje krwi, by zostać uratowana.

### **Sprawcy pomocnicy**

Kobieta i 2 mężczyzn z kręgu znajomych sprawcy wiodącego. Wiek – odpowiednio: 25–30 lat (wykształcenie podstawowe lub niepełne średnie), 30–40 lat (wykształcenie zawodowe), 50 lat lub więcej (brak wykształcenia). Rdzenni mieszkańcy Narwi. Najprawdopodobniej uczestniczyli w procesie „odwetowego teatru”, nie mając początkowo świadomości, że sprawca wiodący planuje dokonanie wielokrotnej zbrodni. W momencie, kiedy sprawca wiodący „zmienił zasady gry”, zorientowali się, że zostali wykorzystani. Mogą czuć odrazę do sprawcy, np. w przeszłości grozili przekazaniem informacji organom ścigania (sprawca wiodący skutecznie ich zastraszył lub uniemożliwił im kontakt z policją). Odczuwają lęk, mogą nadużywać alkoholu lub innych środków (leki, narkotyki, seks), by zniwelować wyrzut sumienia. Starają się zachowywać zimną krew, ale nie mają tak silnej struktury psychicznej. Będą popełniać błędy i mataczyć. Sprawca wiodący może ich zmuszać do manipulowania dochodzeniem. Bardzo prawdopodobne, że ma dokumenty, informacje na ich temat, którymi ich szantażuje, dlatego będą milczeć do czasu, aż nie otrzymają potwierdzenia, że sprawca wiodący im nie zagrozi (np. aresztowanie do wyjaśnienia). Wtedy należy przystąpić do frontalnych przesłuchań w warunkach izolacji, koniecznie w warunkach więziennych. Mężczyźni mogą być łatwiejsi do „złamania”. Kobieta do końca będzie starała się wybielić i należy jej na to pozwolić. W trakcie trwania dochodzenia sprawca korzysta z ich pomocy logistycznej, transportowej (możliwe, że w ich budynkach gospodarczych trzyma sprzęt itd.) – wiedzą, że jeśli policja zabezpieczy te dowody, grozi im kara, więc w najbliższym czasie mogą próbować się tego pozbyć. Należy spodziewać się nieoczekiwanych pożarów, zaginięć aut, symulowanych kradzieży lub napadów. To może być prosta droga do przyjrzenia się im i uzyskania cennych informacji.

Z pewnością będą aktywni w trakcie ceremonii czuwania i pochówku oraz innych działań poszukiwawczych. Możliwe, że zgłoszą się jako ochotnicy, wolontariusze, by uczestniczyć w przebiegu działań policji i być jak najbliżej ośrodka danych; można się spodziewać, że spróbują wykraść cenne dokumenty, informacje itd. (zalecałbym zastosowanie prowokacji, podsuniecie takiej okazji, by złapać ich na gorącym uczynku). Uwaga! Ważne – obecnie jest między nimi rozłam. Najprawdopodobniej nie kontaktują się ze sobą, unikają się, może nawet publicznie okazują sobie wrogość. Należy to zauważyć i wykorzystać. Każde z nich ma teraz swój własny plan ratowania skóry. Żadne nie ma rysu psychopatycznego (w przeciwieństwie do sprawcy wiodącego), dlatego cierpią z powodu poczucia winy, wyrzutów sumienia i gdyby mogli, najchętniej „cofnęliby czas” – należy to wykorzystać podczas pracy operacyjnej w rozmowach i wywiadach nieoficjalnych.

Po ustaleniu grupy podejrzanych trzeba mieć się na baczności, ponieważ mogą próbować uciekać, targnąć się na swoje życie. Życie każdego z nich jest zagrożone, gdyż sprawca wiodący nie zawaha się ich wyeliminować, jeśli uzna, że nie będą w stanie dłużej milczeć. Każde z nich potajemnie planuje wyjazd z okolic Narwi. Być może czynią przygotowania i czekają na właściwy moment (boją się zarówno policji,

jak i sprawcy wiodącego). Jeżeli zostanie zgłoszone zniknięcie lub uprowadzenie – będzie ono ściśle powiązane z bezwzględnością działanością sprawcy wiodącego, który jest konsekwentny w usuwaniu świadków. Nie zawaha się posunąć do zabójstwa, które może upozorować na samobójstwo lub wypadek. Inscenizacja może być wykonana bardzo pieczołowicie, ale ujawni jego powiązania z ofiarami.

### **Uprowadzenie Miry Grzybowskiej Ds 46/02/21**

W tym przypadku mamy do czynienia z motywem osobistym, w procesie polimotywacyjnym największą rolę odgrywa majątek rodziny Grzybowskich. Porwanie od początku było inscenizacją – tzw. uprowadzenie rodzicielskie z elementami manipulacji. Należy wnikliwie przyjrzeć się rodzicom dziewczynki, ich znajomym (tajnym kochankom, rodzicom zaprzyjaźnionych dzieci i sąsiadów). W tym cieniu skrywa się poszukiwany. Ciasny krąg osób, które miały kontakt z dziewczynką, pozwoli na wyłuskanie osoby, która wykorzystwała rozgrywkę między rodzicami (na początku miało dojść jedynie do pozorowanego uprowadzenia bez cech przestępstwa) i przechwyca dziewczynkę. Ta osoba jest bezpośrednio powiązana ze sprawcą wiodącym w sprawie Ds 45/02/21. Nie jest to jednak podejrzany do tamtej sprawy, lecz jego „odwieczny wróg”. Mamy do czynienia z zakamuflowaną rywalizacją sprawców. Podobnie jak sprawca wiodący do sprawy Ds 45/02/21, porywacz jest socjopatą niezdolnym do odczuwania współczucia, osobą niezwykle zorganizowaną, która nie traci zimnej krwi i nie cierpi z powodu wyrzutów sumienia (choć publicznie może je okazywać wiarygodniej niż choćby rodzice Miry). To kobieta w wieku 32–38 lat, wykształcona, pracująca na eksponowanym stanowisku, lubiana, niebudząca podejrzeń. Miała dostęp do dziecka, często się z nim bawiła, rozmawiała, nie miała problemu w zdobyciu zaufania Miry ani jej rodziców. Możliwe, że brała udział w mistyfikacji rodziców dotyczącej pierwotnego uprowadzenia. Kluczem jest gruntowne podejście do przesłuchania matki (Barbara Grzybowska) oraz ojca (Wojciech Grzybowski) lub też ich rodziców, którzy mogą dysponować większą wiedzą, niż to ujawniają. Nie jest pewne, czy sprawczynie nie współpracuje z którymś z nich. Dziewczynka w tej chwili przebywa z dala od Narwi, sprawczynie regularnie ją odwiedza, dostarcza jedzenie, sprawdza stan zdrowia. Możliwe, że ma pomocnika (nieświadomego lub chcącego za takiego uchodzić), który pomaga jej w kontrolowaniu sytuacji. Najprawdopodobniej sprawca wiodący do sprawy Ds 45/02/21 wie, kim jest sprawczynie Ds 46/02/21, i odwrotnie, ponieważ motyw ich działania jest identyczny: zemsta. Uwaga! Należy spodziewać się pojedynku między nimi. W sytuacji krytycznej sprawczynie Ds 46/02/21 może zabić dziewczynkę (Mirę Grzybowską), choć robi wszystko, by do tego nie doszło. Sprawczynie jest sfrustrowaną samotniczką, nie ma dzieci. Przeżyła traumę, ukradła dziecko, by je „posiadać”, ale sytuacja zaczyna ją przerastać. Do ofiary (Donat Giza) żywiła urazę, lecz bardzo żałuje śmierci ofiar (Jan Kupała i Tymoteusz Watły). W przypadku aresztowania poda szczegóły tych zbrodni i będzie współpracowała w zatrzymaniu sprawcy okrzykniętego w mediach „Balwierzem z Narwi”.

#### **Konkluzja:**

Sprawcy Ds 45/02/21 i Ds 46/02/21 rywalizują ze sobą. Należy doprowadzić do ich pojedynku i dokonać aresztowania, odizolować. Jest możliwe, że między nimi doszło przed laty do dużej zażyłości (romans), dlatego dobrze znają swoje sposoby działania i potrafią przewidywać ruchy przeciwnika. Jeśli jedno z nich zostanie zaatakowane, a dziewczynka uwolniona, drugi sprawca najprawdopodobniej zniknie z tego terenu, a zbrodnie ustaną. Sprawcy nie zaspokajają swoich fantazji seksualnych, lecz ustawiają hierarchię sił. „Wygrana” w ich poczuciu pozwoli na wyciszenie interwału zbrodni. Wróć do swojej rutyny i będą w stanie milczeć przez całe lata.

### **Autor listu oraz „telefonista” – oszust – naśladowca Ds 47/02/21**

Najprawdopodobniej to jeden lub dwóch sprawców pomocników (Ds 46/02/21), którzy zostali zmuszeni do tych działań, by zmylić śledczych. Dojście do nich pozwoli ustalić pozostałych pomocników. Taktyka przesłuchania: blef/sugestia, że zostanie pociągnięty do odpowiedzialności za wszystkie zbrodnie, przedstawienie zarzutów i areszt. Warto przesłuchanie prowadzić w pomieszczeniu, w którym znajdują się „dowody” w postaci wizualnie szokujących elementów (baniak po ludzkiej krwi, zdjęcia martwego dziecka złożonego niczym na ołtarzu w kapliczce św. Huberta, spreparowana skóra wilka, poroże ze śladami substancji przypominającej krew itd. – im bardziej spektakularne, tym lepiej). Artefakty winny znajdować się nie bezpośrednio na stole czy półce z dokumentami, lecz w zasięgu wzroku przesłuchiwanego (tak, by osoba nie mogła odwrócić głowy i była zmuszona zeznawać otoczona wspomnianymi rekwizytami). Konieczne są przerwy w trakcie przesłuchania i zmiany śledczych. Osoba powinna mieć poczucie, że wiemy o niej więcej, niż jest w istocie. Uwaga! Najprawdopodobniej sprawca oszust został zmanipulowany przez sprawcę wiodącego Ds 46/02/21, należy więc weryfikować dane. Im więcej podaje informacji, tym baczniej trzeba się im przyjrzeć. Sprawca nie chce być uznany za mordercę. Badanie próbki pisma, analiza głosu i nakaz rewizji dopiero po przyznaniu się do winy (nie przed!!!!) To może być skuteczne dojście do sprawcy

wiodącego Ds 46/02/21). W przeciwnym razie będziemy mieli autora podrobionego listu, a spłoszymy sprawcę zabójstw.

### **Podsumowanie**

Wskazane taktyki proaktywne, prowokacja i współpraca z wybranymi mediami (red. Motylewski):

1. Wykonanie materiału zdjęciowego i filmowego podczas czuwania w intencji Miry Grzybowskiej oraz pogrzebu Tymoteusza Wątlego (zaangażowanie reportera lub „przebranie” za niego jednego ze śledczych spoza regionu + konieczne przejście materiałów dziennikarskich – tylko na tej podstawie wydać zgody do rejestracji).

2. Obserwacja rodziców Miry Grzybowskiej i „zaprzyjaźnienie się” z nimi ludzi przychylnych organom ścigania.

3. Obserwacja grobu Tymoteusza Wątlego (analiza odwiedzin, pozostawionych kwiatów, pamiętek – zwłaszcza w godzinach nietypowych).

4. Rejestracja numerów wszystkich samochodów, które pojawią się w okolicy, i sprawdzenie powiązań kierowców ze wspomnianymi wyżej osobami. W razie wyłuskania auta podejrzanego wiodącego – wskazane śledzenie i obserwacja przed aresztowaniem. Szczególną uwagę należy objąć auta, którymi można poruszać się w lesie.

5. Dyskretne wyselekcjonowanie budynków, w których a) sprawca może ukrywać swój sprzęt/broń/pamiątki; b) sprawczyni może ukrywać dziewczynkę; c) sprawca może przebywać i planować swoje działania.

6. Analiza mediów społecznościowych Miry i Tymka. Przeszkolenie osoby, która będzie umieszczała komentarze itd. Być może próba nawiązania w ten sposób kontaktu z dziewczynką. Działania prowokacyjne do ustalenia indywidualnie.

7. Analiza konfliktów Donata Gizy z ostatnich minimum 5–10 lat. Stworzenie grupy wrogów/przyjaciół. Uwaga! Księga polowań, także tych nierejestrowanych.

8. Gdyby udało się przejąć Mirę z rąk porywacza – zastosowanie podstępu i poinformowanie mediów o fiasku operacji. Cel: wykurzenie z kryjówki sprawcy zabójstw. Potrzebni dziennikarze i „zaprzyjaźnione media” (patrz red. Motylewski).

9. Obserwacja D. Wątlej pod pretekstem „ochrony”. Etap 1: poinformowanie o zagrożeniu jej życia (cel: odwrócenie uwagi od porwania Miry); etap 2: przydzielenie trzech ochroniarzy, fotografie w prasie, wywiady, stworzenie legendy o ataku Balwierza na matkę Tymka; etap 3: wystawienie D. Wątlej na wabia. Ewentualnie etap 4: publiczne aresztowanie i zdeprecjonowanie jej dobrego imienia – prowokacja. Uwaga! Kobieta nie powinna być o tym poinformowana. Musi wierzyć w dobre intencje śledczych i do końca nie wolno ujawnić jej szczegółów operacji.

# **Część 3**

## **Łowczy**

## Dzień czwarty 18 lutego 2021 (czwartek)

Romka rozparła się na krześle i rozstawiła szeroko nogi, choć policjant, który ją przesłuchiwał, bardzo starał się ją zastraszyć. Był niewiele starszy od niej i wiedziała, że przyjechał do Narwi z Białegostoku za żoną, ale choć wielki i zabójczo przystojny, nie pamiętała go. Przedstawił się, podał nazwisko Domański, lecz nadal nic jej to nie mówiło. Zresztą nie z nim przyjechała rozmawiać.

- Uwierają cię jądra? – rzucił zniecierpliwiony Doman.
- Twoje chyba zakisiły się w tych rurkach – odburknęła.
- Długo zamierzasz tak milczeć?
- Tyle, ile ty przynudzać.

Młody Doman wstał, odwrócił się do okna, otworzył je i zapalił papierosa. Była wstrząśnięta. Już nieraz ją przesłuchiowano i wiedziała, że nie wolno palić w służbowych pomieszczeniach policji. Dałaby wiele za jednego szluga. Niestety, zabrali jej fajki, pieniądze, telefon, ulubiony scyzoryk, który tak dobrze leżał w jej kamaszu. No i pałkę bojową... Na szczęście resztę noży i pistolet zdążyła ukryć w Kamiennym Forcie. Jeśli Dobra ich nie wyrzuci, kiedyś się po nie zgłosi.

- Powiedziałaś ci, że gadam tylko z Meyerem – powtórzyła.
- Dlaczego z nim?
- Mam do niego sprawę. Nietutejszą – dodała.
- Ty? – Odwrócił się. Wskazał paczkę z papierosami. – Masz ochotę?

Pokręciła głową. Nie zamierzała się z nim bratać. Rzucił wypalonego w połowie papierosa za okno i wrócił do stolika. Pozbierał papiery.

– Nie mam czasu się z tobą bawić. Poczekasz na swojego człowieka na dołku – mruknął niby od niechcienia. – Psycholog jest zajęty. I do jutra się to nie zmieni. Szykuj się na długą rozłąkę, bo rano odwieziemy cię do właściwego pierdła. Jak Hubert będzie chciał, odwiedzi cię w Warszawie.

Udało mu się ją wkurzyć.

- Samochód dostałam do używania! – podniosła głos. – Nie ukradłam go!
- Jest zgłoszenie z Blue City – powtórzył kolejny już raz. – A ty nie masz nic na potwierdzenie swojej wersji. Mam tutaj meldunek ochroniarza z galerii, że wyjeżdżając, złamałaś szlaban i nie uregulowałaś kwitu parkingowego. Facet twierdzi, że byłaś pijana w sztok. Cud, że trafiłaś do tunelu.

– Może też powróżyć z fusów – parsknęła. – To było tydzień temu. Nic na mnie nie masz.



– Z tego, co wiem, dowodu rejestracyjnego też ci nie przekazano, a wóz odpałaś sygnałem z walizki.

– Więc pechowo dla właściciela, że w skrytce woził drugi, nie? – Zaśmiała się.

– To jak będzie? Przyznajesz się czy czekamy, aż ten ktoś, na kogo się powołujesz, zadzwoni i cię wyciągnie? Bo może on wcale nie istnieje?

Romka wyduła wargi w pogardliwym grymasie, a potem wybuchnęła rechotem.

– Wezwijcie pana Kołomyjskiego – powtórzyła z zaciętą miną. – Jestem pewna, że po mnie przyjedzie i zapłaci kaucję.

– Jaką kaucję, kobieto? – Doman wreszcie się wkurzył. – Nie wyznaczono żadnej kaucji! To nie Ameryka.

– To grzywnę. Nie wiem, łapówkę? Ile chcesz? Kołomyjski zapłaci. Przekaż te dane Meyerowi, a gwarantuję ci, że zadba, by biznesmen się tu zjawił. Jego brat jest politykiem. Na twoim miejscu bym uważała.

– Jesteś powalona – mruknął. – Zawsze byłaś.

Romka się spięła. Nic nie odpowiedziała. Myślała szybko: kim jest ten gość i dlaczego go nie pamięta? Skąd go zna? Nie był tutejszy.

– Choć jestem w szoku, że nie jesteś jednak lesbijką.

– To byłoby coś złego?

– Nie, ale wszyscy zawsze tak uważaliśmy.

– Czasami bywam. – Odwróciła głowę i nadal główkowała. – Co cię to obchodzi?

– Wcale mnie nie obchodzisz – zapewnił Doman i dodał, jakby siedzieli w knajpie przy browarze: – Ale jakoś nie potrafię sobie ciebie wyobrazić z Wojtkiem Grzybowskim, zupełnie do siebie nie pasujecie. I ten finał jak z brazylijskiej telenoweli? Ledwie gość uszedł z życiem, a próbował cię jeszcze ratować...

– Jak widać, nieskutecznie – burknęła.

Spięła się jednak w sobie i przestała kpić. Zaniepokoiło ją, że ten młody gliniarz tak wiele o niej wie. Kim jest? – myślała uparcie. Skąd może mnie znać?

– To już prehistoria – spuściła z tonu. – Niech sobie żyje z małżonką i nie zawraca mi dupy.

– Ponoć mówił prokuratorce, że cię kocha. Błagał, żeby umorzyła sprawę. Faktycznie proponował łapówkę, ale Baśka nie pozwoliła mu zapłacić. – Urwał, obserwując jej reakcję.

– Niech spierdala.

– Dlaczego właściwie go dźgnęłaś?

– To był przypadek.

– Siedem razy?

– Pierwszy raz to był przypadek. Potem już mnie wkurwił. Na takie właśnie okoliczności noszę w bucie nóż, jak wiesz.

– Zauważyliśmy – odparł. – Choć moi ludzie mnie ostrzegali, że nie tylko jeden. Rozumiem, że resztę oręża zostawiłaś siostrze na przechowanie. – Zawiesił głos. – Nie martw się. Zajmujemy się tym sprzętem. W Kamiennym Forcie trwa ostra rewizja.

W odpowiedzi obdarzyła go nienawistnym spojrzeniem.

– To jak to było z tym atakiem na Grzybka, Romko?

Wlepił w nią te swoje błękitne oczy i nagle poczuła, że skądś go kojarzy. Była bliska rozpoznania. Tylko dlatego zdecydowała się zagrać na zwłokę.

– Mówiłam „nie”. Nie słuchał. Sięgnęłam do buta, zadałam cios. To był odruch. Krew lała mu się po twarzy, a on nadal próbował na mnie włożyć. Miałam go dość, no i byłam naćpana.

– Trochę mu dopisało szczęście – zauważył Doman. – Gdyby Basia was nie nakryła, Wojtek nie przeżyłby tego zbliżenia.

– Kij mu w oko. – Romka zaśmiała się nieprzyjemnie. – A Baśka jest wariatką. Zdiagnozowaną. Wtedy dawno nie była na terapii, zaczynała jej się mania. Sama miała go dosyć. Pomogłaby mi go jeszcze zakopać.

– Poszłabyś wtedy na dożywocie.

Kobieta wymruczała pod nosem zestaw wulgarnych przekleństw.

– Nie pamiętasz mnie, co? – Doman zmienił nagle temat.

Skupiła się.

– Zostawałaś z Tymkiem, kiedy Dobra przychodziła do mnie.

– To byłeś ty? – Pierwszy raz udało mu się ją zahaczyć.

Nie uciekała wzrokiem, nie popisывała się. Zauważył, że skuliła się w sobie i połączyła wreszcie nogi.

– Raz pokazała mi wasze zdjęcie, ale nie chciała powiedzieć, jak się nazywasz. Jak ona była w tobie zakochana, człowieku! Zabiłaby dla ciebie. Zresztą próbowała... Pamiętasz postrzał Swiety? – Umilkła.

Doman wpatrywał się w Romkę oniemiały.

– Mówisz serio?

Romka pokiwała głową.

– To była miłość w stylu Dobrej: zaborcza, napastliwa, dzika. Nigdy o nikim nie mówiła w taki sposób. A raczej o twoim kutasie... – Zarechotała. – Kochała cię. A ja wiedziałam pierwsza, co moja siorka do ciebie czuje, bo złagodniała, kiedy romansowaliście. Nigdy wcześniej ani później nie wyglądała tak pięknie.

– Wiem – szepnęła Doman. – Cały czas powtarzała, że jest szczęśliwa.

– Do czasu, aż okazałeś się chujem. W sumie nie wiem, co zaszło.

– Mówiła, że chce ze mną uciec – przyznał Doman i westchnął. – Tak by się stało, gdybym nie stchórzył...

Romka wskazała kamerę stojącą na półce.

– Nie boisz się tego mówić?

Doman wzruszył ramionami.

– Nie włączyłem. Chciałem z tobą pogadać o siostrze. Znasz ją najlepiej.

– Próbuj – zakpiła i widział, że znów się usztywnia.

– Nie rozumiałaś mnie. – Podniósł dłonie. – Ja się o nią martwię.

– O siebie się martw, człowieku! Z tego, co się orientuję, żoneczka wciąż nie wie, że zdradzałaś ją z jej dwiema kumpelami.

– Właśnie o to mi idzie. – Doman pochylił głowę. – Bo widzisz, one obie mają teraz koszmarny dramat z dziećmi. Zastanawiam się, czy to nie ma związku ze mną.

– Chcesz rozgrzeszenia? – prychnęła Romka. – Jesteś gliną. Rozwikłaj to!

– Zostawałaś z Tymkiem i czasami Basia przyprawiała ci Mirę. Wiem, że dzieciaki cię uwielbiały...

– Możliwe – zgodziła się Romka. – Bo traktowałam je normalnie, jak ludzi. Nie cmokałam, nie nadszkiwiałam z żarciem, tylko zajebicie się bawiliśmy. Budowaliśmy domki na drzewie i łąziliśmy do lasu. Żle, że czasami nie do końca byłam trzeźwa. No i kilka razy zwiąłem, zostawiając je bez opieki, ale ćpałam wtedy za dużo. Miałam swoje problemy. – Poklepała się po udach jak facet. – Skończyłam z tym. Teraz tylko przesadzam z siłką.

– Gdybyś nam pomogła, spróbowałbym załatwić, żeby zmniejszyli ci ten wyrok za Grzybka. Mamy tu babkę z Prokuratury Okręgowej w Warszawie. Ona wiele może.

Zdawało się, że Romka złapała haczyk.

– Nazwisko – powiedziała.

Tomek się zawahał.

– Najpierw powiedz, czego chcesz od Meyera.

– Ciekawi cię to?

Wzruszył ramionami.

– Raczej martwi. Nie wierzę w przypadki.

– Ja też – odparła rezolutnie. – I bądź pewien, że nie jestem tutaj przejazdem. Okej, chciałam forszę od Dobrej, ale część już sobie sama zorganizowałam i wiem, że niebawem zgromadzę resztę. A jak tylko wypełnię swoją misję, wypierdalam na Dominikanę. Nie zatrzymasz mnie. Kradzieży beemki nie było. Kołomyjski to potwierdzi. Zadzwoń wreszcie do niego.

– Więc dlaczego nie wycofał zgłoszenia?

– Wycofa i zapłaci za połamany szlaban w Blue City. – Romka ziewnęła. – To jak będzie? Wzywasz tego psychologa czy odsyłasz mnie do stolicy?

Tomek się zamyślił.

– One o sobie wiedziały?

– Kto? – Romka ziewnęła znudzona.

– Dobra o Basi. I tak dalej...

– Dobra wiedziała. Basia chyba nie. Jury z ciebie chłopak, a wyglądasz tak grzecznie. Cicha woda...

Doman zaśmiał się, jakby powiedziała mu najlepszy komplement w życiu.

– To było przejściowe. Nie zamierzałem tego ciągnąć.

– Ale jarało cię, że one się znają? Planowałeś trójkącik? – rzuciła mu wyzwanie.

Zaprzeczył gwałtownie.

– Byłem zauroczony twoją siostrą, słowo daję! Ale ona chciała, żebym rzucił żonę i wyjechał z nią nie wiadomo dokąd. A z Basią przyjaźniliśmy się od dzieciaka. Jak przyjeżdżałem z ojcem do leśniczówki dziadka, chodziliśmy nad rzekę. To z nią się pierwszy raz całowałem.

– Jakim cudem cię nie pamiętam?

– W drugiej klasie liceum wciąż mierzyłem metr sześćdziesiąt dwa, ale w jedne wakacje wyciągnąłem się o trzydzieści cztery centymetry. Babcia mi wtedy powiedziała: „No, Tomku, nareszcie się wyprostowałeś”. Dziewczyny też zaczęły mnie zauważać.

– Chyba Dobra dostrzegła cię jednak później. Pikanterii sprawie dodawał fakt, że nikt w okolicy nie wiedział, kim jesteś.

– Pracowałem wtedy w Białym. Nie chciałem stracić stanowiska.

Romka spojrzała na Domana i zdecydowała się w jednej chwili.

– Słuchaj, mam wiadomość dla Meyera. Niech przyjdzie tutaj, powiem mu, co mam do powiedzenia, i wypuszczasz mnie, bo czas goni. Forsy Dobrej tak szybko nie odzyskam, więc jestem zmuszona wykonać to zlecenie.

– Co dostanę w zamian?

– Powiem ci, gdzie Basia ukryła Mirę. Nie sądzę, by dziewczynka nadal tam była, ale przyda ci się ta wiedza. Zabłyśniesz na odprawie.

\* \* \*

Wyjęła z szuflady nóż i sprawnie pokroiła tosty w trójkąty, a obok naląła sporo keczupu. Wpatrywała się w czerwoną pulpę i śmiać jej się chciało, że w filmach używają tego do markowania krwi. Wcale jej przecież nie przypomina. Skroiła zielonego ogórka i sięgnęła po szczypiorek. Kiedy zaczęła go siekać, wybrzmiał dzwonek komórki. Zacięła się w palec. Głęboko. Krew trysnęła na deskę. Schwyciła ścierkę i ucisnęła zranienie. Czuła tylko przyjemne pulsowanie, prawie nie bolało. Wraz ze spływającą krwią, schodziło z niej napięcie.

– O której będziesz? – szepnęła, jakby ktoś mógł ją podsłuchać. A potem dodała głośniej, po francusku: – Dziś nasza mała niedziela, pamiętasz?

– Dziś nie mogę – padło w odpowiedzi.

– Jutro?

Milczał. Zaniepokoiła się.

– Masz mi coś do powiedzenia?

– Właściwie tak. – Zawahał się. – Nie mogę tak dłużej. Mam rodzinę, dzieci. Moja żona zaczyna coś podejrzewać.

– Ona jest w Paryżu! Póki sam jej nie powiesz, nie ma prawa nic wiedzieć. Wypowiadałeś się jej?

– To podłe, co robimy. Złe. Musimy z tym skończyć.

Przekłęła w duchu. Ile razy już to słyszała? Każdy nagle przypominał sobie o moralności. Skurwysyny! Tylko jeden Oleksandr był inny. Dlaczego akurat on musiał umrzeć?

– Rzucasz mnie przez telefon?

– Tak będzie najlepiej – stwierdził i dalej mówił już tylko po francusku. To oznaczało, że jest zdenerwowany. – Chciałem najpierw wysłać esemes. Ale pomyślałem, że to może być ślad, trop. Właściwie nie powinienem dzwonić wcale.

– Nie wierzę... – syknęła. – Po tym wszystkim...

– Nie kontaktujmy się przez jakiś czas – poprosił. A potem odchrząknął i mówił jak automat: – Służbowo nic się nie zmienia. Oczywiście jeśli chcesz zerwać współpracę, załatwię ci dobrą odprawę.

– Ty podły zabojadzie! – ryknęła. – Przecież nie chodzi o pieniądze!

– Cóż, w tej kwestii jednak się nie zgadzamy. One są ważne – odparł tym samym tonem: – Na wiosnę wyjeżdżam. To powinno ułatwić większość spraw.

Nie potrafiła wydusić ani słowa. Mrugała, jakby coś ogromnego wpadło jej do oka. Uwierało i drażniło. Czowała, że po policzkach płyną łzy, a przecież nie chciała płakać. Chciała rzucić się na niego z nożem, ciachnąć go kilka razy i sprawić, by i on przestał otwierać usta. Żałowała, że odebrała to połączenie. Krew skapywała na ogórki i mieszała się ze szczypiorkiem. Było jej słabo i liczyła, że zemdleje. Nie będzie musiała nic czuć. Ale to były płonne nadzieje. Czowała wszystko mocniej, niż powinna. Po drugiej stronie słyszała jego oddech. Pewnie liczył na to, że to ona zakończy rozmowę, ale nie była w stanie. Jakby w tej jednej chwili uszło z niej całe życie.

– Jeśli pozwolisz, wrócę do pracy – odezwał się wreszcie. – Nie będę cię już więcej absorbował.

– A co z dziewczynką? To był twój pomysł! Mam ją wypuścić? Teraz, kiedy w lesie pełno policji i szukają jej praktycznie wszyscy?

– Rób, jak uważasz. To nigdy nie była moja sprawa. Pomagałem ci w dobrej wierze. Ze względu na Wojtka i Basię. No i z litości nad małą. Jej mi najbardziej szkoda.

– Wezmą Mirę na przesłuchanie, pokażą zdjęcia. Ja mogę powiedzieć, że Basia

poprosiła mnie o pomoc, rozplącę się. To moja rodzina. Jakoś z tego wybrnę. A ty? Rozpozna cię – podkreśliła z satysfakcją.

Zawahał się.

– Nie wie, kim jestem. Byłem u ciebie tylko raz. I to był błąd.

– Za to pieprzenie mnie przy dziecku za ścianą jakoś ci nie przeszkadzało.

– Muszę kończyć. Mam calla. Powinienem jeszcze pogadać z księgową o przejęciu spółek Dobrawy. Ta sprawa musi być dokumentnie wyczyszczona. Jakiś prawnik z Warszawy niezdrowo się tym interesuje.

– Jean Baptiste! – krzyknęła rozpaczliwie. I rozkleiła się na dobre: – Proszę, zastanów się. Nie musimy przecież być razem. Możemy się tylko przyjaźnić. Poczekam, aż będziesz gotów! – błagała.

– Nigdy nie będę gotów – przerwał jej twardo, aż zabolowało ją w okolicy mostka. – Nie bierz tego do siebie. Każdy popełnia błędy. Po prostu się pomyliłem. Dziękuję ci za wszystko. Uważaj na siebie. – Rozłączył się.

Stała nieruchomo, wpatrując się w zimne tosty i mleko w szklance, na którym osiadał już gruby kożuch. A potem otarła łzy, oblizała krew z palca i wyjęła z szuflady plaster. Założyła opatrunek.

– Miro, śniadanie! – krzyknęła, siląc się na familiarny ton, ale wyszło płaczliwie, więc umilkła.

Szarpnęła dziewczynkę skuloną pod kołdrą. Mira podniosła się, lecz nie otworzyła oczu. Wyglądała jak nowo narodzone szczenię. I zdawało się, że wciąż pachnie mlekiem, choć miała już przecież jednaście lat. Ale Swieta wiedziała, że to wynik spuszczonej regularnie krwi.

– Wstawaj, kotku. Zjedz szybko, bo musimy jechać – powiedziała, choć samą ją to zaskoczyło. Nie przemyślała tej frazy.

– Dokąd, ciociu?

– Do nowej kryjówki. – Otarła łzę, która pojawiła się nieoczekiwanie w kąci oka.

\* \* \*

– W tym składzie spotykamy się już regularnie – zaczęła ostrożnie Wera, kiedy usiedli przy stole.

Pomiędzy papierami i teczkami akt postawiła termos z kawą oraz ciastka, które wyglądały, jakby zakupiono je jeszcze za życia przodków Doman.

– To już tradycja – dodał białostoczanin, lecz minę miał ponurą.

Hubert przyglądał się przyjacielowi z niepokojem. Liczył, że zrelacjonuje im rozmowę z Tomkiem, ale nie wyglądało na to, by Doman palił się do tego pomysłu.

– Długo sami nie będziemy – zaznaczył i spojrzął na zegarek. – Najpierw chciałem pogadać z wami, bo za godzinę dołączą do nas ludzie Czupryny, a trzeba jeszcze

dobrze sprofilować dziennikarza Waldki.

– Jesteś pewien co do tej wyłączności? – spytała Wera.

Hubert wzruszył ramionami.

– Im szybciej pójdzie fama, że Motyl zdobył papiery operacyjne policji, tym szybciej pozostali zaczną to udostępniać. Sprawca też się o tym dowie.

– Nadal upierasz się, że to ktoś stąd? – odezwał się grobowym głosem Doman, choć myślami przebywał zupełnie w innym miejscu.

Hubert odetchnął.

– Zdecydowanie nie stąd – podkreślił. – Ale ma bliskie połączenia z tutejszymi, więc łatwo będzie go spłoszyć. Dlatego poza wami nikomu nie ufam.

– Poniekąd ja też nie jestem tutejszy, choć połączenia mam solidne – rzucił Doman i uśmiechnął się kwaśno. – Należę do podejrzanego koła myśliwych oraz trafiłbym czarnego z karabinka.

– Gadasz głupoty – obsztorcował go Hubert. – Powiedz lepiej, co udało ci się wycisnąć z Tomka.

Doman wzruszył ramionami.

– Spał z nimi obiema. Jednocześnie z Basią i Dobrą. Basia nie wiedziała o Dobrawie... No i coś czuję, że była jeszcze jakaś trzecia... – Urwał. – Nie potwierdził, ale chyba tylko dlatego, że nie jest gotów na podanie nazwiska.

– Ktoś ostatnio kwękał, że się w ciebie nie wrodził. – Weronika zaśmiała się w głos. Od razu jednak podniosła dłonie. – Dobra, dobra... Wiem, że to nie jest śmieszne.

Zapadła cisza.

– Co więcej gadał? – cisnął Meyer.

– Nic. – Doman pochylił głowę. – Prychał, wkurzał się, a potem zwiął pod pretekstem wezwania do wojewódzkiej. Patrzyłem na niego i widziałem siebie sprzed lat. – Znow przerwał.

– Tomek pojechał do Białego? Po co?

– Skąd mam wiedzieć? Nie powiedział. Ale wiem, że kłamie. Żadnego wezwania nie było, bo chwilę potem zadzwonił Czupryna i zameldował, że jadą tutaj. Mój własny syn mi ściemnia... Ciężko to łyknąć, mówię wam... Nie poznaję człowieka...

Nikt się nie odzywał. Hubert wymienił spojrzenia z Weroniką. Skinęła głową.

– Doman – zaczęła. – Wiesz, co to znaczy?

Stary policjant ukrył twarz w dłoniach. Kiedy ją odsłonił, był czerwony ze zdenerwowania. Wstał.

– Nie mogę uwierzyć, że mój syn uwikłał się w sprawę jakiegoś seryjnego mordercy!

– To nie jest typowy seryjniak – zaoponował Hubert, ale Doman go nie słuchał.

Podniósł głos.

– Jest gliniarzem! To jakieś totalne kuriozum! A to wszystko przez zimne łóżko. Zawsze wiedziałem, że coś między nim a Elą jest nie tak, skoro nie mają dotąd dzieci! I nie chodzi mi już nawet o to prawo jazdy...

– Nie musi być uwikłany – przerwał mu Hubert, bo spodziewał się, że Doman zaraz się rozkręci. – Wiemy na razie tylko tyle, że Tomek nie chce powiedzieć wszystkiego.

– I nie powie – zaciętrzewił się Doman. – To mój syn. Ile razy zachowywałem się tak samo! Z tym że żadna z moich kochanek nie była podejrzana w sprawie o potrójne zabójstwo!

– Uspokój się! – Werka położyła mu dłoń na ramieniu. – Zaraz coś wymyślimy.

Hubert milczał. Rudy otworzyła termos i nalała wszystkim kawy. A po namyśle sięgnęła do szafki i wyjęła z niej alkohol. Podała Domanowi, ale ten pokręcił głową ze wstrętem. Wiedzieli już, że sprawa jest arcyważna.

– Zaraz serce mi stanie – mruknął Doman i upił duży łyk kawy, aż poparzył sobie wargi. – Spojrzał na Huberta prosząco. – Co o tym myślisz? Mów szczerze, bo pójdę i nastukam gnojowi.

– To nie jest taka głupia koncepcja. – Hubert się uśmiechnął, lecz zaraz spoważniał. – To trzecie nazwisko trzeba z niego wydusić jak najszybciej. Kiedy? Jak długo? Kto jeszcze wiedział o romansach? Czy Paweł Puchacz, mąż Basi Grzybowskiej, Donat Giza wiedzieli? Czy mu grożono? Czy był szantażowany? I przede wszystkim kim była ta trzecia baba?

– Jak można mieć jednocześnie romans z trzema? – zastanowiła się na głos Wera. – I jaki to ma sens?

Hubert z Domanem synchronicznie odwrócili głowy do okna, więc kontynuowała:

– Po pierwsze, zajmuje strasznie dużo czasu, po drugie, logistyka, a po trzecie... – Zatrzymała się. – Czy one mu się nie myliły? Chodzi o seks, tak? Czy wy w ogóle angażujecie się emocjonalnie? Poza tym te dwie, których nazwiska już znamy, wcale nie są do siebie podobne. Jak ogień i woda. Hmm... – Zamyśliła się. – A może to o to chodziło?

Hubert wypuścił powietrze ustami.

– Wero, proszę cię... Nie mamy czasu...

– Tak tylko pytam. Z ciekawości. – Nie ustawała. – Bo wiesz, jeśli chodzi o seks, to okej, ale jeżeli w grę wchodzi miłość, to sprawa może być poważniejsza.

Obaj wybuchnęli zgodnym śmiechem.

– No co?

– Miłość Tomek ma w domu – tłumaczył Doman. – I założę się, że z nią nie sypia. Dlatego nie mają dzieci.

– Okej, więc seks – zgodziła się Wera. – Jakim cudem, powiedzcie, nikt we wsi nie



plotkował? Zdziwiająca, że w tak małej społeczności nikt ich nie widział, nie wyszło to na jaw. Dopiero kiedy zaczęły ginać dzieci, a księdza odstrzelił jakiś wariat...

– Tego nie wiemy, Werko. – Hubertowi udało się wbić w jej monolog. – Nikt nie rozpytywał ludności pod tym kątem.

– I wołałbym, aby to nie było konieczne – dorzucił Doman.

– Dlatego tym bardziej powinieneś to z niego wyciągnąć – zganił kumpla Meyer. – Potrzebujemy tej wiedzy. Choćby w celach prewencyjnych.

– Jak mam go zmusić do zwierzeń? – Doman skapitulował. – Znasz mnie, ja znam ciebie. Nie chcesz, nie ujawnisz sekretu, choćby skały srały.

Hubert się zawahał.

– Chcesz? Ja z nim pogadam. Może będzie mu łatwiej.

– Byłbym wdzięczny i życzę powodzenia. To będzie jak randka z grobowcem. – Doman sięgnął do kieszeni, w której od dłuższej chwili dzwonił jego telefon. Spojrzał na wyświetlacz. – Numer nieznanym. – Zrzucił połączenie. – Pewnie znów jakiś nagabywacz. Oferta kablówki, badanie słuchu albo bilobil...

Po chwili telefon rozdzwonił się ponownie.

– Odbierz – ponagliła Domana Wera. – Może to coś poważnego.

Kliknął zieloną słuchawkę, ale choć przyłożył komórkę do ucha, wszyscy usłyszeli głos jego syna.

– Tato, to ja. Wiem, że siedzisz teraz z Meyerem. Proszę cię, nie daj nic po sobie poznać. Nie mów, że to ja. Znajdź jakiś pretekst i wyjdź z dziadkowej chaty. Spotkamy się przy zwałonej brzozie. Jak kiedyś na letnisku. To pilne! Od tego może zależeć moja kariera. A może nawet życie...

Doman odchrząknął, próbował wyciszyć dźwięk, ale udało mu się tylko włączyć syna na głośnik. Ponieważ nie mógł już dłużej udawać, że to sprzedawca zdrowotnych płynów, po prostu położył telefon na stole i odrzekł, siląc się na oficjalny ton:

– Tak, szefie. Sekunda, już się przemieszczam. – Udał, że idzie, po czym wrócił znów na miejsce. Zniżył głos do szeptu: – Już mogę gadać. Co się stało, synek?

– Tato, za dwie godziny czekaj na mnie przy naszej brzozie – rzucił błagalnie Tomek. – Nie chcę tego mówić przez telefon. Nie wolno mi!

– Ale czego, synu?

– Dowiedziałem się czegoś o wujku Meyerze i nie wiem, co z tym zrobić. Kogo zawiadomić? Czy może lepiej udać, że nie słyszałem? Ale tak się nie da, bo ta babka nie odpuści... Siostra Dobrawy to kuta na cztery łapy suka. Wujek jest w kłopotach. Jakiś biznesmen z Warszawy, z politycznymi plecami, ma na niego haka. Romka żąda ode mnie, żebym storpedował dochodzenie. Mówi, że inaczej wszystko ujawni. Mam ukręcić łeb sprawie... – Ostatnie słowa ledwie szeptał. – Ja nawet nie wiem, jak to zrobić, tato! I kurewsko się boję.

Hubert i Wera musieli się pochylić, żeby cokolwiek usłyszeć.

– To jeszcze nic – ciągnął Tomek. Nabierał hausty powietrza, ewidentnie był w nerwach. – Dostałem od Romki info o miejscu pobytu poszukiwanej.

– Miry?

– Ciii, tato! Nie przez telefon.

– No i?

– Dlatego byłem w Białym. Sorry, że ci skłamałem. Musiałem sprawdzić ten trop.

– Znalazłeś ją?

– Właśnie nie. A co gorsza, nie zgłosiłem oględzin.

– Dlaczego nie zgłosiłeś? – ryknął ojciec. – Nie poznaję cię, dziecko.

– To Swieta ją uprowadziła – szepnęła młody Doman. – W jej domu są ślady bytności dziecka. Myślę, że córka Grzybka była tutaj jeszcze dziś rano.

– Wzywaj ekipę! Dzwoni do Czupryny!

– Nie mogę, tato.

– Dlaczego?

– Bo wszedłem z klucza. Są pewnie moje ślady. W chuj moich śladów. Nawet moje rzeczy! Zbieram je teraz. Ale jest tego za dużo. Coś zawsze zostaje...

– Co ty pierdolisz?

– Ta trzecia, o której ci nie mówiłem... To była Sandra Sowula. Swieta...

– Nasza zimna doktorka?! Z nią też romansowałeś?

– Tato, wszystko ci wyjaśnię. Czekaj na mnie przy brzozie. I proszę cię, posłuchaj mnie chociaż raz. Nie wchodzi beze mnie do drewni! A Meyera unikaj przez jakiś czas. To jakaś grubsza afera!

\* \* \*

Tomek bardzo się zdziwił, kiedy zamiast ojca w umówionym miejscu zobaczył bladego jak śmierć Huberta. Nie dał jednak tego po sobie poznać.

– A więc znasz już moją tajemnicę? – zaczął psycholog. – Nie pytam, co zrobisz z tą wiedzą. Chcę tylko zrozumieć, jakim cudem ta kobieta ją posiadała.

– O czym ty mówisz, wujku?

– Już nie udawaj. Wszystko słyszałem.

Młody Doman zwiesił głowę.

– Powiedziała, że wie o twoim układzie z Kołomyjskim.

– Że co?

– Nie sądziłem, że połaszczysz się na marne dwadzieścia tysięcy – oburzył się młody Doman. – Jak już brać w łapę, to konkretnie! Wiesz, ile razy mnie proponowano więcej? A jestem przecież w firmie nikim! Nie mówiąc już o różnicy w pagonach!

Hubert wpatrywał się w syna Domana jak zahipnotyzowany. Długo nie dowierzał temu, co słyszy. Kiedy wreszcie dane do niego dotarły, wybuchnął rechem.

– Tomeczku, a ty jej uwierzyłeś?

Młody Doman zmarszczył brwi.

– Wiedziałem, że tak zareagujesz – wyszczał. – Wyprzesz się, będziesz zaprzeczał... To było do przewidzenia! Strasznie to słabe, wujku!

– Nie wziąłem od tego wija złamanego grosza – powtórzył psycholog. – Zrobiłem w życiu wiele gorszych rzeczy, ale do korupcji się nie zniżyłem.

– Więc ona kłamie?

– Nie wiem, po co Romka Wąta przyjechała i skąd zna tego faceta. To mój śmiertelny wróg, Tomeczku. Mogę cię zapewnić, że Kołomyjski niejedną raz będzie mieszał w moim życiu... Wiem coś, co on za wszelką cenę stara się ukryć. Zamierzam kiedyś posadzić go za to na wiele długich lat. Ale pierdel chwilowo musi poczekać. Nie mam jeszcze dowodów. Nieważne! – Urwał, widząc niewyraźną minę młodego policjanta. – Rzecz jest skomplikowana i wcale nie chcę cię w nią wprowadzać. Nie byłoby dobrze, żebyś za dużo o tym wiedział. Możemy się jednak umówić, że ja dopuszczę cię do mojej tajemnicy, a ty odsłonisz mi swoje.

Tomek cofnął się przestraszony.

– Gdzie mój tato?

– Jestem, synu.

Doman wychylił się z drewnitni i szybkim krokiem dopadł syna, objął ramionami jak dziecko.

– Nie martw się, poradzimy sobie z tym.

Zza pleców ojca wysunęła się Weronika. Młody policjant nieoczekiwanie wściekł się na jej widok.

– To wszyscy już wiedzą? Ilu osobom jeszcze powiedziałaś?

– Matce i twojej żonie nie – odparował ojciec. – Więc główny koszmar dopiero przed tobą. Najlepiej by było, żeby nigdy nie musiały się dowiadywać.

Wera wskazała ramieniem wejście do drewnitni.

– Trzeba było nie ostrzegać, żebyśmy tam nie wchodzili. Nie czytałaś bajki o Sinobrodym?

Zapadła cisza.

– Opowiem wam wszystko – zaczął rzeczowo Tomek, a potem nagle pękł. – Ja naprawdę nic nie wiedziałem. Sam nie wiem, jak to się stało, że zrobił się z tego trójkąt.

– Trójkąt ma trzy kąty – odważyła się odezwać Weronika. – Mąż, żona i kochanka. U was było ich osiem. Biorąc pod uwagę, że były trzy kobiety, ty i wasi partnerzy...

Ale młody Doman jej nie słuchał. Mówił jak nakręcony:

– W pewnym momencie straciłem nad tym kontrolę, a one zaczęły się nawzajem podejrzewać...

– I zaczął się dym? – odgadł Doman. – Po każdym romansie mówiłem sobie, że nie było warto...

– Nie czas na rozgrzeszenia. – Hubert wystąpił krok do przodu i wskazał drewnię. – Nie ukryjemy tego. Powinieneś złożyć zeznanie. To zbyt poważne – zaczął. – Jeśli tego nie zrobisz, a Czupryna odkryje prawdę, bez wahania cię zamknie. Czy może być gorzej?

– Ja nie wiedziałem o synu Dobrej – powtarzał Tomek. – Basia wprowadziła mnie tylko w sprawę Miry. Byłem pewien, że to rozgrywka między nią a mężem. Kiedy zaczęła rozklejać plakaty, sądziłem, że udaje.

– Nie mogłeś jej spytać?

Tomek pokręcił głową.

– Nie bardzo. Nie odzywała się już do mnie.

– Dowiedziała się o Dobrej? – odgadł ojciec.

– Z tego, co wiem, żadna nie ma pewności, czy spałem z pozostałymi.

Werka się zaśmiała.

– Myślę, że się mylisz.

Mężczyźni spojrzeli na nią, a potem znów na siebie.

– Kobiety gadają – powiedziała Wera. – One z pewnością to omówiły.

– Przecież zakończyłem z nimi wszystkimi jednym cięciem – podkreślił młody Doman. – Żadna nie była faworyzowana.

– Jeśli tak, tym bardziej jesteś w ciemnej jamie – skwitowała Wera. – Bo to znaczy, że każda dostała w twarz i jeśli choć jedna pragnie odwetu, wykorzysta najmniejszą okazję. Kiedy wróg jest wspólny, front staje się jeden.

– Romansowałem z Basią, Dobrą i Świętą – zaznaczył Tomek. – Ale nie zabiłem Donata, Tymka ani nawet Kupały. Nie mam z tym nic wspólnego!

– Jesteś idealnym kozłem ofiarnym. – Hubert włączył się do rozmowy. – Kiedy to wyjdzie, możesz pasować śledczym. Gdyby się uprzeć, miałbyś motyw do każdej zbrodni. Także do tej, której jeszcze nie popełniono. Do tego jeszcze ta aparatura do spuszczenia krwi w twojej drewni!

– Nie należy do mnie! – oburzył się Tomek. – Uważasz, że ktoś mnie wrabia, wujku?

– I ten ktoś zna się na robocie – podkreślił Hubert. – Wie dokładnie, co robić, żeby inscenizacja nie wyszła za szybko. Zna dobrze tutejsze tajemnice, a to już sztuka.

– Dlaczego? Czego on ode mnie chce? – panikował młody.

– To jest dobre pytanie, synu. – Hubert pokiwał głową.

– Ja mam lepsze – powiedziała Wera. – Co masz na myśli, mówiąc o tych

zbrodniach, których jeszcze nie popełniono?

Hubert nie odpowiedział.

– Chodźmy do dziadkowej chaty – zarządził. – Za chwilę zjawi się Czupryna ze swoimi ludźmi. Nie możemy się zdradzić, że nastąpi mała zmiana planu.

– A nastąpi? – spytał młody Doman. – I co z tym sprzętem? Zniszczę go, pomogę Balwierzowi. Ujawnię – sam się pogrązę.

– Na razie zamknij drewnię na klucz – polecił Hubert. – I mam nadzieję, że niczego nie dotykałeś?

Tomek skinął głową. Był już trochę spokojniejszy.

– Masz jakiś pomysł, żeby z tego wyjść, wujku? – szepnęła błagalnie.

– Tak, jeśli uda się zgromadzić w jednym pomieszczeniu wszystkie twoje kochanki.

\* \* \*

Obie zbolełe matki stały w niedużej odległości obok siebie. Jak na złość zaczął sypać śnieg, a tymczasowe zadaszanie zrobiono tylko nad rzeźbą, w miejscu, gdzie sprawca pozostawił zwłoki Tymka.

Tłum zgromadzony aż po zagajnik chował się pod parasolami lub kapturami nasuniętymi na twarz. Mimo podniosłej atmosfery, rozstawionych wszędzie świec, muzyki klasycznej sączącej się z głośników widać było, że ludzie na czuwaniu nie wytrzymają zbyt długo. Z kurii przysłano najstarszego księdza świata, który kaszląc i prychając, szykował się do modlitwy. Następnie zaplanowano przemówienia władz.

Dobra była w czarnym skórzanym płaszczu i kozakach na wysokiej szpilce, Basia – w dzinsach i czerwonej pikowanej kurtce. Na nogach miała przemoczone adidas. Miejscowi plotkowali, że matka Miry nie ubrała się stosownie do sytuacji, ale Grzybowska głośno oznajmiała, że ma to gdzieś, bo wierzy, że jej córka żyje. Uśmiechała się promiennie do wszystkich i przyjmowała kwiaty. Do Dobrej prawie nikt nie odważył się podejść z kondolencjami.

Hubert, Wera, Doman i Tomek rozpierzchli się wśród zgromadzonych tłumnie mieszkańców Narwi i obserwowali przyjezdnych.

Świeta się nie pojawiła.

Zgodnie z planem śledczy dyskretnie filmowali gapiów. Policjanci legitymowali kierowców i pasażerów każdego wjeżdżającego na parking samochodu. Mimo że ceremonia miała trwać całą noc, ze względu na aurę ludzie zaczęli się rozchodzić już po kilku godzinach. Dziennikarze z różnych mediów byli zawiedzeni. Nie działo się nic ciekawego. Dobrawa Wątła nie zabrała głosu wcale, za to Basia zdawała się wesoła i nawet żartowała, co budziło oburzenie starszych mieszkańców Narwi.

Około dwudziestej trzeciej poproszono zainteresowanych, by przenieśli się do budynku koła łowieckiego, gdzie planowano czuwanie kontynuować. Po kwadransie

polana przed figurą świętego Huberta świeciła pustkami. Wszędzie przewalały się papierki, kubki po kawie i winie. Wiatr niósł w las folie po rozdawanych słodyczach. Plakat ze zdjęciem małej Miry zamókł i spłynęła z niego farba. Twarz dziewczynki wyglądała makabrycznie.

W okolicy nie było nikogo, kiedy rozległy się pierwsze strzały.

Zmęczeni policjanci zatrudnieni do patrolowania okolicy nie od razu ustalili miejsce, skąd dochodziły. Ruszyli szpalerem w las. Niedaleko szopy, w której dwa dni temu zabezpieczono fragmenty zwierzyny łownej i baniak po ludzkiej krwi, odkryto ciało kolejnego dziecka.

Okolicę zaraz obiegnęła wieść, że tym razem zostało zmumifikowane i ubrane jak lalka. Obok sprawca zostawił białego wilka. Jego głowa była zmiażdżona, jakby przejechał go pociąg. Musiało się to zdarzyć jednak dużo wcześniej, bo zwłoki zwierzęcia były tak sztywne, że stały na czterech łapach niczym bezgłowy cerber. Wokół zwłok, na śniegu, ułożono świeże kwiaty, do ust włożono gałązki ostrokrzewu i świeżą jarzębinę, którymi przystrojona była scena ceremonii czuwania za jedenastoletnią Mirę.

Tej nocy w Narwi nikt nie zmrużył oka.

# **Część 4**

## **Drapieżnik**

## **Dzień piąty 19 lutego 2021 (piątek)**

Wokół domu kultury stały wozy transmisyjne, a dziennikarze koczowali przed wejściem, paląc papierosy i pojadając specjały Marcysi Cygankowej, która dzisiejszego dnia zrobiła utarg życia. Wciąż dojeżdżali kolejni fotoreporterzy. Dzieciaki, które tłumnie zwały z domu z lekcji online, prześcigały się w nagrywaniu filmików komórkami. Sieć huczała od materiałów z Narwi. Nigdy wcześniej miejscowość nie była tak często wspomniana w mediach. Reporterzy szwendali się po okolicy i wypytywali miejscowych. Zbierali plotki, anegdoty i szukali na własną rękę świadków wczorajszego czuwania.

Mariusz Boziłow był zmuszony zaparkować pod sklepem i szedł ulicą na piechotę, trzymając w rękę skórzaną teczkę wraz z podręcznym zestawem narzędzi.

Kiedy Hubert do niego zadzwonił, wpierv odmówił, bo nie zwykł wchodzić w drogę miejscowym patologom, ale chwilę potem słuchawkę przekazano inspektorowi Czuprynie, który powołał się na jeszcze wyższego rangą oficera. Boziłow zgodził się odwołać wszystkie zaplanowane zadania i przybyć do Narwi, by dokonać autopsji strupieszających zwłok. Nie było drugiego eksperta w tym kraju, który poza specjalizacją anatomopatologii był także antropologiem.

Z trudem przepchał się przez gromadę dziennikarzy, którzy przyglądali mu się nadzwyczaj uważnie, lecz zanim ktoś z ogólnopolskich mediów go rozpoznał, zdołał się wcisnąć do dyżurki. Słyszał nagłe poruszenie, a potem strzeliły flesze, ale zasłonił się teczką i miał nadzieję, że nikomu nie udało się upolować jego twarzy. Nie znosił, gdy łączono jego nazwisko z wizerunkiem.

– Doktor Boziłow – rzucił do dyżurnego, a ten bez słowa wstał, zamknął drzwi wejściowe na klucz i zaprowadził lekarza korytarzykiem do pokoju w głębi.

Bufet wytapetowano materiałami śledztwa, dokładnie tak, jak pokazują to w amerykańskich filmach. Co jednak było w tych materiałach, Boziłow nie miał szans się dowiedzieć, ponieważ wewnątrz tłoczyło się tylu policjantów, ilu dziennikarzy przed wejściem. Okna były otwarte, wszyscy palili, a przy stole głównym, niczym wódz prowadzący wojnę, siedział mały łysy facet z fajką w kąciku ust. Przed nim stała szklanka z bursztynowym płynem na dnie. Obok zaś pusta butelka whisky.

Poza komendantem nikt nie pił. Meyer z Domanem i Werą skupili się w najdalszym kącie. Trzymali w rękach jakieś papiery i dyskutowali zażarcie. Boziłow nawet nie próbował się do nich dopchać. Uznał, że najlepsza droga do celu to linia prosta. Postąpił dwa kroki i odezwał się tubalnie:

– Inspektorze! – Skłonił się łyseму. – Czym mogę służyć?

Czupryna bardzo powoli wyjął z ust fajkę, jakby nie był pewien, czy kiedy



przyjdzie mu ochota z niej pyknąć, zdoła ponownie trafić nią między wargi, a następnie sięgnął po czystą szklankę i podsunął lekarzowi. Bożiłow stanowczo pokręcił głową.

– Jestem w pracy.

– Radzę ci, wypij przed tą robotą – wymamrotał Czupryna, choć i bez tego widać było, że jest pijany w sztok. – Słyszałem o tobie, Bożiłow. Cieszę się, że mogę cię wreszcie poznać.

Bożiłow spojrzął na Huberta, szukając ratunku, ale ten tylko skinął mu głową i uśmiechnął się przepraszająco.

– Zostawcie nas – powiedział Czupryna i zebrani natychmiast ruszyli do wyjścia. – Wiecie, co macie robić. Przede wszystkim staramy się uniknąć paniki. Zostają tylko Meyer i Doman. Dwa Domany – poprawił się.

Werka oddała papiery Hubertowi i spojrzała z wyrzutem na komendanta, ale ten odwrócił głowę do okna. Myślał nad następną frazą bardzo długo, jakby jego zwoje mózgowy pracowały aktualnie w trybie awaryjnym.

– Koledzy i tak wszystko pani referują – mruknął nareszcie. – Zresztą niewykluczone, że będzie nam potrzebne wsparcie ministerstwa. Mogłaby pani lekko podprowadzić w tym kierunku męża. Byłbym wielce zobowiązany.

Werka prychnęła, wychodząc. Opuszczała pokój ostatnia, więc zamknęła drzwi.

W sali zrobiło się nagle cicho.

Czupryna długo się nie odzywał. Wpatrywał się przekrwionymi oczyma w pustą flaszkę. Wreszcie rzekł:

– Tomek, napełnij.

Młody Doman otworzył szafkę i wyjął z niej lejek oraz plastikową butelkę wypełnioną płynem w kolorze zawartości szklanki komendanta. Sprawnie przelał bimber do butelki po whisky, a potem postawił przed szefem.

– Musi pan wiedzieć, doktorze, że nie piłem dwadzieścia lat – oświadczył Czupryna. – Wcale – podkreślił.

– Nie jest to więc najlepszy pomysł – odważył się odezwać Bożiłow.

– A mumifikowanie ciał dzieci nim jest?

– To ta poszukiwana dziewczynka? – Lekarz spojrzął na Huberta. W jednej chwili pojął, że z Czupryną dziś nie pogada. – Jedenastoletnia Mirosława Grzybowska. Czytałem o niej w internecie. To córka tutejszego łowczego?

Czupryna napełnił szklankę Bożiłowa i swoją. Postawił przed doktorem.

– Siadaj pan – rozkazał.

Bożiłow ostrożnie odłożył teczkę, sięgnął po szklankę. Upił łyk trunku.

– Bardzo apetyczny bukiet – pochwalił, a potem pod pręgierzem spojrzenia komendanta wychylił zawartość do dna.

– Witamy na wschodzie. – Czupryna rozparł się na krześle. – Pytał pan o Mirę? Niestety, nie znaleźliśmy jeszcze dziewczynki.

Boziłow z trudem ukrywał zaskoczenie. Nie odzywał się jednak. Czekał.

– Nic nie prostujemy. Niech pismaki smarują, co chcą – kontynuował komendant. – Mumia wciąż jest N.N. Musi pan wiedzieć, że nie mieliśmy zaginięć dzieci na tym terenie. To dla nas nowość. Ale nie to przeraża mnie najbardziej...

Boziłow przełknął ślinę. Znów odwrócił się do Meyera, który nie zmienił pozycji, nie zbliżył się na krok. Stał wciąż w kącie i wyłamywał palce.

– Meyer, wyjaśnij, bo to twój kolega – zachęcił go komendant i uderzył się kilka razy po twarzy. – Strasznie jestem dziś zmęczony.

Hubert wyszedł wreszcie z kąta. Po drodze sięgnął po zdjęcia leżące na stole. Jedno z nich przedstawiało pucołowatą blondynkę w okularach. Położył przed Boziłowem.

– Znasz?

Boziłow długo przyglądał się kobiecie na fotografii. Marszczył się, coś mrucał pod nosem, ale ostatecznie pokręcił przecząco głową.

– Sandra Sowula. Twoja studentka. Sprawdziliśmy, że robiła u ciebie specjalizację.

– Może? – Boziłow się zawahał. – Nie przypominam sobie.

– No i właśnie w tym problem – zachnął się Czupryna, a potem nalał sobie kolejną działkę. Po namyśle jednak zrezygnował i odstawił trunek. – Bo nie wiemy, czy ta pani kończyła w ogóle jakieś szkoły.

– Co? – wyrwało się doktorowi. – Co wy pierdolicie?

– To, co wiemy na pewno, to to, że zaginęła – rzekł Hubert. – Zaginięcie zgłosił jej przyjaciel. Facet jest Francuzem. Przyjechał do firmy Grzybowskich, żeby przygotować do sprzedaży jedną z ich spółek. Z zawodu jest farmaceutą.

– Nie wiem, jaki to ma związek... – wtrącił się Boziłow. – I o co chodzi z tą Sandrą?

– Wszyscy tutaj nazywają ją Swieta.

– Swieta, Swieta... – Boziłow złapał się za głowę. – Coś kojarzę. Była taka. – A potem nabrał powietrza i dorzucił: – Ale łatwo to sprawdzić. Zaraz zadzwonię do asystentki, żeby postarała się o stosowne papiery.

– Będziemy wdzięczni.

– Co to wszystko znaczy? – Boziłow przenosił wzrok na kolejne osoby.

Doman ojciec i syn siedzieli markotni, jakby zrobiono ich z jednej gliny. Pochylone do przodu ramiona, zaciśnięte usta. Żaden się nie odzywał. Patrzyli na lekarza z nadzieją.

– Co to znaczy? Nie wiemy – przyznał Meyer. – Ale konieczna jest totalna dyskrecja. Dlatego tak zabiegaliśmy o ciebie.

– Dziękuję za zaufanie, Hubercie – zaczął patolog. – Czuję się zaszczycony. Wolałbym jednak wziąć się jak najszybciej do pracy. Znamy się tyle lat, więc bądź pewien, że to, czego nie chcecie ujawnić, wpadnie jak do studni – zapewnił. Przyjrzał się Hubertowi. – Umiem dotrzymywać tajemnic. Wiesz przecież.

W pomieszczeniu znów panowała cisza. Czupryna siedział osowiały, aż wreszcie głowa opadła mu na pierś. Ocknął się, udając, że nic się nie wydarzyło. Doman dał znak synowi, by zaprowadził komendanta do biblioteki, gdzie mógłby się dyskretnie zdrzemnąć.

Kiedy tylko zostali sami, Hubert pochylił się do Bożłowa.

– Musisz zbadać mumię. Pojedziemy skrótem.

– Nie macie jej w lodówce?

– Wciąż jest w lesie. Zależało nam, by nikt nie skontaminował miejsca jej odkrycia. Pilnuje jej gwardia ludzi Czupryny. Zwerbowaaliśmy też wojsko. Nawet szpilki się nie wciśnie. Zresztą upozorowaliśmy przewiezienie zwłok, nie martw się. Nasz człowiek w mediach kolportuje bezpieczne dane. To dlatego przed komendą jest taki tłum. Myślą, że dostaną jakiś komunikat albo zdobędą obrazki z przewożenia ciała.

Bożłow słuchał w milczeniu.

– Mam kalosze w bagażniku i resztę sprzętu – powiedział wreszcie, po czym wstał gotów do wyjścia. – Tylko zaparkowałem kilometr dalej.

– Kluczyki. – Hubert gestem pokazał, by patolog ponownie usiadł. – Doman przyprowdzi twój wóz i postawi na zapleczu. Wszystko ci dostarczymy – zapewnił.

– To nie koniec nowin? – domyślił się doktor.

Hubert pokręcił głową i sięgnął po bimber. Upił łyk z gwinta. A potem podał butelkę lekarzowi. Ten znów stanowczo odmówił.

– Jeśli mam się przydać, lepiej nie. Potem owszem. Podlaska szkocka najlepsze lekarstwo na stres – rzucił, by rozładować napięcie.

– Będziesz musiał zbadać ponownie pozostałe ofiary. Nie mamy pewności, czy Święta zrobiła to prawidłowo.

– Chodzi o te dokumenty? Chyba jednak ją pamiętam – zaproponował Bożłow. – Tak coś mi świta, że była całkiem niezła. Niestety, nie wiem, kiedy kończyła kurs... Tak jak obiecałem, moja asystentka to zbada. Pozwól mi tylko zadzwonić do Jadzi.

– Nie chodzi jedynie o kwity, Mario – przerwał mu Hubert. – Francuz twierdzi, że od listopada widział u niej w domu dziecko. Przedstawiła Mirę jako swoją siostrzenicę. Facet po polsku nie mówi wcale, a z angielskim tutaj, jak się domyślasz, słabo. Czekamy na tłumacza. Powinien być lada chwila. – Zatrzymał się, nabrał powietrza i mówił dalej: – Ale świadek rozpoznał kilka postaci ze zdjęć. Ksiądz Donat Giza, pierwsza ofiara, często odwiedzał Świętę. Opiekowała się też Tymkiem, chłopcem, z którego spuszczone krew. Lekarka pochodziła stąd, mieszkańcy jej ufali. Babcia Kupaty, trzeciego zamordowanego, ją uwielbiała, bo nałogowo kupowała jej

robótki ręczne. Kiedy tylko tutaj przyjechałem, uderzyło mnie, że lekarka zna zbyt wiele szczegółów. Podejrzewam, że od początku manewrowała śledztwem. Wodziła nas za nos, a co najgorsze, zna całość akt i wie totalnie wszystko, co kiedykolwiek zebraliśmy. Ta kobieta jest teraz główną podejrzaną. Nie chciałbym jednak, by dziennikarze przedwcześnie napisali, że to ona jest Balwierzem. To byłaby katastrofa!

– Mam więc podejść do sprawy, jakby nie sporządzono żadnej opinii? – upewnił się Boziłow. – Wiesz, że to praktycznie niewykonalne? Oględziny wstępne, rzecz niepowtarzalna.

– Właśnie dlatego prosiłem o ciebie. Nie jesteś tylko anatomopatologiem. Masz szósty zmysł do niewyjaśnionych okoliczności.

– Chcesz zacząć śledztwo jeszcze raz? – odgadł Boziłow. – Oczywiście nieoficjalnie?

Hubert potwierdził.

– Jeśli to Święta zabija, muszę ją przechytryć.

\* \* \*

#### **Przesłuchanie Jeana Baptiste'a Pilon z dnia 19.02.2021**

Prowadzi podkomisarz Tomasz Domański, przy udziale tłumacza języka francuskiego. Uczestniczy Hubert Meyer, psycholog śledczy. Rejestracja – TAK. Według oświadczenia ustnego świadek nie był karany za składanie fałszywych zeznań. Dla stron – obcy. Na prośbę świadka dokonano przeszukania jego lokalu zamieszkania i pobrano odciski palców do badań porównawczych. Świadek dobrowolnie przekazuje klucze do mieszkania oraz samochodu poszukiwanej Sandry Sowuli. Wyraża zgodę na analizę billingów, wiadomości tekstowych na wszystkich komunikatorach w swoim telefonie. Nie jest konieczna zgoda nadzorującego dochodzenie. Wyniki – w aktach. Świadek podtrzymuje swoje wcześniejsze zeznania złożone podczas pierwszego zgłoszenia o zaginięciu S. Sowuli.

– Nazwisko?

– Jean Baptiste Pilon.

– Zawód?

– Hmm... To zależy, we Francji jestem inwestorem.

– Co pan robi w Polsce?

– Zostałem wysłany, by przygotować do sprzedaży dwie spółki państwa Grzybowskich. Klinikę ortopedyczną i firmę spedycyjną. W jednej mam funkcję prezesa zarządu, w drugiej jestem udziałowcem i dyrektorem finansowym.

– Co pana łączy z panią Sowulą?

– Ze Świętą? Niewiele.

– Byliście parą?

– Sypialiśmy ze sobą, jeśli o to pan pyta. Ale to nie był związek. Moje dzieci mówią na taką relację FWB – *friends with benefits*. Ta nazwa w pełni spełniała nasze oczekiwania w tym względzie. Po prostu lubiliśmy się i czasem uprawialiśmy seks. Święta wiedziała, że wkrótce wyjadę. W Paryżu mam partnerkę i dzieci. Mój kontrakt kończy się na przełomie kwietnia i maja.

– Jak często sypialiście ze sobą?

– W środy i niedziele. Upprzedzę pana pytanie: rzadko zostawałem na śniadanie. Głównie ze względu na przysposobione dzieci.

– Dzieci?

– Często bywał u Święty chłopiec, a potem też dziewczynka. Ale ją rzadko widywałem. Najczęściej Święta opiekowała się Tymoteuszem.

– Co pan wie o tej sprawie?

– Wczoraj wieczorem Swieta miała przyjechać do mnie i nie dotarła. Przez całą noc nie odbierała telefonów. Nigdy wcześniej się to nie zdarzało. Nawet jeśli miała jakieś sprawy, zawsze mnie informowała. Trochę się zaniepokoiłem, więc pojechałem do niej z samego rana. Szyba w aucie, które jej pożyczyłem, była stłuczona. Na przednim siedzeniu leżała komórka. Wyglądało to tak, jakby ktoś ją tam wrzucił specjalnie. Auto jest zaparkowane na parkingu strzeżonym, więc zgłosiłem sprawę ochronie, domagając się wezwania policji. Sam wszedłem na górę. Jej mieszkanie było otwarte i splądrowane. Nie było ani Swiety, ani dziewczynki, którą się opiekowała. Dziś z gazet wiem, że nazywała się Mira Gry... Gry...

Świadek nie potrafi powtórzyć nazwiska zaginionej, ale wskazuje dziecko na fotografii pogładowej. Prowadzący okazuje telefon komórkowy zabezpieczony w samochodzie.

– Czy rozpoznaje pan ten telefon?

Świadek potwierdza, a potem zaprzecza.

– Tęczowa obudowa należy do Swiety. Czy telefon jest jej – nie wiem. Jest wyłączony.

– Dotykał pan auta, przedmiotów w mieszkaniu?

– Starłem się nie, ale chodziłem po mieszkaniu, otwierałem drzwi. Mogłem zostawić ślady. Poza tym wcześniej często u niej bywałem...

Kolejne pytanie zadaje H. Meyer:

– Wczoraj był czwartek. Mówił pan, że uprawialiście seks tylko w środy i niedziele...

– Zgadza się. Z tym że w ostatnią środę Swieta pracowała. To była wyjątkowa sytuacja. Zgodziłem się przebukować na czwartek, bo Swieta nalegała. Ona bardzo lubi nasze spotkania.

Prowadzący przesuwa w kierunku świadka zdjęcie Miry Grzybowskiej.

– Czy rozpoznaje pan to dziecko, którym opiekowała się pani Sowula?

– To mogła być ta dziewczynka.

– Wiedział pan, że jest poszukiwana?

– Nie.

– Nie czyta pan prasy? Nie używa internetu?

– Nie znam polskiego. Zaledwie kilka słów: „dziękuję”, „dzień dobry” i „jest kurewsko zimno”. W komórce używam języka angielskiego. Na brytyjskich i francuskich komunikatorach nie było nic o zaginięciu dziecka z Narwi.

– Nie rozmawiał pan z ludźmi? To była w tych rejonach głośna sprawa.

– Mieszkam w Białymstoku, Swieta też. Rzadko przyjeżdżałem do Narwi. Głównie gdy dostawałem zaproszenia na polowanie.

– Dlaczego więc fatygował się pan i jechał taki kawał, by zgłosić włamanie tutaj? W Narwi nie ma nawet komisariatu.

Świadek nie odpowiada.

– Nie łatwiej byłoby pójść na komendę w Białymstoku?

– Byłem. Zrobili notatkę i kazali mi odejść. Potem dowiedziałem się, że wczoraj odbywała się tutaj jakaś ceremonia. Miałem nadzieję, że moja koleżanka zapomniała mi o tym wspomnieć, skończyła jej się bateria w telefonie albo coś się wydarzyło. Prawdę mówiąc, przyjechałem, licząc, że ją zastanę i się rozmówimy na okoliczność zniszczonego auta. Byłem w jej domu. Nikt mi nie otworzył. Wtedy zobaczyłem tłum ludzi pod domem kultury. Pomyślałem, że wy potraktujecie sprawę priorytetowo... Poza tym... Jest jeszcze jedno. Kilka dni temu Swieta poprosiła mnie o załatwienie pewnego leku.

– Jakiego leku?

– Chodziło o profesjonalny środek, którego używają anestezjologdy. Wiedziałem, że jej rodzice są w ciężkim stanie, i podejrzewałem, że chce dokonać eutanazji.

– Załatwił pan ten lek?

– Nie. Ale Swieta jest przedsiębiorcza. Myślę, że jeśli chciała pomóc odejść swoim rodzicom, mogła go zorganizować samodzielnie. Poprosiła mnie, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Trochę się o to posprzeczałyśmy... Miała często dzieci w domu. Trzymanie takich środków bez kontroli bywa niebezpieczne.

– Jak Swieta traktowała tę dziewczynkę?

– Jak swoją siostrzenicę. Z czułością. Bardzo o nią dbała.

– Powiedziała panu, dlaczego się nią zajmuje?

– Jej kuzynka Basia ma problemy z mężem. Pokłócili się i Swieta chciała pomóc. Bardzo jej zależało, żeby się nie rozwodzili.

– Dlaczego?

– Swieta straciła męża na wojnie. Ma już trzydzieści osiem lat. Obawiała się, że nie będzie mogła mieć dzieci, a bardzo chciałyby mieć. Żartowała czasem, że ucieszyłyby się, gdybym zostawił jej taką pamiątkę. Nie chciała rozbijać mojej rodziny. Po prostu oboje byliśmy tutaj samotni.

– Wie pan, że gdyby zaszła w ciążę, mogłaby wystąpić o alimenty? W Polsce kobiety są pod tym względem chronione prawnie.

– To były tylko żarty.

Prowadzący przesunął w kierunku świadka kilka fotografii: odpowiednio Donata Gizy, Jana Kupały, Tymoteusza Wątlego, Dobrawy Wątlej, Barbary Grzybowskiej.

– Znał pan którąś z tych osób?

– Wszyscy bywali u Swiety. Basia mieszkała nawet jakiś czas. Przemiła osoba. Wtedy Swieta częściej nocowała u mnie.

– Wie pan, że trzy z tych osób nie żyją?

Świadek potwierdza.

– Czy w nocy z 14 na 15 lutego Swieta nocowała u pana?

– Doskonale to pamiętam, bo były walentynki. Spotkaliśmy się na kolacji, a potem ktoś do niej zadzwonił i pojechała do pracy. Od tamtej pory praktycznie się nie widywaliśmy. Była bardzo zajęta. Rzadko też dzwoniła i pisała.

– O której otrzymała telefon? Mówimy oczywiście o walentynkowej nocy...

– Druga, może kwadrans po. Byłem trochę zły, bo liczyłem, że akurat tej nocy zostanie do rana. Była przecież nasza niedziela...

– Wie pan, dokąd pojechała?

– Nie mam pojęcia, ale słyszałem tę rozmowę. Swieta była wzburzona. Niestety, nie wiem, o czym mówiła. Rozmowa toczyła się w języku polskim. Pojawiało się jednak słowo Tymek, a dziś wiem, że chodzi o chłopca, którego znaleziono martwego w kapliczce Hubertusa. Wybiegła ode mnie bez pożegnania.

– Czy potem nocowała jeszcze u pana?

– Nigdy więcej nie spaliśmy ze sobą. Mijałem ją raz na ulicy i kilka razy przyszła po coś do biura prezesa Grzybka. Prawdę mówiąc, ucieszyłem się, że chce się spotkać. Ustaliliśmy randkę na wczorajszy wieczór, chociaż to nie była środa. Nie przyszła.

– Czy kiedykolwiek widział pan w jej mieszkaniu broń?

– Nigdy. Nie sądzę, by umiała strzelać.

– Zdarzyło się coś, czym chciałby się pan jeszcze podzielić?

– Nie wiem, czy to istotne, ale raz byłem świadkiem, jak chowała do lodówki pojemnik z ciemnym płynem. Kiedy spytałem, co to takiego, bardzo się zdenerwowała. Potem widziałem taki sam w telewizji. Mówiono, że była w nim krew.

– Wcześniej wspominał pan, że nie śledził wiadomości na polskich portalach.

– Nie śledziłem. Ale w biurze, w poczekalni, mamy telewizor. Tego dnia, kiedy odkryto ciała w lesie, pracownicy przesiadywali tam cały czas. Jestem pewien, że Swieta miała wtedy w lodówce identyczny pojemnik na krew.

– Skąd pan wie, że była w nim krew?

– W klinice ortopedycznej ojca małej Miry, którą nadzoruję, mamy podobne. Rozmawiałem z magazynierem. Zagięły trzy sztuki. Musiałem to ująć w tabeli strat. One mają nasz logotyp. Mogę pokazać na wzór. Może to właśnie te, których poszukujemy?

– Czy uważa pan, że pani Sowula mogłaby zrobić dziewczynce jakąś krzywdę?

– W żadnym razie! To jest dobra kobieta. Martwię się po prostu, w co się uwikłała. Jeśli została uprowadzona, broniłaby Miry jak własnego dziecka. Dałaby się za nią zabić!

\* \* \*

Twarz ofiary była gładka, woskowa. Zdawało się, że śpi. Nie wykrzywił jej żaden grymas. Gdyby nie wyraźne zaczerwienienia wokół oczu i ust, można by przypuszczać, że ciało wykonano z plastiku albo starej, poźółkłej porcelany.

– To chłopiec? – spytał Hubert, kiedy pokonał zasieki patroli i dotarł do miejsca oględzin, gdzie od kilku godzin pracował Boziłow. – Czy sprawca ostrzygł mu włosy i przebrał?

Lekarz podniósł się z kolan. Otrzeptał kombinezon. Zawahał się, nim potwierdził.

– Zdecydowanie płęć męska. Siedemdziesiąt procent wysuszenia powłok zewnętrznych. Dlatego bardzo trudno będzie stwierdzić przyczynę zgonu. Nie wiem, czy uda mi się ustalić dokładny czas śmierci, bo narządy wewnętrzne są płaskie i skurczone, a skóra tak stwardniała i przywarła do szkieletu, że nie jestem w stanie wnioskować o ewentualnych obrażeniach. Do mumifikacji w sprzyjających warunkach dochodzi nawet w ciągu trzech tygodni do miesiąca, więc na tę chwilę szacuję, że zmarł rok temu, może jeszcze wcześniej... – Urwał.

– Jak doszło do strupienia? Balsamował zwłoki? Używał jakichś chemikaliów?

Boziłow gwałtownie zaprzeczył.

– Proces mumifikacji nastąpił naturalnie. Ciało po śmierci musiało przebywać w ciepłym i suchym pomieszczeniu. Szczelnie zamkniętym, tak by nie dostały się do niego muchy i nie mogły złożyć jaj na zwłokach.

Hubert milczał. Przyglądał się odzieży, w którą ubrano mumię: niebieskiej kurtce i spodenkom, które wyglądały na nowe. Na podeszwach butów wciąż widniały sklepowe metki.

– Przebrał go? Te rzeczy nie należały do tego dziecka?

Boziłow odchrząknął. Poleciał profilerowi pochylić się niżej. Meyerowi wydawało się, że ma przed sobą nie zmumifikowane zwłoki, lecz lalkę. Ubraną i upozowaną na pokot. Nie wiedział jeszcze, co to może znaczyć, ale kazał nagrać film i wykonać szereg szczegółowych fotografii. Sam wyjął komórkę, zrobił zdjęcie.

– To nie jest dziecko, Hubercie. Leży przed tobą dorosły mężczyzna.

Boziłow odsłonił rękaw mummii. Na przedramieniu widniał tatuaż z kotwicą i kilka blizn. A potem rozchylił kurtkę ofiary. Cały tors zdobiły pomarszczone tatuaże. Kiedy rozpiął spodenki, ich oczom ukazało się nieproporcjonalne do wielkości całego ciała przyrodzenie.

– Ofiara to mężczyzna w wieku około czterdziestu lat. Najprawdopodobniej wschodniego pochodzenia. – Boziłow sięgnął po lupę i wskazał na ramionach napisy wytatuowane cyrylicą. Powtórzył: – Wygląda jak dziecko, ale to była osoba dorosła. Ciało skurczyło się, wyschło. Kiedy zabiorę go do siebie, będę mógł powiedzieć ci orientacyjnie, ile mierzył za życia. Postaram się też spreparować elementy skóry z tatuażami, jeśli byłaby na to zgoda prokuratury. Może po nich udałoby się go zidentyfikować.

Hubert przyglądał się mummii, nie mogąc wydusić ani słowa. Wreszcie rzekł:

– Czyli to dorosły facet, który został zamordowany latem albo wczesną jesienią i ukryty w suchym, zamkniętym szczelnie lokalu?

– Niekoniecznie latem – sprostował Bożiłow. – Znane są przypadki strupienia zimą. Całkowite zamknięcie nie jest warunkiem. Czasami proces naturalnej mumifikacji wygrywa z procesami gnilnymi, mimo że muchom udaje się złożyć jaja.

– Co jest więc konieczne?

– Tam, gdzie go trzymano, jest sucho i przewiewnie. Musi także panować stała, dosyć wysoka temperatura.

Hubert się zastanawiał.

– Masz pomysł, gdzie to mogłoby być? Tutaj wszędzie jest wilgoć. Rzeka w pobliżu.

– Czy tutejsi wciąż nie mają pieców w domach? Tak w każdym razie pokazują Podlasie w telewizji... – zasugerował Bożiłow. – Na takim piecu trzymano kiedyś kołdry. Niektórzy wręcz tam spali. W ruskich bajkach są takie sceny. – Zawahał się. –

Gdyby ktoś miał obok ciepłej ściany obórkę, drewnię albo szczelnie zamykaną szopę i schował tam właśnie ciało, mogłoby dojść do naturalnej mumifikacji.

– Hmm... – Hubert zamyślił się, jakby szukał takiego miejsca w pamięci. Poklepał Bożiłowa po ramieniu. – Dzięki, że przyjechałeś.

Odwrócił się i już miał odejść, kiedy anatomopatolog za nim zawołał:

– Hubercie! Przyjrzałem się także pozostałym ofiarom i zweryfikowałem to, co zobaczyłem, z raportami pani Sowuli...

Meyer natychmiast zawrócił. Wpatrywał się w lekarza w napięciu.

– Znalazłeś coś?

Bożiłow pochylił głowę, a potem nagle ją podniósł.

– Sądzę, że podejrzewacie ją bezpodstawnie – zaczął. – Kobieta wykonała kawał solidnej roboty i właściwie nie znalazłem uchybień.

– Co to znaczy, że „właściwie” nie znalazłeś?

– Jest tylko jedna rzecz... – Doktor się zawahał. – Ale to nie musi być torpedowanie śledztwa.

– Co masz na myśli?

– Chłopiec nie zginął w wyniku upływu krwi, choć rzeczywiście są objawy wykonywania wielokrotnej flebotomii. Myślę, że trop ze spuszczeniem krwi jest ślepym zaułkiem. Nie idźcie w to.

– Jaka jest więc przyczyna zgonu Tymoteusza?

– Utonięcie wtórne. Chłopiec wcześniej się topił, a potem poczuł się zmęczony i najprawdopodobniej położono go spać. Zmarł we śnie. Dławiąc się wodą, która pozostała w płucach. To bardzo rzadkie przypadki i trudne do wykrycia. Święta mogła o tym nie wiedzieć. Większość moich kolegów by tego nie zauważyła.



– Gdzie się topił? – zdziwił się Hubert. – Rzeka o tej porze roku jest skuta lodem!

– Nie mam pojęcia – przyznał Bożiłow. – Mówię ci tylko to, co ustaliłem na szybko. To słodka woda. Chłopiec mógł się utopić nawet w wannie. Albo... – Przerwał na chwilę. – Słyszałeś o bestialskiej praktyce przesłuchań CIA? Podtapianiu...

– A co z ranami na przedramionach i śladami po wkłuciach?

– Flebotomii dokonywano za jego życia wielokrotnie. Natomiast największe nacięcia zostały zadane pośmiertnie. Dziecko musiało zostać przetransportowane do miejsca odnalezienia w niedługim czasie od zgonu. Proces sztywnienia nastąpił w tej temperaturze bardzo szybko.

– Co to może oznaczać?

– Poza suchym i przewiewnym pomieszczeniem powinieneś poszukać też balii, bani, wanny. Miejsca, w którym ktoś trzyma wodę. Istnieje ewentualność, że do śmierci chłopca doszło przypadkiem, a resztę zainscenizowano, by odwrócić waszą uwagę.

– Chcesz powiedzieć, że Balwierz z Narwi nie istnieje?

– Nie wiem, na jakiej podstawie wyciągnęliście takie wnioski, ale moim zdaniem dziecko zginęło w towarzystwie kogoś, kto ma dostęp do takiego zbiornika.

– Do wanny? – zachnął się Hubert. – To może być każdy mieszkaniec okolicy!

– To nie jest duża miejscowość – zauważył Bożiłow. – Wierzę, że ostatecznie uda ci się dojść do prawdy. A gdyby cię to interesowało i było do czegoś przydatne, to ten wilk, który towarzyszył mumii N.N., został pokolorowany. Przed położeniem farby miał klasyczne umaszczenie. Ktoś bardzo chciał, by wyglądał na syberyjskiego.

– Jakim cudem to stwierdziłeś? – zdziwił się Hubert. – Nie masz tutaj labu ani niczego takiego!

– Żyję w jednym mieszkaniu z kobietą, która co dwa tygodnie maluje sobie włosy na blond. Wiem, jakie ślady zostawia jej farba, gdy dłużej potrymasz – obruszył się Bożiłow. I dodał: – Tego wilka próbowano wypchać. Robił to amator, a może i cel był taki, i został osiągnięty. Trofeum jest wiekowe. Wprost rozpada się w dłoniach.

\* \* \*

– Masz ochotę na maca? – Hubert usłyszał głos Wery, a dopiero potem ją zobaczył.

Wysiadła z nowiutkiego czarnego porsche. Zdawało się, że z rury wydechowej zwisa jeszcze metka.

– Zawsze – odparł i roześmiał się, bo na butach prokuratorka nosiła niebieskie ochraniacze.

– Mąż utrze ci nosa, jak nabrudzisz?

Nachmurzyła się tylko na chwilę, a potem mu zawtórowała.

– To mój wóz – prychnęła. – Prezent z okazji pierwszej miesięcznicy ślubu.

Hubert stał oniemiały. Po czymś takim trudno mu będzie jej zaimponować.

– Włódkowi nic do tego, jak użytkuję te piękne dywaniki. Choć miło z jego strony, że przysłał mi je z kierowcą, a nie kazał najpierw tłuc się autobusem do Warszawy po podlaskich drogach. Nie martw się. Odprawiłam faceta – ciągnęła. – Ale powinieneś wiedzieć, że Włodek chyba nie do końca wierzy w tego wirusa.

Profiler nadal milczał. Przyglądał się jej nieprzeniknionej twarzy i zastanawiał się, o co tak naprawdę jej chodzi. Nie dała mu dotąd żadnego sygnału, że chciałaby się do niego zbliżyć. Zresztą nieustannie przebywali wśród ludzi, a w chatce cały czas przesiadywał Doman. Hubert by jednak skłamał, gdyby powiedział, że nie myślał o niej, kiedy chodziła w swoim stroju do biegania, który służył jej tutaj za pizamę.

– To co, zgłodniałeś?

– Trzeba by jechać do miasta – zdecydował się w jednej chwili. – Masz dla mnie ochraniacze? Bo nie wiem, czy stać mnie na pranie tych chodniczków.

Oboje przyjrzeni się jego rozpadającym się i zabłoconym butom.

– Powinieneś z nią pogadać – powiedziała Wera.

– Z kim? – Ocknął się, jakby uderzyła go po obolałej głowie, tym samym po barbarzyńsku sprowadzając jego myśli na właściwe tory.

– Z siostrą Dobrej. I przyjaciółką naszego wspólnego wroga. Doman twierdzi, że dziś transportują ją do Warszawy. Wiem, że na miejscu czeka już na nią adwokat.

– Wyjdzie za kaucją i spotka się z Kołomyjskim – dopowiedział.

Wera obejrzała się na drogę. Zbliżał się do nich pieszy patrol w postaci Waldki z Czołgiem w pełnym umundurowaniu i pod bronią. Zdawali się tak zaafelowani rozmową, że nie widzieli niczego dookoła.

– Jedźmy! – Hubert chwycił Weronikę za ramię i pociągnął do samochodu. – Jestem cholernie głodny.

– Będę prowadziła – zastrzegła i podała mu nowy komplet ochraniaczy. – Przeżyjesz, jeśli to założysz? Nikt nie zauważy.

– A już myślałem, że dasz się pobawić swoim nowym cacuszkiem. – Udał, że narzeka, i z rozmysłem zmienił temat, by się uspokoić. – Od kiedy nim jeździsz?

– Już pół godziny, ale wygląda na to, że byliśmy sobie przeznaczeni. – Wzruszyła ramionami i ruszyła z piskiem opon. – Zanim przejdziemy do spraw nieprzyjemnych, powiedz, co z Balwierzem. Z tego, co mówi Czupryna, nie jest ciekawie. Uprzedziłam Włodka, że może być potrzebny... Czekam na sygnał. Ale pomoże, skoro szarpnął się na takie auto – trajkotała.

Hubert milczał przez chwilę.

– Dlaczego nie wyjechałaś? – spytał. – Nie musisz tu siedzieć ani mi pomagać.

Spłoszyła się, jakby tym pytaniem ją zaskoczył.

– Nie wierzę, że nie masz roboty w stolicy. O co chodzi? – dociekał.

– Wolałbyś, żeby mnie nie było?

– Wiesz dobrze, co bym wolał... – Urwał.

Kliknęła w odtwarzacz i z głośników popłynęło Love & Hate Kiwanuki. Słuchali w milczeniu. Hubert nie miał śmiałości spojrzeć w twarz Wery, więc przyglądał się jej dłoniom. Obrączka z diamentem błyszczała na serdecznym palcu jak wyrzut sumienia. Wiedział, że minister Czajkowski ma identyczną i nie byłby zadowolony, gdyby ich przyłapał na potajemnej wyprawie na lunch.

– O tym też powinniśmy kiedyś pomówić – szepnęła i przewinęła następny utwór. Było to *Brothers in Arms*.

– Może teraz masz chwilę? – Hubert się uśmiechnął. Kliknął w aplikację i znalazł najbliższego McDonalda. – Mamy jakieś czterdzieści minut.

Nie odpowiedziała. Patrzyła na drogę i trudno było zgadnąć, o czym myśli. W końcu przyciszyła muzykę. Gitara Dire Straits wciąż mruczała w tle.

– Nie słyszałem tego z tysiąc lat – powiedział, by przeciąć krępującą ciszę.

– Zaczyna mnie to męczyć – oznajmiła.

Tym razem to on spojrzał na nią zaskoczony.

– Odpychasz mnie i przyciągasz. Całujesz, znikasz... A kiedy przyjechałam, prawie ze mną nie rozmawiasz – poskarżyła się.

– Co mam ci powiedzieć?

– Może prawdę? O co ci tak naprawdę chodzi?

– A tobie? – Przekrzywił głowę.

Wera docisnęła gaz, aż wbiło go w fotel.

– Przyjaźnimy się – zaczęła i dodała twardo: – Nie psujemy tego.

– Nie zamierzam.

A potem wyciągnął dłoń i pogładził ją po włosach.

– Co robisz? – syknęła.

Natychmiast zabrał rękę.

– Zapomniałem już, jakie są miękkie – powiedział z diabelskim błyskiem w oku, widząc rumieniec na jej twarzy. – To było takie małe pożegnanie.

Znów jechali jakiś czas w ciszy.

– Bożków twierdzi, że chłopak się utopił – zaczął służbowym tonem. – Nie spuszczone z niego krwi. Utopił się – powtórzył.

– Jakim cudem? Gdzie? – podchwyciła wątek.

Wiedział, że oddycha z ulgą, kiedy zmienił temat. Był totalnie skołowany, bo sama zaczęła, zaprosiła go na wycieczkę, a kiedy wykonał ten ruch, zdawała się urażona. Przez chwilę myślał, czy nie posunąć się dalej, ale nie czuł się w tej chwili na siłach bawić się w zgadywanki. To, co sobie teraz powiedzieli, niczego nie zmieniało. Sprawilo jedynie, że atmosfera zgęstniała. Czuł jednak perwersyjną radość. Werka pierwszy raz okazała zniecierpliwienie. Może chciała tego romansu i była zła, że

godzi się na jej warunki, zamiast przejąć inicjatywę?

– Mówi, że to utonięcie wtórne – kontynuował. – Ta informacja całkowicie zmienia przebieg wydarzeń.

– Co tak naprawdę stało się w tym lesie? Możesz mi wyjaśnić? Bo obserwuję to z boku i zdaje mi się, że nic się nie klei. Postrzał księdza, utopione dziecko, kościelny zabity rogiem jelenia, zaginiona córka łowczego. I do tego jeszcze ta mumia...

– Też odnoszę wrażenie, że mamy niewąskie luki w danych – zgodził się z nią. – Jakby brakowało sporej liczby puzzli do układanki. Kiedy zostaną ujawnione, wszystko się ułoży – podkreślił.

– Rozumiem, że to, co napisałeś ostatnio, można wyrzucić do kosza?

– Niekoniecznie. Nadal uważam, że mamy do czynienia ze sprawcą wiodącym i z pomocnikami. To jednak, że dziecko się utopiło, zmienia początek historii. I najprawdopodobniej motyw.

– Czyli jaki teraz jest? Ostatnio lobbowałeś za rodzinnym porwaniem małej Miry.

– Wciąż twierdzą, że to wątek poboczny – odparł. – Wygląda na to, że dziewczynka cały czas była bezpieczna u Swiety.

– Wierzysz, że to może być ona? Pracowała przy dochodzeniu, miała dostęp do najświeższych informacji... Nie zająknęła się, że dziecko jest u niej, nawet kiedy zaczęły się anonimowe telefony i listy... A może to ona je pisała?

– Nie sądzę – zaprzeczył. – O przetrzymywaniu Miry milczała z jakiejś przyczyny. Może nawet w dobrej wierze. Gdyby nie jej francuski kochaś, nigdy byśmy się o tym nie dowiedzieli. Nie było w jej interesie naprowadzać nas na swój trop. To zrobił ktoś, kto jej źle życzył.

– Czyli?

– Wróg. Konkurent. Antagonista – wymieniał. – Jak zwał, tak zwał. Nie sądzę, by to Swieta była Balwierzem.

Werka gwałtownie przyhamowała na światłach. Wjeżdżali już do Białegostoku.

– Czupryna obstawia właśnie jej kandydaturę.

– Owszem, Swieta miała sposobność, by zastrzelić księdza, i była jedną z pierwszych na miejscu zdarzenia – zaczął. – Kiedy zginął Kupała, również przebywała w Narwi. Znała Mirę i Tymka. Wiedziała, że tej nocy chłopiec będzie pod opieką Puchacza. Przyjaźniła się z Mańkiem, więc zdawała sobie sprawę, że za pomocą czipa na obroży wilka można prześledzić jego trasę. Miała też dostęp do aplikacji. Ale sama mi o tym powiedziała. To od niej wiedzieliśmy o czipie. Po co miałyby tyle zdradzać? – Zawahał się. – Nie, Swieta nie jest typem popisywacza. To robi mężczyzna pragnący sławy.

– Nie pierwszy raz sprawca udaje pomocnika policji – zwróciła uwagę Wera. – To najlepszy sposób na skierowanie śledztwa na lewe sanki. Francuz nie dał jej alibi na żadną z newralgicznych nocy.

– To jeszcze o niczym nie świadczy.

– Owszem, ale gdyby narzeczony pochodził stąd, nie puściłby pary z ust. Zobacz, co się działo, kiedy zginęła dziewczynka.

Hubert nie odpowiedział.

– A więc uważasz, że miejscowi ukrywają coś jeszcze – stwierdziła Wera dobitnie. Podjechała do mikrofonu. – Dla mnie podwójny mcroyal z zieloną herbatą. A ty?

– To samo. Z colą bez lodu. I ciastko z jabłkiem.

– Kawa karmelowa? – dopytała.

Skinął głową i podał jej kartę.

– Wobec tego jeszcze dwie kawy – podyktowała, a potem podjechała do przodu tak gwałtownie, że Hubert już widział w wyobraźni rozbity zderzak. Aż zabolowało go w żołądku, jakby dostał kopniaka w brzuch.

– To od początku jest oczywiste – dodał, siląc się na spokój. – I rozgrywa się w wieloboku, w którym jakimś cudem uczestniczy syn naszego przyjaciela.

– Nie możecie po prostu przycisnąć podejrzanych?

Podawała mu torebkę z jedzeniem.

– Ale jestem głodna. – Wskazała nieduży murek. – Stanę tam. Jak się pożywimy, będziemy mogli w spokoju zapalić.

– Jesteś aniołem.

Rzucili się na jedzenie i już po drugim kęsie Hubert miał dzinsy uwalane majonezem.

– Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym wysiadł? – Wskazał plamy na spodniach. – Następnym razem mogę nie trafić.

Wera go nie słuchała.

– Ja też myślę, że Swieta nie jest Balwierzem. Trudno mi uwierzyć, by czaiła się w krzakach na księdza i podstępnie topiła dzieci. Prędzej podejrzewałabym Dobrą.

– Bo wygląda jak narwiańska piękność?

– Nie schlebiaj sobie. Nie jestem zazdrosna.

– Szkoda – mruknął z uśmiechem. – Mogłabyś chociaż trochę...

Wera nie odpowiedziała. Kontynuowała arcy poważnie:

– Dobrawa doskonale strzela, korzysta na śmierci księdza najwięcej i mogła przypadkiem utopić syna. Jeśli to utonięcie wtórne, niewykluczone, że doszło do niego przed jej wyjazdem.

– To tak nie działa – zaproponował. – Już mówiłem o tym z Bożiłowem.

– Ale jeśli to był wypadek, chciałyby wyeliminować świadków – ciągnęła Wera. – Jej kandydatura wyjaśniłaby wiele wątpliwości.

– Nie było jej tutaj – powtórzył. – Teleportowała się?

– To, że przywieźliście ją do Narwi po południu następnego dnia, nie znaczy, że nocowała w Suwałkach. Moim zdaniem nawet to, że nocowała w hotelu, nie jest takie pewne. Posłali tam kogoś do rozpytania obsługi?

– Nie nocowała w hotelu. To był prywatny apartament. I nikt nie będzie z nami gadał, bo wynajęła go nielegalnie. Jest zakaz prowadzenia działalności tego typu.

– To jedźmy tam teraz – zaproponowała Wera. – Przy okazji dowiemy się, co tak naprawdę Dobra robiła w firmie Puchacza. Mówiła o księgowości, szkalowała wspólników, a przecież interesy tych ludzi mogą być połączone. Uciezka Basi też niekoniecznie musi się wiązać z córką. Jeśli Grzybowska wiedziała, że Mira jest bezpieczna u Swiety, mogła zwać z całkiem innej przyczyny. Nie zapominajmy o jej romansie z Domanem i pełnej bańce na koncie jej rodziców, które przelała im Dobra.

– O nie, nie namówisz mnie na skok do Kamienia Pomorskiego, by weryfikować tę informację – zaproponował Meyer. – Choć ten wóz to prawie tak piękny kociak jak ty.

Posłał jej całusa. Rudy się roześmiała. A potem wzięła gryz hamburgera i mówiła dalej z pełnymi ustami. Hubert z trudem ją rozumiał.

– Swieta była blisko z obiema matkami. Zarówno z Dobrą, jak i Basią. A te dwie ze sobą rywalizowały. Przynajmniej o względy młodego Domana. Jeśli konkurencja przebiegała tak ostro na tej linii, mogły być też inne konflikty. Nie wiem, jak to jest u facetów, ale u kobiet przebiega zwykle jednakowo. Najpierw wielka przyjaźń, potem zazdrość, zdrada i nienawiść do grobowej deski. Niektóre z pozoru słodkie istoty potrafią być nadzwyczaj mściwe.

– O tym nie trzeba mnie przekonywać – zgodził się Hubert, wyjmując długopis.

Zaczął rysować na kartonie po hamburgerze rodzaj gwiazdy. Każdy z jej rogów oznaczył imieniem: Dobra, Basia, Donat, Puchacz, Doman junior, Grzybek, Kupała. Następnie połączył te punkty w linie, w samym środku zaś napisał imię Swiety, a potem skreślił je i postawił znak zapytania.

– Tego człowieka szukamy – powiedział i nagle zaczął pośpiesznie sprzątać.

– Co się stało? – zaniepokoiła się Weronika. – Dziwnie się zachowujesz.

– Popełniłem wielki błąd. – Hubert szarpał się za włosy. – Zjebałem hipotezy.

– Chyba nie pierwszy i nie ostatni raz. To normalne w tej robocie – starała się go pocieszyć.

Hubert podniósł karton z imionami. Werka wpatrywała się w gwiazdę nierozumiejącym wzrokiem.

– Oni są tylko pionkami. Używa ich do grania pewnych ról.

– Co ty chrzanisz? Jakich znów ról?

– Wiedział, że Donat pójdzie nielegalnie polować i że zabije wilka.

– Tego nie mógł wiedzieć – zaprotestowała Werka. – A gdyby wilk się nie pojawił?

– Donat miał zginąć tej nocy – powtórzył Hubert. – Tak samo jak Kupała

następnej... Byłem na polanie, kiedy kościelny zbierał poroże, i najprawdopodobniej sprawca nas obserwował.

– Gdyby chciał zabić Kupałę, by ten go nie wydał, mógł to zrobić dużo wcześniej. Tej nocy w lesie było pełno policji. Sporo ryzykował... – zauważyła Weronika.

– Zgadza się – potwierdził Hubert. – Dlatego myślę, że poszukiwany przez nas człowiek się przestraszył.

– Czego?

– Coś między nimi zaszło – zaczął i urwał. – Święta przyjaźniła się z babką Kupały. Przetrzyzymała Mirę, a Tymek już nie żył... Nie uratowała chłopca, bo miała randkę z Francuzem.

– Sugerujesz, że ktoś od początku konsekwentnie wrabia Świętę? – wtrąciła się prokuratorka. – To zbyt fantastyczne!

– Niekoniecznie – zaprzeczył Hubert. – Lekarka mogła być na miejscu zdarzenia za każdym razem.

– I była. – Wera pokiwała głową.

– Pracowała dla nas, była odpowiedzialna, więc przyjeżdżała na każde wezwanie – podchwycił Meyer. – Była lekarzem: mogła spuścić z dziecka krew, zmumifikować ciało, przebić gardło osiłka Kupały tyką z poroża... Święta pasuje do wszystkich, bo ze wszystkimi miała kontakt. Sprawca chce, byśmy tak myśleli – podkreślił.

– Kto niby jej tak nienawidzi?

Hubert długo nie odpowiadał.

– Ta nienawiść musiała rosnąć już jakiś czas. Święta opowiadała, że kiedyś, podczas polowania, ktoś do niej strzelił. Dokładnie jak do Donata: z odległości. Wtedy uratowała ją Dobrawa. Święta twierdziła, że tylko dlatego zносиła fochy przyjaciółki i akceptowała wszystkie krzywe akcje. A jeśli to było ostrzeżenie, a nie dar życia? – Hubert się zatrzymał. – Dopiero teraz mnie olśniło! Co wyjaśnia, dlaczego Dobra nie cierpi zaledwie po śmierci dziecka, rozgrywa majątkiem, pogrąża Puchacza i chce uwieść starego policjanta.

– Chciała cię uwieść? Gratulacje – zakpiła Wera.

– Nie mnie, Rudy – zaproponował Hubert. – Inspektora Czuprynę.

– A co on ma do tego?

– Jak myślisz, dlaczego tak się upił, kiedy przyjechał Bożiłow?

– Bo się wkurwił, zestresował i miał dosyć? Bo nie miał jeszcze na terenie tak beznadziejnej sprawy, mumii i tabunu dziennikarzy przed bramą?

– Trzeba koniecznie spytać Bożiłowa, czy da się ustalić ojcostwo Tymka. A jak się da, to i macierzyństwo...

– Co ty chrzanisz? – oburzyła się Weronika. – Całkiem ci odbiło!

– Najpierw pojedźmy do Suwałk i zbadajmy człowieka od apartamentów Bocian. Może dowiemy się, z kim Dobrawa spędziła feralną noc. – Urwał. – I jest jeszcze coś.

Chociaż nie wiem, czy w ogóle powinienem o tym wspominać...

– Dotyczy sprawy domowej czy naszego łóżka? – Wera zachichotała.

Hubert jej zawtórował, a potem nagle spoważniał.

– Żadnej z tych rzeczy.

– Zamieniam się w słuch.

– Bardzo mnie ciekawi, dlaczego akurat do tej sprawy inspektor Czupryna pofatygował się do Narwi. Tomek mówił, że na oględzinach nie bywa nigdy.

– Może ze względu na medialność tej sprawy? Zbiera punkty z okazji Balwierza?

Hubert pokręcił głową.

– Wtedy to był tylko zwykły postrzał – podkreślił. – Dziecko znaleźli potem, kiedy inspektor był już na miejscu.

Zatrzymał się, zapatrzył w okno. A potem spojrzał Werce głęboko w oczy.

– A może przyjechał tak samo, jak ty do mnie? Przecież nigdy nie robisz takich rzeczy. Pracujesz w stolicy...

– Uważasz, że jego kochanka znalazła się w niebezpieczeństwie?

Meyer wzruszył ramionami.

– To nie ten typ człowieka. Dla kochanki by tego nie zrobił. Ale dla miłości życia owszem. – Odetchnął głęboko. – Widziałem go na fotografii z polowania, którą Dobra miała w domu. Wpatrywał się w nią jak sroka w gnat. No i nie nosił tych wstrętnych kraciastych koców.

\* \* \*

– Tak, to mógł być on – potwierdził mężczyzna. – Kraciasta kurtka i kaszkiet. Twarzy nie zauważyłem. Przywiózł ją nad ranem i czekał, aż wejdzie. Kąpała się chyba ze dwie godziny, bo widziałem, jak licznik się kręcił – dodał. – Gdyby nie uiścił górką, zażądałbym dopłaty. Czasy są ciężkie. Woda i szambo kosztują.

Hubert spojrzał na Werkę triumfująco.

– Jak często przyjeżdżali?

– Raz w miesiącu, ostatnio częściej. Czasami przywoził ją taki młodszy, przystojny, o twarzy zakapiora. Przy pasku miał zawsze kaburę. Jestem pewien, że nie była pusta.

Wera pokazał mu zdjęcie Puchacza.

– To on – potwierdził hotelarz. – Nie wstydził się z nią pokazywać i zawsze zostawiał dobry napiwek. Nie to co ten łysol. Przemykał chyłkiem. Nigdy nie parkował na podjeździe.

– Pewnie bywał pan w pokoju pod jej nieobecność – zaczął Hubert, ale mężczyzna spłoszył się i zaraz pokręcił głową.

– Nie mamy takiego zwyczaju – uciął. – To prywatna sprawa gości.



– Chodzi mi o to, czy kiedykolwiek widział pan u niej broń.

Mężczyzna nie odpowiedział od razu.

– Wiem, kim jest ten facet w kratkę. Widziałem go w telewizji. To szycha w policji. Teraz już wiem, że ten drugi z kłamką też był gliniarzem.

– Dlatego boi się pan zeznawać?

– Mówił pan, że to rozmowa nieoficjalna – przestraszył się hotelarz.

– Będzie nieoficjalna, jeśli przestanie pan kłamać.

– Mówię wszystko, co wiem. Nie dopasuje pan moich słów do tego, co wam wygodne.

– Strzelba, beretta, glock? Co miała?

Mężczyzna milczał.

– Poza kosmetyczką i małą kolorową walizką nie zabierała do pokoju niczego więcej. Co mieli w bagażniku auta jej towarzysze, nie wiem...

– Przyjeżdżała samochodem?

Wzruszenie ramion.

– Jakim?

– Zwykle ją przywozili.

– Ale raz przyjechała sama?

Skinienie.

– Spisałem tablice. – Mężczyzna sięgnął do szuflady i przesunął w kierunku profilera wymiętą karteczkę. – Sprawdziłem u kumpla. To wóz policyjny.

– Co to za kumpel?

– Chłopak Czołgiewiczów.

Werka westchnęła ciężko.

– Kolejny róg gwiazdy – mruknęła, nie zwracając uwagi na zdziwioną minę hotelarza.

– Na to wychodzi – przytaknął Hubert i zwrócił się znów do mężczyzny: – Możemy zobaczyć ten pokój? Mieszkał w nim ktoś po pani Wątlej?

Hotelarz niepewnie skinął głową.

– Próbujemy sobie jakoś radzić.

– Bez obaw, nie wydamy pana – pośpieszyła z obietnicą Werka. I dopytała: – Właściwie to po co pani Wątlej tutaj przyjeżdżała? Zimą raczej nie jest to turystyczna miejscowość. Trwa pandemia...

– Mówiła, że służbowo, ale... – Hotelarz urwał. – To nie były miłosne schadzki, jeśli o to pani pyta.

– Więc po co?

– Głównie siedziała przy komputerze i śledziła jakieś mapy. Mydło, świeża pościel

czy śniadanie nie miały dla niej większego znaczenia. Ale musiało być dobre łącze.

Hubert wyszukał w telefonie aplikację, którą wgrał mu Maniek Kolecki.

– Coś takiego?

– Może? – Mężczyzna się zawahał. – Teraz sobie przypominam, że czasami miała też krótkofalówkę. Zwykle słuchała, co nadają, ale raz wszedłem bez zapowiedzi, bo żona przygotowała jej gorący obiad. Chciałem zrobić niespodziankę i wtedy usłyszałem, jak podaje współrzędne.

– Czy mówiła coś o białym wilku?

– O wilku? Nic takiego nie słyszałem. Podała współrzędne i powiedziała: cel zrealizowany. Zażartowałem, czy trudni się kilerką, a ona się zaśmiała. Potem całkiem serio powiedziała, że gdybym chciał kogoś wyeliminować, przyjmuje zlecenia i może mi załatwić wejście do tego elitarnego klubu... A jeślibym nagle zmienił zdanie, to zajmują się też ożywianiem trupów.

\* \* \*

– To musi się jak najszybciej skończyć! – Pierwszy odezwał się Wojciech Grzybowski.

Po sali przebiegł szmer. Mieszkańcy zgromadzeni w zamkniętej restauracji Marcysi Cyganek coraz bardziej podnosili głos.

– Sam mówiłeś, Grzybku, że to promocja dla regionu. Nieważne, jak gadają, byle nie przekręcili nazwy!

– Moja córka zaginęła naprawdę! – krzyknął Grzybek, a ludzie ucichli. – Razem z ciotką Swietą. Nikt z nas nie panuje już nad sytuacją. Obie siostry Wątłe siedzą w areszcie, a moja żona znajduje się w ścisłym kręgu podejrzanych. Nasz człowiek w policji stracił zaufanie Domana. On zresztą też za chwilę zostanie wyłączony. Zakazuję wam się angażować!

– Trzeba było powiedzieć, że dzieciak utopił się niechcący, a nie kombinować. – Przed szereg wyszedł stary Czołgiewicz. Za jego plecami stał syn w mundurze. – Teraz zjechali się tutaj wszyscy. Nawet kochanica profilerka z Warszawy, która naprawdę ma dojścia w ministerstwie. Powinniśmy powiedzieć im prawdę. Zaczęliśmy wojnę o Donata, kryliśmy małą Mirę, ale ta mumia to nie nasza sprawa! Czy o czymś nie wiem? Ktoś morduje naszych! Mamy dewianta w Narwi.

W sali powstał rwetes. Kobiety lamentowały, a mężczyźni krzyczeli jeden przez drugiego.

– Uspokójcie się! – Grzybek bezskutecznie próbował zapanować nad tłumem. – Nie wolno nam nic ujawnić. Siedzimy w tym wszyscy. Czego sami się dowiedzą, niech mają. O reszcie – milczeć.

Zasłona się poruszyła i jedna z kobiet pisnęła:

– Ktoś idzie!

– Zgaście światło! – zarządził Grzybek.

Przez kilka minut w sali słyhać było tylko ludzkie oddechy i westchnienia. Ktoś modlił się pod nosem.

– Czysto – padł wreszcie meldunek spod okna.

Włączono jarzeniówki. Ludzie przecierali oczy, spoglądali na siebie z obawą.

– Głosujmy – rzucił ktoś z tylnego rzędu. – Nie wszyscy są za tym, żeby dłużej was kryć. Jak zidentyfikują Ukraińca, zacznie się piekło.

– Nikt się nie dowie, jak zginął – zapewnił Grzybek, ale ludzie go nie słuchali. – Wiemy, że ciało strupieszało. Nie mają szans odkryć prawdy. Chyba że ktoś z was doniesie. Jeśli ma odwagę. Wtedy trzeba będzie powiedzieć o Tymku, a na to ja się nie piszę – dokończył.

– Ja to zrobię. – Babka Kupały wstała. – Mój wnuk zginął niepotrzebnie. To wasza wina. A teraz narażacie życie Święty i małej Miry. Mam dość. Nie boję się Balwierza, tylko was. I nie chcę już żyć wśród takich ludzi.

\* \* \*

#### **Przesłuchanie Luby Kupały z dnia 19.02.2021**

– Zabili go, a Święcie powiedzieli, że nie wrócił z wojny.

– Kto dokładnie?

– Ludzie różnie gadali.

– Obawia się pani podawania nazwisk?

– W moim wieku niczego nie będzie się pan bał.

– Nie możemy pociągnąć do odpowiedzialności wszystkich.

– Mnie tam nie było. Nie widziała ja zbrodni. A co ludzie plotą, powtarzać się nie godzi. To nie moja rzecz, by udowodnić stary mord, lecz wasza.

– Ale wie pani, dlaczego Oleksandr Bołowniuk zginął?

– Bo był nietutejszy, trzymał z ekologami i pyszczył na myśliwych. Dlatego.

– To się stało na polowaniu?

Świadek potwierdza.

– Co pani wie w tej sprawie? Bo nikt pani nie wzywał. Sama pani się zgłosiła...

– Przyszłam, bo sumienie mnie gryzie. Pan pyta, odpowiem.

– To jak to było z Bołowniukiem?

– Zieloni od Mańka ciągiem blokowali polowania. Tamtego dnia Grzybek, ksiądz Donat i Puchacz przywieźli grupę zagraniczników. Poszła fama, że płacą za farbowanego wilka, więc pół wsi ganiało basiora po chaszczach. W końcu Czołgi go złapały za pomocą jakichś internetów. Jańcio go ubarwił, a Grzybek wypuścił wprost na Francuzów, żeby mogli sobie go strzelić. Wilk uciekł im, ale go dopadli po pół dnia podchodu. Przy okazji poszło trochę saren, lisów i chyba jakiś bóbr. A w tym czasie na polanie przed rzeką zaczęli się na nich ekolodzy. Nie mieli broni, tylko telefony z aparatami, te nowoczesne, co robią zdjęcia i filmy. Nagrali ich i krzyčeli jak zawsze, że odstrzał jest nielegalny.

– Był nielegalny?

– A pewnie. Wilki są pod ochroną, a odstrzały limitowane. Ale za zwitek euro u łowczego można mieć wszystko.

– Co było dalej?

– Główna bitwa rozegrała się na polu ojca Święty. Stary Sowula od dawna nie wychodzi, więc Oleksandr wziął w obronę jego ziemię. Dość by gadać, że kazał im iść precz. Że są na prywatnym terenie jego

przyszłego teścia i zgody nie mają. Tamci krzyczeli, że Sowula powinien był oprotestować polowanie w kole, a jak tego na czas nie zrobił, mogą tędy przejść, jak chcą... Zaczęła się sprzeczka. Ktoś szarpnął Bołowniuka, wyzwał go od bandytów UPA, a potem rzucili się na pozostałych. Zieloni Mańka to tylko mocne w gębie dzieciaki. Kiedy myśliwi wymierzili do nich z dubeltówek, pochowali się w lesie. Ale Maniek to choleryk i już wcześniej miał z Donatem na pieńku. Czy chodziło o Dobrą, czy o ideały, nie wyznają się... Ot, nie lubili się. Ich rzecz... Od lat ze sobą nie mówili. Unikali się, jakby wiedzieli, że kiedy się spotkają, dojdzie do bójki. I tak się stało. Maniek pierwszy rzucił się na Donata. Mój wnuk był w grupie z księdzem. Wielbił go i zrobiłby dla Gیزی wszystko. Czuł się w obowiązku go chronić... Kiedy Maniek szarpał Donata, Jańcio go bronił. Do awantury włączył się Oleksandr i Jańcio go uderzył. Więcej niż kilka razy. Maniek też kolbą dostał i padł zaraz jak nieżywy. Oleksandr walczył jak dziki lew. Prawda to, że wnuk mój miał trochę pustą głowę, ale Bóg wynagrodził mu to w krzepie i zacietrzewieniu. Ludzie mówili, że na koniec pociągnął Bołowniuka do rzeki i utopił jak niechcianego kota.

Świadek płacze. Przesłuchanie zostaje przerwane na 15 minut, by L. Kupała mogła skorzystać z toalety. Po wznowieniu świadek zeznaje dalej, jak zaprotokołowano.

– Inaczej wnuk mój sam by zginął, bo Oleksandr też był nie ciemęga i chłop na schwał. Jańcio płakał tej nocy jak dziecko. Nigdy nie przestał wyrzucać sobie winy. Mówił, że nie chciał zabić Olka. Nie wie, co w niego wstąpiło. Donat go uspokajał i obiecywał, że nikt się nie dowie, choć wszyscy wiedzieli i gadali po kątach. Mańka zostawili wtedy pobitego na skraju lasu. Zajścia on nie widział. Kiedy oprzytomniał, poprzysiągł księdzu zemstę i zaczął knuć z Basią, żoną Grzybka, żeby doniosła na Donata o trofeach i innych malwersacjach. Rozpętała się afera na cały kraj, aż pokazywali naszą wieś w telewizorze. Ale i z tego ksiądz Giza wyszedł z twarzą. Potem ludzie starali się już o tym milczeć. Każdy się bał, że jeśli coś chłapnie, będzie odpowiadał za zbrodnię na Olku, bo winni my czuli się wszyscy. Więc my milczeli...

– Co zrobiliście z ciałem Bołowniuka?

– Wygląda na to, że Jańcio cały czas trzymał je w naszej obórcie. My, panie, zwierząt nie hodujemy już siedem років. Nie opląca się i nie ma komu przy nich chodzić. Ta szopa po zwierzętach to było królestwo wnuka. Trzymał tam poroża, wyprawiał je i nimi handlował. Do handlu to on miał łeb. Widać nie przeszkadza pusty... Miał tam jakieś chemikalia i umiał to wszystko robić jak nikt. Ściana graniczy z domem i mamy tam piec.

Świadek milczy przez jakiś czas. Nie reaguje na pytania.

– Ja widziałam tę mumię kilka razy. Cały czas myślałam, że to tylko lalka. Jańcio miał ich kilka. Przebierał je, kupował im ubranka. Kiedy był mały, upadł na głowę, coś mu się pomieszało. Nie miał przyjaciół, to nadawał imiona zabawkom czy zwierzętom. Przyjaźnił się z wilkami, sarnami, zającami. Nie polował, zbierał tylko wieńce. A Gizę kochał jak rodzzonego brata, mimo że ten był myśliwym. Jańcio wierzył w te wszystkie brednie o selekcji zwierzyny i zdrowym mięsie, bo Donat był dla niego wzorem do naśladowania. Nie miał nigdy innego przyjaciela.

– Od kiedy wiedziała pani, że wnuk trzyma zwłoki w szopie?

– Wcale nie wiedziałam!

– Przecież mówiła pani, że widziała lalki...

– Lalki tak, ale nie sądziła ja, że wśród nich jest zakonserwowany trup! Raz, pamiętam, to było jakoś na przednówku, poszłam bez zapowiedzi, coby prosić, aby Jańcio przyniósł mi łój borsuka. Skończył się, a potrzebowałam nacierać ręce, bo bolały okrutnie, aż nie mogłam chwycić drutów. Wtedy zobaczyłam te kukły z bliska. Spytałam wtenczas, jak się nazywa największa lala, ale wnuk zaraz pognął mnie za próg. Jeden jedyny raz widziałam go tak złego, jakby wstąpiła w niego siła nieczysta. Tego samego wieczoru na drzwiach zawisła wielka sztaba z kłódką. Od tamtej pory nie łąziła ja tam. Nie chciała widzieć więcej diabła na twarzy Jańcia.

– Kiedy dowiedziała się pani prawdy?

– Jak zabili mi wnuka, rozwaliłam kłódkę.

– To pani przeniosła go na polanę?

Świadek zaprzecza.

– Ledwie łązę. Choćbym chciała, sił brak, by kogo gdzie niebądź zaciągnąć. W oborze nie było niczego, co mogłoby mnie nastraszyć. Ot, poroża jeleni, jakieś preparowane skóry, zwierzęta do wypchania albo skrzynia sarnich łapek... Nic, czego bym wcześniej nie obaczyła.

– A wilk? Należał do pani wnuka?

– Być może... Nie wiem. Nikt poza Jańciem tam nie wchodził. Nawet klientów przyjmował przed bramą.

– Kto jeszcze wiedział o tym, że wnuk trzyma ciało Bołowniuka w szopie?

– Chyba nikt.

– A ksiądz Donat?

– Ksiądz cały czas przyłaził do nas i go kontrolował. Bał się, że Jańcia zje sumienie i przyzna się do zabójstwa. W kółko go spowiadał i prosił o przysługi. Czasami na niego krzyczał, aż Jańcio płakał. Dlatego gdzieś w listopadzie zaprosiłam Świętę na kołacz i powiedziałam to, co panu mówię.

– To było przed zaginięciem Miry czy po nim?

– Przed, bo kiedy rozmawialiśmy, była szaruga i bardzo wiało. A jak wyszła afera z Mirą, spadł już pierwszy śnieg.

– Jest pani o tym przekonana?

– Całkowicie. To mój sezon na robótki ręczne. Utarg, który wtedy zrobię, musi starczyć na cały rok.

– Dlaczego chciała pani podzielić się tym sekretem ze Świętą? Ryzykowała pani, że zgłosi się na policję i wnuk pójdzie siedzieć.

– Nie chciałam umierać z tak ciężkim grzechem, a jej było mi żal. Kiedy przychodziła po czapki i szaliki, często rozpaczała po Olku, a mnie kula rosla w gardle. I choć byłam pewna, że ją to zagniewa, uznałam, że ma prawo znać prawdę i zrobić z tym, co chce. Obiecałam, że jeśli ona zdecyduje się rzecz ujawnić, złożę zeznanie. Wystąpię przeciw Donatowi i pogrążę Jańcia... Byłam gotowa. Ale Święta mnie zaskoczyła. Była spokojna, nie denerwowała się. Nakazała mi milczeć jak dotąd i pod żadnym pozorem na policję nie iść. Uszanowałam to. Zaznaczyłam tylko, że ja nie byłam bezpośrednim świadkiem. Jeśli więc chce poznać szczegóły śmierci narzeczonego, musi rozmawiać z myśliwymi, Donatem i Grzybkiem. Zresztą po śmierci księdza to on trzyma teraz ludzi w garści.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Ale go słuchają.

– Boją się go?

– Możliwe. On może zniszczyć człowieka jednym ruchem. Jest bogaty.

– Prosiłbym, by podała pani nazwiska wszystkich uczestników wczorajszego spotkania.

Świadek odmawia.

– Dlaczego?

– Tylko pod tym warunkiem ludzie się zgodzili, żebym do was poszła. Mówię teraz w swoim imieniu, nie społeczności. Mam nadzieję, że pan to rozumie.

– Czy myśli pani, że Święta wprowadziła córkę Grzybowski z zemsty, ponieważ dowiedziała się, że na jej narzeczonego dokonano linczu?

– Tak właśnie uważam. Mogła utopić Tymka w gniewie, ponieważ jej narzeczonego też utopiono. I jeden, i drugi był niewinien niczego!

– Na jakiej podstawie wyciąga pani takie wnioski?

– Święta zawsze była zmyślna i umiała zachować zimną krew. To w końcu doktorka, a nie żadna mimoza. Przygotowała się. Pytała Jańcia, czy to trudne trafić z dubeltówki, a potem chodziła do Mańka, który kiedyś strzelał sportowo, i prosiła, aby ją podszkolił. Myślę, że to ona morduje.

– Gdzie ona może być?

– To wszystko, co mam do dodania w tej sprawie.

## Dzień szósty 20 lutego 2021 (sobota)

– Oleksandr Bołowniuk.

Inspektor Czupryna rzucił na stół plik zdjęć barczystego i gęsto tatuowanego blondyna. A potem z akt wypiął fotografie zmumifikowanego ciała.

– Badania DNA potwierdziły tożsamość mężczyzny. Poprosiliśmy o współpracę ukraińską policję. Owszem, Bołowniuk miał zgłosić się na front w Donbasie, ale się nie stawił. Cięży na nim nakaz poszukiwawczy. Został uznany za dezterera. Sprawdziliśmy pismo, które otrzymała rzekomo Sandra Sowula. To e-mail z prywatnej skrzynki o adresie administracyjnym. Wygląda na to, że ktoś podszył się pod urząd imigracyjny, i nie ma wątpliwości, że zrobiono to, by wprowadzić narzeczoną w błąd. Nasi technicy mają już numer IP komputera, z którego wysłano wiadomości. Lokalizacja jest tutejsza. Liczę, że kiedy tylko będziemy mieli nazwisko, zatrzymamy człowieka i porządnie go dociśniemy – zakończył.

Usiadł. Wskazał Meyera. Hubert odwrócił się za siebie, jakby sprawdzał, czy to jemu komendant udziela głosu, a ponieważ za plecami nikogo nie dostrzegł, wstał, podniósł zdjęcie Ukraińca.

– Trwają przesłuchania mieszkańców Narwi, ale jak dotąd mają zasznurowane usta. Poza babcią Kupały nikt nie potwierdził linczu – zaczął. – Wezwaliśmy ekologów z grupy Bez Krwi – Narew Mańka Koleckiego. On sam jest w terenie. Dzwonił, że do domu dotrze wieczorem.

– Potwierdził napaść na Donata? – zainteresowała się Wera.

Hubert skinął głową.

– Niestety, było, jak mówiła Luba Kupała. Ekolog tego dnia został dotkliwie pobity, stracił przytomność i nie widział zajścia. Podał za to nazwiska łowczych. Wśród nich jest Dobrawa Wątła, Jean Baptiste Pilon oraz kilku naszych kolegów z firmy.

– To dlatego Czołg został zawieszony? – oburzyła się Waldka. – Na podstawie pomówienia? Wolne żarty! Może i mnie weźcie na dołek! Całe lata chodziliśmy razem w patrolu, a kilka razy zabrał mnie na polowanie jako asystę! – pokrzykiwała.

– Jeszcze go nie zawiesiłem, Waldko – obruszył się młody Doman. – Czołg został odsunięty do czasu złożenia wyjaśnień. Czekamy na funkcjonariuszy z Białegostoku, by zachować przejrzystość przesłuchania. Daj skończyć Meyerowi. Chyba że masz coś merytorycznego do powiedzenia w sprawie.

Kobieta zrobiła obrażoną minę.

– Pierwsze słyszę o takich procedurach – mruknęła pod nosem, lecz umilkła.

– A ile razy w życiu pracowałaś nad tak skomplikowaną sprawą?

– Tyle samo co ty, hipokryto! – odcięła się. – Idąc tym tropem, powinieneś mnie oddać władzę nad komisariatem. Twoje powiązania ze sprawą są bliższe niż Czołgiewicza! Wszyscy w Narwi wiedzą, kto przewalał się przez twoje łóżko!

W sali zapanowała cisza.

– Przywołuję panią podkomisarz do porządku! – W obronie Domana stanął Czupryna. – Jeśli jeszcze raz naruszy pani przebieg narady, opuści pani salę. I przypominam, że jest zakaz kontaktowania się w dniu dzisiejszym z aspirantem Czołgiewiczem.

– Przecież siedzi na dołku! – prychnęła kobieta. – Jak mam się z nim kontaktować?

– Proszę wyjść – rozkazał Czupryna. – Porozmawiamy o dyscyplinarnie później.

Waldka wstała.

– Lepiej by pan zapytał Domana, co łączyło go z Dobrą. Skoro jesteśmy tacy przejrzyści, powinien się tłumaczyć razem z Czołgiem.

Czupryna popatrzył na Tomka spanikowany. W jego wzroku malował się zawód, jakby sama myśl o tym, że Doman mógłby sparować się z matką Tymka, była dla niego bolesna. Ale podopieczny zachował zimną krew. Przewiercał jedynie Waldkę lodowatym spojrzeniem.

– Inspektor wydał ci rozkaz. Nie widzę cię tutaj – rzekł twardo.

Wyszła, śmiejąc się jak czarownica.

– Na czym stało? – Doman udał, że wciąż nie wie, co się wydarzyło, ale jego ojciec, Meyer i Rudy wpatrywali się w niego potępiająco.

– Przygotowałem wczoraj ekspertyzę. – Hubert odchrząknął i niechętnie wrócił do przerwanej wątku. – Ponieważ przybyło danych, musi ona ulec modyfikacji.

– Nie mamy na to czasu – zaproponował komendant. – Działajmy, róbmy coś!

– To chciałem zaproponować – odparł spokojnie profiler. – Zacząlbym od synchronicznych przeszukań. W związku z zeznaniem Luby Kupały potrzebny nam nakaz wejścia do szopy jej wnuka. Sprawdziłbym też budynki fundacji Mańka. Wiem, że to ryzykowne... Jeśli prokurator nadzorujący śledztwo wyrazi zgodę, powinniśmy także zajrzeć do domu rodziców Swiety. Jak dotąd poszedł za nią list gończy i nie mamy żadnego tropu. Musimy brać pod uwagę, że ktoś z tutejszych jej pomaga. Czas mija, a Swieta może zacierać ślady, niszczyć dowody. O zagrożeniu życia dziewczynki już nie wspomnę. Rzecz w tym, że to mała społeczność i sprawa nie powinna się roznieść. Trzeba by to było zrobić po cichu...

Czupryna spojrział na Weronikę.

– Pogadasz z szefem naszej prokuratury? A gdyby się burzył, podeprzesz się mężem?

Rudy skinęła głową.

– Zobaczę, co się da zrobić. Nie przerywajcie.

Wyszła z sali.

– Jaki mamy, według ciebie, stan faktyczny? – Znow głos zabrał Czupryna. – Co tu się wydarzyło?

Hubert się zastanowił, a potem zaczął mówić:

– Konflikt generował ksiądz Donat. Wiemy już, że z Dobrawą i Puchaczem organizowali nielegalne odstrzały dla swoich ludzi. Nie mamy w tej chwili wiedzy, jaka była rola matki Tymka w procederze, ale pracowała w czymś w rodzaju sztabu. Śledziła trasy wilków. Może polowali na drapieżniki pod ochroną? – Meyer się zawahał. – Była w kontakcie z ludźmi w terenie. Niewykluczone, że w polowaniach jako asysta brała udział narwiańska społeczność.

– Tak musiało być – zgodził się niechętnie Czupryna. – Inaczej sprawa Bołowniuka wyszłaby już dawno. Płacono za milczenie i prawdopodobnie stanie na czatach.

– Możliwe – przyznał profiler. – Mamy za mało danych. Liczę, że więcej dowiemy się od ekologa. To ludzie Mańka starali się powstrzymać myśliwych. Doszło do kilku spięć z zielonymi. Dwie skończyły się bójką, z czego jedna zbrodnią, jeśli wierzyć babce Kupały. Oleksandr Bołowniuk stanął po stronie ekologów, ponieważ bronił pola ojca Święty. Kupała utopił go, a jego ciało schował.

– Szopę Kupały wstępnie przeszukaliśmy – zauważył młody Doman. – Poza porożem, workami włóczkowych wyrobów pani Luby i miksturami do preparowania zwierzyny nie znaleźliśmy nic podejrzanego.

– A lalki, o których mówiła staruszka? – zainteresował się Meyer. – Znaleźliście coś podobnego? Dziecięce ubranka? Baniaki na krew? Wenflony?

– Nic z tych rzeczy. – Młody Doman gwałtownie pokręcił głową. – Notatka jest w aktach. Jeśli chcesz, biorę ludzi i wchodzimy tam ponownie... Ale moim zdaniem to ślepy zaułek. Jeżeli coś tam kiedykolwiek było, sprawca po sobie posprzątał.

Meyer nie odpowiedział. Myślał chwilę, a wreszcie rzekł:

– Nie mamy pewności, czy to Kupała przetrzymywał ciało Ukraińca. Bożiłow stwierdził, że strupieszenie mogło trwać nawet półtora roku. To powinna być przestrzeń zamknięta, ciepła i przewiewna. Przychodzi wam coś podobnego do głowy? A może Bołowniuk leżakował gdzieś indziej?

W tym momencie drzwi się otworzyły i stanęła w nich blada Wera.

– Płonie dom rodziców Święty! – zameldowała. – Ochotnicza straż jest już na miejscu, ale ich wóz został uszkodzony. Czekamy na strażaków z Hajnówki, Bielska i Narewki. Jedzie też do nas grupa szturmowa z Białegostoku.

– Będą kolejne zwłoki do analizy. – Hubert zwrócił się do młodego Domana: – Dzwon do Bożiłowa. Niech wraca.

– Myślisz, że ją tam znajdziemy? – Rudy nabrała powietrza. Wypuściła. – A co z dziewczynką?

Czupryna wymienił spojrzenia z Meyerem.



– To ciekawy zbieg okoliczności, że akurat kiedy Maniek jest w terenie, zaczyna się palenie dowodów – zauważył profiler. – Inspektorze, nim ogień się rozprzestrzeni, dobrze by było wejść do fundacji Mańka. Z tego, co pamiętam, budynek Bez Krwi – Narew graniczy z domem rodziców Swiety.

\* \* \*

Na pogorzeliśku domu Sowulów Bożyłow odkrył dwa ciała. Pierwsze zwęglone zwłoki zidentyfikował jedynie po kształcie kości miednicy. Kobieta stopiła się z balkonikiem, na którym siedziała. Niemożliwe okazało się określenie jej wieku ani przyczyny zgonu. Ciało mężczyzny było w lepszym stanie. Lekarz od razu stwierdził, że nie umarł śmiercią naturalną.

– Kiedy podłożono ogień, oboje już nie żyli – oznajmił, zdejmując kombinezon i specjalną przyłbicę chroniącą go przed trującym dymem. – Stan czaszki mężczyzny wskazuje, że zamordowano go już jakiś czas temu.

Potem wszyscy ruszyli za płot na drugie ogłędziny. Udało się zatrzymać języki ognia, by nie przedostał się na budynki fundacji i ich nie zniszczył.

Swieta leżała w basenie do pojenia zwierząt. Wyglądała, jakby spała. Obok niej spoczywał martwy bocian Bazyl. Miał złamane skrzydło i obcięte kończyny. Hubert nie mógł patrzeć na to bez gniewu. Wokół sprawca poukładał świeże rośliny i gałązki cisu. Do ust kobiety, niczym knebel, włożono włóczkową czapkę. Nikt nie miał wątpliwości, że to wyrób Luby Kupały.

W nieczynnej studni przykrytej drewnianą pokrywą znaleziono mały karabinek snajperski zawinięty w szmaty i folię z emblematem banku. Kiedy śledczy odpakowali zawiniątko, stwierdzili, że to dziecięce ubrania. Były uwalane błotem, ze śladami brunatnej substancji oraz fragmentami gałęzi i sosnowych igieł. Dobra Wątpa rozpoznała je jako odzież zmarłego synka.

Po małej Grzybowskiej nadal nie było śladu.

Tego samego dnia na Instagramie Tymoteusza pojawił się film. Mira siedziała na huśtawce. Machała ręką do nagrywającego. Śmiała się, coś wołała... A potem nagle wychyliła się i spadła na ziemię. Podbiegła do niej Swieta. Chwyciła ją w ramiona. Nagranie gwałtownie ucięto. Dalej film przypominał horror. Musiał pochodzić z nagrania myśliwskiej fotopułapki, bo kamera nie zmieniała pozycji.

Z głuszy na polanę wyszedł mężczyzna. Za rękę trzymał chłopca, który na ramieniu miał zawieszony mały karabinek snajperski. Szli marszowym krokiem, nie odzywając się do siebie. Kiedy z oddali dobiegł ich gwizd nadjeżdżającego pociągu, mężczyzna się odwrócił. Jego blada twarz w świetle księżyca wydawała się makabryczna, lecz szybko zniknęła z kadru, bo przemieścili się z chłopcem w głąb lasu. Łatwo można było jednak rozpoznać tego człowieka po włóczkowej czapce w rastafariański wzór, spod której długimi pasmami spływały okręcone kolorowymi nitkami dredy.

Osoba, która dodała filmik, opatrzyła go hasztagami: #balwierzznarwi #golibrody

#puszczakrew #czyściranym #nacinaronie.

\* \* \*

– Więc przyznajesz się, że byłeś w lesie w nocy z czternastego na piętnasty lutego?

Maniek Kolecki powoli pokiwał głową.

– Śledziłem trasę wilka. Chciałem nakryć Donata na gorącym uczynku. Ale go nie zabiłem – zapewnił. – Kiedy zobaczyłem martwe dziecko w kapliczce, uciekłem. I cały czas próbowałem o tym widoku zapomnieć...

– Widziałeś film z fotopułapki?

Mężczyzna nie odpowiedział. Niżej pochylił głowę.

– Mamy ten film. Ustaliliśmy, na którym drzewie zainstalowano kamerę – ciągnął Hubert. Sięgnął do papierów leżących na stole. – Byliście tam z Tymkiem około drugiej w nocy. Wtedy chłopiec jeszcze żył... Co zaszło, Maniek? – Meyer zawahał się. Odchrząknął. – Jeśli to był wypadek, powiedz o tym teraz. Potem może być za późno na negocjacje w sprawie złagodzenia kary.

– Po prostu spotkałem go w lesie – odparł po dłuższym namyśle Maniek. – Planowałem odprowadzić chłopca do domu, ale nie chciał. Mówił, że matki nie ma, a Puchacza nie lubił. Zaprowadziłem go do szopy, którą pokazała ci Swieta.

Hubert przyjrzał się podejrzanemu.

– Skąd wiesz, że to ona mnie tam zaprowadziła?

– Od początku relacjonowała mi przebieg dochodzenia. – Maniek wzruszył ramionami. – Chciała, żebym powiedział wam prawdę. To dlatego nas skontaktowała...

– Prawdę o czym?

– O tym, że ktoś grasuje w naszym lesie. Balwierz... Potwór.

– A nie człowiek? Nie mówisz przypadkiem o sobie?

– Powtarzam jeszcze raz – zapienił się ekolog. – Nie mam ze śmiercią Tymka nic wspólnego! Położyłem go spać i zostawiłem w gawrze, jak nazywali z Mirą to miejsce, a potem miałem po niego wrócić.

– Jak zabijesz Donata?

– Nie zastrzeliłem go!

– Chcesz powiedzieć, że karabin, który Tymoteusz Wątki ma na ramieniu na filmie, to jedynie zabawka?

– Myślałem, że to ten zepsuty, który dzieciak dostał od Puchacza i zawsze nosił ze sobą. – Maniek zaciął się w sobie. Pochylił głowę. – Co byś zrobił, gdybyś zobaczył sześciolatka włóczącego się nocą po lesie?

– Odprowadziłbym go do domu? Zadzwoił po policję? Zawiadomił matkę?

Maniek zacisnął pięści.

– Żałuję, że tego nie zrobiłem – powiedział stanowczo. – Ale zrozum, wiem, jaka jest Dobrawa. Wściekłyby się i chłopiec znów dostałby lanie.

– Faktycznie, lepiej było zostawić dzieciaka w szałasie z fragmentami zwierzęcych zwłok... Biorąc pod uwagę twoje niby-przekonania na ten temat, trudno mi w to uwierzyć. Kupy się to nie trzyma, Maniek, sorry... Że nie wspomnę o broni, którą zabezpieczyliśmy na twojej posesji. To nie była zabawka. A ty ją dobrze ukryłeś. Ślady daktyloskopijne nie pozostawiają złudzeń.

– Ile razy mam powtarzać, że nie mam z tym nic wspólnego? – Maniek nagle się poddał. – A kiedy trop Donata mi się urwał, za to w kapliczce znalazłem martwego chłopca, przestraszyłem się.

– To jak wytłumaczysz, że na karabinie są twoje odciski palców?

– Nie mogłem przecież położyć chłopca spać z bronią na plecach!

– Widzę, że długo pracowałeś nad tą wersją. – Hubert rozparł się na krześle, aż zatrzeszczało.

Spojrzał na inspektora Czuprynę, który stał pod ścianą i pykał z fajki. Nie odezwał się jeszcze ani razu. I teraz też nie wyglądało, by zamierzał się włączyć.

– Spotkałeś się z gorszą linią obrony, inspektorze? – zwrócił się do niego profiler. – Dawno nie słyszałem większej bzdury! Alibi na noc zabójstwa Kupały też nie masz, co? – Przyjrzał się bacznie Mańkowi.

– Byłem sam, u siebie. Gdyby Bazyl żył, może on mógłby zaświadczyć...

– Dosyć! Wolne żarty, Kolecki – wkurzył się nareszcie Czupryna. – Możesz nic nie gadać. I tak cię posadzę!

– Jestem niewinny.

– Co więc robiła broń użyta do zabójstwa Donata w twojej studni?! – ryknął inspektor. – Ubrania dziecka też ci ktoś podrzucił? A ciało lekarki? Gdzie jest Mira, skurwysynu?!

– Sądzi pan, że gdybym był zabójcą, zostawiłbym ciało Swiety u siebie na podjeździe? – Maniek pociągnął nosem. Był bliski płaczu. – To przecież bez sensu. Wzniecono pożar, żebyście te rzeczy znaleźli u mnie! Nie było mnie od wczoraj w Narwi. Nie zabiłem Swiety ani jej rodziców. Jestem pacyfistą. Nie zabijam ludzi. Nie dręcę zwierząt... Od dwudziestu lat nie jem mięsa...

– Na karabinku są twoje odciski palców – powtórzył Hubert i westchnął zrezygnowany. – Mamy film z fotonapki. Do tego kilka nowych ciał, z czego jedno z nich leżało u ciebie na posesji, która była zamknięta. Chciałbyś coś dodać, zanim cię eskortują do sądu po areszt tymczasowy?

Maniek odwrócił głowę, uśmiechał się z politowaniem.

– Nie wierzę... – szepnął.

– Daktyloskopia to nie religia – przerwał mu Hubert. – Istnieje bez twojej wiary. Mając to, co mamy w tej chwili, możemy cię posadzić bez przyznania się do winy.

Teraz interesuje nas tylko Mira i dlatego w ogóle jeszcze rozmawiamy. Jeśli zaczniesz współpracować, podasz miejsce jej ukrycia, wyrok może być niższy. Jeżeli nie, spędzisz w pierdlu resztę swoich dni. Zapewniam cię, że nie ma tam wegańskiego żarcia, a za to, co nawywijałeś w Narwi, współosadzeni zrobią ci z dupska orczyki.

– Tak, miałem kosę z Donatem! – Maniek się rozpląkał. – Zgadza się, Kupała mnie nie lubił. Ale to dlatego, że koleś preparował poroża i wypychał w szopie moje wilki. Walczyliśmy od lat. Był człowiekiem Donata, trzymał jego stronę... Czułem, że jest z nim coś nie tak, ale wtedy nie wiedziałem, że zabił mojego kumpla i go zмумifikował! Nie chciałem jednak ich śmierci! Nawet jeśli na nią zasługiwali...

– Słyszałeś, że o zmarłych nie mówi się źle? – zauważył Hubert.

– O mordercach też?

– Wciąż badamy tę sprawę. Na razie wyrok nie zapadł, więc się nie rozpędzaj, bo pogarszasz swoją sytuację.

– Jestem niewinny – powtórzył kolejny raz ekolog. – To nie ja!

– Kto ci pomagał? – Hubert nie odpuszczał. – Dobrawa? Basia? Jaki mieliście plan ze Świętą? Gdzie są pieniądze księdza? Wiemy już, że Donat przywiózł gotówkę w takich torebkach, jakie znaleźliśmy u ciebie. Co z nią zrobiłeś? Kto poza tobą brał udział w napadzie na Kamienny Fort? Romka Wąta? Puchacz?

– To jakieś bzdury! – krzyknął Maniek i rzucił się z pięściami na Meyera, ale stojący przy drzwiach mundurowi sprawnie go obezwładnili. – Nie mam z tym nic wspólnego! Ktoś mnie wrabia!

– Kto?

Ekolog uspokajał się powoli. Zaciskał i otwierał pięści.

– Jeszcze nie wiem – odrzekł. – Ale siostra Dobrawy pojawiła się tu nieprzypadkowo. Tej nocy widziałem Romkę na stacji benzynowej – zaczął i urwał.

– Tej nocy, kiedy zginął Tymek? I ksiądz Donat? – upewnił się Hubert.

Maniek pokiwał głową.

– Wpierw nie sądziłem, że to ona... – Zawahał się. – Zmieniła się. Zmężniała... Jestem pewien, że macza w tym palce. Nie mówię, że to ona jest Balwierzem, ale coś jest na rzeczy...

– Nie kupuję tego. – Czupryna znów włączył się do rozmowy. – Szkoda naszego czasu.

– Przrzekała siostrze, że nigdy nie wróci. – Maniek mówił szybko, wręcz się dławił. Jakby czuł, że jego czas się kończy. – Skoro się pojawiła, coś musiało się zmienić.

– Ktoś, coś? – zbiesił się komendant. – Zamykamy go i szlus. Nie chce współpracować, to nie. Mam dosyć tego bajdurzenia. – A potem pochylił się i niemal dotykając twarzy Mańka, wyszczał: – Znajdziemy dziewczynkę. Z twoją pomocą czy bez. Żałuję, że nie ma w tym kraju kary śmierci. To byłoby dla ciebie i tak za mało za

to zło, którego tutaj najebałeś.

– Spierdalaj! – wzburzył się ekolog. – Jesteś zazdrosny, bo ciebie nie chciała! – wydarł się.

Hubert przyglądał się tej scenie i miał wrażenie, że znajduje się na rykowisku. Kolejne samce biją się o Dobrą. Czy ta kobieta z kimś tutaj nie sypiała? – myślał.

– Kiedy Romka to przyrzekła? – odezwał się. – Powiedziała to przy tobie?

Maniek potwierdził nieznacznym ruchem głowy. A potem dodał świszczącym szeptem:

– Po napaści na Grzybka. Kiedy na jaw wyszedł ich romans i próbowała go zabić.

– Co to ma do rzeczy? – Czupryna dał znak mundurowym, by szykowali kajdanki.

Od zaraz podeszli do Mańka i zaczęli go przypinać. Mężczyzna cały czas patrzył Hubertowi w oczy, jakby profiler był teraz jego jedyną nadzieją.

– Między siostrami bywało różnie, ale nie zawsze się kłóciły. Kiedyś były bardzo blisko. A Tymek ciotkę Romę ubóstwiał. W przeciwieństwie do matki... Nie wiem, co się wydarzyło, ale Romka mogła chcieć dzieciaka zabrać. I może to ona wywabiła go wtedy od Puchacza? – Maniek przerwał. – Pewnie zna miejsce ukrycia dziewczynki.

– Pierdolety! – huknął Czupryna. – Bierście go!

Hubert chwycił inspektora za ramię.

– Zaczekaj, Krzysiek – poprosił. – Niech dokończy. Nawet jeśli mataczy, zostanie to zarejestrowane i może być użyte przeciwko niemu.

– Konkrety, Maniek – niecierpliwił się Czupryna. – Bo i tak zjeżdżasz już na dół bezpowrotnie. Nie myśl, że ktokolwiek z Narwi zechce cię ratować. Zgnijesz tam. Szeźniesz. Rozjadą cię walcem... Nie rozkuwajcie go – warknął.

– Nic więcej nie wiem – odrzekł drżącym głosem ekolog. – To tylko moje domysły... Na tym polega problem, że ja naprawdę tego nie rozumiem. I nie wiem, kto i dlaczego zagiął na mnie parol...

Po jego twarzy popłynęły łzy, a Hubert wiedział, że takiego twardziela niełatwo złamać. Kolecki był przerażony! Jak dobrze Hubert to rozumiał... Pytanie brzmiało, dlaczego się bał: został nakryty czy faktycznie jest niewinny?

– Opowiedz o swojej przyjaźni z narzeczonym Swiety – złagodził ton. – O Ukraińcu.

– Nie ma o czym gadać. Olek sympatyzował z nami na tyle, na ile pozwalał układ z rolnikami. Ojciec Swiety miał pole, po którym nieustannie maszerowali myśliwi. Wciąż dochodziło do scysji. Nagrywaliśmy ich od dawna.

– Masz te filmy?

– Są w moich materiałach. W laptopie, który zabezpieczyliście, jest folder o nazwie „Bachanalia”. Tam znajdziesz filmy, nagrania, zdjęcia. To o ten materiał właściwie wtedy poszło. Donat chciał, żebym oddał kamerę. Zarekwirowali nam

telefony. Ale ja swój schowałem. A potem, kiedy padłem, nikt się nim nie zainteresował. Nawet mnie to zdziwiło, ale nie wiedziałem, że Oleksandra zabili. I woleli wyciszyć sprawę, milczeć. Od tamtej pory ani razu nie przeszli polem Sowuli.

– Sprawdzimy to – zapewnił Hubert. – Wiesz jednak, że to nie zmienia twojej sytuacji? Gdybyś podał informacje, które pozwolą szukać innych podejrzanych, byłoby to lepiej widziane przez prokuratora. Właściwie zależy nam teraz tylko na jednym: na miejscu ukrycia Miry. Przemyśl to, jak będziesz dziś w nocy czekał na transport do sądu. W przeciwnym razie, no cóż, inspektor Czupryna ma rację. Szykuj się na kurewsko ciężkie życie.

– Sprawdźcie tego Francuza – szepnęła Maniek. – Tego niby lowelasa Swiety. W Narwi zaczęła się makabra, kiedy ten gość pojawił się na polowaniu.

\* \* \*

– Ni chuja – warknął inspektor Czupryna, kiedy z Hubertem opuścili mieszkanie Jeana Baptiste’a Piona. Komendant włożył do ust wykałaczkę, a po chwili wypluł ją doszczętnie przezutą. Był wściekły i nie zamierzał tego ukrywać. – Trzeba było nie słuchać tego pajaca z kołtunem zamiast włosów – prychnął.

– Nic nie tracimy – pocieszył go Hubert. – Zarzuty dla Mańka, z tego, co wiem, się piszą i za kilka godzin będziesz miał swoją glorię.

Czupryna spojrzał na Meyera wyzywająco.

– Ty jednak w tę wersję nie wierzysz?

Profiler pokręcił głową. A potem pomachał do Wery, która czekała na nich oparta o swoje porsche, paląc papierosa za papierosem. Nie ruszyła w ich kierunku.

– Dziewczyna po ciebie przyjechała? – Uśmiechnął się krzywo.

– Przyjaźnimy się tylko.

– Taaa.

– A co u twojej dziewczyny? – Hubert przekręcił głowę i ustawił się tak, by nie widzieć Werki. – Mówię, rzecz jasna, o Dobrawie, Krzysiu.

Z satysfakcją przyglądał się kamieniejącej twarzy starego policjanta. Nie padło przekleństwo, nie dostał w mordę. Szczerze był tym zadziwiony.

– Choć z tego, co się wyiedziałem – kontynuował – pani Wątpa należała do wszystkich. Kiedyś takim kobietom wypalano na ramionach szkarłatne literki.

– Przeginasz – rzekł Czupryna. Zaskakująco łagodnie. A potem nieoczekiwanie znów się uśmiechnął. – My z Dobrą też się przyjaźniliśmy. – Ostatnie słowo wypowiedział, sylabizując. – Czy minister Czajkowski wie o waszym słodkim tête-à-tête na Podlasiu?

– Przysłał kierowcę z porsche, to chyba jednak nie taki sekret, jakbyś się spodziewał. I nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– To było jakieś pytanie?

– Dobrawa pełniła w tej dziurze znaczącą funkcję. Robiła coś, czego nie rozumiem. Z tutejszymi mężczyznami łączyło ją zaskakująco wiele przyjaźni. Jeśli nie chcesz stracić twarzy, zachęcam, byś się nieco zwierzył. Ostrzegam cię, że dopiero zacząłem przy tym grzebać.

– Dziękuję za ostrzeżenie – odparł spokojnie komendant. – Nie mam nic do ukrycia. Nie zrobiłem niczego, czego mógłbym się wstydzić. Seksu między nami nie było. Możesz spokojnie donosić mojej żonie. Zna Dobrą i bardzo ją lubi.

– Więc o co tu chodzi, Krzychu?

Czupryna sięgnął po kolejną wykałaczkę. Przegryzł ją, nim Hubert nabrał powietrza i dorzucił:

– Feralnej nocy po narwiańskim lesie włóczył się szwadron ludzi. Dorośli, dzieci, myśliwi, balwierze... Czego nie chcesz mi powiedzieć, inspektorze?

– Gdybyś był tak dobry, jak to prezentujesz w mediach, dawno byś to odkrył. Bierzesz mnie na spytki i liczysz na spowiedź? Wiesz co, pierdol się! Nie po to cię wzywałem.

– A więc wziąłeś mnie na dupokrytkę?

– Przykro mi, że cię zawiodłem.

– I miałeś gdzieś, co ustalę? – Hubert był coraz bardziej rozdrażniony.

Czuprynę jego złość bawiła.

– Podobało mi się, jak się angażujesz, nie powiem, ale tak się składa, że ja wciąż nie wierzę w te twoje telepatyczne brednie i intuicję.

– Ślady behawioralne to nie intuicja. I nie na zgadywaniu polega moja praca – odparował Hubert. – Cieszę się jednak, że jesteś wobec mnie szczery. Doceniam rzucone wyzwanie.

Czupryna dał znak mundurowemu, który czekał przed cywilnym radiowozem.

– Skoro tak, żegnam. Zwalniam cię niniejszym z obowiązków. Waldka podeśle ci kwity i możesz wracać do domu. Twoja dziewczyna powinna się ucieszyć, a jej mężowi powiedzcie, że śledztwo wciąż trwa. Miłego ruchania.

Hubert nie wytrzymał. To był odruch. Ręka sama się zacisnęła w pięść i trafiła komendanta w twarz. Padł na chodnik jak rażony strzałem. Długo leżał bez ruchu, aż w końcu dopadł go policjant i zaczął cucić. Dwóch innych rzuciło się na Meyera, próbując go obezwładnić. Hubert słyszał szcęk otwieranych kajdanek, ale wyrwał się i przebiegł przez jezdnię, lawirując między jadącymi i trąbiącymi samochodami. Był przekonany, że będą go gonić, a za chwilę znajdzie się w celi obok Mańka. Ale miał to gdzieś. Był pewien, że postąpił prawidłowo.

– Ruszaj – rzucił, kiedy dobiegł do samochodu Weroniki. Siedziała już za kierownicą, z nogą na pedale gazu. Silnik jej maszyny mruczał sensualnie.

– Nikt cię nie goni. – Spojrzała na niego blada ze zdenerwowania. – Co tam zaszło?

– Nic takiego. – Hubert silił się na bagatelizujący ton. – Zwyczajne męskie gadki. Łysy lekko przegiął. A mieszkanie Francuza jest czyste. On sam ma alibi na wszystkie noce zabójstw. Nie było go w Narwi, nie kontaktował się z podejrzanymi. Nic, nul. Ślepy zaułek. Maniek wystawił nam kukłę na wabia.

– Pytałam, o co poszło – upierała się Wera. – Z Czupryną.

– Obraził cię.

– Jak?

– Nie chcesz wiedzieć.

– Wręcz przeciwnie.

– Groził, że zawiadomi twojego męża o naszym niby-romansie. Poza tym dostałem wypowiedzenie. Mogę wracać do Katowic.

– Przecież sprawa niezakończona! – oburzyła się.

– Łysy rozgrzeje media Balwierzem ekologiem i wygląda na to, że to mu wystarcza. Jedź już. Nic tu po nas – dorzucił.

Włączyła się do ruchu. Przez długi czas oboje milczeli.

– Zaatakowałeś właśnie komendanta. – Pierwsza odezwała się Werka. – Nie boisz się konsekwencji?

– Jakich konsekwencji?

– Z tego, co się orientuję, Czupryna to raczej mściwy gość.

– Nigdy mnie nie szanował.

– Aż tak zależy ci na jego respekcie?

– Nie o to chodzi, Werko! – wybuchnął Hubert. – Facet ma jakiś związek ze sprawą.

– Tam wiele osób ma związek.

– O tym właśnie mówię – burczał dalej psycholog. – Nawet nie zbliżyłem się do rozwiązania. Coś kryją, coś knują, coś jest na rzeczy... A ja nie wiem co. Wszystko to są jakieś pozornie połączone nitki, ale zasłony jeszcze nie zdjąłem.

– Więc zrób to!

– Jak, skoro szef tutejszych mnie wyrzucił? Nie wolno mi się zbliżyć do śledztwa! Masz pomysł, jakim sposobem mam to rozwikłać?

– Gratulacje! Pierdolnięcie sierpem komendanta z pewnością go do ciebie przekona! Swoją drogą lewą masz chyba mocniejszą... – Uśmiechnęła się tak, że praktycznie roztopił się w jej oczach.

– Mam – przytaknął. I zaraz dodał łagodniej: – Ależ ty jesteś śliczna.

Zarechotała w głos.

– Wariat!

Milczeli przez chwilę, wsłuchując się w sonatę Schuberta, która leciała właśnie



z głośników Werki. Dopiero w tej chwili Hubert usłyszał muzykę. Jakby wcześniej emocje zatkały mu uszy.

– Nie wyjadę – zdecydował, a Werka znów się zaśmiała. – Znajdę tego Balwierza, choćby mieli mnie odstrzelić.

Nie odpowiedziała. Zacisnęła tylko mocniej dłonie na kierownicy.

– Zauważyłaś, że nie denerwuję się już, jak jeżdżę z tobą na siedzeniu pasażera?

– Trzynaście lat i się przyzwyczaiłeś. Doceniam kredyt zaufania – odparła z powagą i wiedział, że na końcu języka ma ważną informację. Wcale się nie zdziwił, kiedy dodała: – Dziś dzwonił do mnie twój nowy przyjaciel.

– Kołomyjski?

– Sroka.

Hubert natychmiast spiął się w sobie i nie spuszczał z prokuratoroki spojrzenia.

– Skąd miał twój numer?

– Nie zdążyłam spytać. Połączenie trwało półtorej minuty.

Hubert się nie odezwał. Czekał.

– Zły kamienicznik ma do nas biznes – kontynuowała.

– Do nas? – Hubertowi zabrakło powietrza w płucach. – Do mnie to rozumiem, do Waldka, Domana... Ale co ty masz z tym wspólnego?

– Już wiedzą – westchnęła. – I boję się. Cholernie się boję. Nie wiem, co robić, Hubercie.

– Nic nie rób. Wciąż jeszcze nie jesteś w to umoczona. Nie znajdą na ciebie żadnego haka – przekonywał. – Wracaj jak najszybciej do domu i zajmij się swoimi sprawami. Nie będziemy się kontaktować. Sam to załatwię.

– To nie jest takie proste, Meyer – prychnęła. – Już nie.

– Co dokładnie powiedział?

– Nic więcej – szepnęła. – Ostrzegł mnie, że bym spodziewała się wizyty. I że bym dobrze przemyślała, czy opłaca mi się tego nie umarzać.

– Jakiej sprawie masz ukrócić łeb?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – W tej chwili na biegu mam siedemnaście dochodzeń. Nic, co łączyłoby się z Kołomyjskim. Sprawa Japy zamknięta. Wszystko teraz w rękach sądu.

– Kiedy zaczyna się proces Sroki?

– Nieprędko. Jest pandemia.

– Nagrałaś tę rozmowę?

Pokręciła głową.

– Nie zdążyłam. To naprawdę trwało chwilę. Byłam zbyt zaskoczona.

– Wiedział, że mówi z tobą?

– Tak myślę... Zwracał się do mnie i wiedział o nas...

– O nas? – szepnął Hubert.

– O naszym pakcie z Szerszeniem i Domanem. Mówił do mnie, ale jakbyśmy byli grupą. Używał formy „wy”.

– Potraktuj to jak telefon od wariata. Wykasuj z pamięci. Nic się jeszcze nie stało... – Hubert mówił jak nakręcony, choć czuł się jak idiota. Ale nie mógł przestać. Bardzo chciał udzielić jej wsparcia i gdyby mógł, wziąłby cały jej strach na siebie. – Zmień numer, oddaj ten telefon mnie. Jak zadzwoni następnym razem, ustawię chuja tak, że się nie pozbiera.

– On mi nie groził – sprostowała Wera. – A ucieczka nic nie da. Wiedziałam, na co się piszę, kiedy do ciebie jechałam w Nowy Rok. I że wcześniej czy później trzeba będzie się z tym zmierzyć... – Urwała. – On twierdzi, że jego adwokat znalazł Psikupę. Powiedział, cytując, że Ewelina Gloria zmieni bieg procesu Sroki.

W aucie zapanowała nieprzyjemna cisza.

– To niemożliwe – odparł Hubert. – Psikupa nie złoży zeznań.

– Co jej wtedy powiedziałaś?

– Prawdę. Tylko i wyłącznie. A potem uzyskałam od niej dozwolone potwierdzenie, że nie zostanie powołana na świadka.

W aucie długo panowała cisza.

– No cóż... – Werka znów odezwała się pierwsza. – Kobieta zmienną jest. Tak się widać składa, że zmieniła zdanie. Ty inaczej czytasz tę informację? Nakłonili ją, by nas pogrążyła. I zrobi to. Pewnie jest już na liście świadków obrony. Powinniśmy się przygotować.

– Sroka blefuje – podkreślił twardo Hubert. Uśmiechnął się smutno. – Psikupy nie musisz się obawiać. Jeśli tym się niepokoisz, mogę cię zapewnić, że jesteś bezpieczna.

Wera nie dowierzała.

– Co jej powiedziałaś? Dokładnie! Powtórz mi słowo w słowo.

– Krótko mówiliśmy – wykpił się. – Nie pamiętam.

– Co zrobiliście z klamką?

Hubert wzruszył ramionami.

– Waldek ją ma.

– Trzeba się tej broni jak najszybciej pozbyć.

– Liczyłem, że już dawno to zrobił. – Hubert urwał, bo w tym samym momencie Werka spojrzała na niego oburzona.

– Działacie za moimi plecami? Dlaczego nic o tym nie wiem?

– Słuchaj, Rudy, to naprawdę nie jest najlepszy moment. Muszę teraz skończyć Balwierza. Nie powinnaś się obawiać Sroki, uwierz mi. A tym bardziej kamienicznika. Kołomyjski to moja sprawa. Nic ci nie grozi – powtórzył, ale ona go

nie słuchała.

– Chodzi o to, że jestem kobietą? Że wy, dzielni rycerze, zamierzaliście mnie chronić? Że czegoś tam nie zniosę albo rozplączę się jak jakaś niunia? Pierdolę was! Jako jedyna zachowałam ostatnio zdrowy rozsądek! Może dlatego, że nie piję tyle co wy i nie chodzę na robotę naprana jak meserszmit!

– Nikt tak o tobie nie myśli! Jesteś najtwardszą babką, jaką znam – bronił się słabo Hubert. – Naprawdę nie masz powodu do obaw! To nie jest tak, jak myślisz...

– Więc dlaczego zatajacie przede mną kluczowe dane?

I już wybierała numer Szerszenia. Zrzucił połączenie, więc spróbowała zadzwonić do Domana. Rozległ się komunikat poczty głosowej, a potem znów z głośników dobiegł ich Schubert.

– Chuje pierdolone. Nawet ode mnie nie odbierają! – piekliła się.

Docisnęła pedał gazu do podłogi.

– Zwolnij, bo dostaniesz mandat.

Położył jej dłoń na ramieniu. Strząsnęła ją ze wstrętem.

– Odwal się.

Na liczniku było już sto pięćdziesiąt.

– Nie będę cię więcej słuchała.

W tym momencie oddzwonił Szerszeń. Wera natychmiast wcisnęła słuchawkę na kierownicy.

– Rudy, takie coś przed chwilą dostałem – rzekł bez wstępów Waldek. – Jakiś numer sprawy i komunikat: „To jest do umorzenia”.

Werka gwałtownie zahamowała, a samochód jadący z tyłu wyminął ją w ostatniej chwili. Rozległ się pisk opon, a potem trąbienie z różnych stron i głośne krzyki. Rudy skręciła na chodnik. Zatrzymała się. Oddychała ciężko.

– Jaki numer sprawy? – spytała zaskakująco spokojnie.

– Żyjesz? – Szerszeń najwyraźniej bał się zadać to pytanie. – Może się zatrzymaj? Zadzwonię później.

– Nie! – krzyknęła. – Podyktuj. Telefon mam w torebce, a ona leży w bagażniku.

Szerszeń odczytał.

– Wydaje mi się, że to sygnatura sprawy Rejmana. Naszej domowej sprawy... – dodał ledwie słyszalnie.

– A więc masz wypuścić Srokę? – podsumował Hubert.

– Na to wygląda.

– Tak myślałem, że jesteście razem – włączył się Szerszeń, lecz w jego głosie nie było zwyczajowej wesołości. – Przykro mi, że korona mnie dojechała. Dzięki Bogu obyło się bez respiratora.

– Mamy do pogadania, Waldek – zaatakowała Werka. – Jak się czujesz?

– Jak stara ścierka po dekadzie w śmietniku – poskarżył się stary policjant. – Czasami po przejściu z kuchni do pokoju muszę zafundować sobie drzemkę, bo inaczej upadłbym na twarz. Tak poza tym konował uważa, że najgorsze mam za sobą. No i w kółko muszę wysyłać ojczyźnie zdjęcia naszego lokalu. W życiu nie miałem tylu fotografii, co z czasów tego choróbska.

– Jedziemy do ciebie – zdecydowała prokuratorka. – Tylko zgarniemy Domana.

– Nie – zaprotestował Hubert. – Nie damy im tej satysfakcji.

Wera spojrzała na Huberta rozzłoszczona.

– I nie gadajmy przez telefon – dorzucił, mimo że gromiła go wzrokiem. – Kuruj się, Waldek. Odezwiemy się do ciebie, jak się naradzimy.

– Okej – zgodził się Szerszeń. – A poza tym jak idzie z Balwierzem?

– Gównowojna z komendantem. Właśnie mnie wyeliminowali z dochodzenia.

– Portale grzeją ekologa. Podobno dostał zarzuty.

– Niech sobie grzeją. Wciąż nie znaleźli dziewczynki.

– Chcesz tutaj zostać? – Werka wyciągała już papierosy ze schowka, ale nie mogła dosięgnąć.

Meyer pomógł jej i odpalił tradycyjnie dwa. Kiedy go podawał, delikatnie pogładził ją po twarzy. Wtuliła się w jego dłoń. Spojrzała badawczo, a potem pochyliła się, by mógł ją pocałować.

– Halo! – krzyczał Szerszeń. – Jesteście tam?!

Z trudem się rozdzielili.

– Zadzwonimy do ciebie – rzekł Hubert. – Nie mów nic nikomu.

– Komu miałbym gadać? Cieszę się, że tak szybko udało się rozkminić rebus.

– To dopiero będzie rebus, Waldek. – Hubert zniżył głos. – Czy moja kraciasta koszula mieszka już w Brynicy?

Słysząc było chrząkanie i kasłanie. Werka patrzyła na Huberta, a potem w lusterko wsteczne. Za nimi stał radiowóz. Kogut na jego dachu migotał na niebiesko. Przeklęła.

– Ziemia jest już jej lekką – odrzekł Szerszeń. – W wodzie bywają potwory.

– Na ziemi też – odrzekła Rudy i wychyliła się, obserwując zmierzającego ku nim funkcjonariusza drogówki.

– Robi pani sobie u nas pościg? – Mundurowy zerknął na blachy. – To nie stolica. Sto pięćdziesiąt w obszarze zabudowanym to na prowincji gorzej niż zbrodnia. Może się pani pożegnać z prawkiem.

– Się doigrałam – mruknęła pod nosem Wera. I dodała z satysfakcją: – Jechałam prawie dwieście, ale niech ci będzie. Suszarkę masz niepełnosprawną.

W tym momencie podszedł do nich drugi policjant. Był w garniturze, przy pasku miał przypiętą kaburę. Włosy strzygł mu jakiś ekscentryczny fryzjer, bo aż lśniły od

żelu. Hubert stwierdził, że gdyby miał ich dotknąć, pokaleczyłby sobie palce. Skrzywił się na widok młodego gogusia.

– Pan Meyer? – Dandys pochylił się do wozu Werki i przez okno pomachał do Huberta krótkofalówką.

Profiler niepewnie skinął głową.

– Pojedzie pan z nami.

– Z jakiej okazji?

– Mamy rozkaz konwojować pana we wskazane miejsce.

– Jestem zatrzymany?

– Pan nie.

Hubert spojrział na Weronikę.

– Jedź. Poradzę sobie – szepnęła. I uśmiechnęła się smutno. – Przecież chciałeś spróbować mojej nowej zabawki. – A potem zwróciła się do policjanta w cywilu: – Torebkę z dokumentami mam w bagażniku. Mogę wyjąć?

– Nie będzie takiej potrzeby, jeśli obieca pani, że w tej chwili opuści pani nasz rejon. Możemy zakończyć sprawę na pouczeniu.

– A jeżeli nie? – Wera uniosła hardo podbródek. – Jaki rozkaz masz w takiej sytuacji?

Mundurowy odpiął od pasa kajdanki i zatrzasnął je na cienkich przegubach zaskoczonych prokuratorce.

\* \* \*

Minister Włodzimierz Czajkowski nieznacznie skinął na swojego ochroniarza, by ten zatrzymał się pod samym wejściem do aresztu. Poprawił broń, wypiął pierś, jakby brał udział w musztrze. Dalej polityk poszedł już sam.

Nawet z tej odległości widział w przeszklonym pokoju Werę, Meyera i łysego komendanta białostockiej jednostki. Kiedy docierał na miejsce, pomieszczenie opuszczało dwóch smutnych panów z wydziału wewnętrznego.

– Szybko udało się panu zwolnić grafik, ministrze – zauważył Czupryna i niemal w podskokach podbiegł witać Czajkowskiego. – Przepraszam za kłopot. Gdyby nie było to konieczne, nie dzwoniłbym.

– Domyślam się – mruknął minister.

Rozejrzał się. Werka rozcierała przeguby, unikała go wzrokiem. Hubert siedział z pochyloną głową, ale zerkał na Czuprynę wilkiem.

– Dziękuję za fatygę, komendancie – dorzucił łagodniej Czajkowski. – Byłoby to nieco krępujące, gdyby o sprawie dowiedziały się media.

Czupryna skinął przez szybę na asystentkę. Wzięła z blatu tacę, na której stały przygotowane zawnazawczasu łakocie i termos z kawą.

– Pewnie pan zmęczony podróżą – podlizywał się.

– Niezbyt – odrzekł Czajkowski. – Ominie mnie kilka nudnych posiedzeń, ale koledzy mi zreferują. Nie musi pan zaprzętać sobie tym głowy. To z czego mam wyciągnąć tych andrusów? – Odchrząknął. Przyjrzał się Werce i Meyerowi. Wyglądali jak dwójka nieletnich wagarowiczów przyłapani na picciu wina w parku i paleniu jointów. Minister puścił do nich oko, a potem znów zwrócił się do komendanta: – I co pan za to chcesz?

Czupryna stanął jak wmurowany. Werka się roześmiała. Hubert nie odważył się do niej dołączyć, ale oczy lśniły mu z satysfakcji.

– Wie pan, że nie można wyłączyć Meyera ze śledztwa? – ciągnął Czajkowski. – Sam go pan powołałeś, a z tego, co wiem, podejrzany jest niepewny...

– Prokuratura postawiła już Koleckiemu zarzuty. – Komendant trzasnął obcasami. – Dziś było posiedzenie w sprawie aresztu. Dostał trzy miesiące. Dziwię się, że traktuje pan to tak lekko. Pani Rudy utrudnia dochodzenie, nie wolno jej uczestniczyć w działaniach operacyjnych, a pan Meyer dopuścił się szeregu zaniedbań. W tym ujawnił tajemnice śledztwa nie tylko szanownej małżonce, ale i emerytowanemu koledze oraz...

Minister podniósł władczo dłoń, jakby był papieżem na balkonie w Watykanie. Czupryna natychmiast ucichł.

– Oferta – rzekł. – Powiem, czy mogę ją spełnić, czy nie leży to w mojej mocy.

Komendant odchrząknął.

– Z pewnością leży – zaczął niepewnie. – Chodzi o przyszłoroczny budżet dla naszych ludzi z regionu. Zostaliśmy pominięci, a czas jest trudny. Pandemia, większość funkcjonariuszy wypełnia rozkazy ogólnokrajowe... Nie mamy radiowozów...

– Ile? – przerwał mu Czajkowski. – Jeśli więcej niż milion, trzeba to poddać pod obrady komisji. Więc ile? Bo nie mam czasu.

– Myślałem o pięciu. Do rozliczenia w następnych trzech latach.

– Więc chodzi o stanowisko? – Minister był szczerze ubawiony. – Chcesz porządzić tutaj jeszcze ze trzy gody, Krzychu? Słusznie. Też sporo myślę o przyszłości. Nie należymy do ludzi, którzy praktykują zen, co?

Czupryna z trudem zachowywał spokój. Hubert wiedział, że z ochotą wyjąłby fajkę, ale przy Czajkowskim nie miał odwagi. Wahał się, zastanawiał, jak to wyjaśnić, aż w końcu nie odezwał się wcale.

Minister westchnął ciężko i zajął pierwsze krzesło z brzegu. Hubert nie mógł oderwać wzroku od jego ręcznie robionych koniakowych butów.

– Na czym polega ta afera, której dopuściła się moja żona z kolegą? – spytał. – Ale tak naprawdę?

– Już mówiłem... – Czupryna coraz bardziej miękł.

– Bo widzisz, inspektorze, sporo ryzykowałeś, ściągając mnie tutaj. A gdybym jej nie kochał? – Wskazał Werę. – I nie chciał jej ratować? Co byś zrobił? Aresztował ją? Podał rzecz do prasy?

– Nigdy! – Czupryna uderzył się w pierś, ale tym gestem upewnił jedynie ministra, że sytuacja miałaby taki właśnie przebieg. – Nie trudnię się donosicielstwem. Zadzwoiłem ze szczerego serca. Chcąc pomóc... To był błąd?

Czajkowski roześmiał się gromko, a potem nagle spoważniał. Wera, która go dobrze знаła, widziała, że jest ostro zagniewany.

– Włódku, to podpucha – szepnęła. – Nie musisz tego robić. Wezmę to na siebie... Proszę cię.

– Nie wtrącaj się, Wero – rzekł do niej łagodnie, niemal z czułością. – Pomówimy później. – Wstał. – Dostaniesz dwa – zwrócił się do komendanta. – Ale na rok. I nie możesz wydać nawet połowy. Jeśli to ci pomoże w nominacji na prezydenta miasta, wykorzystaj to. Bo o to ci chodzi? – A potem wskazał Werę i Meyera. – Oni zostają. Wiem, że mieszasz w sprawie Balwierza, więc niech się temu bliżej przyjrzą.

Czupryna chciał wyjaśniać, lecz Czajkowski podniósł dłonie w geście poddania się.

– Ja nie chcę tego wiedzieć, Krzychu – zastrzegł. – I życzę ci, by nic, co napultałeś, nie wyszło na światło dzienne. Jeśli zaś chodzi o mandat i przekraczanie prędkości, to było perfidne. Chciałeś bańkę, wystarczyło grzecznie poprosić.

– Oni muszą wyjechać! – Czupryna wbił się wreszcie w monolog ministra. – Meyera odwołałem, a pana żona nie jest powiązana z dochodzeniem.

– To załatw jej powiązanie albo przymknij oko, jako i ja przymykam. – Czajkowski wzruszył ramionami. – Wybaczcie teraz, chciałbym zostać sam na sam z żoną.

\* \* \*

Dom Wojciecha Grzybowskiego zwanego Grzybkiem znajdował się przy drodze wjazdowej do Narwi. Od szosy prowadził świeżo wylany asfalt, a dalej właściciel ułożył kostkę i obsadził aleję szczepionymi oraz wymyślnie ostrzyżonymi grabami. Wera zatrzymała się przed zakrętem, wyłączyła silnik i pstryknęła światła awaryjne.

– Znów chcesz gadać z drogówką? – zdziwił się Hubert.

W aucie panowała absolutna cisza.

– Powiesz mi czy nie? – nie wytrzymał.

– Nie ma o czym mówić! – parsknęła. – Zrobił mi scenę zazdrości. I wiesz co, miał rację.

– W czym? – Hubert zapobiegliwie odsunął się do okna.

Zacisnęła usta.

– Palimy?

– Nie – burknęła. – Ma dla ciebie propozycję.

– Dla mnie?

– Twierdzi, że to jedyna droga, żeby zapobiec zdradzie. Nazwał to rodzajem kary.

– Oho! – Hubert wypuścił haust powietrza i sięgnął do kieszeni po papierosy. – Wsiądę, przewietrzę się.

Kliknęła przycisk w drzwiach. Szyba po stronie Meyera zaczęła się opuszczać.

– Ty nie? – upewnił się.

Wzruszyła ramionami, a potem wyciągnęła rękę w jego kierunku. Chwycił ją i pocałował od wewnętrznej strony przegubu. Nie wyrwała dłoni, tak jak się spodziewał, więc nadal ją trzymał i delikatnie gładził.

– Uważa, że i tak będziemy się spotykać, więc wymyślił coś, by temu zapobiec – zaczęła łagodniej. – To jest tak cholernie w jego stylu. Rozwała mnie dokumentnie.

– Kocha cię – skwitował Hubert i puścił wreszcie jej dłoń. – Nie dziwię mu się. Jesteś wspaniała... Nadzwyczajna... – Urwał, bo zgromiła go spojrzaniem.

– Chce, żebyś stworzył Wydział Analiz Behawioralnych. Coś na kształt struktury, która działa w Stanach. Dostaniesz lokal, zwerbujesz ludzi i będziesz tym kierował.

Hubert wpatrywał się w Werkę, jakby mu opowiadała o swoich przygodach na Księżycu.

– Żartujesz? – wydusił w końcu. – Walczę o to, odkąd pamiętam! To ma być kara?

– Tak. Dla mnie.

– Niby dlaczego?

– Bo na siedzibę twojego wydziału Włodek wybrał jeden z budynków swojego biura. Gabinet masz naprzeciwko jego. Będzie cię miał pod totalną kontrolą.

Hubert wybuchł niekontrolowanym rechotem.

– Ten facet to jest gość. Lubię go! Chciałbym być taki jak on – mruzczał, dusząc się ze śmiechu. – Ma stalowe jaja.

Werka też wreszcie się uśmiechnęła.

– Też go lubię. I nawet kocham. Ciebie też, ale... – dodała i splonęła się jak nastolatka. – Nie potrafię tego ogarnąć.

Hubert milczał. Nie wiedział, czy to mu się przypadkiem nie śni.

– Coś ty powiedziała? Replay – poprosił i pochylił się, by ją pocałować, ale się odsunęła.

– Wiesz o tym – dodała ze srogą miną. – Od dawna. Wymknęło mi się, żałuję, że to powiedziałam...

Miotła się chwilę. A potem wysiadła, obeszła samochód dookoła. Kiedy wróciła, była już spokojna. Hubert w tym czasie siedział z zamkniętymi oczyma i uśmiechał się tak szeroko, jak chyba nigdy w życiu. Spojrzał na nią i choć miała minę groźną jak chmura gradowa, wcale nie spoważniał.



– Nie wiedziałem – rzekł. – Jesteś marzeniem...

– Nic nie mów. Innym razem do tego wrócimy. – Machnęła ręką i wzięła papierosa z jego paczki. Podał jej ogień. – Żeby stworzyć ten wydział, musisz pokazać, że psychologia behawioralna potrafi momentalnie zmienić przebieg śledztwa. Sprawa Balwierza, zdaniem Włodka, idealnie się do tego nadaje.

– Od lat to udowadniam. – Meyer wydmuchał dym za okno. – Tylko jakoś nikt nie chciał patrzeć.

– Teraz będą patrzeć. Włodek o to zadba.

– A więc dlatego przyjechał? Nie dla Czupryny?

– Mamy rozkaz nie wyprowadzać komendanta z błędu. Niech sobie myśli o budżecie regionalnym i wsparciu w wyborach. Gównu mnie zresztą obchodzi, co on kombinuje. W każdym mieście są tacy ludzie. Włodek obiecał mu forszę, ale to nie znaczy, że Czupryna dostanie ją za darmo. Mój mąż to polityk. Umie wykorzystać każdą okazję. Uważa, że teraz jest dobra koniunktura na taki popis jak profilowanie.

– A więc ten wydział to ma być popis?

– Dowód na to, że wciąż jest do przodu. Nowoczesność spojrzenia, wielka profeska. Jeśli przyjmiesz ofertę, będziesz chodził na pasku. Nie odetchniesz na chwilę. Skończy się wolność i niepodległość. Włodek chwyci cię za jaja, a choćbyś miał je ze stali, on je zmiażdży. Ja cię proszę, nie gódź się na to! – dokończyła.

– Dlaczego? – zdziwił się. – To może być dla mnie ostatnia szansa. Balwierz to jedna z tych spraw, które faktycznie wyglądają inaczej dowodowo niż w rzeczywistości. Oboje wiemy, że to nie Kolecki.

– A kto?

– Dowiemy się. Po to wróciliśmy, czyż nie?

– Ja nie wiem, po co wróciłam – wyznała. – Chyba tylko z tej przyczyny, że boję się dziś wieczorem być w domu... Potrzebuję kilku dni, by ochłonąć. I on też. Jeśli dziś znalazłabym się w Warszawie, dyskusja z Włodkiem nie byłaby merytoryczna. Zresztą to nieważne. Nawarzyłam piwa, będę je piła.

– Zastanów się jeszcze. Gdybym był nim, chciałbym, żebyś wróciła jak najszybciej.

– Ale nie jesteś! – przerwała mu. – On używa wszystkich. Mnie, ciebie, Czupryny, swoich pomagierów, kolegów z firmy. Nawet ochroniarza. Wie, jak zarządzać ludźmi. To dobrze funkcjonujący psychopata.

– Chyba przesadzasz.

– Nie mówię, że go nie szanuję. I nie zamierzam się z nim rozstawać – zastrzegła. – Ale doskonale zdaję sobie sprawę, do czego jestem mu potrzebna.

– Do czego?

– Rozszerzanie imperium – odparła bez wahania. – Jeśli ten wydział zostanie powołany, będzie podlegał pode mnie, a nad nami będzie tylko Włodek.

– Chyba że zdejmą go ze stanowiska.

– Nie sędzę, by miało to nastąpić w najbliższej przyszłości.

Hubert zastanawiał się.

– Dla mnie ta kara jest nadzwyczaj kusząca – przyznał. – Pracować legalnie w całym kraju, szkolić ludzi i na dodatek codziennie widywać ciebie. – Rozpromienił się. – W Katowicach nic mnie nie trzyma.

– Ty nie rozumiesz – przeraziła się. – Nie będziesz pracował przy śledztwach. Zostaniesz urzędnikiem. Excele, wykresy, audyty, zarządzanie ludźmi. On chce cię zamknąć w klatce. Masz stworzyć zespół, który będzie działać w terenie, a ciebie posadzi za biurkiem i będzie rozliczał z wyników.

Hubert uśmiechnął się kpiąco.

– Jak niby miałyby to zrobić? Skoro będę zarządzał wydziałem, sam sobie wydaję rozkaz wyjazdu na oględziny czy wizję. To proste!

Werka ukryła twarz w dłoniach.

– Dokładnie to przewidział – wyszeptala. – Powiedział mi, że się ucieszysz.

– Cieszę się – potwierdził. – Jaram się jak cholera i nie widzę żadnych wad w tym planie! Mam tylko jedną uwagę. Wydział nie może się tak drętwo nazywać. Żaden gliniarz z terenu nam nie zaufa. Musimy być pomocni!

– Aha – burknęła. – To faktycznie brzmi jak grzeczna odmowa.

– Przekaj mu, że w to wchodzę – dodał Hubert. – Podejmuję wyzwanie. Znajdę Balwierza i będzie miał otwarcie wydziału z pełnym hukiem.

– Jesteś pewien?

– Dla ciebie zrobię wszystko! Jeśli powiesz, że nie chcesz mnie widzieć, zniknę z pola widzenia. Zechcesz mnie zobaczyć – pojawię się.

– Hubert, to nie o to chodzi! – zdenerwowała się. – Daj sobie czas. Możesz zdecydować po tej sprawie.

– Już zdecydowałem. I mam nawet dobrą nazwę! – Zawahał się. – Wydział Wsparcia Dochodzeń. O to w mojej robocie chodzi! Dzwoni do niego, bo zabieramy się do roboty.

– A co z naszymi brudami? Sroka, Kołomyjski i inne historie... – jęknęła. – Będiesz na widelcu! Zdajesz sobie sprawę, że tym samym wchodzisz do polityki? Dziennikarze będą ci zaglądać w papiery. Przekroczysz prędkość, pierdolniesz kogoś w łeb, bo cię wkurzył, i wszystko zaraz znajdzie się w internecie. Ty się do tego nie nadajesz, Meyer! Powinieneś działać solo. Tylko takie życie ma dla ciebie sens.

– Już nie – zaprzeczył. – Nie darowałbym sobie, gdybym nie skorzystał z tej okazji. Z wielu powodów... Dobrze o tym wiesz. Młodszy nie będę, a kiedy umrę, zostawię po sobie coś pożytecznego. Może udałoby się stworzyć system komputerowy, o którym gadam na wykładach od lat? Wyobrażasz sobie? Każdy policjant, także Żelich z narwiańskiego posterunku, mógłby sobie wrzucić

w wyszukiwarce modus operandi Balwierza i wyskoczą mu podobne sprawy. Wiesz, jak to ułatwi pracę operacyjnym? Ile forsy zaoszczędzi ojczyzna, a tym samym i podatnicy?

– Widzę, że mnie nie słuchasz – westchnęła zrezygnowana. – Nie chcesz widzieć zagrożeń. Zakochałeś się z tym projekcie. Włodek wiedział, że tak będzie.

– Zakochałem się totalnie. – Hubert się uśmiechnął. – Tak właśnie. Obawiam się, że mogło się tak wydarzyć... Ale nie w projekcie. W życiu. Znów czuję, że oddycham. Wszystko wydaje mi się proste.

– No cóż, dopamina, serotonina, oksytocyna i inne takie – zaczęła, ale przerwała, bo patrzył na nią cały rozpromieniony. Oczy mu błyszczały, a zęby szczyrzył jak wariat.

– I ocean kortyzolu – zapalił się. – Stres mam gwarantowany, ale jakoś wcale mnie to nie zniechęca! To najlepsza wiadomość od wieków!

Nie poznawała go. Wyglądał, jakby w jednej chwili odmłodził o piętnaście lat. Aż się wzdrygnęła, kiedy pojęła, co tak naprawdę chciał jej wyznać.

– Nie bój się – rzekł łagodnie. – Nie warto. Kiedy pojawi się kłopot, rozwiążemy go razem.

– To akurat stanie się twoją codziennością. – Z trudem wydobywała głos z gardła. – Zawsze będziesz już od czegoś lub kogoś zależny.

– Wtedy się z tego wymiksuję. – Zaśmiał się. I powtórzył: – Chcę spróbować.

– Okej – zgodziła się. Sięgnęła po komórkę. – Więc mu tak napiszę. – Wysłała wiadomość, spojrzała na Huberta i dodała ostrzegawczo: – Nie zapytałeś, dlaczego sam ci tego nie zaproponowałem?

Meyer milczał chwilę.

– Bo chciał nas sprawdzić?

– Nie nas. Mnie.

– I co wyszło z tego testu?

– Jeśli się zgodzisz, będę miała u niego dług. A jak wiesz, kredytów nie znoszę.

– Co to dokładnie oznacza?

– Że nigdy nie będziemy razem. Ten czas, który tutaj spędzimy, jest jedynym, na jaki możemy sobie pozwolić.

Hubert nie zdążył odpowiedzieć, bo w tym momencie do okna zastukał starszy, brzuchaty jegomość. Miał pałkę przy pasku i giwerę w kaburze pod pachą. Już z daleka wyglądał na gliniarza, ale bez munduru Meyer go nie poznał.

– Państwo do kogo? – warknął władczo. – Stoicie tu z godzinę, a to teren prywatny.

– My do pana Grzybka – odparł profiler. – Prokurator Weronika Rudy i Hubert Meyer.

– To widzę.

Ochroniarz zsunął maskę, a Hubert aż się wychylił, by mu się lepiej przyjrzeć. Stał przed nim Żelich, dyżurny z Narwi. Nawet w cywilu wyglądał na nadgorliwego służbistę, który gotów jest zrobić piekło z powodu małego przewinienia.

– Często tu dorabiasz? – wydusił Hubert.

– Jesteście umówieni?

– W życiu nie umawiałem spontanicznych przesłuchań – odparł psycholog, a Werka zmarszczyła brwi, bo Hubert od dawna nie był taki wesołkowaty. Może nigdy. Nie podobało jej się to.

– Teraz już rozumiem, dlaczego akta zaginięcia małej Grzybowskich liczyły tylko siedem kartek i nie chciałeś po nie jechać do Rybitwy – mówił dalej Hubert, ale Żelich nawet nie mrugnął okiem. Nie dał po sobie poznać, jak bardzo jest zdenerwowany.

– Pokażecie jakiś papier? Bo mam obowiązek sprawdzać każdego gościa. Po okolicy wciąż kręcą się dziennikarze.

Hubert roześmiał się szyderczo w odpowiedzi, ale Wera sięgnęła do schowka i machnęła legitymacją. Żelich obejrzał dokument wnikliwie, jakby starał się zapamiętać wszystkie dane, a nim go zwrócił, zanotował numery w notesie.

– Radziłbym przekazać szefowi, że opłaca mu się z nami pomówić – dorzucił Hubert. – Jeśli wrócimy z nakazem, może być po ptokach.

– Nasi byli już u szefa. Wy w jakiej sprawie?

– Nie mędrkuj, człowieku, bo zacznę procedurę sprzeczności interesów – obsztorcował go Meyer. – Powiedz Grzybkowi, że jesteśmy w sprawie białego wilka. I polowań z aplikacji. – Podniósł telefon. Pokazał mapę, którą przekazała mu Swieta, a przy której w Suwałkach pracowała Dobrawa.

Hubert blefował i Werka dobrze o tym wiedziała. Mimo to ochroniarz skamieniał i dopiero po długim namyśle sięgnął po telefon. Odszedł na bezpieczną odległość. Nie słyszeli rozmowy, choć bardzo się starali.

– Szef czeka w ogrodzie – oświadczył po powrocie ochroniarz, a potem bez słowa ruszył w pole.

Meyer odprowadzał go spojrzeniem. Zastanawiał się, w jakim celu policjant tam się udaje i kogo pragnie ostrzec.

– Jedź do Grzybka i zaczynaj – rzucił do Wery i niemalże w biegu wyskoczył z auta. – Wkrótce dołączę. Muszę tylko coś małego sprawdzić.

Słyszał, jak Rudy pomstuje, ale się nie zatrzymywał. Przyspieszył kroku, a potem ruszył truchtem. Ze wszystkich sił starał się nie spuścić Żelicha z oczu.

\* \* \*

Luba Kupała skończyła zwijanie motków w kłębki i ciężko dysząc, zasiadła

w bujanym fotelu. Zapatrzyła się w ogień. Bez Jańcia wszystko straciło dla niej sens. Dzisiejszego wieczoru do Narwi miały przyjechać jej dzieci i wnuki, ale telefonicznie uprzedziły ją, że wolą przenocować w hotelu i odwiedzą ją z samego rana.

Tym bardziej się zdziwiła, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Ciche, zestrachane. To nie mogła być policja.

– Wejść – mruknęła. – Nie mam siły wstawać.

Mimo to podniosła się i przykryła wór z robótkami serwetą ściągniętą ze stołu.

– To ja, babciu Lubo. – Żelich zdjął czapkę. Karnie ostukał buty ze śniegu po przekroczeniu progu. – Przyszedłem sam.

– I dobrze. Głodnyś?

– Nie mam za wiele czasu.

– Ja mam go jeszcze mniej, a żur świeżutki. Jutro go nie będzie. Przyjeżdżają moi.

– Tak, słyszałem.

Podszedł do pieca. Sięgnął po chochlę. Nalał sobie do miski słuszną porcję.

– Chleb kminkowy masz pod ścierką. Noże wiesz gdzie.

Żelich pokręcił głową. Usiadł. Ale nie zaczął jeść. Ogrzewał dłonie o ciepłe naczynie.

– Nadal uważasz, że źle zrobiłam?

– Dla nas nie najlepiej. Za to tobie pewnie jest lżej.

– Wszystkim będzie lżej, jak sprawa się ostatecznie wyjaśni.

– Zaczęli przesłuchania. Wzywają kolejno wszystkich.

– Grzybek jest zły?

– Nie bardzo. Przed chwilą przyjechali do niego miastowi. Meyer i ta ruda niunia. Nie wiem, co tu robią, bo komendant ich wyгнаł. – Urwał. Pochylił głowę. – Pójdę i się przyznam.

Babcia Kupała podeszła do niego. Położyła mu dłoń na głowie.

– Nic nie rób, Żelik. I nie myśl już o tym. Mojemu wnukowi nie przywróci to życia. Zrobił, co zrobił... Tak niewiele radości przypadło mu na tym padole. Trosk za to co niemiara... Mam tylko nadzieję, że dobrze ukryliście małą. Skoro tyle osób poświęciło się, by ją chronić, nie warto, żeby jej tajemnica wyszła na jaw właśnie teraz. Ale dosyć już trupów. Wyjedźcie, zapomnijcie. To najlepsza recepta na strach.

Żelich spojrział na babcię z wyrzutem.

– Mira jest przecież u siebie. Z Bašką.

Kupała szczerze się zdziwiła.

– Skoro tak, powinni powiedzieć prawdę i znów wszystko byłoby jak dawniej.

– Ty powiedziałaś i co nam z tego przyszło? – zaperzył się mężczyzna. – Śledztwo niby zakończone, a warszawiaki węższą po kątach.

Skrzypnęły drzwi i do pomieszczenia wmaszerował Meyer.

– Racja z tym węszeniem. Chciałbym wreszcie usłyszeć prawdę – rzekł. – Całą prawdę. O Mirze i waszych interesach. Tak, pani Lubo, na strach najlepsza jest spowiedź, nie milczenie. Boli tylko chwilę, a potem przychodzi ulga.

Kupała wymieniła spojrzenia z Żelichem. Wskazała wór robótek nakryty serwetą.

– Weź to i rozdaj ludziom. Nie będę już tym handlowała. Dziś planuję umrzeć.

– Co ty mówisz, babciu? – zaoponował stary policjant. – Na twoją setkę szykujemy wielkie przyjęcie w gminie!

– Wiem, co mówię. – Odwróciła się do Huberta. – Wszystko, co zem miała do powiedzenia, powiedziałam na komisariacie. Chcesz jeść, tam jest garnek. Jak nie, fora ze dwora.

Po czym usiadła w swoim fotelu i więcej się nie odezwała.

\* \* \*

Hubert pomógł Żelichowi wynieść worek i zdało mu się podejrzane, że robótki są takie ciężkie. Kiedy wytaszczyli je wreszcie na ganek, psycholog obmacał pakunek, ale nie znalazł w nim niczego twardego. Zanurkował dłonią, lecz losował jedynie czapki i szaliki w różnych kolorach.

– Nie musisz się tak przykładać. – Żelich się zaśmiał. – Szukasz nowego trupa? Tu go nie znajdziesz.

– Więc gdzie mam szukać?

– To był tylko żart.

– Od jak dawna pracujesz na dwa fronty?

– Tak tego bym nie nazwał – oburzył się Żelich. – Poza wtorkowymi dyżurami w jednostce u Domana mam sporo wolnego. Grzybek płaci godnie i traktuje jak członka rodziny.

– Dlatego opuściłeś jednostkę tamtej nocy? – spytał Hubert. – Żeby zadzwonić?

Żelich zatrzymał się. Postawił wór na ziemi. Otrzepał dłonie, wyciągnął z kieszeni tytoń i bibułki. Zaczął skręcać papierosa.

– Ja nic nie wiem – powiedział. – A w każdym razie nic, co mogłoby się wam przydać.

– Wątpię.

– U Grzybków jestem od przeszło dziesięciu lat. Wiele widziałem, ale nic do protokołu. I nie dostarczałem danych ze śledztw. Nie wrobisz mnie w to, profilerku.

Hubert zastanawiał się chwilę.

– Każdej nocy, kiedy Balwierz mordował, miałeś dyżur – powiedział. – Kiedy młody Doman odebrał telefon, wyszedłeś na chwilę przeparkować auto. Przypadek?

Żelich nie odpowiedział.

– To ty dzwoniłeś – upierał się Hubert. – I spreparowałeś list dziewczynki.

Policjant nadal milczał.

– Ile ci zapłacili?

W tym momencie Żelich wybuchnął gromkim śmiechem.

– Nic mi nie udowodnisz.

– Przyniosłeś list od Miry. Wszyscy widzieli – podkreślił Meyer, ale Żelich gwałtownie pokręcił głową, szczerze ubawiony.

Psycholog nagle zaczął się wahać, czy dyżurny nie mówi przypadkiem prawdy.

– Więc kto? – dopytał.

– Nie mam pojęcia. – Żelich wzruszył ramionami. – Kiedy objąłem służbę, list leżał już na stercie korespondencji.

– Sam go tam włożyłeś. Wiedziałeś o akcji w lesie. I o tym, że pójdziemy na zwiad. Czekaliśmy, aż posterunek się wyludni. Wtedy zadzwoniłeś.

– Niby skąd? – Żelich wciąż kpiąco się uśmiechał. – Szukasz kozła ofiarnego czy całkiem cię pogięło?

Hubert wyjął telefon. Pokazał trasy wędrówek wilków.

– Co tak naprawdę robiła Dobrawa? I co pokazują te mapy? Do czego ich używaliście?

Żelich nie odpowiadał. Szczerzył się jedynie szerzej i szerzej, a wreszcie pochylił się i wysyczał Meyerowi w twarz, aż psycholog poczuł kwaśny odór żuru z jego ust:

– Wracaj do domu, człowieku! Zajmij się swoimi sprawami. Ty wyjedziesz, nie będzie Balwierza. Od lat załatwiamy nasze sprawy sami. Gdyby szef cię nie powołał, Swieta by żyła, a Mira odnalazłaby się tej nocy, której zginął Kupała. Maniek by nie siedział, rodzice Swiety mieliby swój grób. – Urwał.

Hubert był oburzony bezczelnością policjanta.

– Grozisz mi?

– Dobrze radzę.

– Może dokończymy tę rozmowę w komisariacie?

Żelich odwrócił głowę. Z trudem hamował gniew.

– Nie masz tam wstępu – wychrypiał. – Czupryna wydał bardzo jasne rozkazy. Możesz się włóczyć po okolicy, analizować, co chcesz, ale nie dopuścimy cię już do akt ani danych operacyjnych.

– Robicie coś, w co umoczeni są wszyscy w Narwi – podsumował Hubert. – To dlatego nie mogę złamać zmywy milczenia. Co z tego masz? Co ma z tego stuletnia staruszka od robótek ręcznych? Twój pryncypał Grzybek, jego żona i wszystkie jego kobiety... Oraz białostocki komendant. Dowiem się. Bądź pewien, że to rozwiążę.

Tym razem dyżurny zachował kamienną twarz.

– Nie łaż więcej za mną – rzekł. – Widziałem cię tej nocy, kiedy zginął Kupała.

I przed Kamiennym Fortem, jak się kryłeś za krzakami... Śmiać mi się chciało, kiedy Romka załatwiła cię jednym ciosem. Mięczak...

– Udowodnię ci, że dzwoniłeś do młodego Domana i podrzuciłeś list. Wiesz, gdzie jest Mira. I wiesz, kto ich wszystkich zabił. Dlaczego go kryjesz?

– Jego? – Żelich wykrzywił twarz w nieprzyjemnym grymasie. – A może to ja jestem Balwierzem? Nie pomyślałeś o tym?

– Chciałbyś. – Hubert pokręcił głową z politowaniem. – I nie wiesz, kim on jest, choć z nim współpracujesz. Imponuje ci ten gość. Uważasz, że czyści teren, prawda?

– W życiu nie słyszałem większej bzdury! – Żelich udał ubawionego, lecz był speszony.

W tym momencie Huberta olśniło.

– Auto, które poszedłeś wtedy przestawić – powiedział i urwał. – To był mini morris Francuza, prawda? W środku była dziewczynka... A więc Jean Baptiste Pilon może cię rozpoznać. Ciekawe, czy kochanek Święty pojawia się podczas kontroli z czuwania. Jeśli tak, mogę ci przybić uprowadzenie dziecka.

– To nie było to auto – odparł zimno Żelich. – Mylisz się.

– Więc dlaczego opuściłeś posterunek?

– Ratowałem małą.

– Mirę? Przed czym?

– Przed jej rodzicami. Chcieli puszczać jej krew. Jak Tymkowi...

– Tymka też ratowałeś przed matką?

– I jej konkubentem. To pijak.

Hubert przyjrzał mu się podejrzliwie i skrzywił się.

– Nie wierzę ci.

– Nie musisz. – Dyżurny zaśmiał się i wyrecytował: – Donata zastrzeliłem, a Kupałę zadusiłem tyką. Wsadziłem idiotcie kość pod język, bo tak pokazywali na jednym filmie. Zanim utopiłem Świętę, do studni Mańka wrzuciłem szmaty i broń. Dom jej rodziców podpaliłem, żebyście nie mogli zebrać śladów.

– To było sprytne – rzucił z przekąsem Hubert. – Ale nadal mnie nie przekonujesz. Przyczyna śmierci Kupały jest nieco inna. A szmaty i broń schował do studni Maniek, nie ty. Kłamiesz.

– Możemy sobie tak pogadać do wieczora, ale i tak nic mi nie udowodnisz.

– Tak uważasz?

– Nie powtórzę tego na przesłuchaniu.

– Kto mówi, że dojdzie do przesłuchania? – prychnął Hubert. – Wystarczy, że powiesz, gdzie jest dziewczynka.

– Przecież wiesz. – Żelich uśmiechnął się dziwnie. – My sobie tutaj sobie gadu-gadu. A ona pewnie blednie...



Hubert nie był pewien, czy mężczyzna jest szalony, czy tylko się z nim droczy.

– Zostawiłeś swoją dziewczynę u Grzybków. I to był błąd. – dodał Żelich. – Nikt poza nami nie wie, że prokurator Rudy wjechała za bramę.

– Jej samochód ma rejestrację GPS.

– Zgadza się. Dlatego został odholowany. Nabrałeś się jak harcerz. Byłem pewien, że za mną polecisz.

Hubert nie słuchał. Odwrócił się i ruszył biegiem do domu Grzybowskich. Nie zatrzymywał się, biegł do utraty tchu, aż zobaczył na podjeździe porsche Weroniki. Dopiero wtedy zwolnił. Przeskoczył ogrodzenie i pobiegł wprost do drzwi. Chwycił za klamkę. Stawiła opór. Uderzył kilka razy pięścią, zawołał. W drzwiach stanęła Barbara Grzybowska. Jej zapłakana twarz kontrastowała z odświętnym szyfonowym kombinezonem i ufryzowanymi włosami.

– Właśnie o panu mówiliśmy – rzekła przez łyzy. – Proszę sobie wyobrazić, nasza córeczka znów napisała.

# **Część 5**

## **Pokot**

## Dzień siódmy 21 lutego 2021 (niedziela)

Redakcja była opustoszała. Choć następnego dnia wychodziła poniedziałkowa gazeta, wszyscy dziennikarze, graficy i szefowie działów pracowali w domu. W newsroomie, przy stole konferencyjnym, zasiedli jedynie Motyl, jego szef, Wera i Meyer. List krążył z rąk do rąk.

– Szanuję państwa stanowisko, ale wciąż nie rozumiem, dlaczego mamy tego nie publikować – upierał się redaktor Motylewski. Spojrzał na swojego zwierzchnika. – Jarku, przecież to jest wołanie o pomoc. List został wysłany do nas. Na moje nazwisko – podkreślił z dumą. – Nie na adres policji.

– Właśnie to jest niepokojące – zauważył Hubert.

– Sprawca nawiązał kontakt. Właśnie to pragnęłeś osiągnąć – przypomniał redaktor. – Czy nie po to drukowaliśmy te twoje nudne komunikaty? Portrety pamięciowe, profile, listy gończe... Wykorzystywałem wszystko, co nam kiedykolwiek dostarczyliście. Mieliście własną tubę propagandową. Teraz jest mój czas. Zawarliśmy układ – upierał się Motylewski.

– Nie o tego człowieka nam chodziło.

– Podpisał się #balwierz.

– To uzurpator. I chyba znam już jego nazwisko. – Meyer urwał. – Trwają czynności. Nie mogę wam nic więcej zdradzić.

– Cały region już wie. Szukacie go listem gończym – oburzył się Motyl. – To żadna tajemnica, że Żelich jest powiązany ze sprawą. Swoją drogą to oburzające, że zatajasz przede mną taką informację i dajesz szansę innym redakcjom, żeby opublikowały ją pierwsze, skoro obiecałeś mi wyłączność.

– Nie potwierdzam, nie zaprzeczam – odrzekł Hubert. Nabrał powietrza i dodał: – A tak między nami, to wcale nie jest pewne, że Żelich ma związek z zabójstwami. Bierzemy go pod uwagę jedynie w sprawie uprowadzenia Miry. To płotka.

– Niektórzy mówią, że zanim zniknął, rozmawialiście – zaczął przymilnie dziennikarz. – Co zeznał?

Hubert wzruszył ramionami.

– Po spotkaniu z tobą się ulotnił. To, co powiedział, może nie mieć znaczenia dla śledztwa, ale ja mógłbym o tym napisać. Media rządzą się swoimi prawami – łąsił się dalej Motyl.

Psycholog się zawahał, a potem oznajmił:

– Praktycznie przyznał się do utrudniania śledztwa. I groził mi. Nie tylko zresztą mnie... – Spojrzał na milczącą i bladą z napięcia Werę. – Nie to jest jednak naszym

największym problemem.

– Grzybowscy?

– Nie pozwolili mi obejrzeć mieszkania ani wejść do pokoju dziewczynki – wyjaśnił Hubert. – Żelich zaś twierdzi, że Mira cały czas była w kontakcie z którymś z rodziców. Nie wiem, czy to prawda. Ale brzmi sensownie.

– I wygląda na to, że Grzybowscy się pogodzili – dodała Wera.

– Moim zdaniem nigdy tak naprawdę ze sobą nie walczyli – mruknął Hubert. – To była tylko gra dla gawiedzi.

– Byłam tam ledwie kwadrans i czuję, że coś ukrywają – dorzuciła prokuratorka.

– Chcielibyście, żebym się temu przyjrzał? – rozochocił się dziennikarz.

– Nie zaszkodzi. – Hubert sięgnął po list, odłożył go. – To robota Żelicha. Mira by tego nie napisała.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Redaktor naczelny – ogorzały jasnowłosy mężczyzna o twarzy chłopca – wstał, ruszył do swojego biurka. Kiedy wrócił, rzucił na blat plik kartek.

– W czasie, kiedy zginął Ukrainiec, narzeczony Swiety, pracowaliśmy nad materiałem ujawniającym machinacje Grzybowskich. Rzeczą dotyczyła głównie spraw finansowych, ale był jeden odprysk, którego nie potrafiliśmy zgłębić. Motyl, opowiedz pokrótce, co ustaliłeś... Może przyda się śledczym.

Dziennikarz spojrzął na szefa wrogo.

– Mieliśmy tego nie wyciągać – obruszył się. – Chciałem zdobyć mocniejszy materiał. Nie miałem dowodów. To pojawiało się jako coś niewiarygodnego. I nadal nie wiem, czy to nie wymysł miejscowych. Szczerze? Mam dość sprawy Donata i jego machlojek. Grzybowscy i tak trzymają w Narwi władzę.

– O co dokładnie chodzi? – przerwała mu Rudy.

– Bachanalia myśliwskie – wyjaśnił niechętnie Motyl. – Pojawiły się osoby, które mówiły o organizowaniu specjalnych polowań. Nielegalnych, tajnych. Trzeba było należeć do klubu. Nieformalnego rzecz jasna. Każdy z członków składał przysięgę i przez to trudno było zebrać jakiegokolwiek wiarygodne informacje.

– Na czym polegała osobliwość tych polowań? Strzelali do zwierząt chronionych?

– Do ludzi – włączył się naczelny. – Umawiali się na polowanie z broni ostrej i czasami ktoś bywał ranny. Sądzimy, że to dlatego pojawiła się potrzeba gromadzenia świeżej krwi. Oczywiście to tylko fantastyczna hipoteza...

W pomieszczeniu zapanowała cisza.

– Skąd to wiecie?

Naczelny skinął na Motylewskiego. Dziennikarz zaczął mówić:

– Donat był w doskonałej komitywie z Puchaczem, Grzybkiem i wszystkimi członkami lokalnych kół łowieckich. Dobrawa Wątpa i pracownicy niemal wszystkich komisariatów też uczestniczyli w zwyczajowych polowaniach. Znacie moją Waldkę?

Nigdy nie chciała brać w tym udziału, odmawiała... Ale Czołgiewicz dużo jej opowiadał. Waldka relacjonowała to mnie... Początkowo jako anegdotę, coś dziwnego, smakowitą plotkę. Namówiłem ją, żeby dołączyła do myśliwych. Chciałem tylko o tym napisać...

– I co zobaczyła?

– Nie dopuścili jej do paktu. Sprawa umarła śmiercią naturalną. Myślę, że odsunęli ją, bo się obawiali, że zaraz to trafi do prasy. Ale potem Donat pokłócił się z Grzybkiem o kapliczkę. – Dziennikarz przerwał. Spojrzał na Meyera. – To miała być zupełnie inna instalacja. Większa, bardziej religijna i nie tak abstrakcyjna. Donat zabiegał o zgodę u samego ministra. Dostał ją. Grzybkowi nie spodobało, że zmienił miejsce lokalizacji kapliczki. Początkowo rzeźba miała stać na jego posesji, a nie w lesie. Grzybowski był zły także dlatego, że koło musiało za to mimo wszystko zapłacić. I zaczęły się schody.

– Co masz na myśli?

– Meldunki o nielegalnych budowach, podgryzanie się w mediach. Basia Grzybowska doniosła o trofeach Donata. Potem jakiś gość napadł go podczas protestu przeciwko wycince Puszczy Białowieskiej, a kiedy miał dostać zarzuty, okazało się, że wyjechał do Amazonii budować tratwy. Jego media społecznościowe są martwe. – Motyl zawiesił głos. – Co jakiś czas miejscowi słyszeli o postrzałach ludzi. Sandra Sowula, jedna z ofiar, ponoć została ranna podczas takiego polowania. Nie zgłosiła tego. Nie leżała w szpitalu. Donat z Dobrawą zapłacili jej za milczenie i wtedy nagle została prawą ręką naszego anatomopatologa. Takich historii, które pozornie się ze sobą nie łączą, jest mnóstwo.

– To jakiś absurd – zachnęła się Wera. – Tajny klub? Bachanalia myśliwskie? Po co ktoś miałby chcieć wystawiać się na odstrzał i jeszcze za to płacić?

– Jakoś do zwierząt chcą – oburzył się Motyl. – Zabijają je bez skrupułów i kupują mięso. Robią z nich pasztety.

– Na co im strzelanie do człowieka? Nie powiesz mi chyba, że kogoś zjedli. – Wzdrygnęła się.

– Do takich danych nie dotarłem i nic takiego nie sugeruję – zastrzegł Motyl. – Relacjonuję jedynie to, co pojawiło się jako wątek poboczny materiału, który nigdy nie zostanie opublikowany... – Urwał i zacisnął szczękę ze złości.

– Dlaczego właściwie nie mogliście napisać tekstu krytycznego o firmie Grzybka? – zainteresował się Hubert.

– Najpierw był naszym głównym reklamodawcą – wyjaśnił naczelny. – A teraz ma większościowy pakiet udziałów w spółce, która nas wydaje. „Wieści” wychodzą za jego pieniądze. To w zupełności wystarczy, by zamknąć niewygodne usta.

– Fakt – przyznał Hubert i sięgnął po gruby plik, który niepokojąco przypominał książkę. – Mogę to dostać? Chętnie się zapoznam.

Naczelny przesunął w kierunku psychologa teczkę z materiałami.

– Kiedy Donat zginął, to była moja pierwsza myśl, że został odstrzelony jak zwierzyna. Ktoś się na niego zaczął i postąpił tak, jak myśliwi traktują jelenie i wilki.

– Wilki? – Hubert się ożywił. Wyjął swój telefon. Pokazał aplikację. – Widzieliście to? Maniek Kolecki uważa, że łowczy zaprzyjaźnieni z Donatem śledzili trasy zaczepowanych białych wilków i do nich strzelali. Ponoć bawili się w podobny sposób z bocianami i inną zwierzyną.

– Nie na tym polega łowiectwo – skrzywiła się Wera. – Mój dziadek był myśliwym. Towarzyszyły tej działalności etos, miłość do przyrody. Było w tym coś rodzinnego.

– Tu nie chodzi o selekcję – zgodził się z nią Hubert i zaznaczył: – Jeśli to, co mówicie, okazałoby się prawdą, uznałbym, że idzie wyłącznie o adrenalinę. To nie myślistwo, lecz kontrolowana wojna. Paintball dla barbarzyńców. Zamiast farbki jest prawdziwa krew... W miejsce udawanej przegranej – autentyczne pokonanie przeciwnika. Igranie ze śmiercią od wieków fascynowało niektóre osoby. – Odchylił się na krześle. – Święta wyznała mi podczas pierwszego spotkania, że trafiła raz na polowanie, w którym uczestniczyli Donat i Dobrawa. Tymek uciekł do lasu, do swojej szopy. Ponoć pobiegł za swoim wilkiem. Święta planowała go odszukać. Tak się pechowo złożyło, że znalazła się na linii strzału. Była przekonana, że strzelał do niej snajper. Dostała z dużej odległości. I to nie była broń myśliwska. Zanim została odnaleziona, omal się nie wykrwawiła.

– Przetaczano jej krew?

– W Kamiennym Forcie – potwierdził Hubert. – Wiele bym dał, żeby tam dzisiaj wejść i pomyszkować, ale nikt nie wpuści mnie bez nakazu, a Czupryna takiego glejtu nie wyda. Moim zdaniem bierze w tym udział, choć nigdy się nie przyzna.

– Ja mogę wejść do domu Gizy – zaferował się Motyl. – Umówię się na wywiad z Dobrą, odciągnę jej uwagę i wpuszczę was kuchennym wejściem.

– Musimy aż tak kombinować? – zaproponowała Wera. – Powiedzmy o wszystkim prokuratorowi. Niech wyda stosowny papier. Po co się narażać?

– Rzecz w tym, że w to umoczone może być nie tylko Czupryna – schłodził jej entuzjazm naczelny. – Nawet jeśli ta teoria jedynie w części okazałaby się prawdziwa, już na pierwszy rzut oka widać, że zdarzenia, które ostatnio obserwowaliśmy, są ze sobą połączone. Jesteśmy z redaktorem Motylewskim przekonani, że sprawa nie została dotąd ujawniona, bo w myśliwskich bachanaliach brało udział wielu funkcyjnych. Nie chodzi nam już o artykuły, ale o bezpieczeństwo zwykłych ludzi. Mam dreszcze, kiedy myślę, co jeszcze działo się w tych lasach i nad Narwią.

– Więc jak to sprawdzić? – przerwała mu Wera. – Brzmi to fantastycznie, bo nie mamy dowodów. Trzeba je zdobyć.

– Nie potrzebujemy dowodów – zaperzył się Motyl. – Już teraz mogę o tym napisać. Wskazał laminowaną księgę z dokumentami leżącą przed Meyerem.

– I to będzie twój ostatni materiał w życiu, idioto! – zbiesił się nagle naczelny. – Nie dość, że wylecisz z pracy, to jeszcze zamkną naszą redakcję. Chcesz mieć na

sumieniu dwadzieścia osób? Wszyscy stracą robotę. Mają rodziny, kredyty na karku... Nie mogę ci na to pozwolić. Kategorycznie zabraniam!

– Od lat się o to kłócimy, Jarek – wzburzył się Motyl. – Mam tego dosyć. Milczeć z uśmiechem, siedzieć jak trusia i chodzić na smyczy jak pies uratowany ze schroniska... Nie na taką robotę się pisałem, kiedy przyjmowałeś mnie do pracy!

Hubert przyglądał się zacierzewanym dziennikarzom, ale nie włączał się do dyskusji. Nagle wstał, ruszył wokół stołu.

– Jakim cudem ukryli to przed Mańkiem? A jeśli Kolecki wiedział, dlaczego nie bronił się w ten sposób? Nie wierzę, że jest mordercą. Tak samo jak nie sądzę, aby Żelich mógł samodzielnie obmyślić tak skomplikowaną intrygę. Dlaczego woli ucieczkę i proces? Coś mi tu nie gra...

– Puchacz – oświadczyła Wera. – Też był skonfliktowany z księdzem. Zależy mu na Dobrawie i nie jest aresztowany. Możemy z nim pogadać choćby dziś. Jeśli rzecz działa się na obrzeżach koła łowieckiego, musiał znać prawdę.

– Nic nie powie. Nie opłaca mu się – skwitował Meyer. – Ale jest ktoś, kto może wiedzieć i mieć interes, by sprawę ujawnić. A nawet dwie takie osoby. Wtedy ruszymy z przesłuchaniami, a jeśli będzie choć jedno wiarygodne zeznanie, to o tym napiszesz, Motyl.

– Kto to taki? – zainteresował się dziennikarz. – Próbowałem już przyciskać wszystkich. Nie puszcza pary z gęby, choćby mieli się udusić.

– Młody Doman i jego ojciec. Nie tylko są członkami koła, lecz także znają wszystkich myśliwych. Gdyby napuścić ich na lidera bachanaliów, może udałoby się zorganizować kontrolowaną edycję jatki. Wtedy Balwierz sam wyszedłby na polanę...

– I moglibyśmy relacjonować przebieg polowania na bieżąco – zapalił się Motyl.

– Fajnie. – Werka wstała, zapięła guziki marynarki. – Ale jak to zrobić? Nikt nie zorganizuje polowania na ludzi, skoro w zagajniku węży brygada policji.

– I dziennikarze – dorzucił naczelny.

– Trzeba zasugerować, że teren jest czysty. – Hubert wzruszył ramionami. – Udamy, że wyjedziemy.

– Co nam to da?

– Balwierz pragnie sławy. Popisuje się. Przyjdzie i odstrzeli osobę, która zapewni mu stałe miejsce w mediach.

– Chcesz go złapać na gorącym? – odgadł dziennikarz. – A co będzie, jeśli się nie pojawi, a my narazimy ludzi? Będą do siebie walić z broni, jakby byli na spotkaniu integracyjnym i grali w paintball.

Hubert się zastanawiał.

– Trzeba mieć na podorzędziu sporo krwi do transfuzji – rzekł w końcu. – Skąd się ją bierze?

– Od żywych – odparła Wera. I podsumowała: – Jest więc grupa osób, która do siebie strzela dla zabawy. Plus miejscowi, którzy w każdej chwili są gotowi do oddania odpowiedniej ilości krwi. Płacono im za tę usługę, więc nikt nie szepnął słówka. To dlatego zмова milczenia działała tak skutecznie.

\* \* \*

– To nie ma sensu – powiedział Hubert do Weroniki, kiedy siedzieli już w samochodzie i wracali do chaty Domana. – Rozumiem, że powiedziałaś tak, by Motyl miał o czym myśleć dziś w nocy.

Zrobiła obrażoną minę.

– Wolisz swoją wersję mordercy, który spuszcza krew z dziecka, bo doświadcza spełnienia seksualnego?

– Nigdy nie głosiłem takich hipotez.

– A może ci dwaj zabójcy po prostu rywalizują ze sobą o względy lokalnej rusałki? – zakpiła Rudy. – Szczerze? Mam wrażenie, że w tych stronach wszyscy się ze sobą parują. Sekretne związki od zawsze były powodem wojen.

– I to jest bardzo rozsądna myśl.

– Więc co się tutaj dzieje?

Hubert nie odpowiedział od razu.

– Rykowisko – rzekł w końcu. – Jesteśmy świadkami rozgrywki. I wcale nie twierdzę, że teoria z odstrzałem ludzi jest nieprawdopodobna.

– A jednak!

Skinął głową.

– Uporządkujmy fakty – zaczął. – Swieta zostaje postrzelona w lesie. Jeśli wierzyć jej słowom, szukała wtedy Tymka. Chłopiec był poddawany flebotomii, o czym wiedziała matka i zastępczy opiekunowie chłopca. To jedyna osoba, u której znaleźliśmy ślady takowej działalności. Bożiłow potwierdził, że większość ran zadano dziecku pośmiertnie, a więc Balwierz chciał zwrócić na to naszą uwagę.

– Baniaków z krwią było jednak kilka – dorzuciła prokuratorka. – Mamy też krew do badania. Tę znaną na pace u Donata i tę z szopy w lesie. Gdybyśmy znaleźli osoby, które brały udział w procederze, można by wykonać analizę porównawczą.

– Jeśli ta teoria jest prawdziwa – zaznaczył Hubert.

– To tylko hipoteza – zgodziła się.

– Ale idźmy tym tropem – kontynuował. – Przepatrzmy, jakby się to układało przy założeniu, że tłem są nielegalne odstrzały ludzi.

Wera nie odpowiedziała. Czekwała, jaki kierunek myślenia obierze Hubert.

– Swieta zostaje ocalona. Tymek się znajduje. Kobieta dostaje gratyfikację za milczenie, ale na ile ją poznałem, dopytuje się, docieka i chce wiedzieć, w czym



bierze udział.

– Tak mogło być – potwierdziła Wera. – Uważasz, że tym samym Swieta zostaje dopuszczona do tajemnicy?

– Nie wiem. Ale krótko później dochodzi do rozruchów w lesie i ginie jej narzeczony. Facet zostaje zamordowany, ginie w wypadku lub w jakikolwiek inny sposób, a jego ciało Kupała trzyma w oborze.

– Na samą myśl mam gęsią skórę. – Weronika wzdrygnęła się. – A przecież to dopiero początek. Dlaczego nie zakopali Ukraińca? Mogli go wrzucić do rzeki...

– Zabójcy często mają problem z pozbyciem się zwłok. Matki konserwują w beczkach zabite dzieci, żony zamurują mężów w domu, w którym dalej mieszkają... Ed Kemper zakopywał rozczłonkowane ciała swoich ofiar w przydomowym ogródku. Dawało mu satysfakcję, że wciąż jest z nimi blisko, i o tym fantazjował. Ale była to również zemsta na matce. Kiedy ostatecznie i ją zamordował, odciął jej głowę, użył jej do odbycia stosunku, a następnie zakopał obok pozostałych ofiar.

Weronika dłuższą chwilę milczała. Z jej miny wnosił, że wyobraziła sobie Kempera bezczeszczonego tę część ciała matki, i pożałował, że tak bezmyślnie przywołał ten przykład.

– Myślisz, że Kupała kogoś szantażował? – odezwała się wreszcie. – I to była jego karta przetargowa, żeby nie ujawniono zabójstwa?

– Nie można tego wykluczyć. Facet nie był orłem intelektu, ale trudno mu odmówić sprytu. Od lat czuł się blisko związany z księdzem Gizą. Donat był dla niego kimś więcej niż guru. Jediną bliską osobą, która w niego wierzyła. To dlatego był mu wierny. I zrobił to, co zrobił...

– Nie zapominajmy o Tymku, wilkach i babci. Darzył ich wszystkich szczególną estymą.

– Nimi się opiekował – zgodził się Hubert. – Donata zaś traktował jak drogowskaz, w którą stronę iść w życiu. To w jego obronie rzucił się na Bołowniuka, czego podobno potem żałował. Ale może i miał żal do księdza. Czy pragnął rozgrzeszenia? Wiemy, że babcia Kupała i jej wnuk byli silnie wierzący. Religia w tym przypadku mogła wspomagać zмовę milczenia.

– Raczej im ciążyć – przerwała mu. – Nie wiemy, jak ta sytuacja zmieniła relację uczestników linczu. A jeśli po zabójstwie Bołowniuka doszło między nimi do konfliktu?

– Sądzę, że niejednego...

– A może ksiądz chciał coś wymusić na kościelnym?

– Jeśli jednak było zupełnie inaczej? – zaoponował Hubert. – Załóżmy, że Kupała po zabiciu Ukraińca nagle poczuł się silny i doskonale zdawał sobie sprawę, że ma na księdza haka... Próbował ugrać coś dla siebie, a Donat się na to nie godził... Walczył o zachowanie status quo sprzed zbrodni na narzeczonym Swiety. Konflikt narastał...

– Więc uważasz, że kluczowy konflikt nie rozgrywał się między Grzybkiem a Donatem, lecz była to wojna księdza i Kupały?

Hubert długo się zastanawiał.

– Wczoraj, kiedy przyszliśmy do Grzybowskich, nie było warunków do takiej rozmowy – zaczął po namyśle. – Kolejny list dziewczynki przekierował ciężar przesłuchania na sprawę Miry. Wszyscy, włącznie z młodym Domanem, wskazywali na kłótnię małżonków. Mówiono, że Basia uciekła od męża, że Grzybek ją stalkował i gnębił. Czy zauważyłaś w ich relacji choć cień nienawiści?

– Przeciwnie. – Pokręciła głową. – Są jak monolit.

– Nie zastanowiło cię to?

– Wydało mi się to naturalne. Skoro oboje kochają dziecko, zakopali topór wojenny i walczą w jednej drużynie, żeby małą Mirkę znaleźć.

– Tak to właśnie wygląda – zgodził się Hubert. – Ale to by znaczyło, że Basia wyjechała z Narwi z całkiem innych powodów, niż nam podaje. Wróciła po śmierci Kupały. Kiedy odnaleziono ciała Świety i jej rodziców, a Maniek został aresztowany, znów zamieszkała w domu męża.

– O czym to świadczy?

– Że sprawy idą po ich myśli.

– Sądzisz, że to ona lub jej mąż dokonali wszystkich zbrodni, a kiedy Czupryna przybił to Mańkowi, odetchnęli z ulgą?

– Przypominam ci, że Basia miała romans z młodym Domanem. Kiedy przyszedł pierwszy list, dokładnie przeczytała akta. My siedzieliśmy i słuchaliśmy głodnych kawałków Tomka o poczuciu winy i zdradzie, a ona zdobywała wiedzę, co mamy i w jakim kierunku idzie dochodzenie...

– Podejrzewasz, że to zaplanowała? Trudno mi uwierzyć. Wróciła do Narwi, bo ją o to poprosiłeś. Na twoje wyraźne polecenie – podkreśliła Rudy. – Nie mogła przewidzieć, że Doman zamknie ją u siebie na kilka godzin.

– Skoro byli kiedyś kochankami, znalazłaby inny sposób, żeby przeczytać dokumenty. Teraz wydaje mi się to oczywiste. Wróciła, by się rozeznać, w jakim kierunku idzie dochodzenie. – Urwał. – Jest jeszcze jedna historia, która moim zdaniem się zazębia. Romka dźgnęła Grzybka kilka razy w serce. Wszystko odbyło się na oczach żony. Tę sprawę zgłoszono i siostra Dobrawy ma teraz wezwanie do odsiadki. Co robi?

– Apeluje i przyjeżdża tutaj.

– Kilka dni przed zgłoszeniem się do aresztu. Choć znając już Romkę, zakładałbym raczej, że ucieknie na kraniec świata... W tym samym czasie z kasy pancernejszej księdza ginie spora kwota pieniędzy. Kto je zabrał? Dlaczego napadu nie zgłoszono?

– Bo go nie było? – zgadywała Wera. – A forsa jest we właściwych rękach...

– Możliwe – przyznał. – Zwłaszcza że nie możemy o to zapytać najbardziej zainteresowanego. Facet ginie jak w grze komputerowej. Snajpera ktoś naprowadził na trop księdza. Ktoś, kto miał aplikację, za pomocą której Maniek śledził wilki... I to za jej sprawą stał się głównym podejrzanym.

– Znowu wracamy do Dobrawy – jęknęła Wera. – A akurat ta kobieta jest teraz poza wszelkim podejrzeniem. Samo pukanie do jej drzwi spowoduje aferę.

– Nie zgadzam się – zaprotestował. – Myślę, że Dobra chętnie z nami pogada.

Wera przyjrzała się Hubertowi badawczo.

– Nie dziwi cię, że ta kobieta nie okazuje wcale cierpienia po stracie syna? – kontynuował. – Tę samą chłodną obojętność obserwujemy u Basi Grzybowskiej.

– Nie wiemy, czy Mira nie żyje – zaoponowała Werka.

– Jak sądzisz, dlaczego Barbara tak reaguje?

– Bo wie, gdzie jest dziecko?

– I chce, by nikt inny o tym nie wiedział. Rozwiązanie tej sprawy nie leży w jej interesie.

– Tak jakby zawarto jakiś cholerny kontrakt. – Wera westchnęła ciężko.

– Może tak było.

– Co masz na myśli?

– Dobra nie lubiła Tymka, za to uwielbiała Mirę. Na czuwaniu to ona przywdziała żałobę, o której Basia nie chciała słyszeć. Śledziła Instagram dziewczynki, interesowała się zaginięciem. A kiedy się z nią spotkałem w Kamiennym Forcie, zależało jej tylko na jednym: by znaleźć małą. Czy pieniądze, które zostały przelane na konto rodziców Basi, to jest ta sama forsa, którą ktoś ukradł Donatowi z sejfu?

– Chcesz powiedzieć, że Dobra kupiła dziecko od Grzybków? – oburzyła się Wera. – Nie mieści mi się to w głowie. Jaka matka dobrowolnie sprzedałaby córkę?

– Dobrowolnie? Pewnie żadna. Ale jeśli to byłaby transakcja wiązana? Zapłata za przejście Miry i jednocześnie milczenie? Dobra sporo wie o nielegalnych odstrzałach. Pracowała właśnie przy tym i dlatego w jej interesie nie jest nikomu niczego ujawniać. Pieprzyła mi o ścięgnach, kupowaniu gruntów i pokazywała Instagram, ale o odławianiu ludzi za grubą kasę nie zająknęła się słówkiem. Gdyby jednak to zrobiła... – Hubert się zatrzymał.

– Rozpętałyby się piekło – dopowiedziała Wera. – Media, organy ścigania, lokalna ludność, plotki...

– Basia mogła najpierw uciec z dzieckiem właśnie z tej przyczyny. To dlatego między nią a mężem powstała wyrwa. Konflikt narastał, bo Grzybek bał się tego, co Dobra ujawni o tutejszych myśliwskich bachanaliach, a Basia myślała tylko o tym, że zabierają jej jedyną córeczkę. Wtedy mąż wyciągnął sprawę jej romansu. Donat, który też był przecież zainteresowany utrzymaniem sprawy w tajemnicy, zaczął otwartą wojnę z Basią. Deprecjonowali jej dobre imię, robili z niej wariatkę... Co czyni matka

Miry? Zabiera dziecko i ukrywa je u ciotki. Do tego momentu Swieta jest po jej stronie. Kiedy jednak odkrywa prawdę, stara się chronić Mirę przed wszystkimi...

– Jaką prawdę? – dopytała Wera. – Co mogłoby sprawić, żeby kobieta jej formatu zamieniła się w porywaczkę dzieci?

– Odkryła, kto zabił Tymka. A ponieważ to wiedziała, sama została zamordowana.

– Ja też chętnie się dowiem – prychnęła prokuratorka. – Zaryzykuję utopienie w balii do picia dla zwierząt... Możesz mnie oświecić?

Hubert przyglądał się jej. Nie był pewny, czy Wera kpi, czy tylko jest wzburzona.

– Tymek mógł zginąć w trakcie szarpaniny – zaczął. – Był małym diableciem. Sprawiał kłopoty. Nie znosił matki, nie szanował jej. Na dodatek Dobra zostawiała go z obcymi ludźmi. Uciekała z Narwi w pracę, bo nie potrafiła sobie z nim poradzić. Spuszczanie krwi było procederem barbarzyńskim, lecz osłabiało siły chłopca. Sprawiało, że Tymek stawał się bezwolny, aniołkowaty.

– Miał sześć lat! W tym wieku każde dziecko jest słodkie. Zwłaszcza to niegrzeczne!

Hubert jej nie słuchał.

– Zakładam mimo wszystko, że była to wynaturzona forma opieki. Dobra wiedziała, że robi coś złego, ale dopóki działało się to w tajemnicy, dawała tym praktykom bierne przyzwolenie. Swieta opowiadała mi o biciu chłopca, przywiązywaniu go do łóżeczka. Relacja Dobrej z małym była wyjątkowo toksyczna. To musiało budzić w niej poczucie winy. Co innego przeżywała z Mirą. Dziewczynka była dużo starsza, miła i dobrze wychowana. Do tego miała kojący wpływ na Tymka. Dobrawa pragnęła mieć taką właśnie córeczkę. Grzeczną, posłuszną, którą mogłaby kochać miłością bezwarunkową. I sama wiele razy podkreślała, jak bardzo zależy jej na Mirze. To na wspomnienie o niej płakała, rumieniła się. Panicznie się bała, że już dziewczynki nie zobaczy... Teraz, kiedy Donat zginął, ma pieniądze. Może opuścić Narew, jak o tym zawsze marzyła. Do szczęścia potrzeba jej tylko zamknięcia dochodzenia, by uwolnić dziewczynkę z kryjówki i zniknąć z tych stron.

Wera wysłuchała wyводу ze sceptyczną miną, a kiedy Hubert umilkł, zapytała:

– Nie odpowiedziałeś mi: kto utopił Tymka? Basia czy Dobra?

– Żadna z nich. Moim zdaniem Tymek zginął przypadkiem, a do jego śmierci przyczyniła się Mira Grzybowska. To mógł być wypadek. Pamiętasz wannę w szałasie? Była pełna brudnej wody... Starczyło, że dzieciak do niej wpadł i się podtopił. Kto jednak przywiązał psa Puchacza do płotu i wywabił chłopca z domu? A może wyszedł sam? – Nabrał powietrza i dorzucił: – Jeśli Mira jest winna, sprawca wiedział o tym od początku i wszystkie jego dalsze działania miały na celu odsunięcie podejrzeń od dziewczynki. Ma przekonanie, że jest tutejszym czyścicielem, ręką sprawiedliwości, a nawet Bogiem. A przy okazji pompuje swoje ego i zaspokaja potrzebę władzy oraz kontroli.

– Uważasz, że będą kolejne ofiary?

– To zależy, ile hałasu będzie jeszcze o Balwierz w mediach. Jeśli zaczniesz cichnąć, znów może pokiwać srogo palcem.

– Masz pomysł, kto to jest?

Hubert wolno skinął głową.

\* \* \*

Strzelnica była otwarta, a wszystkie kabiny zajęli strzelcy w nausznikach dźwiękoszczelnych. Co jakiś czas rozlegał się huk wystrzałów. Nie słychać było żadnych rozmów.

Paweł Puchacz obejmował od tyłu młodą kobietę, która trzymała w dłoni glocka, i pokazywał jej, jak ma ustabilizować dłoń przed strzałem.

Hubert z Werką przyglądali się temu w milczeniu. Kiedy adeptka strzelectwa opróżniła magazynek, odłożyła broń na zielony filc i zdjęła nauszniki dźwiękoszczelne, rozpoznali w niej Dobrawę. Nie było to łatwe, bo kobieta ostrzygła włosy na zero, a zamiast kobiecej sukienki nosiła czarny polar i bojówki. Do złudzenia przypominała swoją siostrę Romkę.

Spojrzała im wyzywająco w oczy, ale nie podeszła się przywitać. Sięgnęła po karabin snajperski i przeszła do części bez zadaszenia. Hubert domyślił się, że był tam wał usypany z ziemi i papierowe tarcze do strzałów dalekosiężnych. Po chwili rozległ się stamtąd terkot seryjnej kanonady.

– Interes się kręci – zagaił Meyer, kiedy podszedł do nich Puchacz.

– Nie narzekam – odrzekł z lekkim uśmiechem były policjant. – Liczyliście, że mnie zgładzicie?

– Takich ambicji nie mieliśmy.

– W sumie zrobiliście mi reklamę. Po oczyszczeniu mnie z podejrzeń i aresztowaniu Mańka ludzie masowo przyjeżdżają z różnych stron kraju. Nie wiem, czy chcą postrzelać sobie w krainie Balwierza, czy raczej liczą na obejrzenie mnie na żywo. Szczerze? Nic mnie to nie obchodzi. Najważniejsze, że przestałem pić. Przrzekłem sobie nie ruszać alkoholu do końca życia. Czuję się z tym świetnie.

– Gdzie możemy pogadać? – ucięła jego monolog Wera.

– Więcej nic nie wiem – wykpił się Puchacz.

– Chcemy porozmawiać o okolicznościach twojego odejścia z firmy – włączył się Hubert.

Puchacz cały się nastroszył, ale widać było, że jest zainteresowany. Mimo to machnął ręką.

– Nie ma o czym. Czupryna miał rację, że wypierdolił mnie z wydziału. Byłem w kółko nawalony. Naćpany albo upity, a zwykle dwa w jednym. Co tu gadać? Stwarzałem zagrożenie. Łaziłem po wioskach z klamką i dla jaj waliłem do bocianów.

– Pokręcił głową, jakby się zawstydził. – Możemy przejść do służbówki –

zapropował. – Powiem tylko instruktorowi, żeby miał ludzi na oku.

Podszedł do Czołga i szepnął mu coś na ucho.

Hubert nie skomentował kąśliwie personaliów instruktora, ale wymienił znaczące spojrzenie z Werą.

– Wszystko w rodzinie – podsumowała.

Hubert nie odpowiedział. Wpatrywał się w Czołga, lecz ten uparcie omijał ich wzrokiem. Zaraz też odwrócił się plecami, jakby obejmował wartość na strzelnicy.

– Od jak dawna pracowałeś z Czupryną? – spytał profiler, kiedy Puchacz do nich dołączył i poprowadził do podejrzanego wyglądającego kantorka za szatnią.

Wskazał im taborety, ale woleli stać. Sam usiadł za biurkiem.

– Herbaty, kawy? – próbował być miły.

Werka rozejrzała się po składziku zawalonym sprzętem i dokumentami.

– Śpieszymy się.

– Odkąd pamiętam. – Puchacz odpowiedział wreszcie na pytanie Meyera. – To Łysy mnie przyjmował. Był dla mnie jak ojciec. Wiele mu zawdzięczam.

– Jak przyjąłeś to, że podrywa ci kobietę?

– Dobrą? – Puchacz się zaśmiał. – Nigdy nie była niczyją kobietą. Moją ani jego. Do Donata też nie należała. To osoba w pełni niezależna. Wolna. Dlatego każdy chciał ją usidlić. Prawda jest jednak taka, że Dobra kochała tylko jedną osobę i była nią jej siostra Romka, którą już poznaliście. Dla niej zrobiłaby wszystko.

W pomieszczeniu zapadła cisza.

– Swego czasu było to kością niezgody między nami. Uważałem, że ta relacja jest zbyt bliska. Ale chyba się myliłem. One od zawsze nie miały nikogo prócz siebie.

– Wiemy, że Tymek często uciekał.

Puchacz pokiwał głową.

– I że go biłeś.

Twarz byłego policjanta wykrzywił gniew.

– Znów ta sama piosenka?

Hubert podniósł dłoń w pojednawczym geście.

– Jaki był ten chłopiec? Opowiesz nam?

Puchacz westchnął ciężko.

– Już nie żyje i nie chciałbym kłaść jego pamięci – zaczął. – Ale to było diabłem. Dobra czasem mówiła, że to dlatego, że zległa z księdzem. Nie chciałem tego słuchać. Była młoda, głupia, potrzebowała pieniędzy... Normalna dziewczyna z biednej rodziny, tylko los dał jej za duży ciężar do dźwigania.

– To nie jest odpowiedź – przerwała mu Rudy. – Chcemy wiedzieć, jaki był Tymek. I dlaczego wtedy wybiegł od ciebie.

– Mówiłem prawdę. Sam nagle wybiegł. – Puchacz potarł oko, jakby zaczęło go swędzieć. – Byłem pijany, mało pamiętam. To zawsze tak mniej więcej wyglądało: on się stawał, ja go szarpałem, a potem on zamykał się u siebie i siedział taki milczący, straszny w tym swoim gniewie... Kiedy szedłem go przeprosić, niosłem coś do żarcia albo łakocie, zwykle okazywało się, że już spierdolił. Szczerze? Tamtej nocy była to dla mnie normalna sytuacja. Dlatego nawet nie zawiadomiłem Dobrej. Nie chciałem jej drażnić na robocie. Rano Tymek zwykle się gdzieś znajdował. Mira go przyprowadzała albo szedłem go szukać i zastawałem ze Świętą czy z Kupałami.

– Podczas pierwszego przesłuchania powiedziałaś, że sytuacja nie była normalna. A medalik? Pies? Widziałaś ponoć wcześniej wilka w okolicy...

– Medalik nosił na szyi. Tamtego wieczoru zerwał go sobie sam. Dostał ten łańcuszek od Donata, a musicie wiedzieć, że on tego skurwysyna traktował z atencją. Nie wiem, czy wiedział, że ksiądz go spłodził, ale z pewnością fantazjował, aby to Donat okazał się jego ojcem. Lgnął do klechy jak ćma do żarówki.

– Z tym że Donat wcale nie chciał się nim zajmować?

– Otóż to – podchwycił Puchacz. – Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek wziął chłopca do siebie, kiedy Dobra wyjeżdżała.

– Byłeś tamtej nocy w lesie?

– Byłem wtedy we własnym wyrku nawalony jak meserszmit. – Puchacz ukrył twarz w dłoniach. – Do końca życia sobie tego nie daruję i powiedziałem to Dobrej chyba ze sto razy. Przepraszałem, kajałem się. Co z tego? Czasu nie cofnę... Nie wiem, jak miałbym wynagrodzić jej śmierć syna. Prawda jest jednak taka, że ona też była daleko. Siedziała w Suwałkach i miała gdzieś, co dzieje się z jej dzieckiem. Już to sobie wykrzyczeliśmy. Oboje się spłakaliśmy i próbujemy sobie tę zbrodnię wybaczyć... Ale jesteśmy winni. Nie zasługujemy na wybaczenie. Dzieciak zginął przez nas. Żadne z nas go nie zabiło, choć Bóg mi świadkiem, wiele razy groziłem małemu gnojtkowi, że to zrobię, i krew z nosa też szła... – Zapowietrzył się i nagle łyzy pociekły mu po policzkach.

Wera położyła mu dłoń na ramieniu.

– Wiemy to – rzekła. – Nikt cię nie oskarża.

– To nowość! – Puchacz znów się wzburzył i zaraz otarł twarz rękawem. Był teraz tylko zagniewany. – Bo jeśli kolejny raz zaczynacie to samo, wiem już, że nie wolno mi niczego paplać bez adwokata. A to, co teraz mówię, jest nieoficjalne. Nie potwierdzę tego w sądzie, nawet jeśli po dobroci próbujecie mnie w to wpierdolić.

– Nikt cię w nic nie wpierdala – wszedł mu w słowo Hubert. – Chcemy wyjaśnić tę sprawę.

– Przecież jest wyjaśniona! – oburzył się Puchacz. – Maniek jest Balwierzem, a jego ekologiczna gęba świeci ze wszystkich telewizorów! – Nagle się zatrzymał. Umilkł. – To nie jest jeszcze pewne?

Odwrócił się, jakby się obawiał, że znieacka wejdzie tutaj ktoś niepowołany.

– Ostrzeżenie Dobrej nie będzie konieczne – uspokajała go Wera. – Chcemy tylko wiedzieć, skąd Maniek wziął karabinek.

– I to pytanie do mnie?

– Do ciebie. – Wera spojrzała na Huberta. – Powiedz mu. Tak będzie najłatwiej.

– Balistyk stwierdził, że z broni, którą zabezpieczono w studni Mańka, zabito Donata – zaczął.

– Fajnie. A mnie co do tego?

Hubert pokiwał wolno głową.

– Świeta podczas naszej pierwszej rozmowy zasugerowała, że Maniek ma u siebie kilka własnych karabinków sportowych. To pamiątki po jego dawnym nieekologicznym żywocie. Prowadził swoją świętą wojnę, jak to określiła, z Czołgiewiczami. I z Grzybkiem. Ponoć strzelali do jego bocianów. Ty też strzelałeś...

– Po pijaku – zgodził się Puchacz. – No, zdarzało się.

– Jak więc Kolecki wszedł w posiadanie tego konkretnego karabinka? Może podczas jednej z blokad polowań zabrał któremuś z myśliwych? Pamiętasz coś takiego?

– Nie mam pojęcia, skąd Maniek go miał! Jego spytajcie. Sądzę, że w pudle ma więcej czasu na pogaduszki niż ja!

Werka odchrząknęła.

– Jeszcze raz powtarzam, że nie przyszliśmy cię pogrążyć, lecz pomóc.

– Chuja tam pomóc! – Puchacz podniósł głos. – Znów kręcicie na mnie pętlę.

– Zakręcimy, jeśli będziesz kłamał.

– Nie moja broń, nie moje jelenie.

– Pytam cię ostatni raz, Paweł – rzekł Hubert twardo. – Czy w ostatnich miesiącach nie zarejestrowałeś braku jednej sztuki? Bo jeśli wpuszczę tutaj audytora i znajdzie dziury w papierach, będziesz w jeszcze większych opałach i już się z tego nie podniesiesz. Nie sądzą, by kolejne aresztowanie zadziałało jak reklama. Bo to będzie już współudział w masowej zbrodni. Ofiar jest w sumie sześć.

Puchacz długo wpatrywał się w śledczych bez słowa.

– Mówię prawdę – powtórzył. – Nie zauważyłem. Ale, powtarzam, tutaj był bajzel na kółkach, a nawet więcej. Nie wiem, czy pod moją nieobecność ktoś nie wyniósł całego bagażnika metalu.

– To możliwe?

– Co? – Puchacz patrzył na nich, jakby dopiero się obudził. – Że nie jestem w stanie policzyć jednostek? Tak. Jak najbardziej. Księgi były, ale spłonęły w domu Świety.

– W domu Świety? – Hubert był zaskoczony. – Dlaczego je tam trzymałeś?



– Strzelnicę prowadzę razem z Grzybkiem. Należy do spółki, którą sprzedaje ten Francuz. Zażądał ksiąg i mu je wydałem. Jakim sposobem znalazły się u rodziców Sowuli, tego nie wiem. Nie mam nic, żadnej dokumentacji do dnia wypuszczenia mnie z aresztu. Jeśli to wam wystarczy, możecie mnie zabierać od razu.

– A więc broń, z której zastrzelono Donata, mogła pochodzić z twojego arsenału?

Puchacz pochylił głowę.

– Nie zaprzeczę ani nie potwierdzę. Wiem tylko, że zostało mi jedynie trzydzieści procent z pełnego asortymentu.

Podszedł do metalowej szafy pancерnej wbudowanej w ścianę i zaczął kolejno odsuwać metalowe sztaby, zdejmować łańcuchy. Większość miejsc na broń była pusta. Na hakach wisiało tylko kilka jednostek.

– Drugie tyle jest teraz w użyciu – wyjaśnił.

– Gdzie reszta? – Prokuratorka pokręciła głową.

– Od miesięcy się nad tym zastanawiam – westchnął. – I dlatego też piłem, ćpałem. Nie mogłem zasnąć, bo wciąż mi się roiło, co będzie, jeśli ktoś ich użyje. Pozabija połowę tutejszej ludności, a wszystko będzie na mnie...

– Powinieneś to zgłosić – rzekł Hubert. – Dla własnego dobra.

– Wszyscy w komendzie o tym wiedzą. Czupryna też. To dlatego mnie zwolnił. Tego dnia, kiedy się zwierzyłem, że zajmali mi ze strzelnicy siedemdziesiąt procent giwer, posunął mnie z wydziału. I miał rację – powtórzył Puchacz.

\* \* \*

– Nie masz racji – odezwał się Czupryna, kiedy stali już przed wejściem, bo technicy kończyli swoją robotę w strzelnicy Puchacza. – Twoja koncepcja jest absurdalna.

– Powiedz lepiej, ile dostawałeś od tego dilu – warknął Hubert, a Wera chwyciła go za ramię i mocno zacisnęła dłoń. Mimo to atakował: – To dlatego woziliś do Suwałk Dobrawę Wątlą? Nie żeby z nią randkować, lecz by miała ochronę. Wiedzieliś, że jeśli będą ją z tobą widzieli, nikt się do niej nie zbliży.

Udało mu się wreszcie komendanta wkurzyć.

– Podskakuj jeszcze, to doczekasz się ciosu ostatecznego – odparował. – Nie wiem, dlaczego wciąż tego słucham.

Hubert wskazał wejście do strzelnicy.

– Przecież mamy pewność, że ta broń pochodziła stąd.

– To akurat ci wyszło. Dziękuję za trop – wysyczał komendant przez zaciśnięte usta. – Ale to odprysk zupełnie innej sprawy. Bez związku!

– Nie zgadzam się. – Wera włączyła się do dyskusji.

– A pani co do tego? – zaatakował ją Czupryna. – Nic pani nie wie o sprawie, nie

zna akt. Toleruję pani obecność tylko z jednej przyczyny.

– Tak, z powodu pieniędzy. – Natychmiast puściła ramię Huberta. – Z tego samego powodu brał pan udział w barbarzyńskiej zabawie. Może się pan nie przyznawać. I tak do tego dojdziemy.

Czupryna zaśmiał się gromko.

– Powodzenia.

Ruszył do samochodu.

– Masz na dołku nie tego człowieka, co trzeba – rzucił za nim Hubert. – Sprawa Miry też nie jest zakończona. Chcesz to tak zostawić?

Komendant zatrzymał się, odwrócił na pięcie. Jego twarz wykrzywiał gniew.

– Właśnie tak – powiedział. – Nie mieszajcie się. Powtarzam raz jeszcze.

– A Żelich? Szukasz go w ogóle? Czy to właśnie był twój człowiek na posterunku Domana? – Hubert odchrząknął, splunął na ziemię. – Wasz człowiek. Od początku byłeś z Grzybkiem w zмовie. To dlatego tak bronisz do niego dostępu.

– Idź, rozmawiaj. Może mnie wyda – zakpił Czupryna. – Ale nie włącz mi więcej w drogę. Nie chcę słyszeć o krwiożerczych jedenastolatkach ani polowaniach na ludzi. Te twoje koncepcje są coraz głupsze.

– Nigdy nie twierdziłem, że Mira jest Balwierzem – wszedł mu w słowo Hubert. – Uważam jedynie, że powinienesz dziewczynkę przesłuchać. To ona odpowiada za śmierć Tymka.

– Ciekawe, jak mam to zrobić – zachnął się Czupryna. – Telepatycznie? Czy może spytać ją przez Instagram, czy utopiła chłopca?

– To nie jest taka słaba koncepcja – stwierdził całkiem serio Meyer. Wyciągnął telefon i szybko coś napisał. – Załatwione – rzekł.

Czupryna przyglądał mu się lekko skonfundowany.

– Co ty właściwie kombinujesz?

– Proszę cię, żebyś zawrócił z tej ścieżki – odpowiedział łagodniej profiler. – To, co było, już było. Teraz możesz zacząć jeszcze raz. Odwrócić wszystko, znaleźć dowody i zapobiec kolejnym zbrodniom.

– Nie będzie więcej żadnych zbrodni. Sprawca jest aresztowany. Czeka na proces.

– Sam nie wierzysz w to, co mówisz.

– Nie będzie więcej trupów – podkreślił stanowczo Czupryna. – Masz na to moje słowo.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Bo wszystko wróciło już do normy.

– Tak? – Hubert przekrzywił głowę. – To nowość.

A potem wskazał zgniecioną gazetę, którą komendant miał w kieszeni.

– Połowa tego szmatławca poświęcona jest sprawie Balwierza. Motyl nie próżnuje

i zapewniam cię, że to dopiero początek. Przypnie ci się do tyłka szybciej, nim zdążysz zebrać hajs na kampanię.

– Niech smaruje, co chce. – Czupryna machnął ręką. – Ludzie potrzebują tych opowieści. – A potem wyjął gazetę z kieszeni i wcisnął ją Meyerowi w garść, mówiąc: – Mylisz się co do mnie podwójnie. Wcale nie zamknąłem tej sprawy. Zacząłem nowe przesłuchania i mamy już kolejne tropy. Ten dziennikarz ma większą wiedzę o Balwierzku niż ty i twoja flama.

Hubert już wyciągał pięść, by uderzyć komendanta w twarz, ale Czupryna uchylił się i odsunął na bezpieczną odległość. Gazeta spadła na ziemię. Meyerowi udało się jedynie naderwać kieszeń kracastej kurtki komendanta, ale Czupryna nic sobie z tego nie robił.

– Naczelnny to mój kumpel. – Zaśmiał się szyderczo. – Jak tylko wyszliście z redakcji, opowiedział mi o waszym tajnym spotkaniu. Naprawdę sądziłeś, że nie dowiem się, jak próbujesz manipulować śledztwem? Oświadczam ci, że nie będzie żadnych prowokacji, taktyk proaktywnych i chuj wie jakiej analizy behawioralnej. Mam w nosie twoje hipotezy. Nie wierzę w nie. Tak samo jak w to, że jacyś ludzie chcą do siebie strzelać.

– Twoje wierzenia nie zmieniają rzeczywistości – warknął gniewnie Hubert. – A to śledztwo pociągnę bez ciebie i twoich ludzi. Gdybym od początku działał sam, parę osób uratowałoby życie.

– Coś sugerujesz?

– Święta wiedziała o sprawie więcej, niż powinna. Była powiązana osobiście, emocjonalnie i ty to podejrzewałeś. A jednak powołałeś ją na eksperta. Bo przewidziałeś, że to będzie miało wpływ na przebieg dochodzenia. Od początku chroniłeś Dobrawę, a to ona przetrzymuje Mirę! Wystarczy kobietę porządnie przycisnąć i sprawa będzie rozwiązana.

– Bzdury! Wątku była zatrzymana. Sam ją przesłuchiwałeś. Ktoś bronił ci ją przyciskać? Wolałeś gapić się na jej cycki, niż patrzeć prawdzie w oczy.

W tym momencie między nich wkroczyła Weronika. Rozłożyła gazetę.

– Czy któryś z was czytał w ogóle ten materiał?

Spojrzeni na nią, jakby w środku bitwy wyskoczyła z propozycją popołudniowej herbatki.

– Miał pan rację, komendancie, że Motyl wie o sprawie Balwierzka więcej niż my – kontynuowała. – Byłam przy wszystkich spotkaniach z dziennikarzem. I mogę ręczyć, że niektórych danych nikt mu nie przekazywał. Mało tego, nikomu ich nie przekazywaliśmy.

Obaj mężczyźni otrzepali ubrania i nachylili się nad gazetą.

– Skąd wiedział o aplikacji? Umyciu zwłok Tymka? Znał kolor szmaty, w którą zawinięte było poroże porzucone przez kościelnego! Nigdy nie podawaliśmy tego do wiadomości. Nie wiem, czy te fotografie w ogóle trafiły do akt... Jakim cudem dotarł

do informacji, że Swieta została uduszona, nim wrzucono jej ciało do balii z wodą dla bocianów? I wreszcie jakim sposobem dowiedział się, że studnia Mańka była zamknięta wcześniej na kłódkę? Nawet ja o tym nie wiedziałam. – Przerwała. – Te dane mógł mieć tylko sprawca.

\* \* \*

– Jesteś sławny – stwierdził z goryczą Hubert i spojrzał na dziennikarza. – Spełniło się twoje marzenie. Bo po to właśnie zastrześliłeś księdza, upozorowałeś złożenie w ofierze dziecka, udusiłeś kościelnego i Swietę? Żeby o Balwierz z Narwi pisały wszystkie media. Chciałeś mieć swoje pięć minut i miałeś...

Motyl uśmiechnął się kpiąco.

– Bez ciebie by się nie udało, Meyer. Pomogłeś mi. Nie jesteś ze mnie dumny?

Hubert nie odpowiedział.

– Chętnie podzielę się aplauzem – dorzucił redaktor. – A tak między nami, powinieneś iść ze mną do pierdla. Jako współnik.

– Więc przyznajesz się do wszystkiego? – Hubert wypuścił powietrze ze świstem. – Opowiesz mi o swoich przygodach? Znow ci pomogę... Nie chciałbyś zostać gwiazdą w pierdлу?

– Sam sobie dopasowuj szczegóły – prychnął redaktor Motylewski. – Nie zamierzam ci niczego ułatwiać. Wszystko od początku było w moich materiałach. Dostałeś je. I nie przeczytałeś, prawda?

– Od jak dawna masz kosę z Grzybkiem? – Hubert zmienił temat.

– Odkąd kupił naszą redakcję – odparł bez zastanowienia Motyl. – Potem, kiedy opisywałem ich machinacje, wpadłem na trop odstrzałów ludzi. Od razu założyłem, że muszą mieć gdzieś salę operacyjną, gdzie kurują ofiary, przetaczają im krew i bezpiecznie odbywa się rekonwalescencja... – Zawahał się. – Ale nie wolno mi było o tym napisać. Dlatego uważam, że wszyscy, którzy zginęli, zasłużyli na karę.

– Dziecko też?

– To nie moja robota. Ja tylko wykorzystałem ciało Tymka do inscenizacji, bo tak to nazywasz, czyż nie? W przeciwieństwie do ciebie zapoznałem się ze wszystkimi twoimi książkami.

– Było ich całe dwie.

– Przeczytałem artykuły naukowe, obejrzałem wywiady, – Motyl uśmiechnął się kpiąco. – Jeśli się szuka wiedzy, to się ją znajduje.

– Jest jeszcze jedno powiedzenie, które bardzo lubię. – Zniechęcony Hubert westchnął. – Przychodzi taki moment, kiedy kończy się inteligencja, a zaczyna brak wiadomości. Powinieneś być o tym pamiętać, zanim ruszyłeś w las z karabinkiem. Swoją drogą nie spodziewałem się, że jesteś tak dobrym snajperem.

– To zasługa Waldki – przyznał Motyl. – Choć biust ma niekiepski, byłem z nią

tylko z dwóch powodów. Uczyła mnie strzelać, a w łóżku śpiewała o wszystkim, co się dzieje w terenie. Jeszcze zanim przyjechałeś, było to pomocne.

Hubert odwrócił się za siebie i sprawdził, czy kamera jest włączona. W tym momencie na monitorze ich rozmowę oglądał cały posterunek. Zrobiło mu się przykro, że Waldka to słyszała. Była nie tylko dobrą policjantką, lecz także miłą dziewczyną, która nie zasługiwała na potwarz od takiego łajzy.

– Kiedy wpadłeś na ten pomysł?

– Z Balwierzem? – Motyl pogładził się po zakolach i rozparł na krześle, jakby udzielał wywiadu telewizyjnego. – Już dawno temu. Był sezon ogórkowy. Nie chciało mi się pisać o przekomarzankach w radzie miejskiej. Słyszałem, że tutejsi uspokajają w ten sposób niesforne dzieci, a krew myśliwi wykorzystują do transfuzji po polowaniach na ludzi. Nie mogłem jednak o tym napisać, jak wiesz, co było irytujące. Sam nie miałem śmiałości kogoś złapać i pozbawić go juchy, ale kiedy znalazłem w szafasie martwe dziecko, skorzystałem z okazji.

– Na pace samochodu Donata znaleźliśmy torbę termiczną z ludzką krwią. Czy to ty spuściłeś krew z Tymka?

– Ja go tylko odłączyłem! Pojemnik już tam był, zlałem wszystko razem.

– Z tej krwi mógłbyś zrobić tylko czerninę. Zmieszana nie nadaje się do transfuzji.

– Co mnie to obchodzi? Miejscowi to nędznicy.

– Wiesz, że Mira cię widziała?

Motylewski pierwszy raz stracił rezon, szybko jednak się uspokoił.

– Szukajcie, a znajdziecie.

– To ty dzwoniłeś do młodego Domana? Wysyłałeś też listy?

Dziennikarz pokręcił gwałtownie głową.

– Mnie też Żelich zaskoczył. Bardzo namieszał i pomógł mi w dalszych działaniach. O nic go nie prosiłem. Zrobił to dla swojego pryncypała Grzybka. W dobrej wierze... Ale ten drugi list, do redakcji, to już moja robota – przyznał z cieniem dumy.

– Wiemy, że to ty umieszczałeś posty na Instagramie Tymka i Miry.

– Rychło w czas – zaśmiał się Motyl. – Szkoda, że nic wam po tym.

– Jesteś bardzo pewny siebie – zauważył Hubert. – W tej chwili policja przeszukuje wszystkie miejsca, które są z tobą powiązane. Musisz wiedzieć, że twoja narzeczona jest na ciebie wściekła, a wiedziała o tobie bardzo wiele. Więcej niż byś chciał.

– Nic nie wiedziała! – zaperzył się. – I nigdy się nie oświadczałem. To, co sobie Waldka myślała, co gadałem, żeby trzymać ją przy sobie jak najbliżej, było tylko skuteczną taktyką. Babę łatwo okręcić wokół kutasa, jeśli się papie o miłości i welonach. A ja pisać umiem. Esemesy, listy, opowiadanka... – Rozpromienił się.

– Kamera jest włączona – zauważył Hubert. – Wszystko, co mówisz, będzie miało

wpływ na twój wyrok.

– Nie przyznałem się do zabójstw – podkreślił dziennikarz. – Tylko sobie tak gadamy. Jedyne, co zrobiłem i co potwierdzam, to wcisnąłem ciało dziecka między żerdzie. Twoim zadaniem jest mi to udowodnić. Powodzenia!

Hubert sięgnął po dokumenty. Przewertował je.

– Na strzelnicę Puchacza chodziłeś od marca ubiegłego roku. Przestałeś w listopadzie, kiedy zaginęła Mira.

– Już nie pamiętam.

– Puchacz nie wie, kiedy dokładnie go obrabowano, ale broń ze studni Mańka pochodziła stamtąd.

– Nie jestem złodziejem! – Motyl uderzył się w pierś. – Poza tym jest film z fotopułapki, że to Maniek miał go ze sobą tej nocy. A dzieciak niósł karabin.

– Judziłeś Mańka na Grzybka, Puchacza i Donata. Swoimi tekstami i werbalnie. Tak było, prawda?

Podejrzany wzruszył ramionami.

– Mieliśmy kontakt od dawna. Sporo pisałem o jego akcjach. Stawałem po stronie ekologów nieprzypadkowo. Prywatnie popieram raczej tę wersję wydarzeń, choć jeśli chodzi o odstrzał, to muszę przyznać, że poczułem przyjemne kopnięcie, kiedy pocisk trafił Donata za ucho. Pamiętam, że natychmiast przyłożyłem oko do celownika i powróciłem do obserwacji. Gdyby to do mnie należało namierzyć i trafić nieprzyjaciela kolejny raz, mógłbym się tym trudnić.

– Znajdowałeś w tym radość?

– W strzelaniu? Owszem – zgodził się Motyl. – Reszta była mało estetyczna. Choć konieczna, by obraz był pełen.

– Wiesz, że przyznałeś się właśnie do zbrodni na księdzu?

– Wiem, że w pewnych kręgach zostanę uznany za bohatera. – Zawahał się.

– W jakich?

– Nie twoja sprawa.

– Chodzi o Dobrawę Wątlą?

Motylewski spojrział na Meyera z nienawiścią.

– Jej do tego nie mieszaj.

– A więc jednak chodzi o miłość.

– Dobra nie jest warta miłości – zaperzył się redaktor. – I nie zrobiłem tego dla niej, lecz dla siebie.

– Nie powiedziałem, że Dobra cię kochała – zaoponował Hubert. – Sądzę, że było wręcz odwrotnie. Chciałeś, żeby się bała. Żeby była przerażona. Mściłeś się za odrzucenie.

– Jakie to trywialne! – Dziennikarz zaśmiał się gniewnie.

– Prawda? Bo od początku chodziło o względy Wątlej. Nie wielką ideę i czyszczenie terenu z mętów, choć tak chciałeś być postrzegany – jako wielki Balwierz z Narwi... Zabiłeś patrona Dobrej, by ją ukarać. Próbowałeś zniszczyć jej dobre imię. Ale ona się nie ugięła i nie przyjęła cię z powrotem. Nawet kiedy zamordowałeś Świętę, by dostarczyć jej Mirę, na której tak bardzo jej zależało. – Meyer urwał. Spojrzał na drzwi. Klamka nieznacznie się poruszyła. – Mam dla ciebie niespodziankę.

Weszła Dobrawa Wątle w czarnym kombinezonie do złudzenia przypominającym mundur. Za rękę trzymała wychudzoną dziewczynkę. Mira Grzybowska była tak drobna, że nie wyglądała na swoje jedenaście lat.

– Wydałam cię – oświadczyła matka Tymka z satysfakcją. – Opowiedziałam im o wszystkim.

Hubert wskazał Motylewskiego i zwrócił się do dziewczynki:

– Powiesz mi, czy to tego pana widziałaś w szafasie?

Skinienie głową, łzy w oczach.

– Rozpoznajesz go?

– Tak – szepnęła. – Widziałam, jak rozbierał Tymka i mył go w wannie.

A potem odwróciła się i wtuliła w ramiona Dobrawy.

– Możemy już iść, ciociu?

– Pójdiesz siedzieć ze mną, suko! – wysyczał do Dobrej Motyl i rzucił się do przodu, by uderzyć kobietę, ale Hubert zdążył go złapać i uniemożliwić atak.

– Teraz zawiozą cię do sądu – poinformował dziennikarza. – Dostaniesz areszt. Jutro zaczniemy od nowa.

– A co ze mną? – spytała Dobrawa, kiedy odprowadzili Balwierza.

– Niestety, on ma rację. Powinnaś się liczyć z kilkuletnim wyrokiem – odparł Hubert. – Ale spróbuję załatwić, żebyś siedziała w jednym oddziale z siostrą. Oczywiście po zakończeniu postępowania przygotowawczego.

\* \* \*

– Będziemy sami? – spytała Wera, kiedy po północy zakończyli czynności i dotarli wreszcie z Meyerem do chaty Domana.

Okna były ciemne. Wokół żywego ducha. Przed wejściem stał tylko zakurzony samochód Huberta. Rudy zaparkowała swoje porsche obok jego audi.

Meyer spojrział na nią i uśmiechnął się czule.

– Nie zdążyłem cię uprzedzić – rzekł, ujmując twarz Weroniki w dłoń i całując ją w czoło. – Kiedy przy okazji śledztwa na jaw wyszły wszystkie zdrady młodego Domana, Ela rozpętała aferę. Grozi rozwodem. Zarzeka się, że puści Tomka w skarpetkach.

– I tatuś pojechał łagodzić sytuację?

– Ma w tym wprawę, przyznasz? – Hubert się roześmiał. – Obiecał, że przyjedzie jutro pożegnać się z nami. Mamy czas do dziesiątej.

– Będzie dobrze – skwitowała. – Może Domańscy powinni sobie wreszcie zrobić dziecko? Doman przecież kocha Elę. To były tylko głupie wybryki. Z nudy, rutyny i wystudzonego łóżka. – Urwała. – Patrzysz na mnie jakoś inaczej. Coś się stało?

Hubert pochylił się i delikatnie dotknął ustami jej warg. Pozostała niewzruszona.

Musnął jej włosy, odgarnął kosmyk z policzka, a potem się odsunął.

– Nie jest jeszcze tak późno – rzekł. – Jeśli chcesz zostać, pojedę. Jeżeli sama czujesz się na siłach jechać od razu do Warszawy, zostanę...

– A gdybyśmy przenocowali tutaj oboje?

Pochylił głowę.

– Marzę o tym – wyznał. Sięgnął do schowka w drzwiach. – Kupiłem nawet wino.

– Wiadomo, jak to się skończy... – Uśmiechnęła się figlarnie.

Wyglądała jak niesforna dziewczynka, a nie dojrzała kobieta po przejściach.

– Chciałabyś?

Skinęła głową.

– Ale mam dwa warunki – zastrzegła. – Pierwszy: że to będzie tylko jeden raz. Drugi... – Przerwała.

– Tak?

– Zgolisz tę cholerną brodę. Wyglądasz w niej jak świr.

Roześmiał się głośno, żeby nie zauważyła, jak bardzo mu ulżyło.

– Nie mogę tego obiecać! – udał oburzenie.

– Musisz – stwierdziła ze smutnym uśmiechem. – Jeśli faktycznie przyjmiesz ofertę Włodka, będziemy na jego celowniku cały czas.

– Więc jeden raz. Ostatni – zgodził się. – Marzyłem o chwili, kiedy obudzę się obok ciebie – powtórzył.

– Załatwione. – Wyłączyła silnik i wysiadła z auta.

Hubert podążył za nią. Sięgnął pod parapet, wyjął klucz do domku.

Dalej nie odzywali się do siebie ani słowem. Nie otworzyli wina, nie włączyli światła. Hubert wyciągnął z szuflady pudełko świec i zapalał je kolejno, a Werka ustawiała je w różnych częściach sypialni. Kiedy umieściła ostatnią świeczkę na oknie, objął ją od tyłu i zaczął rozbierać.

– Mam też wykrochmalone prześcieradło – szepnął. – Będzie tak, jak lubisz... Poczekaj tutaj. Przyniosę.

Stała naga do pasa z odsłoniętym biustem i obserwowała, jak Meyer idzie do samochodu. Kiedy wyjął z bagażnika pakunek w folii, spojrzeli na siebie.



Uśmiechnęła się, a on odpowiedział jej delikatnym uśmiechem.

– Kocham cię – szepnęła, choć nie mógł tego usłyszeć.

A jednak odczytał słowa z ruchu jej warg, bo przyłożył dłoń do piersi i przyśpieszył, by jak najszybciej znaleźć się blisko niej. W tym momencie rozległ się strzał.

Hubert skulił się, padł na ziemię. Przeczował się pod drzwiami. Zdołał schować się za nimi, kiedy serią padały kolejne wystrzały. Huk amunicji odbijającej się od żelastwa na podwórku dzwonił mu w uszach jeszcze jakiś czas. Dopadł nieczynnej lodówki i wyciągnął pierwszy z brzegu sztucer. W pośpiechu ładował naboje. Drugą dubeltówkę rzucił Werce. Podniosła się, by ją schwycić, i w tym momencie Hubert dostrzegł na jej lewej piersi małą czerwoną kropkę. Rzucił się, by ją zasłonić, ale było za późno. Gwizd usłyszał, dopiero kiedy Weronika padła, a jej ciałem wstrząsnęły konwulsje.

Chwyił ją, zacisnął z całych sił dłoń na ranie i mówił wciąż do niej, przeklinał, błagał. Skulił się, przytulając ją i płacząc w kanonadzie wystrzałów. Długo nie mógł się ruszyć. Wreszcie wstał i otworzył okno na oścież, jakby ustawiał się bezpośrednio na linii strzału.

– Trafiaj, skurwysynu! – krzyczał w gniewie. – Ślepy jesteś czy co?

Snajper chybiał jednak raz za razem. Wreszcie Hubert poczuł ogień w barku. Ból rozchodzący się po ciele i drętwienie ramienia wybiły go ze stuporu. Skupił się, dostrzegł ruch w krzakach naprzeciwko. Sięgnął po broń, przymierzył i naciskał spust bez zastanawiania się, aż do opróżnienia magazynku. Załadował kolejny i był gotów na następną serię, ale kanonada nagle ustała. Zapadła złowroga cisza. Wtedy opadł na kolana, krew spływała mu po ramieniu, lecz wciąż nie czuł bólu.

Ułożył Werę na podłodze, przykrył świeżym prześcieradłem jak całunem. Patrzył, jak otwiera usta, zamyka, ale głos nie wydobywał się z jej gardła. Krótco potem z ust i nosa pociekła krew, a ciało zwiotczało. Jej zielone oczy mętniały bardzo powoli.

## Epilog

Pogrzeb był ponoć dostojny, bo na pochówek prokurator Weroniki Rudy przybyły setki żałobników, Hubert jednak tego nie widział. Obserwował ceremonię z okna swojego samochodu i czekał, aż wszyscy sobie pójdą. Minister Czajkowski zabronił mu pojawiać się na ostatnim pożegnaniu żony i Meyer to rozumiał. Wiedział, że jego obecność wywoła niezdrową sensację.

Zaraz po strzelaninie w okolicy chaty Domana zaroilo się od mundurowych. Strzelcem w krzakach okazał się Paweł Puchacz. Hubert trafił go w nogę i biodro. Mówiono, że były policjant nigdy już nie będzie chodził bez kul. Przeżył tylko dlatego, że był bardzo pijany. Kiedy spytano go, dlaczego strzelał, odrzekł, że przez Meyera do więzienia trafiła Dobra. Nie mógł tego profilerowi darować.

Kula, od której zginęła Weronika, nie pochodziła z broni myśliwskiej, z której na oślep walił Puchacz, lecz z niezidentyfikowanego karabinka snajperskiego. Sprawca musiał mieć noktowizor i był doświadczony w zabijaniu, bo trafił Rudy jednym celnym strzałem, a potem się oddalił. Mimo że Czupryna ogłosił stan wyjątkowy i przeszukał każdy skrawek okolicy, nie ustalono personaliów snajpera. Nikt z miejscowych nie rozumiał, dlaczego ktoś chciałby zastrzelić prokuratorkę z Warszawy. Jej zwłoki znaleziono w takim stanie, w jakim zostawił ją Meyer. Była naga od pasa w górę, przykryta jedynie białym prześcieradłem. To stało się powodem do plotek nie tylko w Narwi.

Cmentarz opustoszał. Nad grobem Wery zostali jedynie Czajkowski i jej syn Tomek. Meyer widział później, jak idą wąską ścieżką wzdłuż muru, a potem znikają w swoich samochodach. Dopiero wtedy wysiadł z auta, wziął pęk białych róż i skierował się do świeżego grobu. Swoją wiązanekę położył na samej górze. Nie miała zwyczajowej wstęgi ani dedykacji. Patrzył na drewniany krzyż, który grabarz umieścił u szczytu nasypu z kwiatów, i starał się nie płakać.

– Nigdy ci tego nie wybaczę – usłyszał za plecami.

Odwrócił się gwałtownie. Przed nim stał mąż Werki. W czerni, z brylantyną na włosach i cygaretką w dłoni wyglądał jak włoski mafioso, nie polityk. Hubert jednak spostrzegł, że minister ma zapadnięte policzki, jest zgarbiony, a jego oczy są zaczerwienione.

– To moja wina – przyznał. – Sam sobie nie wybaczę.

– Co czujesz i jak będziesz z tym żył, mnie nie obchodzi.

Minister wyjął chusteczkę i wydmuchał nos, a potem zaczął przecierać oczy. Profiler nie wiedział, jak się zachować. Nie spodziewał się, że polityk okaże przy nim słabość.

– Znajdziesz go – rzekł twardo Czajkowski. – Nie spocznesz, póki go nie

znajdziesz.

– Tak – odparł Hubert. – Bądź pewien, że dowiem się, kto to zrobił.

Minister nie odpowiedział. Odwrócił się i odszedł parę kroków. A potem nagle się zatrzymał.

– Wydział Wsparcia Dochodzeń rusza od poniedziałku za tydzień. Nie spóźnij się. Najpierw przypnę ci medal za odwagę, a potem zaczniesz tworzyć polskie Quantico. Nim skończy się moja kadencja, musicie mieć wyniki. Na początku nie wyjdiesz z za biurka. Ale zrobisz to dla niej.

Hubert zdołał jedynie pokiwać głową.

– I pamiętaj, że to niczego nie zmienia. Od tej chwili masz we mnie śmiertelnego wroga – dodał Czajkowski.

Meyer stał jeszcze długo nad grobem Wery, a potem ruszył wolno do auta. Kiedy wychodził z cmentarza, limuzyna ministra wciąż tkwiła w tym samym miejscu. Okno od strony pasażera uchyliło się i Meyer zobaczył dryblasa w kołnierzu ortopedycznym i z obitą twarzą. Krzysztof Kołomyjski uśmiechał się triumfująco. A potem zwrócił się jak gdyby nigdy nic do zbolełego Czajkowskiego. W tym momencie Hubert zrozumiał, że ci dwaj się znają, być może przyjaźnią i robią razem interesy. Chciał podejść, obrzucić kamienicznika stekiem obelg, ale ciemna szyba poszła już w górę, a kierowca limuzyny przyśpieszył. Chwilę potem miejsce parkingowe było puste. W miarę jak auto się oddalało, Hubert czuł, że jego serce znów przemienia się w kamień.

## Miesiąc później

Trzaskały bramy, kiedy Meyer szedł więziennym korytarzem. Strażnik mówił coś do niego, opowiadał o swoich problemach ze stresem i nowych zabezpieczeniach w zakładach karnych. Profiler nie odzywał się ani słowem. Wsłuchiwał się w stukot swoich podkutych butów, które zamówił specjalnie na tę okazję.

Wreszcie dotarli do właściwej sali. Strażnik pożegnał się i dał Meyerowi znak, że ma tylko dziesięć minut. Wszystko ustalili jeszcze na bramie.

– Dobrze się czujesz? – zaniepokoił się, odchodząc, ponieważ psycholog nie odpowiedział na żadne z jego pytań.

– Wręcz wspaniale – zapewnił. – Po prostu zastanawiam się nad właściwą taktyką przesłuchania.

– Powinna być szybka i skuteczna. Muszę wyprowadzić cię stąd przed zmianą warty.

– Będzie skuteczna – zapewnił Hubert. – I nie martw się. Załatwię to błyskawicznie.

Spojrzał na zakratowany judasz w drzwiach. Strażnik już się oddalał. Zamek odskoczył. Hubert mógł wejść do środka.

W pierwszej chwili nic nie widział. Słońce wpadało przez małe okienko, rozpraszając się i wirując w drobinkach kurzu. Zauważył ją, dopiero kiedy odwróciła się ku niemu twarzą. Przestraszył się, że strażnik pomylił osadzone, bo wyglądała jak Dobra.

– Wiedziałam, że mnie odwiedzisz – oświadczyła Romka. – Nie sądziłam tylko, że załatwisz to tak szybko.

Sięgnął do obcasa. Wsunął cienki lancet, który schował w dłoni. Zauważyła ten ruch, ale nie krzyknęła. Nie wydała z siebie nawet głośniejszego pomruku. Pomyślał, że czekała na śmierć i pragnie, by ją uwolnił. Był gotów to zrobić. Nie czuł litości. Ani nienawiści. W każdym razie nie do niej. Prawdę mówiąc, ostatnio niewiele czuł.

– Kto strzelał? – syknął, przyciskając lancet do jej brody.

– Sroka – wychrypiała. – Prokurator Rudy w dniu swojej śmierci podpisała jego wypiskę. Nie wiedziałeś?

Zawahał się. Jeden mocniejszy ruch i ostrze przecięłoby szyję Romki. Gładką, delikatną i długą jak u baletnicy.

– Nie znajdziesz go. Nasz przyjaciel Kołomyjski pomógł mu zwać.

Meyer milczał. Przycisnął ostrze mocniej. Widział cienką strużkę krwi spływającą po białej szyi. Przymknęła oczy, jakby doprowadzał ją tym do ekstazy.

– Możesz to zrobić – szepnęła. – Mnie w sumie będzie lżej. Tobie chyba nie.

– Dlaczego? – odezwał się wreszcie. – Dlaczego nie mnie?

– Kochałeś ją. Wiedzieli, że to będzie dla ciebie wieczna kara. Wciąż jesteś im potrzebny. Przyjdą. Nawet jeśli mnie teraz zabijesz, zgłoszą się po odpłatę.

*3 maja 2021, Warszawa*

## Posłowie

Wszystko, co zostało tutaj opisane, jest totalną fikcją. Wszelkie podobieństwo do osób, okoliczności wydarzeń, a nawet niektóre nazwy własne zostały zmyślane. Osobiście uwielbiam okolice Narwi, lokalną żywność, włóczkowe wyroby i tamtejszą naturę. Wybaczcie, że akurat u Was postanowiłam strzelać, spuszczać krew z ofiar i mumifikować zwłoki. Liczę, że potraktujecie to jak mroczne scherzo i nie weźmiecie niczego do serca.

W tym miejscu pragnę oddać honor mojej wieloletniej i niezastąpionej redaktorce – pani Irmie Iwaszko, która nie tylko prostuje moje pokręcone fabularne ścieżki, lecz także posiada bruliony z rysem każdej stworzonej przeze mnie postaci. Pani Irmo, jestem zaszczycona, wdzięczna i nieodmiennie zachwycona Pani czujnością oraz poczuciem humoru. Kłaniam się i mam nadzieję, że odpoczęła Pani na urlopie. **uś**

Szczególne podziękowania niech przyjmą moi wydawcy – Małgorzata Czarzasty i Marcin Garliński z Muzy, którzy od trzynastu lat obdarzają mnie kredytem zaufania i wciąż chcą drukować moje opowieści. Dziękuję, Drodzy, ponieważ tak wiele już razem widzieliśmy na tym rynku, a liczę, że wciąż więcej powieści przed nami...

Tradycyjnie niżej prezentuję listę osób, którym pragnę podziękować i ukłonić się za wsparcie, pomoc, bliskość oraz bycie w czasie, kiedy jestem katorżnikiem zapisu. Oto i oni: Dorota Osińska, Adrianna Kowalczyk-Czubak wraz z mężem Jackiem, Fati Wrońska (niech Omi o Ciebie dba!), Sylwia Jędrzejewska, Bestka, Piotr Teper, porucznik Piotr S. oraz Leszek Kauc, szef rejestru dawców szpiku ALF. Przytulę Was osobiście i bądźcie pewni, jak bardzo doceniam, że jesteście!

Wiązki mocy i uśmiechy kieruję do Łukasza Misiurkiewicza, który jest moją francuską skałą. Dziękuję, że zaczekałeś, aż skończę z naszymi cysterskimi kontemplacjami. Dedykuję Ci tę książkę i mam nadzieję, że choć raz się uśmiechniesz, gdy przypomnisz sobie, jak omawialiśmy pewne zbrodnicze sprawy na zimnej ławeczce. Włącz wtedy pieśń *Let It Grow* i nie zapominaj. **uś**

*Katarzyna Bonda*

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6212519

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz